

COULTER CATHERINE

SPADKOBIERCA

MAGDALENA

Evesham Abbey, koło Bury St. Edmunds, Anglia, 1790

Pogrążona głęboko w sobie Magdalena czekała bez końca, aż miłosierne opium stłumi ból rozdzierający ciało. W gęstniejącym mroku zimowego popołudnia ledwo mogła dojrzeć wysokie sklepienie komnaty i ciemne, obite dębową boazerią ściany.

Nareszcie ból ustępuje, niebawem uwolnię się od niewysłowionej męki, która wszak ma źródło w mej własnej duszy. Boże, spraw, niech opium działa aż do końca. Czemuż on zwlekał tak długo? Chciał, abym walczyła, ot dłaczego, nareszcie zrozumiał, że wcale nie chcę walczyć. Ze nie chcę już dłużej żyć.

Czy on ciągle tu jest? Tego nie wiedziała. Zresztą nie miało to znaczenia.

I tak długo jej towarzyszył. Przemawiał, uspokajał, próbował pomóc, ale opium nie podał, dopóki - wijąc się z bólu, który był wszędzie, w niej i poza nią- nie zaczęła krzyżeć, błagać, żeby wreszcie dał jej spokój, pozwolił nareszcie odejść. Przynajmniej już więcej nie cierpiała.

Och, Elsbeth, biedne dzieciątko. Jeszcze tak niedawno przydreptała w moje wyciągnięte ramiona. Och, dziecino najdroższa, szybko mnie zapomnisz. Gdybym tylko mogła potrzymać cię w ramionach choć raz jeszcze! Dobry Boże, moje dziecko zapomni o matce, obcy ukradną mi jej miłość, a on przy tym będzie. Boże, gdybym tylko mogła, zabiłabym go. Tymczasem on będzie żył, a ja zgniję na cmentarzu Deverillów, na wieki samotna i zapomniana.

Łzy, które wymknęły się z kącików ciemnych oczu o migdałowym wykroju, spłynęły w dół po policzkach i nie napotkawszy na drodze żadnej przeszkody w postaci zmarszczek czy wgłębień, mogących wstrzymać potok, szybko dotarły do pełnych warg, aż na języku pojawiła się słona wilgoć. Poczowała wtedy dotknięcie miękkiego materiału na ustach. Ktoś otarł jej twarz? Pewnie to on. Nie widziała go już. Za późno. Znów zapadła się w siebie. Tak wiele należało żałować, a tak niewiele nadało sens jej krótkiemu życiu.

Daj spokój, Magdaleno, raduj się małymi tryumfami, ulotnymi chwilami przyjemności. Pamiętaj drobne zwycięstwa. Dłaczego nie potrafi?' To żałosne, jak bardzo człowiek jest bezradny i samotny. Słysząc płacz. Josette, weź ją z kołyski, proszę, przytul, ukołysz. Przekaż tej drobnej istotce całą moją miłość. Pocziesz ją, utul i chroń. Ja już nie mogę.

Świdrujące w uszach krzyki dziecka ucichły. Magdalena uspokoiła się. Głowa opadła jej na obszytą koronką poduszkę. Spojrzała na ciemne dębowe belki w górze. Elsbeth i Josette były dokładnie nad nią, w pokoju dzieciennym. Tak blisko, tylko parę kroków jeszcze niedawno pobiegłaby po schodach, i to pewnie lekko, gdyby tylko usłyszała płacz dziecka.

Niby nie tak dawno... a w gruncie rzeczy minęły wieki. Będziesz znać jedynie grób, moja maleńka, i tablicę z imieniem matki. Będę dla ciebie zimnym, szarym kamieniem z wrytym napisem Omszałym, martwym kamieniem, przygniatającym ciało na wieki wieków.

Magdalena podniosła gasnące oczy i spojrzała na duże malowidło W złoconej ramie przedstawiające Evesham Abbey, Z duma. powieszona nad kominkiem przez ostatniego hrabiego Strafford. Nieruchomymi oczami, jak pogrążona w transie, wpatrywała się w obraz. Miała wrażenie, że stoi w zielonym parku Otaczającym dom Z czerwonej cegły. Stare lipy rosnące po obu Stronach wysypanego żwirem podjazdu chroniły oczy przed słońcem, a Żywopłoty Z Cisów i ostrokrzewu były namalowane lak wyraźnie, że zdawać się mogło, iż wystarczy wyciągnąć rękę, aby ich dotknąć i poczuć w palcach miękkie igły. Przypomniała sobie, że kiedy po raz pierwszy zobaczyła to miejsce, odniosła takie samo wrażenie, gorzko żałowała, że je w ogóle ujrzała, że przybyła do tego przeklętego domu, że wyszła za mąż za człowieka, który teraz powinien ją ratować, ale to oczywiście było niemożliwe. Poślubiła go, weszła do jego domu i teraz za to płaci.

Nie mogła oderwać wzroku od obrazu. Jakże angielskie były te szczyty i kominy wyrastające ze ścian i górujące nad łupkowym dachem; kiedyś policzyła je wszystkie - było ich czterdzieści. A zaraz za domem znajdowały się ruiny starego opactwa, rozsypujące się z godnością od blisko czterech setek lat. Czas wyrwał się nieubłaganie na spojonych zaprawą murach, obracając niezliczone kamienne olbrzymy w bezkształtne formy, a potężne ściany wciąż trwały, dumnie godząc w niebo. Pewnego dnia skruszą się i runą. A wszystko dlatego, że pewien król zapragnął rozwieść się z królową i poślubić kochankę*. Kochała te ruiny. Każdy kamień nosił znamię przeszłości mrocznej i tajemniczej, która od samego początku fascynowała ją i pociągała nieodparcie. Jeden z tych kamieni zostanie przeniesiony na cmentarz Strafford i oznaczy miejsce jej wiecznego spoczynku.

Pogrążony w oparach opium umysł Magdaleny nakazał jej odwrócić wzrok. Spojrzała na przeciwległą ścianę, na dziwną drewnianą płaskorzeźbę zatytułowaną Taniec śmierci. Groteskowy szkielet, dzierżący w kościstym uścisku stępiony miecz, górował nad zastępem

* Kiedy papież odmówił zgody na rozwód z Katarzyną Aragońską, król Henryk VIII, pragnący poślubić Annę Boleyn, zerwał stosunki z Kościołem rzymskim, ogłosił się głową Kościoła w Anglii i sekularyzował majątki kościelne. Wiele opactw i klasztorów uległo wówczas zagładzie lub trafiło w ręce świeckich wielmożów

niesamowitych demonów, a z jego rozwartych szeroko szczęk zdawał się dobywać bezgłośny śpiew.

Jak tu zimno! Dlaczego nikt nie rozpali ognia? Gdybym tylko mogła okryć się ciepło! Zaraz będzie jeszcze zimniej, ale to i tak bez znaczenia, bo wtedy będę martwa.

Jeszcze raz wzrok Magdaleny przesunął się po komnacie, tym razem wolniej, gdyż coraz większe znużenie wciągało ją w przepastną głębię. Jeszcze chwila, a nie będzie powrotu. Na ustach umierającej pojawił się lekki uśmiech. Skóra jej twarzy napięła się, aż na gładkich policzkach zarysowały się cienkie linie. Uśmiech był nadto wyraźny. Tryumfujący.

Odniosłam nad tobą ostateczne zwycięstwo, mój panie mężu. Pokonam cię moją własną śmiercią.

Uśmiech zastygł na jej wargach, zmieniając je w groteskową, nierówną kreskę. Ciszę rozdarł krzyk dziecka.

Drzwi komnaty otworzyły się gwałtownie.

- Wyjdź na chwilę, doktorze. Chcę mówić z moją żoną. - Nowo przybyły mówił szorstko, oddychał ciężko i urywanie.

Lekarz wolno wyprostował się. Był wysokim mężczyzną, ale hrabia Strafford, którego potężna postać zdawała się wypełniać cały pokój, przewyższał go niemal o głowę. Doktor nie wypuszczał nadgarstka hrabiny ze swoich długich palców. Spokojnie rzekł:

- Obawiam się, milordzie, że to niemożliwe.

- Do licha, Branyon, a cóż to znowu za komedie? Chcę zostać sam na sam z moją żoną i zadać jej kilka pytań. Najwyższy czas, żeby mi odpowiedziała. Zostaw nas samych. Mam do tego prawo.

Hrabia szedł już w stronę łoża, a doktor zauważył, że regularne rysy jego twarzy wykrzywia strach i gniew. Połączenie tych dwóch emocji w przypadku hrabiego było dość niezwykle, ale wzrok doktora nie mylił. Tego rzeczywiście hrabia w tej chwili doświadczał.

Branyon delikatnie przykrył prześcieradłem rękę hrabiny. Ta krótka chwila pozwoliła mu opanować gniew na człowieka, którego nienawidził od czasu, kiedy przekonał się, jak traktuje swoją dobrą, łagodną żonę. Powiedział cicho:

- Przykro mi niewymownie, milordzie, ale jej lordowska mość jest już tam, gdzie słowa nie dotrą. Odeszła zaledwie przed chwilą. Nie cierpiała pod koniec. Nie czuła bólu.

- Do diaska, nie może być! - Hrabia rzucił się gwałtownie w stronę łoża. Doktor usunął się na bok, żeby nie zostać potrąconym. Stał w ciszy, patrząc, jak mąż wpatruje się w twarz zmarłej żony, a potem bierze jej rękę i potrząsa nią. Podszedł i ujął hrabiego za ramię.

- Pani hrabina nie żyje, milordzie. Już nic więcej nie możemy dla niej zrobić. Jak

powiedziałem, nie cierpiała w ostatniej godzinie.

Hrabia przez dłuższą chwilę stał bez ruchu przy łożu. Wreszcie odwrócił się i powiedział bardziej do siebie niż do doktora:

- Niedobrze, Nic dotarłem na czas. Przegrałem. Niech diabli porwą francuskie kłamstwa. Co za łajdactwo!

I nie spojrzawszy więcej w stronę zmarłej żony, hrabia obrócił się na pięcie i wyszedł z pokoju. Ciężkie, wysokie buty stuknęły głucho o dębową podłogę.

Evesham Abbey, 1792

Czworo ludzi otaczało wijącą się na mokrych od potu prześcieradłach nagą postać. Już dawno doktor ściągnął frak i rzucił go na stolik. Białą koszulę rozpiął pod szyją, rozpięte miał także mankiety. Był wyraźnie zmęczony. Dookoła jego zaciśniętych ust rysowały się cienkie kreski, na gładkim czole lśniły kropelki potu. Był to młody mężczyzna, a dziewczyna leżąca na łożu była jeszcze młodsza od niego. Miała osiemnaście lat i jej życie było w jego rękach.

Na wpół ślepa położna oraz gospodyni pełniły milczącą wartę w nogach łoża.

Obie bezradnie opuściły ręce.

Było nieznośnie gorąco, wręcz duszno, i pogrążona w nie kończącej się męce kobieta zrzuciła okrycie, odsłaniając przed oczyma obecnych wzdęte ciało. Była już poza jakimkolwiek myśleniem, nawet poza rozdzierającym bólem, który ustępował na chwilę tylko po to, by z jeszcze większą gwałtownością wybuchnąć w jej wnętrznościach, wyrывая z wyschłego, obolałego gardła kolejny krzyk.

Zmysły wróciły jej na chwilę, gdy potworny ból ustał na moment przed kolejnym szarpającym trzewia atakiem. Leżała, dysząc ciężko. Podniosła wzrok na doktora, w jej błękitnych oczach malował się niewysłowiony strach i cierpienie.

Pochylił się nad nią, otarł jej strużki potu z czoła i przysunął kielich do ust.

- Proszę się napić wody, lady Anno. O tak. Pomału. Przytrzymam, jak długo będzie trzeba. Proszę pić powoli. - Kiedy już się napiła, powiedział cicho: - Lady Anno, proszę się bardziej wyteżyć, Musi pani dać z siebie wszystko, kiedy dam znak. Czy pani mnie rozumie?

Przesunęła językiem po spękanych wargach i jęknęła bezradnie uwieczona w pułapce własnej cielesności przez siły, na który ani ona, ani nikt inny nie miał wpływu. Rozpaczliwie pragnęła oderwać się od grubego, wypełnionego dzieckiem ciała. Poszukała wzrokiem zatroskanych, ciemnych oczu doktora i zamarzyła o całkowitym wtopieniu się w tego człowieka. Było to pragnienie tak intensywne, że aż on odebrał je gdzieś głębią swego jestestwa, nieświadomie odpowiadając na krzyk rozpaczylej strony jej natury, która była roześmianą pogodną dziewczyną. Ukląkł przy niej i ujął jej bezwładne palce w swoje ręce. Głos mu zadrżał.

- Lady Anno, bardzo panią proszę, tak nie można. Nie wolno się poddawać. Proszę pomóc sobie i nam. Wiem, że pani może. Jest pani silna. Przecież pani chce żyć. Pani musi to

zrobić. Urodzi pani to dziecko.

Z jej krtani wyrwał się zdławiony krzyk i znów znalazła się daleko, tam gdzie nie mógł jej dosięgnąć, w głębi własnego, wstrząsanego falą skurczów ciała. Szybko wsunął rękę do środka, wymacał główkę dziecka i krzyknął do niej:

- Proszę przeć! Teraz!

Zawahał się tylko przez moment, po czym położył dłoń na płask na jej brzuchu i z całej siły nacisnął.

Jej krzyk i krzyk dziecka rozległy się jednocześnie, przenikając go do głębi.

Znużony doktor wszedł cicho do biblioteki hrabiego i stanął w progu. W pokoju było ciemno, gdyż zaciągnięto wszystkie zasłony.

- Ma pan córkę, panie hrabio. Gratuluję. Podobna do pana hrabiego. Pani hrabina jest bardzo osłabiona, ale będzie żyć.

Nie mógł się nadziwić, że jeszcze trzyma się na nogach, że nie przewraca się ze zmęczenia. Czekał na reakcję hrabiego. Ten przesunął palcami po idealnie gładkiej kamizelce, z niesmakiem przyjrzał się poplamionej krwią koszuli doktora i rzekł obojętnie:

- Cóрка? Hm, to dopiero pierwsze dziecko. Na szczęście Anna jest młoda i jeszcze urodzi mi synów. Kobiety kochają dzieci. Pewnie niebawem zechce mieć następne. Słabość przejdzie. Nie minie tydzień, a zapomni, jeżeli oczywiście dziecko przeżyje. Tyle dzieci umiera przedwcześnie. Elsbeth przeżyła, ale ta może nie przeżyć. Z dziećmi nigdy nic nie wiadomo.

Doktor poczuł dławiący ucisk w gardle. Coraz większy gniew w nim narastał.

Czy człowiek ten był głuchy na rozdzierające serce krzyki własnej żony? Przecież nawet na pobladłych twarzach służących widać było przerażenie i litość. Z pewnością mąż musiał ją słyszeć. I żeby był tak obojętny? Nic a nic się nie przejął?!

Doktor wiedział jedno. Do końca życia nie zapomni tych straszliwych cierpień, których był świadkiem. Zapragnął nagle zabić tego człowieka, nie za to, że za jego sprawą zaszła w ciążę, ale za to, że w ogóle go nie obchodziło, czy ona przeżyła. Było mu wszystko jedno. Łotr bez sumienia. Och, jakże chciałby go zabić! Strzelić prosto między oczy. A jednak... Z trudem opanował się i spokojnym, profesjonalnym tonem -choć tak naprawdę chciało mu się krzyczeć - oznajmił:

- Obawiam się, że to niemożliwe, milordzie.

Zamilkł, widząc, że twarz hrabiego pociemniała. Była to przystojna twarz, wyrazista i inteligentna. Doktor Branyon nienawidził jej równie gorąco, jak nienawidził tego człowieka. Z niemąłą więc satysfakcją poinformował hrabiego:

- Milordzie, lady Anna omal nie straciła życia, rodząc pańską córkę. Niewiele brakowało, a wykrwawiłaby się na śmierć. - Zamilkł na chwilę, smakując następne słowa, zanim je wreszcie wypowiedział: - Nie będzie więcej mogła rodzić dzieci.

Hrabia zerwał się na równe nogi.

- Do diabła, Branyon, co ty mi tu opowiadasz! Dziewczyna ma dopiero osiemnaście lat! Jej matka urodziła sześcioro dzieci, w tym czterech synów. Zapewniała mnie, że Anna ma szerokie biodra i że będzie rodzić bez trudu. Sam sprawdzałem jej brzuch. Jest drobna, to prawda, ale ma szeroką miednicę. Do diaska, wybrałem ją ze względu na jej młodość i na to, co usłyszałem od matki. Musisz się mylić, doktorze.

Rodzice pozwolili mu dotykać ich córki? Kłaść ręce na jej brzuchu? Boże, aż zrobiło mu się niedobrze.

- Niestety, milordzie, wiek lady Anny nie ma tu nic do rzeczy, podobnie jak szerokość bioder. Nie urodzi więcej dzieci, ani córek, ani synów.

Boże, jak ja nienawidzę tego człowieka! Moim zadaniem jest chronić życie, a tak bardzo pragnę go zabić. Biedna Anno... jesteś dla niego niczym, podobnie jak Magdalena. Teraz ma drugą córkę, której nie będzie kochał. Pewnie ją też oddali. Przynajmniej ty nie będziesz musiała znowu cierpieć.

Hrabia odwrócił się, zaklął długo i soczyście. Nie słyszał nawet, jak doktor wychodzi z biblioteki i udaje się na górę, by czuwać przy jego żonie.

ARABELLA

The Strafford House, Londyn, 1810

Sir Ralph Wigston spojrział sponad okularów, recytując monotonnym głosem sumiennie przygotowane i -jak miał nadzieję - górnolotne frazesy kondolencji. Zadał sobie wiele trudu, ucząc się na pamięć krótkiej przemowy, którą miał wygłosić w imieniu ministerstwa. Robił to w głębokim przekonaniu, że chociaż tyle jest winien, jeśli nie pięknej wdowie, to przynajmniej samemu hrabiemu Strafford.

Zmarły hrabia był wielkim człowiekiem, słynącym z wybitnej inteligencji, niesamowitej wprost zdolności przewidywania zamiarów wroga i umiejętności szybkiego podejmowania słusznych decyzji ku chwale Jego Królewskiej Mości. Nie lękał się ryzyka tam, gdzie inni się wahali czy wręcz wycofywali. Był odważny, nieustraszony, a zmarł tak, jak na dzielnego dowódcę przystało: w bitwie, wydając rozkazy i okrzyki zachęty. Dumny był, niezwykle dumny i nieugięty, prawdziwy despota żądający bezwzględnego posłuszeństwa, lecz taki właśnie powinien być dowódca. Był człowiekiem, któremu można było zaufać, człowiekiem, którego nie można było nie szanować, człowiekiem, za którym szło się z bezwzględną lojalnością i oddaniem. Jego ludzie uwielbiali go. Na pewno teraz szczerze go opłakują.

Teraz, gdy hrabia Strafford nie żył, zadaniem sir Ralpa było złożenie kondolencji w imieniu rządu wdowie, która, nawiasem mówiąc, wyglądała wyjątkowo pięknie w czarnej, żałobnej sukni. Za nic nie dopuściłby, aby ktokolwiek mógł mu zarzucić zaniodbanie powinności należnych zmarłemu hrabiemu. Ani tym bardziej uchybienie wdowie po nim.

Chrząknął z namaszczeniem. Było to trudne zadanie.

- Z żalem musimy jednak poinformować panią droga lady Anno, że nie znaleziono szczątków hrabiego po pożarze, jaki miał miejsce.

- W takim razie może pańska wizyta jest przedwczesna, sir Ralphie? Czy jest zatem możliwe, iż mój ojciec nie zginął? Może jakimś cudem ocalał?

Słowa te zostały wypowiedziane zimno i beznamiętnie, lecz sir Ralph wyczuł kryjącą się w nich iskierkę nadziei, co godziło w jego autorytet i pozycję. Krótko mówiąc, poczuł się dotknięty. Na razie powstrzymał się od wygłoszenia frazesów, jakie sobie wcześniej przygotował, i utkwiał krótkowzroczne spojrzenie w córkę hrabiego Strafford, lady Arabelle. Zupełnie nie przypominała matki. Była żywym obrazem ojca. Miała atramentowo-czarne

włosy i jasnoszare oczy. Znów chrząknął.

- Droga lady Arabello, śpieszę panią zapewnić, że nie wypełniałbym mej smutnej misji, gdyby zgon pani ojca nie został dowiedziony w sposób nie pozostawiający żadnych wątpliwości. - Ton jego głosu zabrzmiał dość szorstko, toteż natychmiast postarał się złagodzić wypowiedź. - Naprawdę mi przykro, lady Anno, lady Arabello, ale są wiarygodni świadkowie, których zeznań nie da się podważyć. Przeprowadzone zostały staranne poszukiwania.

- Oczywiście nie miał zamiaru opowiadać o zwęglonych szczątkach poddanych dokładnym oględzinom. - Nie ulega wątpliwości, że hrabia zginął w pożarze. Ogień był zaiste straszny. Nie pozostawiał żadnej szansy na przetrwanie. Proszę zatem, moje panie, abyście nie żywiły złudnych nadziei, gdyż niemożliwością jest, by hrabia przeżył to piekło.

- Rozumiem. - Znów ten sam zimny, beznamiętny głos. Sir Ralph postanowił jak najszybciej wypełnić swoje poselstwo do końca.

- Księżę Regent pragnie, bym zapewnił panią lady Anno, że wobec wiarygodności zeznań świadków nie ma najmniejszych przeszkód w jak najszybszym uporządkowaniu spraw majątkowych. Jeśli pani sobie życzy, powiadomię pani prawnika o tych tragicznych wydarzeniach i poproszę, by wszczął odpowiednie kroki.

- Nie! - Córka hrabiego wyprostowała się, zaciskając przed sobą ręce.

Sir Ralph zeszytywniał i spod zmarszczonych brwi spojrział na dumną pannę.

O co znów chodzi? Cóż to za nonsensy? Czy matka, ta urocza, delikatna dama, nie ma na nią żadnego wpływu?

Lady Anna odezwała się głosem o wiele za łagodnym jak na oczekiwania sir Ralpha.

- Moja droga Arabello, z pewnością będzie najlepiej, jeśli sir Ralph porozumie się z prawnikiem ojca. I tak czeka nas teraz wiele spraw.

- Nie, mamó. - Arabella spojrziała zimnymi szarymi oczami na zaróżowioną twarz sir Ralpha. Na Jowisza, patrzyły na niego oczy hrabiego. I ten jej chłód i wyniosłość! Wykapany ojciec! Tak, ta zuchwała dziewczyna, zdaje się, odziedziczyła po ojcu również arogancję. Doprawdy, zmarły hrabia wcale na to nie zasługiwał, choć sam był butny i wyniosły wobec innych.

- Doceniamy pańską uprzejmość, sir Ralphie, ale to należy do nas... do mojej matki i do mnie... zajęcie się wszystkimi niezbędnymi formalnościami. Proszę przekazać wyrazy wdzięczności Księżciu Regentowi. Jego słowa bardzo wiele dla nas znaczą.

A cóż to znów miało oznaczać? Sir Ralph nie znosił ironii. Drażniła go. Nie lubił być zmuszany do rozszyfrowywania tego, co się za nią kryje, do łamania sobie głowy tylko po to,

aby przekonać się w końcu, że ironia była niezamierzona. Natomiast dotarło do jego świadomości zupełnie wyraźnie, że ta przeklęta dziewczyna go odprawia. Jego! Chcąc zyskać nieco na czasie i uspokoić się na tyle, by z miejsca nie wytargać zuchwałej panny za uszy, sir Ralph wolno zdjął okulary i równie wolno uniósł potężne ciało z krzesła.

Arabella również się podniosła i wtedy ujrzał jej zimne szare oczy na tej samej wysokości co jego własne. Miała spojrzenie zimne, wręcz lodowate i równie nieprzyjemne jak ojciec. Ciekawe, czy te oczy kiedykolwiek patrzą ciepło, tak jak to raz zdarzyło mu się zobaczyć u jej ojca, kiedy ten dotknął olśniewająco białego ramienia pewnej ślicznej młodzianki kurtyzany. Doprawdy, nic powinien dopuszczać do siebie takich wspomnień, zwłaszcza w obecności wdowy. Trzeba zapomnieć. Już. Teraz. Od razu.

Panna wyciągnęła szczupłą rękę. Głos miała ostry, choć nikt, nawet najbardziej wymagający, nie mógłby jej zarzucić uchybienia wymogom grzeczności.

- Dziękujemy, sir Ralphie. Rozumie pan chyba, że ta tragiczna wiadomość poruszyła do głębi moją matkę. Jeśli zechce nam pan teraz wybaczyć, zajmę się nią. Russell odprowadzi pana.

Przekonał się, że reaguje na jej słowa tak samo jak niegdyś na lewa jej ojca, to znaczy od razu zaczyna się zważnie ruszać. Odezwał się najbardziej pojednawczym tonem, na jaki go było stać:

- Ależ, naturalnie. Droga lady Anno, jeżeli w czymkolwiek mógłbym być pomocny i zdjąć nieco ciężaru, który niespodziewanie spadł na barki pań, proszę mnie wezwać bez wahania. Stawię się natychmiast. - W myślach dodał: „Tylko niech ta mała jędza, pani córka, trzyma się z dala”. Kobiety jego zdaniem powinny być ciche, łagodne i posłuszne. Jak lady Anna. Dlaczego zatem hrabia miał jedną kochankę w Londynie, drugą w Brukseli, a sam często odwiedzał domy schadzek w Portugalii - takie plotki przynajmniej sir Ralph o nim słyszał - pozostawało dla niego zagadką. Ach, istota krucha i delikatna jak lady Anna z pewnością nie była w stanie zaspokoić mężczyzny tak wymagającego jak nieboszczyk. A jeśli chodzi o córkę, to musiał przyznać, że jest piękna, ale przy tym zimna, nieprzyjemna i wyniosła.

Hrabina spuściła oczy. Nie wstała. Jedyłą odpowiedzią na jego zapewnienia było lekkie skiniecie jasnowłosej głowy. Na wszystkie świętości, cóż to za piękna kobieta! Zupełnie nie miał ochoty nigdzie iść. Najchętniej by został tu, u jej stóp, lecz nie było rady. I tak by nic nie działo przy tej pannic patrzącej na niego, jakby miała ochotę poćwiartować go nożem, który pewnie nosiła ukryty za pazuchą.

- Do widzenia, sir Ralphie - rzekła Arabella głosem równie lodowatym jak szare oczy

jej ojca. Pomyślał z żalem, że miałby ogromną ochotę przytrzymać drobne rączki hrabiny w swych dłoniach, zapewnić gorąco, że ją ochroni, pocieszy, będzie dzielić jej smutek, i to wcale nie dlatego, by zmarły hrabia kiedykolwiek okazywał mu uwagę - hrabiego interesowali tylko ci, którzy jego zdaniem nadawali się do zabijania Francuzów. Jednak pozycja sir Ralpa i stopień znajomości z rodziną hrabiego Strafforda nie upoważniały do realizacji tak śmiałych życzeń. Niechętnie odwrócił wzrok od pięknej hrabiny i spojrzał na nieruchomą, pozbawioną uśmiechu twarz jej córki. Kiedy drzwi saloniku zamknęły się za nim z lekkim trząśnięciem, znów uderzyła go myśl, że córka hrabiego stanowi żywy obraz swego ojca. Podobieństwo fizyczne było uderzające - te same kruczoczarne włosy i ciemne łuki brwi nad dumnymi, zuchwałymi, szarymi oczami. Ale podobieństwo nie ograniczało się jedynie do cech fizycznych. Również ich usposobienia miały wiele wspólnego. Oboje byli dumni, nie znoszący sprzeciwu i piekielnie inteligentni. Choć sir Ralph poczuł się dotknięty odprawą ze strony osiemnastoletniej panny, szczerze współczuł jej, że nie urodziła się chłopcem. Po tym, czego przed chwilą doświadczył na własnej skórze, mógł śmiało powiedzieć, że poradziłaby sobie doskonale na stanowisku ojca.

Hrabina Strafford uniosła piękne, niebieskie oczy i spojrzała na delikatną twarz córki.

- Moja droga, chyba byłeś trochę za surowa dla biednego sir Ralpa. Wiesz przecież, że miał jak najlepsze intencje. Chciał nam obu zaoszczędzić niepotrzebny ból.

- A jeśli to nieprawda, że ojciec zginął? - odparła Arabella zimnym, bezbarwnym głosem. - To idiotyczne. Taka okrutna strata. A wszystko przez głupią wojnę, która służy zaspokajaniu ambicji głupich mężczyzn. Wielki Boże, czyż może być coś bardziej niesprawiedliwego? - Wyminęła wyciągnięte w serdecznym geście ramiona matki, podeszła do ściany i uderzyła zaciśniętą pięścią w dębową boazerię.

Moje biedne, niemądre dziecko. Nie pozwalasz mi się pocieszyć, gdyż wdałaś się w niego. Opłakujesz człowieka, który samym swoim istnieniem zmienił moje życie w nie kończące się pasmo udręki. Czyżby w tobie nie było nic ze mnie? Biedna Arabello, ronieć tak naprawdę wcale nie oznacza godnej pogardy słabości.

Arabello, dokąd idziesz? - Hrabina podniosła się spiesźnie i ruszyła za córką.

- Spotkać się z Brammersleyem, prawnikiem ojca. Powinna mama wiedzieć, kto to jest. Za każdym razem, gdy ojca nie było w Anglii, ten głupiec starał się z mamą flirtować. Do diabła, nie znoszę go, ale ojciec mu ufał, niestety. A skoro już mowa u głupcach, nie bardzo wierzę, żeby to ministerstwo przysłało sir Ralpa. Myślałam, że z miejsca padnie przed mamą na kolana!

- Na kolana? Sir Ralph? Ten poważny starszy pan?

- Owszem, mam - odparła Arabella tonem, jakim się mówi do dziecka. - Ślepy by to zauważył.

- Ja nie zauważyłam niczego niewłaściwego w zachowaniu sir Ralpa. Był jak najbardziej na miejscu. Ale, kochanie, chyba nie powinnaś teraz wychodzić. Może napiłabyś się herbaty? A może odpoczniesz trochę w swoim pokoju? A może... choć wiem, że to mało prawdopodobne... miałabyś ochotę porozmawiać ze mną?

- Nie jestem zmęczona, słaba ani przerażona - odparła Arabella przez ramię. - I przecież stale rozmawiamy. Co najmniej trzy, cztery razy dziennie. - Nie zwolniła kroku. Przepęłniał ją gorzki gniew i niezwykła energia wypływająca z poczucia bezradności. Nagle z otchłani własnego bólu wyrwał ją widok pobladłej, ściągniętej twarzy matki. O Boże! Co z niej za potwór! Przesunęła ręką po czole. Nie będzie płakać. Za nic. Ojciec nigdy by jej tego nie darował.

- Poradzi sobie mama beze mnie, dobrze? Bardzo mamę proszę, ja to muszę załatwić. Chcę, by ojcu oddano należne honory, jeszcze zanim ostatecznie rozporządzi się jego majątkiem. I rzygotuję wszystko do naszego wyjazdu z Londynu. Trzeba wracać do Evesham Abbey. Zajmę się tym. Muszę dopilnować wielu spraw. Dobrze, mam?

Hrabina spojrzała spokojnie w jej chmurne szare oczy i rzekła wolno, z cieniem smutku w głosie:

- Tak, kochanie, oczywiście. Poradzę sobie. Jedź, Arabello, i zrób, co do ciebie należy.

Hrabina poczuła się nagle staro jak na swoje trzydzieści sześć lat. Z wysiłkiem podeszła do frontowego okna i osunęła się na fotel. Gęsta, szara mgła kłębiła się wokół domu, otulając gałęzie i zasnuwając zielen trawy w niewielkim parku naprzeciwko domu.

Z okna widać było stangreta Johna, który przytrzymał niespokojne konie.

Po chwili nadeszła Arabella, przemierzając kamienne płyty dziedzińca charakterystycznym długim, pewnym siebie krokiem. W czarnej sukni i płaszczu wyglądała smutno i ponuro. Arabella poradzi sobie ze wszystkim i nikt nie domyśli się nawet, że za pełną determinacji energią kryje się rozpaczliwy ból.

Może lepiej, że nie szuka pociechy u mnie. Wówczas musiałabym udawać smutek. Ona nigdy nie zrozumie, że dla mnie ta śmierć oznacza koniec niewoli.

A jej niespożyta energia pomoże wypalić w końcu ból utraty. Kochana Elsbeth, słodkie niewinne dzieciątko. Nareszcie jesteś wolna, tak jak ja. Napiszę zaraz do ciebie. Twoje miejsce jest w Evesham Abbey. Możesz nareszcie wrócić do swego domu, do domu Magdaleny. Biedna Magdaleno, jakże krótkie i nieszczęśliwe miałaś życie! Twoja córka

może liczyć na moją najczulszą opiekę. Obiecuję ci to, Magdaleno. Bogu niech będą dzięki. Odszedł już. Na zawsze.

W nagłym przyplywie energii podniosła się z fotela, a jasne loki zakotływały się wokół jej twarzy. Odrzuciła głowę do tyłu i podeszła pewnym krokiem do małego biurka stojącego w kącie saloniku. Był to niezwykły odruch, jakby odrodzony na nowo po osiemnastu latach. Szybkim, niemal radosnym ruchem zanurzyła pióro w kałamarzu i sięgnęła po elegancki papier listowy.

Evesham Abbey, 1810

Spod potężnych kopyt Lucyfera tryskał żwir, którym wysyłamy był podjazd porośnięty po obu stronach rzędami lip. Rytmiczny, głośny stukot nie koił jednak wcale serca amazonki.

Arabella odwróciła się w siodle i spojrzała w tył, w stronę domu.

Evesham Abbey trwało dumnie w zamglonym świetle poranka. Mury z czerwonej cegły wznosiły się wysoko, zwieńczone mnóstwem kominów i szczytów. Szczytów w sumie było czterdzieści; policzyła je wszystkie. W wieku niespełna ośmiu lat z dumą zawiadomiła o tym arytmetycznym wyczynie ojca, i w nagrodę otrzymała zaskoczone spojrzenie i tak serdeczny uścisk, że siniaki na żebrach utrzymywały się aż do świętego Michała.

Tyle lat minęło. I nie zostało z tych lat nic. Nic oprócz tych czterdziestu szczytów. Pozostaną tu długo potem, jak jej już nie będzie na świecie.

W marmurowym rodzinnym grobowcu pochowali pustą trumnę. Po ceremonii, gdy kobiety - naturalnie z wyjątkiem Arabelli - opuściły cmentarz, czterech wieśniaków wtaszczyło wielką kamienną płytę, a miejscowy kowal rozpoczął żmudną pracę żłobienia w kamieniu liter tworzących napis, na który składało się nazwisko hrabiego, jego tytuły oraz daty wyznaczające początek i koniec życia. Pusta trumna spoczęła obok Magdaleny, pierwszej żony ojca. Arabellę przeszedł dreszcz, gdy spojrzała na miejsce po drugiej stronie, przeznaczone dla matki.

Stała w milczeniu, zimna i sztywna jak marmurowa ściana za jej plecami, dopóki nie uciął powtarzany echem przez ściany grobowca monotony stukot młota i dłuta.

Arabella zjechała z wysypanego żwirem podjazdu i skierowała Lucyfera na wąską ścieżkę, która wiła się przez pobliski las i dochodziła do małej sadzawki migoczącej jak piękny, krągły klejnot ukryty wśród zielonych dębów i klonów. Dzień był zbyt ciepły na strój do konnej jazdy z ciężkiego, grubego aksamitu. Poranne słońce paliło przez materiał, aż koszula lepiła się do skóry. Ponurą surowość ciemnej sukni rozbijał jedynie biały akcent kołnierzyka. Jednak nawet cienka bawełna drażniła skórę na szyi.

Arabella zsunęła się z potężnego grzbietu Lucyfera i uwiązała konia do niskiego, grubego cisu. Nie używała siodła. Pewnego dnia, gdy miała dwanaście lat, ojciec wziął ją na poważną rozmowę. Oznajmił, że nie chce jej stracić, skoro jest najlepszą młodą amazonką w kraju. Damskie siodła to śmiertelne pułapki. Nie pozwala zatem, by polowała, jeżdżąc na

damskim siodle. Może pozować w takim siodle do portretu, i to wszystko. Ma jeździć albo na zwykłym męskim siodle, albo na oklep.

Uniosła suknię, chroniąc ją przed kontaktem z mokrą trawą, i wolno obeszła brzegiem lustro stojącej wody, starając się nie nastąpić na długie, jedwabiste wodne trzciny. Piękne były te trociny. Sama myśl o zdeptaniu którejs z nich wydawała się świętokradztwem.

Cóż to za ulga uciec od tych wszystkich ubranych na czarno gości, od ich wydłużonych, pozbawionych uśmiechu twarzy, kiwających się, pochylonych w ukłonie głów i ust recytujących przyciszonym, posępnym głosem puste frazesy mające wyrażać współczucie. Nie mogła się nadziwić, jak wdzięcznie porusza się pośród tego wszystkiego matka w swym szeleszczącym, jedwabnym, wdowim stroju, oczywiście uszytym wedle nakazów najnowszej mody. Wydawała się niestrudzona, może uśmiech wyglądał nieco blado, ale tak, stosownie do okoliczności, wypadało się uśmiechać. Lady Anna zawsze doskonale wiedziała, czego od niej oczekiwano, i swoje obowiązki wypełniała perfekcyjnie. Wszyscy byli sztywni i oficjalni. Tylko Suzanne Talgarth, najlepsza przyjaciółka Arabelli jeszcze z dzieciństwa, odciągnęła ją na bok i nie mówiąc ani słowa, przytuliła ją mocno.

Arabella przystanąła na chwilę, nasłuchując żalosego skrzeku samotnej zaby, ukrytej przed ludzkim wzrokiem głęboko w gęstych trzcinach. Chciała ją podejrzeć i kiedy się pochyliła, wdzięcznie kołysząc czarną spódnicą, dostrzegła przypadkiem, zaledwie kilka stóp dalej, plamę czerni odznaczającą się wyraźnie na tle nieskończenie wielu odcieni zielonych trzcin. Zapomniała natychmiast o żabie i zmarszczywszy brwi, wolno, na palcach ruszyła w tamtą stronę.

Ostrożnie rozdzieliła pęk trzcin i wtedy ujrzała przed sobą śpiącego mężczyznę, wyciągniętego wygodnie na plecach, z rękami założonymi pod głowę. Nie miał na sobie płaszcza ani fraka, jedynie czarne spodnie, czarne buty z cholewami i rozpiętą pod szyją, białą płócienną koszulę z żabotem. Przyjrzała się uważnie jego twarzy, spokojnej, pozbawionej wyrazu, pogrążonej we śnie, i odskoczyła w tył, tłumiąc okrzyk zdumienia. Miała wrażenie, że spogląda w lustro, tak podobne były do siebie ich rysy. Wijące się kruczoczarne włosy przycięte miał tuż nad gładkim czołem. Czarne brwi rysowały się wyraźnie dumnym łukiem i opadały łagodnie w stronę skroni. Usta miał pełne, takie jak ona, równie wystające kości policzkowe i podobny prosty, rzymski nos. Wyraźnie zarysowany podbródek zdradzał upór. Wiedziała niemal na pewno, że kiedy wpada w gniew, drgają mu nozdrza. Ciekawe, czy gdy się uśmiecha, też mu się robią dołeczki, takie jak jej. Nie, minę miał tak srogą, że trudno było go podejrzewać o coś równie niepoważnego jak dołeczki. Do niej one zresztą też nie pasowały. Nigdy nie przyszło jej do głowy, że sama jest piękna, ale

kiedy mu się przyglądała, doszła do wniosku, że jest to najpiękniejszy mężczyzna, jakiego widziała w życiu.

- Ty nie możesz być prawdziwy - szepnęła, nie mogąc oderwać oczu od mężczyzny. I nagle uświadomiła sobie, kim mógł być i jaki mógł być powód jego obecności. Zakłęła gniewnie. - Przeklęty bękarcie! - krzyknęła głośno, aż trzęsąc się z gniewu. - Ty nędzniku! Wstawaj i wynoś się z mojej ziemi, bo cię zastrzelę! Najchętniej zatłukłabym cię na śmierć! - Umilkła na chwilę, gdyż uświadomiła sobie, że nie ma przy sobie pistoletu. Ale to bez znaczenia. Ma przecież szpicrutę. Uniosła ją do góry.

Mężczyzna leniwie podniósł powieki i wtedy spod gęstych rzęs spojrzął na nią jej własne, szare oczy. Były tylko trochę ciemniejsze od jej oczu, zupełnie jak oczy jej ojca. Wielki Boże, ależ on był przystojny, jeszcze bardziej niż ojciec.

- A to ci dopiero - rzekł mężczyzna wolno, głosem gładkim jak kamień leżący od dawna na dnie strumienia. Nie poruszył się, tylko zmrużył oczy od słońca, przyglądając się zaczerwienionej i wściekłej twarzy nad sobą. - Zdawałoby się, że mam przed sobą damę. Te białe dłonie nigdy nie tknęły żadnej pracy, to pewne. Tak, bez wątplenia mam przed sobą damę. A gdzie jest, pytam się, uliczna dziewczka, która obrzuciła mnie takimi wyzwiskami? Chce zastrzelić mnie? Wy chłostać? Zupełnie jakbym był w teatrze.

Wyrażał się poprawnie, jak prawdziwy dżentelmen. Nieważne. Stojąc bez ruchu, wpatrywała się wściekle w jego twarz. Na brodzie miał wgłębienie, którego ona nie miała, i był opalony, ogorzały jak morski rozbójnik. Nienawidziła piratów. Nie, nie pozwoli temu człowiekowi się rozgniewać. Zapytała tonem zuchwałym, jaki często słyszała u ojca:

- Kim, u licha, jesteś?

Nawet nie drgnął. Cały czas leżał rozciągnięty u jej stóp, jak leniwa jaszczurka wygrzewająca się na kamieniu. Uśmiechnął się, odsłaniając przy tym zdrowe, białe zęby. Zauważyła blado-żółte iskierki migoczące w szarych oczach. Dziwne. Ani ona, ani ojciec nie mieli takich iskierek. Sprawilo jej to satysfakcję. Zdecydowała natychmiast, że takie iskierki wyglądają pospolicie.

- Czy zawsze wyrażasz się jak ulicznica? - spytał spokojnie, unosząc się lekko i opierając na łokciach. Spojrzenie miał głębokie i przejrzyste. W jego oczach malowała się inteligencja, co dostrzegła od razu. Z miejsca go znienawidziła.

- Taka kreatura nie będzie mnie pouczać, jak mam traktować zuchwałych łajdaków włóczących się bezprawnie po ziemi Deverillów. - Sięgnęła po szpicrutę i uderzyła się lekko po grzbiecie obciążonej czarną rękawiczką dłoni.

- Czyżbym w dodatku miał dostać baty?

- Zadałam ci przed chwilą pytanie. Nie odpowiedziałeś. Domyślam się, dlaczego. To chyba oczywiste. - Przyjrzała mu się uważnie i nagle poczuła bolesny ucisk w piersiach. Ale czyż nie uczono jej od najmłodszych lat stawiać czoło najbardziej niemiłym wprawom bez ociągania się i odkładania na później? Niech to już ma poza sobą. Od razu widać, że jesteś bastarden nieprawym synem mego ojca. Chyba nie jesteś ślepy i dostrzegasz podobieństwo między nami, a ja jestem jego żywym wizerunkiem. - Odwróciła twarz, nie chcąc, by zobaczył, jak bardzo cierpi. Do oczu napłynęły jej palące łzy. Tak, była i unikiem swego ojca, tyle że płęć była nie ta, co powinna. Modny ojciec, nie udało mu się spłodzić męskiego potomka w małżeńskim związku. Ale bękarta miał. Zwróciła lodowate oczy na twarz intruza i rzekła głucho: - Ciekawe, czy są też Inni leżeli tak, to mam nadzieję, że nie przypominają go tak bardzo jak ty. Zawsze chciałam mieć brata, a tak linia mego ojca wygasła na nim. Jestem kobietą i w związku z tym nie mogę dziedziczyć tytułu. Uważam, że to niesprawiedliwe.

- Być może nie jest to sprawiedliwe, ale tak już urządzony jest ten świat. Jeśli chodzi o nieprawych synów twego ojca równi, do niego podobnych jak ja, to szczerze mówiąc, wydaje mi u, to mało realne. To chyba ty powinnaś wiedzieć lepiej. Natomiast prawdopodobne jest, że gdyby twój ojciec miał dzieci nieprawego łoża, to one, mając choć odrobinę zdrowego rozsądku, nie pokazywałyby się tutaj. - Mówił spokojnie i rzeczowo. Wyczuł jej ból i rozgoryczenie. Podniósł się z ziemi wolno i stanął przed nią. Nie chciał jej przestraszyć. Nie chciał, żeby czuła się zagrożona. Przynajmniej na razie, bo później to i lak sianie się nieuniknione.

- To co tu robisz? - Z niechęcią spojrzała na niego, wymawiając te słowa. - Niech cię wszyscy diabli, nawet jesteś jogo wzrostu. Boże! Co za tupet, żeby zjawić się w takiej chwili? Chyba w ogóle nie masz poczucia honoru, nie mówiąc o zwykłej ludzkiej przyzwoitości. Ojciec nie żyje, a ty zachowujesz się tak, jakbyś miał wszelkie prawo tu przebywać.

- Wolałbym, żebyś nie wyrażała się w ten sposób o moim honorze. Mam swój honor. Przynajmniej tak o mnie mówią.

Poczuła nieprzepartą chęć, by uderzyć go w twarz szpicrutą. Podeszedł bliżej, pochylił nad nią głowę, zasłaniając słońce. Nozdrza Arabelli zadrgały, oczy pociemniały, zdradzając myśli.

- Nie rób tego, moja droga. Nie radzę. - Głos miał cichy i delikatny jak letni deszcz.

- Nie jestem twoja droga - odparła, zła na niego, zła na siebie. Cofnęła się nieco. Jej oczy zwężyły się niebezpiecznie. W słowach zabrzmiało zimne okrucieństwo. - Nie musisz mi mówić, jaki jest cel twojej wizyty. Głupia jestem, że nie domyśliłam się wcześniej. Bastard mego ojca zjawił się na odczytanie testamentu. Masz tyle honoru co ta skrzecząca w stawie

żaba. Czy naprawdę liczyłeś na to, że zostaniesz uznany i coś ci skapnie z majątku mego ojca? - Aż trzęsła się z gniewu i ze zdenerwowania, głównie dlatego, że był potężniejszy od niej, potężniejszy nawet niż ojciec, a ona nie była mężczyzną tylko słabą kobietą i nie mogła zbić go na kwaśne jabłko. A tak szaleńczo tego pragnęła. Stłuc go. Zmiażdżyć obcasami. Wyczuła jego obojętność, kiedy schyliwszy się, strzepnął ze spodni drobne listki oraz źdźbła trawy i podniósł z ziemi płaszcz. W tym momencie po prostu nienawidziła go. Za tę obojętność. Za obecność. Za podobieństwo. Za wszystko.

- Tak - rzekł wolno, wyprostowując się. - Przybyłem tu na odczytanie testamentu.

- Ty łajdaku! Mój Boże! Co za bezczelność!

- Ależ jad tryska z tych pięknych usteczek - rzekł spokojnie, narzucając płaszcz na ramiona. - Powiedz mi, wdzięczna pani, czy nikt nigdy nie próbował nauczyć cię pokory? Aż się prosi, żeby ścisnąć tę piękną szyję i zmusić cię, byś posłuchała kogoś innego, nie tylko samej siebie. Nie, widzę, że rosłaś dziko, że wolno ci było robić, co ci się żywnie podobało, bez zwracania uwagi na innych, na to, co mogą czuć lub co mogą sobie pomyśleć. - Zrobił krok w jej kierunku. - Może to ja powinienem zadać sobie trud i nauczyć cię, pani, posłuszeństwa. Ktoś w końcu powinien cię poskromić. Przydałyby ci się solidne baty.

Nic nie mogło jej sprawić większej radości niż groźby. Okazał się tak prostacki i wulgarny, jak się tego od pierwszej chwili spodziewała. Odezwała się niemal dobrodusznie:

- Chodź no tu, bękarcie, a pokażę ci, co potrafi dama. - Zrobiła krok w prawo, urągliwie nakazując gestem, by zbliżył się do niej.

Nawet nie drgnął. Jego lewa brew uniosła się o dobry cal w górę, przez co twarz nabrała wyrazu jeszcze większej arogancji. Tak samo unosił brew ojciec, zwłaszcza kiedy zwracał się z chłodną obojętnością do swojej żony, do matki Arabelli. Nie, nie ma co o tym myśleć. Jeśli ojciec tak robił, to z pewnością matka sobie na to zasłużyła, sprowokowała go. Tak, tak, na pewno. To zresztą zdarzało się rzadko. I nie było wcale takie ważne. To nic.

- Jeżeli ja jestem bękartem, to ty jesteś uliczną przekupką. A co do mego zbliżenia się do ciebie, to jeśli mam być szczery, trudno mi sobie wyobrazić coś mniej pociągającego. Czy masz zamiar uderzyć mnie tą szpicrutą? Dobrze ci radzę, zastanów się, nim podniesiesz na mnie rękę. Jestem silniejszy od ciebie i jestem mężczyzną. Radzę ci, dla własnego dobra, uważaj.

- Nie martw się, wiem, co robię. Ty tchórze!

- Masz szczęście, że jesteś kobietą - rzekł w końcu i nagle roześmiał się serdecznie, a ona zobaczyła, że ma w obu policzkach dołeczki takie same jak ona.

- Tak - rzekł, mierząc ją wzrokiem od stóp do głów, obrażając ją tym męskim

spojrzeniem i, co gorsza, doskonale o tym wiedząc. - Jeszcze pomyślę, że chcesz, abym ci wyrwał szpicrutę i sprawił tęgie baty. Czyżbyś należała do kobiet, które lubią ostre traktowanie?

- Spróbuj tylko, a obudzisz się w piekle! - Nagle dotarło do niej, że tak naprawdę to nie ona panuje nad sytuacją. Poczła się niepewnie. Nie mogła znieść myśli, że jest słabsza. Gniew skręcił jej wnętrznosci. Ścisnęła szpicrutę mocno, aż poczuła dojmujący ból w palcach.

Nie wolno pozwolić mu na opanowanie sytuacji. Wysiłkiem woli zmusiła się do rozluźnienia uchwytu.

- Wynoś się z mojej ziemi - powiedziała głosem tak władczym, jakim ojciec zwracał się do swoich podwładnych, którzy przyjeżdżali do Evesham Abbey omawiać sprawy wojny.

- Twojej ziemi? Masz wprawdzie maniery i język źle wychowanego wyrostka, ale chyba nie rościsz sobie praw do tytułu hrabiowskiego?

Nieświadomie dotknął jątrzącej się rany i zostawił ją rozoraną, brzydką, palącą jak ogień. Arabella poczuła kolejny przypływ rozpacz, że zawiodła ukochanego ojca. Wróciła dawna nienawiść do samej siebie za to, że nie jest chłopcem, dziedzicem ojca, jego dumą. Przekleństwo uwięzło jej w gardle. Od- rzuciła głowę do tyłu, zebrała wszystkie siły, jakie mogła w tej chwili z siebie wykrzesać, i odezwała się z godnością która zaskoczyła nieznanego całkowicie, ponieważ jej słowa zabrzmiały dość niezwykle jak na kogoś tak młodego.

- Teraz jest to ziemia mojej matki. Niestety, jak powiedziałam wcześniej, ojciec mój nie miał syna, nie miał go też jego młodszy brat Thomas. Smuci mnie to niezmiernie, podobnie jak smuciło ojca, gdyż przez to wygaśnie tytuł. Ojciec mój nie miał szczęścia do płci potomstwa.

Urocz - pomyślał. Dobry Boże, ależ ona jest piękna! Zupełnie inna niż przed pięcioma minutami. Na głos powiedział:

- Nie wiń siebie za to, że jesteś kobietą. Przecież to nie jest twoja wina. Ojciec był bardziej dumny z ciebie, niż byłby z tuzina synów. - Poczł przypływ współczucia dla niej, dla błysku nadziei w szarych oczach, takich samych jak jego własne. Nie zachwyliło go wcale to współczucie.

Lady Arabella, córka zmarłego hrabiego Strafford, zdołała odzyskać panowanie nad sobą i odezwała się głosem pełnym pogardy:

- A co ty możesz wiedzieć o uczuciach mego ojca? I tak by cię nie uznał. Co najwyżej może udałoby ci się go zobaczyć, a i to z daleka. Nawet jeśli cię spłodził, to nigdy, przenigdy

nie pozwoliłby ci się choćby zbliżyć do Evesham Abbey, do swojej żony i do mnie, jego córki. Ojciec był człowiekiem honoru. Był dobrym mężem i cenił honor rodziny nade wszystko.

Powodowany delikatnością, nie wytknął jej, że w tym, co powiedziała, zabrakło jakoś konsekwencji, choć wielką miał na to ochotę. Rzekł jedynie:

- Skoro tak uważasz.

Arabella zeszywniała jak kropla żywicy. Czyżby ośmielił się dać sygnał do skończenia rozmowy? Odprowiał ją? Wyczuła w nim przyzwyczajenie do wydawania rozkazów, łatwość komenderowania ludźmi i pewność siebie człowieka cieszącego się posłuchem. Prawdopodobnie był tym, na kogo wyglądał - piratem i rzezimieszkiem, człowiekiem wiodącym niezależne i niełatwe życie, który nie dba o nikogo - krótko mówiąc, był bastarden jej ojca.

Powiedziała spokojnie:

- Żegnam. Mam jedynie nadzieję, że poczucie honoru, o którym wspomniałeś, nie pozwoli ci dłużej przebywać w Evesham Abbey. Sprawiałbyś wielki ból mojej matce, narzucając się ze swoją osobą. Jeżeli masz choć odrobinę przyzwoitości, trzymaj się z dala. - Czy on sobie przypadkiem nie pomyśli, że ona go błaga? Wielki Boże, tylko nie to! Nie dopuści do takiego nieporozumienia! Krzyknęła: - Precz z tego domu. Rozkazuję ci!

Odwróciła się gwałtownie i długimi krokami mężczyzny zaczęła się oddalać.

Niespodziewanie po chwili przystanęła i obejrzała się.

- Radzę ci zgłosić się do prawnika mego ojca. Może jednak coś ci zostawił, jakąś pamiątkę na przykład. Ja na jego miejscu nie zostawiłabym ci nic. Odwróciła się znów i szybko odeszła. Nareszcie zasmakowała zwycięstwa.

Na sam koniec jednak wzięła nad nim górę. Przynajmniej tyle osiągnęła.

On tymczasem w zamyśleniu patrzył w ślad za nią.

- Nie - rzekł cicho, lekko uderzając rękawiczkami po wewnętrznej stronie dłoni. - Moja obecność nie sprawi bólu twojej matce. Ale ty będziesz cierpieć, lady Arabello. Jesteś chyba jeszcze bardziej arogancka niż twój ojciec, choć wydawałoby się, że to niepodobna. Mimo twojej piekielnej dumy i pychy szczerze mi ciebie żal.

Ciszę, która nagle zapadła, zakłócał jedynie łagodny szum cienkich trzciny.

Lady Anna siedziała sztywno wyprostowana między córką a swoją pasierbicą Elsbeth. Ramiona miała lekko uniesione. Piękne, smukłe dłonie koloru kości słoniowej spoczywały na kolanach. Gruby czarny welon zakrywał gładkie sploty jasnych włosów i ciążył na plecach, tak że z trudem przychodziło jej zachowanie wyprostowanej postawy. Było gorąco i marzyła o jednym: znaleźć się nareszcie samej w chłodnej sypialni, bez tego okropnego czarnego stroju, który spowijał ją od stóp do głów.

George Brammersley, radca prawny zmarłego, przybył poprzedniego dnia jednym z ozdobionych herbami powozów swego klienta; teraz siedział za potężnym dębowym biurkiem i, jak zwykle przy takich okazjach, z godnością i namaszczeniem przygotowywał się do swego wystąpienia. Lady Anna przyglądała się jego zabiegom. Najpierw prawnik starannie przetarł niewielkie kółka okularów, potem umieścił je wprawnym ruchem na haczykowatym nosie. Następnie wolno rozłożył przed sobą plik papierów, układając je raz tak, a zaraz potem inaczej. Jego wilgotne oczy starannie unikały wzroku trzech kobiet. Lady Anna pomyślała, że gdyby miała pod ręką szczotkę, nie wytrzymałaby i chętnie by mu przygładziła niesforne kosmyki siwych, postrzępionych włosów, sterczące w różnych kierunkach. Był starym przyjacielem jej nieboszczyka męża. Zawsze mu szczerze współczuła, a teraz żałowała, że nie może oszczędzić mu tego, co go czekało. Niestety, wiedziała aż nazbyt dobrze, że nie leży to w jej mocy.

W postawie siedzącej obok córki wyczuwała coraz większe napięcie. Arabella bardzo wychudła w ostatnich dniach, jako że nie jadła zbyt wiele od chwili, kiedy otrzymała wiadomość o śmierci ojca. Lady Anna domyślała się, że jej jedynaczka jest u kresu wytrzymałości. Wiedziała też, że Arabella uważa odczytanie testamentu ojca za ostateczne i nieodwołalne potwierdzenie jego śmierci. Nie będzie więcej pytań, więcej wątpliwości. Koniec nadziei.

Miała wrażenie, że wkrótce opanowanie Arabelli pryśnie jak bańka mydlana pod wpływem napięcia wywołanego ociąganiem się pana Brammersleya. W myślach szukała gorączkowo słów, które mogłaby szepnąć do córki. Nie pustych frazesów, gdyż tych Arabella nie przyjęłaby od nikogo, tylko zwykłych banalnych słów, które zajmą uwagę i choć na chwilę skierują myśli w inną stronę.

Ale już było za późno. Arabella zerwała się z fotela i podeszła do biurka. Oparła na blacie dłonie obciążone czarnymi mitenkami i z surową miną pochyliła się w stronę pana

Brammersleya.

- Nie życzę sobie dalszego opóźnienia, panie - wyszeptała z drapieżnym spokojem. - Nie wiem, jakie powody panem kierują, że się pan tak grzebie, ale nie pozwolę na to dłużej. Moja matka jest bardzo zmęczona, jeśli nie jest pan na tyle spostrzegawczy, żeby samemu to zauważyć. Proszę zacząć czytać testament albo uwolnię pana od tej misji i sama to zrobię.

Czerwone żyłki na nosie pana Brammersleya nabrzmiały jeszcze bardziej i rozrosły się pajęczą siecią na pomarszczonych policzkach. Głośno wciągnął powietrze i wzburzony spojrzał w stronę lady Anny. Nie znalazł w niej sojusznika. Przyjął zatem pełną godności postawę, zadzierając wysoko w górę podbródek, przełknął ślinę i rzekł:

- Droga lady Arabello, proszę łaskawie wrócić na swoje miejsce. Zaczynamy.

- Cud się stał pewnego razu - rzekła Arabella z nieukrywaną pogardą. - Proszę bardzo, zechciej zatem wreszcie zacząć, panie.

Usiadła na miejscu. Lady Anna nie znalazła w sobie dość energii i odwagi, by skarcić córkę. Tymczasem po swojej prawej stronie wyczuła zalęknione drżenie. Odwróciła głowę i posłała pasierbicy łagodny uśmiech. Ujęła jej małą rączkę i ścisnęła ją, dodając dziewczynie odwagi. Nieśmiała Elsbeth, jakże była różna od swojej przyrodniej siostry, zupełnie jak miecz różny jest od pióra... Oczywiście, nie żeby Elsbeth tak dobrze znowu pisała... Lady Anna uśmiechnęła się pod welonem. Dziwne myśli miewa się czasem w najbardziej nieodpowiednim momencie...

George Brammersley ujął okazały dokument, wygładził pierwszą stronę i rzekł:

- Zebraliśmy się tutaj w smutnej chwili. Przedwczesna śmierć Johna Lathama Everharda Deverilla, szóstego hrabiego Strafford, pogrążyła w smutku nas wszystkich... rodzinę, przyjaciół, tych, którzy u niego pracowali, a przede wszystkim nasz kraj. Ofiara z własnego życia, tak szlachetnie i odważnie złożona na ołtarzu świętych praw obywatelskich...

Z tyłu powstało jakieś poruszenie i Arabella poczuła lekki powiew na karku. Domyśliła się, że drzwi biblioteki otworzyły się i zamknęły. Niewiele ją to obeszło. Jakież to miało znaczenie? Nic się już więcej nie liczyło. Pewnie przyszedł sędzia zastąpić tego okropnego George'a Brammersley a, dzięki Bogu. Nie, nie teraz. Brammersley wreszcie wziął się do roboty. Głos prawnika nagle ożywił się, ale to też niewiele ją obeszło. Dopóki robił to, co do niego należało, było jej wszystko jedno.

Lady Anna uniosła się lekko z krzesła i spojrzała kątem oka w stronę drzwi.

Usiadła z powrotem, westchnęła i wyprostowała się jeszcze bardziej. Teraz patrzyła prosto przed siebie.

- ...wiernemu kamerdynerowi Deverillów Josiahowi Crupperowi zapisuję sumę

pięciuset funtów z nadzieją że pozostanie on w rodzinie do czasu, gdy... Mówił monotannie, bez końca - jak się zdawało Arabelli - wymieniając nazwiska wszystkich służących zatrudnianych w majątku. Nie mogła doczekać się wyczerpania długiej listy.

Pan Brammersley przerwał na chwilę czytanie, skierował zamyślony wzrok na Elsbeth i pozwolił sobie na oszczędny uśmiech w kącikach ust. Głos mu złagodniał. Zaczął czytać wolniej, słowa wymawiał wyraźniej i bardziej precyzyjnie:

Mojej córce Elsbeth Marii, urodzonej z mojej pierwszej żony, Magdaleny Henrietty de Trecassis, zapisuję sumę dziesięciu tysięcy funtów na wyłączny własny użytek.

Słusznie postąpiłeś, ojcze - pomyślała Arabella. Odwróciła się, słysząc westchnienie zaskoczenia przyrodniej siostry, i ujrzała jej piękne, ciemne, migdałowe oczy rozszerzone najpierw niedowierzaniem, a potem ledwo tłumionym podnieceniem. Ach tak, to dobrze pomyślane. Arabella nie miała pojęcia, dlaczego nie wychowywały się razem. Zawsze ufała ojcu bez zastrzeżeń, więc kiedy wyjaśnił, że Elsbeth nie chciała być z nimi i wołała mieszkać z ciotką uwierzyła mu. Teraz przynajmniej zrobił z niej bogatą młodą damę. Arabella naprawdę była zadowolona.

Pan Brammersley ze zdenerwowaniem przygryzł dolną wargę, w pełni świadomy, że oto postąpił wbrew najświętszym zasadom swojej profesji. Ale ostatnie zdanie napisane przez hrabiego wydało mu się tak zjadliwe i niepotrzebnie okrutne, że nie mogło mu przejść przez gardło. Co w ogóle hrabia miał na myśli, pisząc: „z nadzieją, że w przeciwieństwie do tej rozwiązłej dziewczki, swojej matki, i pazernej rodziny de Trecassis uczciwie i z własnej woli przekaze rzeczoną sumę swemu przyszłemu mężowi”? I o co tu chodzi? Nie, tego nie przeczyta, nie tutaj, nie teraz. Za nic w świecie.

Arabella zwróciła teraz baczniejszą uwagę na słowa pana Brammersleya. Niecierpliwie bębniła palcami o poręcz krzesła. Czekwała na najważniejszą kwestię dotyczącą przekazania majątku w opiekę, dopóki ona nie skończy dwudziestu jeden lat. Miała nadzieję, że to matka zostanie wyznaczona na głównego opiekuna. I znów wrócił głęboki smutek. Nie było żadnego męskiego krewnego, który mógłby przejąć tytuł.

George Brammersley spojrział na pokryte drobnym pismem kartki. Tam do diaska, trzeba wreszcie skończyć i mieć to za sobą. Przeczytał więc:

- Moje ostatnie życzenia zostały starannie i z największą rozważą przemyślane wielokrotnie w ciągu ostatnich kilku lat. Warunki, które łączą się z nimi, są wiążące i nieodwołalne. Moim głównym spadkobiercą zostaje siódmy hrabia Strafford, Justin Everhard Morley Deverill, stryjeczny wnuk piątego hrabiego Strafford poprzez jego brata Tymoteusza Pophama Morleya. Niniejszym przekazuję mu cały mój majątek, do którego w pierwszym

rzędzie należy pałac Evesham Abbey, ziemia i dzierżawcy...

Pokój zawirował. Arabella patrzyła tępo na Brammersleya, a w jej uszach rozbrzmiewały słowa, których nie tylko nie była w stanie przyjąć do wiadomości, ale w których też nie potrafiła dopatrzeć się jakiegokolwiek sensu.

Siódmy hrabia Strafford? Co to za jakiś stryjeczny wnuk dziadka? Nikt nigdy jej nie mówił, że ktoś taki istnieje. Boże, to musi być jakieś straszliwe nieporozumienie! Tego wnuka przecież tu nawet nie ma. Nagle przypomniała sobie otwarcie i zamknięcie drzwi biblioteki. Niechętnie, z ociąganiem odwróciła głowę i wtedy napotkała zimne, szare oczy człowieka, którego widziała dopiero co, tego ranka, przy sadzawce. Zaskoczenie było całkowite. A więc to nie bastard? Ten bezczelny łajdak najwyraźniej nie był bastardem, lecz legalnym potomkiem Deverillów! Tylko to jej przyszło do głowy, bo jedynie to miało jakikolwiek sens. Uprzejmie skinął jej głową. Nic w jego spokojnej twarzy nie zdradzało, że spotkali się przedtem.

- Arabello, Arabello. - Lady Anna delikatnie pociągnęła córkę za rękaw. - Uważaj, kochanie, teraz musisz dobrze posłuchać. Proszę cię, skup się. Przykro mi, ale to konieczne, kochana moja.

Arabella wróciła do poprzedniej pozycji. Spojrzała tępo najpierw na matkę, a potem na prawnika, którego pomarszczone policzki przybrały nagle odcień purpury. Ciąg dalszy przeczytał łamiącym się głosem:

- „Następujące zastrzeżenia dotyczą zarówno mego głównego spadkobiercy, jak i mojej córki Arabelli Elaine”. - Wyglądało, jakby pan Brammersley zaraz miał dostać ataku apopleksji. Jakoś udało mu się opanować. Wziął głęboki oddech i dokończył: - „Moim najgorętszym pragnieniem jest, by to poprzez moją córkę dokonana się kontynuacja linii Deverillów. W związku z tym zobowiązuję ją do poślubienia w ciągu dwóch miesięcy od mojej śmierci siódmego hrabiego Strafford, jej kuzyna. Jest to warunek konieczny dla zachowania przez nią dotychczasowej pozycji i majątku. Jeżeli Arabella odmówi spełnienia mego życzenia w wyznaczonym czasie, ma zostać pozbawiona wszelkich praw i roszczeń do majątku Deverillów. Jeśli siódmy hrabia Strafford wycofa się i nie poślubi swojej kuzynki, Arabelli Elaine, zachowa jedynie prawo do tytułu i do Evesham Abbey. Mogąc swobodnie rozporządzać innymi ziemiami, dzierżawami i majątkami nie należącymi do ordynacji, nakazuję, by w tym przypadku moja córka Arabella Elaine objęła w posiadanie wszystkie moje ziemskie majątki, z wyjątkiem należących do ordynacji, w dniu swoich dwudziestych pierwszych urodzin.

- Nie!- Arabella zerwała się na równe nogi. Jej twarz przybrała barwę popiołu.

Gorączkowo potrząsnęła głową. - Nie, to musi być jakaś pomyłka. Ojciec nie zrobiłby mi tego. Nigdy. Przez myśl by mu to nie przeszło. Kłamie pan, i to nieudolnie! Do diabła, przyznaj, panie, że to wierutne kłamstwo!

- Arabello, usiądź. - Lady Anna odezwała się z niezwykłą powagą. Arabella odwróciła się i posłała jej udręczone spojrzenie.

- Lady Arabello - powiedział pan Brammersley bez cienia uśmiechu, którym tak szczerze obdarzał Elsbeth. - Polecenia szanownego ojca pani są wiążące, tak jak przed chwilą wspomniałem. Pragnąłbym dodać jedynie, iż pan hrabia zostawił dla pani zaklejoną kopertę. Zapewniam panią, że nikt z wyjątkiem ojca pani nie zna jej zawartości. - Wstał, mówiąc te słowa, i obszedł szerokie biurko. Arabella odruchowo wyciągnęła rękę i chwyciła list. Zerwała się z krzesła, omal nie zaplątując się w sutą spódnicę. Otaczające ją wokół twarze rozmazały się litościwie dzięki łzom, które napłynęły nie wiadomo skąd.

Przycisnęła kopertę do piersi, okręciła się na pięcie, przewracając przy tym krzesło na dywan, i pobięła do drzwi. Już miała przekręcić brązową gałkę, kiedy długie, mocne palce zamknęły się na jej ramieniu.

- Zachowujesz się jak rozkapryszone dziecko - rzekł nowy hrabia głosem zimnym jak lód. - Nie będę tolerował ani takich słów, ani braku opanowania.

To oburzające. Ojciec za bardzo ci pobłażał.

Spojrzała na niego z rozpaczą. W jego szarych oczach wyczytała dezaprobatę... Tak, w szarych oczach, niech to licha... I nagle wszystkie demony piekła rozszalały się w niej. Ten człowiek śmie okazywać jej swoje niezadowolenie? Ma czelność zarzucać jej niewłaściwe zachowanie? Miała ogromną ochotę ugryźć go w rękę, ale nie zrobiła tego.

- Puszczaj, łotrze przeklęty! Boże, jak ja cię nienawidzę! Dlaczego jesteś żywy, podczas gdy jego już nie ma?

Wyrwała się gwałtownie, a ponieważ jego uścisk nie zelżał ani na trochę, materiał pękł. Spojrzała tępo na rozdarcie i niemal zawyla z furii. Nie mogła znaleźć więcej słów wzgardy i oburzenia. Wybiegła z biblioteki, głośno zatrząskując za sobą drzwi.

Filigranowa pasterka z miśnieńskiej porcelany zakołysała się niebezpiecznie, po czym spadła z półeczki nad kominkiem, roztrzaskując się na posadzce w drobny mak.

Arabella pobięła do swej komnaty, nieświadoma niezręcznej ciszy, jaka zapadła w bibliotece. Nie dbała zresztą ani trochę o to, co czuli w tej chwili inni. Kopnięciem zatrzasnęła za sobą drzwi. Przekręciła klucz, klnąc zacinający się zamek na czym świat stoi, zanim wreszcie udało jej się zamknąć drzwi. Przez chwilę stała, ciężko dysząc, starając się objąć rozumem to, co się przed chwilą stało. Jedyne, co przychodziło jej do głowy, to że

ojciec nie tylko umarł, lecz - jakby tego było mało - po śmierci jeszcze ją zdradził. W dodatku starannie sobie tę zdradę zaplanował. A wszystko po to, by zmusić ją do poślubienia tego obcego człowieka, który był do niej tak podobny.

Trudno było się z tym pogodzić. Zajrzała w siebie, we własną duszę, ale nie znalazła nic prócz pustki i dojmującego bólu. Pochyliła się, złapała obity brokatem stółek za smukłą nogę i z całej siły rąbnęła nim o ścianę. Uderzył z głuchym łoskotem, a na ziemię upadł już tylko z dwiema nogami. Nagle cały jej gniew gdzieś wyparował. Bezmyślnie wpatrywała się w sponiewierany mebel. Niewiarygodnie głupio się zachowała. Wzrok jej padł na pomietą kopertę ścisną w garści.

List ojca. Wyjaśni się na pewno, że to wszystko jest jakimś straszliwym nieporozumieniem. Okaże się, że to, co Brammersley przed chwilą przeczytał, ojciec na pewno potem zmienił. Przecież kochał ją. Nie oddałby jej nikomu obcemu. Podeszła do biurczka, usiadła przy nim i pewnym ruchem wysunęła z koperty arkusik białego papieru. Poczła ucisk w gardle, ujrzawszy dobrze znane zamaszyste pismo. Sama pisała podobnie, nauczona przez niego tych samych śmiałych pociągnięć pióra. Tak dawno temu. Całe życie temu. A jego już nie ma.

Potrząsnęła głową i zaczęła czytać:

Moje Najdroższe Dziecko Fakt, że czytasz ten list, oznacza, iż nie ma mnie już wśród żywych. Jeśli dobrze znam moją Arabellę, to jesteś wściekła. Myślisz, że Cię zdradziłem. Nie wątpię, że oprócz smutku z powodu mojej śmierci czujesz gniew i nie rozumiesz moich intencji. W chwili, gdy piszę ten list, Ty i Twoja Matka przygotowujecie się do wyjazdu do Londynu na Twój pierwszy sezon.

Arabella wpatrywała się w list kompletnie zaskoczona. A zatem ojciec musiał napisać te słowa jakieś pięć czy sześć miesięcy temu. Natychmiast wróciła do lektury.

Ja tymczasem szykuję się do wyjazdu na półwysep. Mam przejąć dowództwo na obszarze, na którym trwa wyjątkowo brutalny i krwawy konflikt. Jeżeli będę miał szczęście i wrócę z tej wojny, nie będziesz musiała czytać tego listu, gdyż sam wszystko Ci powiem. Ale odbiegam od tematu. Wybacz mi, Córko. Do tej chwili zapewne poznałaś już swego kuzyna i mego spadkobiercę, Justina Deverilla czy raczej kapitana Justina Deverilla. Jest to nader dzielny żołnierz i bardzo inteligentny człowiek. Nie wiem, czy postąpiłem słusznie, czy nie, trzymając go z dala od Ciebie, a nawet utrzymując Cię w nieświadomości co do jego istnienia, dopóki nie osiągnęłaś wieku odpowiedniego do małżeństwa. Nie win też Matki za to, że Ci nie powiedziała, iż istnieje męski spadkobierca, gdyż najsurowiej jej tego zabroniłem. Evesham Abbey jest Twoim domem i przez usta by mi nie przeszły słowa, że istnieje ktoś, kto

może uzurpować sobie prawa do tego, co się Tobie należy. Wybacz mi zatem to, co uznaję za konieczny podstęp.

A więc wracając do Twego kuzyna, przez ostatnie pięć lat bacznie śledziłem jego karierę, aby ostatecznie podjąć decyzję, czy rzeczywiście takiego ojca moich wnuków bym sobie życzył. Zapewne zgodzisz się ze mną, iż podobieństwo między Wami jest uderzające. A zatem nie możesz nie przyznać, że jest przystojny, gdyż to zaprzeczyłoby Twój własnej urodzie. On jest taki jak ja i Ty, Arabello: piekielnie lojalny, dumny, uparty i silny jak prawdziwy Deverill. Błagam Cię, zrób, jak Ci nakazuję. Evesham Abbey jest Twoim domem. Jeżeli nie poślubisz Twego kuzyna, zaprzepaścisz to, co z racji urodzenia winno być Twoje. Nie chcę, by do tego doszło, ale znam Cię i wiem, że moje podyktowane miłością ojcowską życzenie wyda Ci się w pierwszej chwili bezdusznym rozkazem pozbawiającym Cię tego, co Ci się odzycia należy. Przyznaję, to jest rozkaz, Arabello, ale wykonaj go przez wzgląd na siebie i na mnie.

Przemyśl to wszystko. Jeśli postąpisz zgodnie z moim życzeniem, niewątpliwie nadasz mojemu życiu sens. Pamiętaj o tym, gdy będziesz toczyć walkę ze swoim własnym sumieniem. I nie zapominaj, że kocham Cię bardziej niż jakąkolwiek inną istotę ludzką na tym świecie. Zegnaj, moja Najdroższa Cóрко.

Światło słoneczne późnego popołudnia przedzierało się przez pułap nisko wiszących chmur złotymi pasmami. Opromieniało czterdzieści szczytów z czerwonej cegły, nadając im głęboki tycjanowski odcień. Arabella szła szybkim krokiem przez zielony trawnik, nie zwracając uwagi na przepyszny barwny klomb, na którego środku złożyły się w wielkiej obfitości żonkile i od którego rozchodziły się promieniście ścieżki porośnięte po obu stronach żywopłotem z cisów i ostrokrzewów. Nie spojrzała nawet na potężny cedr rosnący na trawniku, a posadzony podobno przez samego Karola II.

Skierowała kroki na południe od ruin starego opactwa, gdzie teren wznosił się łagodnie. Skręciła szeroką ścieżką w stronę rodzinnego cmentarza. Minęła równe rzędy grobów Deverillów leżących tu od wielu pokoleń i doszła do środka cmentarza, tam gdzie ojciec wznosił dla siebie marmurowy grobowiec w stylu włoskim. Wejścia do grobowca strzegł archanioł Gabriel rozpościerający białe kamienne skrzydła nad ciężkimi, dębowymi, gotyckimi drzwiami.

Arabella nacisnęła kutą klamkę i wsunęła się do mrocznego wnętrza.

Uklękła na zimnej kamiennej posadzce przy pustym grobie. Smukłymi palcami z wielkim smutkiem przesunęła po literach nazwiska.

Zmierch uczynił wyblakłe imiona wykute w kamieniach niemal nieczytelnymi, kiedy drzwi grobowca otworzyły się i do środka cicho wszedł nowy hrabia. Chwilę odczekał, nim

jego oczy przywykną do mroku panującego we wnętrzu. Wtedy ujrzał śpiącą Arabelle, skuloną jak małe dziecko, ze stopami ukrytymi pod sutą spódnicą. Ramieniem obejmowała grób ojca. Była taka bezbronna. Sprawiała wrażenie bezradnej i zagubionej. Z niechęcią do samego siebie pomyślał o tym, co pięć lat temu zobowiązał się zrobić.

Podszedł do niej i ukląkł obok. Jego wzrok przesunął się po surowej czerni jej sukni aż do cienia rzucanego przez kołnierzyk na szyję i na blade policzki. Jęknęła we śnie, zacisnęła na moment dłoń w pięść, a po chwili rozluźniła się. Szpilki musiały już jakiś czas temu wysunąć się z jej ciemnych włosów, które teraz spływały ciężkimi falami na czoło i ramiona. Włosy te były równie ciemne jak jego własne. Nie miała za to wgłębienia w brodzie takiego jak on. Jej ojciec też go nie miał. Ciekawe, czy robią się jej dołeczki w policzkach. Nie lubił swoich, dopóki nie zobaczył takich samych na twarzy wuja. Oczywiście widok był to rzadki, gdyż człowiek ten prawie nigdy się nie uśmiechał, ale kiedy już się tak zdarzyło, owe dołeczki odmieniały go nie do poznania. Wydawał się wtedy bardziej ludzki, bardziej przystępny. Nadawały mu wyraz wdzięcznej miękkości, kiedy się śmiał.

Szkoda było budzić śpiącą. Delikatnie potrząsnął jej ramieniem, pewien, że gdy dziewczyna otworzy oczy i zobaczy, że to on ją wyrwał ze snu, powita go tak, że całe współczucie, jakie dla niej żywił w tej chwili, uleci w okamgnieniu. Wolał nie zgadywać nawet, jakimi słowami się do niego odezwie.

Na pewno nie będzie to przyjemne, dobrze o tym wiedział.

Budziła się wolno. Wydała jeszcze jeden cichy jęk, jakby z niechęcią wręcz ze wstrętem opuszczała krainę sennych marzeń i wchodziła w twardą rzeczywistość, której w końcu należało stawić czoło. Podniosła ocienione gęstymi rzęsami powieki i wtedy ujrzała nad sobą jasne, szare oczy. Mrok i senność widocznie zamazały obraz, gdyż szepnęła:

- Ojcze?

Tylko tego brakowało - pomyślał. Przełknął ślinę i rzekł wolno, bardzo wolno, nie chcąc przestraszyć jej jeszcze bardziej:

- Przykro mi, Arabelle. To nie twój ojciec. To ja, Justin. Przyszedłem zabrać cię do domu. Tu jest ciemno. Twoja pomyłka jest całkiem naturalna. Przykro mi, że cię przestraszyłem.

Arabella gwałtownie wyrzuciła przed siebie ramiona, omal nie powalając go na ziemię, i zerwała się na równe nogi. Popatrzyła na niego wyniośle z góry.

- Kto ci pozwolił tu przyjść? To nie twoje miejsce. Szkoda, że nie zamknęłam grobowca przed tobą. Jak śmiałeś udawać, że jesteś moim ojcem? - Była wściekła na siebie głównie za to, że okazuje przy nim swój ból. - Wcale mnie nie przestraszyłeś. Ty nie byłbyś

w stanie mnie przestraszyć.

Hrabia wolno wstał, modląc się w duchu o opanowanie i cierpliwość. Teraz on patrzył na nią z góry. W zagłębieniu jej smukłej, białej szyi zauważył pulsujące wściekle miejsce.

- Wygląda na to, że mamy szczęście do spotkań w najbardziej nieoczekiwanych okolicznościach. Najpierw przy sadzawce, a teraz na cmentarzu. Chodź, Arabello, zimno tu i ciemno. Pora wracać do domu. Mamy kawałek drogi przed sobą, ale może to i lepiej, bo jak mniemam, powinniśmy porozmawiać. -Jego głos brzmiał spokojnie. Kuzyn wydawał się lekko znudzony, jakby wbrew temu, co przed chwilą powiedział, nie życzył sobie niczego więcej, jak tylko wreszcie odejść stąd, nigdy więcej z nią nie rozmawiać, nigdy więcej nie patrzeć na jej twarz.

- Nie mamy sobie nic dopowiedzenia, kapitanie Deverill. Owszem, ojciec napisał, jak dzielny jesteś, panie, żołnierzem. Zapewne to on załatwił stopień i stanowisko odpowiadające pańskim ambicjom. Pewnie protegował pana i czuwał nad tym, by pana awansowano.

Miał ochotę ją uderzyć, jednak odparł spokojnie:

- Nie, nie pomagał mi.

- Nie wierzę. Ale cóż, sędzę, że nie mam wyjścia, muszę znosić pańską obecność przy kolacji. - Odwróciła się i ruszyła w stronę wyjścia z krypty. Był wczesny wieczór, wkrótce miały zapaść ciemności.

- Arabello...

Nawet nie raczyła się odwrócić, rzuciła tylko przez ramię z absolutną obojętnością:

- Nie jestem dla pana Arabellą. A poza tym nie życzę sobie, by w ogóle pan się do mnie odzywał, więc może pan zapomnieć, jak mam na imię.

- Zapewniam cię, że nie bez powodu chcę ustalić, jak mam się do ciebie zwracać. Może na znak zgody i dobrej woli z mojej strony mógłbym mówić „kuzynko”, naturalnie jeżeli się zgodzisz. Ustalimy to później. Żądam jednak, byś zachowywała się jak dama. Będziesz szła w moim towarzystwie. Będziesz ze mną rozmawiać. I nie będziesz mi się sprzeciwiać.

Odczekał chwilę, ale ona milczała. Nie patrzyła na niego, tylko w dół na pantofel, w którym rozwiązała się wstążka. Przykłękała na jedno kolano i związała ją. Palce nie poruszały się zbyt sprawnie i całkiem sporo czasu zajęła jej ta prosta czynność. Wreszcie podniosła się, nadal nie patrząc na niego. Po prostu odwróciła się i odeszła.

Tak jak wcześniej w bibliotece, złapał ją za ramię i zatrzymał.

- Stój, żebym znów nie rozdarł ci rękawa. Posłuchaj mnie. Naprawdę chciałbym

traktować cię wyrozumiale i łagodnie ze względu na stratę, jaką poniosłaś, ale nie będę tolerował podobnej dziecinady i aroganckiego zachowania.

Odruchowo podniosła rękę do rozdartego miejsca i potarła ramię. Doskonale wiedziała, że się ośmieszyła, ale najboleśniej było to, że jej działania jak na razie nic nie dały. Puścił ją.

- Tak - rzekła wreszcie - zimno tu. Pójdę z panem, kapitanie Deverill. Zdaje się, że na razie nie mam wyboru. Może pan mówić, co się panu podoba. O pogodzie. O okropieństwach wojny na półwyspie. O czym tylko pan zechce. Jest mi to obojętne. To i tak nie sprawi mi żadnej różnicy.

- Ośmielę się zauważyć, że jest wiele rzeczy, które mogą sprawić ci wielką różnicę, kuzynko.

Zacisnęła pięści. Zauważył to i powiedział jedynie:

- Nie radzę.

Oddychała szybko i nierówno, ale jej dłonie rozluźniły się. Spokojnie dotrzymywał jej kroku. Wyszli z grobowca i zamknęli za sobą drzwi. Szli w milczeniu przez cmentarz, aż dotarli do ścieżki obsadzonej cisami. Arabella spojrzała na profil swego towarzysza, niezbyt wyraźny w zamierającym świetle. Nie miała zamiaru odzywać się do niego, ale jakoś nie udało się jej powstrzymać słów pełnych goryczy:

- Wiedziałeś, panie, o tym, prawda? Już dziś rano wiedziałeś.

- Tak, to chyba oczywiste. Hrabia omówił ze mną tę sprawę kilka lat temu. Muszę przyznać, że bardzo dokładnie i surowo ocenił mój charakter oraz możliwości. Nie zdziwiłbym się, gdyby okazało się, że przesłuchiwał również moje kochanki, przyjaciół, a także wrogów. Niczego nie opuścił, najmniejszego szczegółu. Znał mnie na wylot.

- I gdyby nie umarł, przedstawiłby mi pana teraz jako mego przyszłego męża?

- Tak. - Zatrzymał się na chwilę i spojrzał na nią. - Ojciec twój zawsze mówił o tobie z wielkim entuzjazmem i, prawdę mówiąc, spodziewałem się anioła, który powita mnie słodkim pieniem. Oczekiwałem, że twoja osoba zachwyci mnie, doda mi skrzydeł, że ciepło twojej duszy ogarnie mnie całego i rozplómi. Myślałem, że moja dusza zacznie promienić w twoim blasku. Powiedział mi, że jesteś mądrzejsza niż większość mężczyzn, że myślisz i liczysz szybciej niż on sam. Że kiedy nauczył cię gry w szachy, prześcignęłaś go w tej grze już po dwóch latach. Uprzedził, że twoja odwaga dorównuje mojej. Krótko mówiąc, twierdził, że idealnie będziemy do siebie pasowali. Tymczasem spotkawszy cię, kuzynko, pojąłem coś, czego zupełnie nie rozumiałem przedtem. Chciał, bym poznał cię, że tak powiem, w ostatniej chwili, to znaczy, kiedy oboje osiągniemy wiek odpowiedni do małżeństwa. I miał ku temu swoje powody. Po prostu za dobrze cię znał.

- Wiek odpowiedni do małżeństwa. - Wypowiedziała te słowa wolno, w zamyśleniu, patrząc nieruchomo przed siebie. Potem spojrzała mu prosto w twarz. - Nie wyszłabym za ciebie, panie, nawet gdybyś był ostatnim człowiekiem na świecie.

- Chyba lepsze to niż bastard - odparł i westchnął. Wydało mu się to nagle jakimś absurdem, czymś zupełnie niepotrzebnym. Patrzyła teraz na niego uważnie, jakby nagle coś zrozumiała.

- Wiek stosowny do małżeństwa... Tak właśnie ojciec napisał do mnie w liście.

To dość dziwny zbieg okoliczności, panie, że użyłeś tych samych słów.

- Nic w tym dziwnego. Twój ojciec często rozmawiał ze mną o tobie. Nie czytałem tego listu. Napisał go do ciebie, do nikogo innego. Tyle że obaj z twoim ojcem dokładnie omówiliśmy całą kwestię.

- Mówisz, panie, zatem, że chętnie wypełnisz instrukcje ojca?

- Nie jesteś głupia, kuzynko...

- Nie jestem dla ciebie żadną kuzynką. Nie nazywaj mnie tak.

- Jak w takim razie mam się do ciebie zwracać?

- Będę mówić do ciebie „panie”. Możesz zwracać się do mnie „pani”.

- Doskonale, pani. Jak powiedziałem, nie jesteś wcale głupia. Rozumiesz przecież, że małżeństwo z tobą daje mi wielkie korzyści. Nie zrozum mnie źle, mam własny majątek i nie jestem łowcą posagów. Możesz być pewna, że gdyby twój ojciec podejrzewał mnie o najmniejsze choćby łajdactwo, dołożyłby wszelkich starań, by trzymać mnie jak najdalej od ciebie. Nie, ja mam pieniądze, ale oczywiście nie tyle, by utrzymać Evesham Abbey na przyzwoitym poziomie, a teraz, gdy zostałem hrabią Strafford, jest to moim obowiązkiem. Nie mogę dopuścić, by tak dostojne gniazdo zmieniło się w stos gruzu pod moimi rządami. Nasz ślub ocali Evesham Abbey i, ośmielę się zauważyć, uratuje również ciebie. Czyżbyś nie słuchała uważnie szczegółów ostatniej woli swego ojca?

To znaczy, panie, że chcesz poślubić mnie ze względu na majątek, jaki bym ci wniosła? - Głos jej zabrzmiał pusto, bezdźwięcznie. Nie było w nim cienia życia, nie mówiąc o jakimkolwiek zainteresowaniu.

Wzruszył swoimi szerokimi ramionami i skinął krótko głową.

- Z pewnością to ważki powód. Takiej okazji nie wolno wypuścić z ręki. Ale ty również odniosłabyś korzyści z naszego związku. - Zobaczył, że jej dłonie znów zaciskają się w pięści, i to go rozgniewało. Był przecież równie uczciwy wobec niej jak jej własny ojciec. Doskonale, nie będzie się z nią cackał. Nie zasługiwała na to. - Jeśli nie poślubisz mnie, pani, obawiam się, że znajdziesz się bez grosza. Domyślam się, że określenie „bez grosza” niewiele ci mówi jak na razie, więc pozwól uświadomić sobie, iż pomimo wszelkich zalet młodej damy, jakie posiadasz, nie uda ci się przeżyć w naszym dumnym i sprawiedliwym kraju dłużej niż tydzień. - Zamilkł na chwilę i spojrzał na nią chłodno, taksując ją od stóp do głów.

- Choć z twoją urodą i figurą... jak już trochę przytyjesz naturalnie... i przy odrobinie szczęścia może mogłabyś zostać utrzymanką jakiegoś bogacza.

Zaśmiała się, tak naprawdę śmiejąc się z niego.

- Te twoje uwagi, panie. Są żałosne. Ale, zdaje się, niewiele więcej masz do

zapropnowania. Wyznam ci, panie, że nie spodobałeś mi się już wtedy, kiedy ujrzałam cię śpiącego przy sadzawce. Jeszcze mniej mi się podobałeś, kiedy złapałeś mnie za ramię w bibliotece i rozdarłeś mi suknię. Sadzę, że gdybym w tym momencie miała nóż przy sobie, z rozkoszą wepchnęłabym ci go pod żebra. Mój ojciec mylił się co do ciebie. Jesteś bękartem w każdym calu. Czuję obrzydzenie na twój widok. Idź do diabła.

W spokojnym głosie hrabiego zadźwięczała nutka cynizmu.

- Rozczarowujesz mnie, pani. Twój język wydał mi się znacznie barwniejszy dziś rano. Choć być może z całego serca mnie nienawidzisz i czujesz obrzydzenie na mój widok, choć wysyłasz mnie do diabła, może wreszcie prawda dotrze do ciebie. Załóżmy, że nie wyjdiesz za mnie. Wtedy nieodwołalnie opuścisz Evesham Abbey w ciągu dwóch miesięcy. Jeżeli liczysz na to, że pozwolę ci tu zostać na zasadzie ubogiej krewnej rezydentki, to się mylisz. Wypędzę cię stąd bez wahania. Nie widzę najmniejszego powodu, dla którego miałbym zostawić cię w moim domu. Cały ten majątek jest moją własnością, łaskawa pani. Od dzisiejszego ranka, od momentu od- czytania ostatniej woli twego ojca, ja jestem tu panem, a ty nie masz nic. Arabella nagle poczuła się bardzo źle. Jej żołądek zbuntował się, a w gardle pojawił się nieznośny ucisk. Uporządkowany, w pełni bezpieczny świat ukochanej córki hrabiego Strafford legł w gruzach jak ruiny starego opactwa.

Ten chłystek miał rację co do jednego. Nic jej nie pozostało, absolutnie nic. On był panem, a ona niczym. Upadła na kolana w miękką trawę rosnącą przy podjeździe, a jej ciałem zaczęły wstrząsać spazmy i skurcze. Niewiele jadła tego dnia i w związku z tym nie miała nawet czym wymiotować.

Zaskoczony hrabia przystanął. Tego się nie spodziewał. Wcale nie był zadowolony. Wręcz przeciwnie. Przeklął samego siebie w duchu słowami o wiele barwniejszymi niż te, które zadomowiły się w słownictwie Arabelli. Błędnie wziął pogardliwą dumę za próżność, za arogancję. Śmierć ojca, niespodziewane wtargnięcie nieznanego kuzyna w spokojne dotąd życie, warunki testamentu - przecież to wszystko musiało być dla niej ogromnym wstrząsem.

To jego wina, był dla niej zbyt surowy, za bardzo jej dokuczył. Boże, wszak ona jest taka młoda i niedoświadczona. A tyle przeszła ostatnio. I w dodatku czuła się zdradzona przez jedyną istotę na świecie, którą najbardziej kochała i której najbardziej ufała - przez ojca.

Przytrzymał ją, ściskając długimi palcami jej wstrząsane spazmami ramiona. Delikatnie odsunął kaskadę gęstych włosów opadających w nieładzie na jej twarz. Nie zważała w ogóle na jego obecność. Kiedy skończyła wymiotować, wyciągnął chusteczkę z kieszonki kamizelki i podał jej w milczeniu. Ścisnęła ją w rękę i nie patrząc w górę, otarła usta.

- Arabello...

- Pani.

Nie mógł się nie uśmiechnąć.

- Żalem pani. Czy dasz radę wstać z moją pomocą? Zaraz zrobi się całkiem ciemno, twoja matka będzie się niepokoić. Obiecałem jej, że przyprowadzę cię całą i zdrową. No, może niezupełnie uda mi się przyprowadzić zdrową.

Jak on spokojnie mówi, zupełnie jakbyśmy zatrzymali się po to, by podziwiać żonkile. Cała i zdrowa? Czują się chora, bardzo chora, na wskroś chora. Dalej, Arabello, wstawaj. Widzisz, ciemno się robi. W mroku twój wróg nie zauważy hańby gorejącej w twoich oczach. Nie dojrzy niczego, co jest naprawdę tobą. Niczego.

Wzięła głęboki oddech i z wysiłkiem zwarła kolana, by utrzymać ciężar ciała.

Hrabia stanął za nią, wsunął jej ręce pod łokcie i pomógł się podźwignąć. Starła się uciec od tego dotknięcia, ale uścisk okazał się zbyt mocny.

- Nie potrzebuję cię! - Ból drgający w jej głosie zabrzmiał ostro w ciszy wieczoru. Jej dłonie zacisnęły się w pięści. Błyskawicznie, zupełnie niespodziewanym ruchem obróciła się w jego ramionach i uderzyła go w pierś w bezrozumnej furii uwięzionego w pułapce zwierzęcia.

Opuścił ramiona, wstrzymał oddech, bardziej ze zdziwienia niż z bólu, jaki mu zadała.

- Co za cios! Dzięki Bogu, że nie trafiłaś niżej.

Uciekła w pośpiechu, byle dalej od niego i jego drwin. Ciężkie pukle ciemnych włosów opadały jej na ramiona i na plecy. Ostre krawędzie żwiru przebijały cienkie podeszwy pantofli z koźlęcej skórki i boleśnie ocierały stopy. Ślepa, niedorzeczna panika mąciła jej wzrok, ale mimo to Arabella biegła, jakby sama śmierć ją goniła. Tuż przed nią wyrósł łagodny stok pagórka, ale nie zdążyła nakazać stopom, by dostosowały się do niespodziewanej nierówności terenu. Poleciała w przód, młóćąc ramionami powietrze w rozpaczliwej próbie zachowania równowagi. Odruchowo wyciągnęła ręce przed siebie, aby złagodzić siłę upadku, i padła jak długa na podjazd. Żwir boleśnie pokaleczył jej ramiona, rozdarł suknię i przeciął skórę. Raz tylko krzyknęła. Fizyczny ból wdarł się boleśnie w jej świadomość, uwalniając nareszcie łzy, których nie roniła nawet po śmierci ojca. Spływały teraz po policzkach, gorzkie, pałace, jakie ani razu nie pojawiły się na jej twarzy od czasu, kiedy ojciec z bezlitosną determinacją, przyłożył pistolet do głowy jej ukochanego kucyka i nacisnął spust. W jednej chwili wniwecz obrócone zostały lata stoickiej dyscypliny i pogardy dla żalonych słabości.

Hrabia pochylił się nad nią w sekundę po nieszczęsnym upadku. Zdaje się weszło mi

w nawyk podnoszenie jej z ziemi - pomyślał ironicznie, klękając przy niej. Suknię miała brudną i miejscami podartą; ze skaleczeń płynęła krew, rozlewając się w ozdobny ornament na czarnym materiale. Miał dziwną pewność, że rozpaczliwe łkania dobywające się z jej piersi wcale nie są wywołane upadkiem. Domyślił się też, że łzy nie przychodziły jej łatwo. Nie próbował nic do niej mówić ani jej pocieszać. Z westchnieniem ujął ją w talii, podniósł i wziął na ręce.

Aż zeszywniała - pomyślał ze znużeniem. Czekał, że zaraz znów go wyłaje. Przytulił ją mocniej i ruszył przed siebie, nie patrząc na nią.

Arabelli nawet nie przyszło do głowy więcej z nim wojować. Była sztywna wskutek szoku wywołanego dotknięciem mężczyzny. Nikt oprócz ojca nigdy nie niósł jej na rękach. Poddała się sile męskich ramion i przez jeden króciutki, ulotny moment poczuła drżącą w nim moc, spokojną pewność siebie, która wywołała w niej uczucie paniki, a jednocześnie pustki.

Hrabia zatrzymał się na chwilę na skraju trawnika przed domem i spojrzał na jasno oświetlone okna.

- Czy są jakieś schody prowadzące do twego pokoju od zachodniego wejścia?

Na ramieniu poczuł potakujące skiniecie głowy.

Odwrócił się więc, chcąc ominąć drzwi frontowe, gdy te nagle otworzyły się szeroko i ukazała się w nich mocno zdenerwowana lady Anna.

- Justin, Bogu dzięki. Znalazłeś ją. Szaleliśmy z niepokoju. Przynieś ją szybko, błagam.

Pochylił twarz nisko nad Arabella i rzekł cicho:

- Przykro mi, pani, chyba nie mam wyjścia. Oszczędziłbym ci tego, gdybym tylko mógł. Ale to twoja matka. Nigdy nie poważyłbym się sprzeciwić matce. Przykro mi, lecz nie ma rady.

Nie powiedziała nic. Leżała sztywno jak deska w jego ramionach. Zawołał głośno:

- Tak, Anno. Znalazłem ją. Już ją niosę!

Lady Anna nie krzyczała ani nie wpadła w histerię. Jej niebieskie oczy z niedowierzaniem patrzyły na pobladłą twarz córki. Ujrzała łzy spływające pośród brudu i krwi po jej białych policzkach.

- Dobry Boże! - wyszeptała i umilkła.

Hrabia poczuł, że Arabella przywarła do jego piersi, zupełnie jakby chciała w jakiś sposób zlać się z nim w jedno i zniknąć. Wyczuł palący ją wstyd i rzekł prędko:

- Nic się nie stało. Pokaleczyła się trochę, gdy niechcący potknęła się i upadła.

To wszystko. Czy doktor Branyon jest jeszcze? Chyba na wszelki wypadek powinien ją zbadać.

Arabella zebrała resztki dumy i z wysiłkiem odwróciła twarz w stronę matki.

- Nie chcę doktora Branyona, mammo. Nic mi nie będzie. Było tak, jak on powiedział. Przewróciłam się i jestem trochę podrapana. Zechciej mnie puścić, panie, z łaski swojej.

- Tak, pani. - Postawił ją dość gwałtownie. Zachwiała się i od razu oparła się o niego. Przewróciłaby się, gdyby nie podtrzymał jej ramieniem. Miała jednak swoją godność i dumę. Koniecznie chciała stać o własnych siłach. Zadarła wysoko brodę wsunęła rękę pod jego ramię i sztywno ruszyła u jego boku w stronę domu.

Doktor Paul Branyon wyprostował się nad obmytą do czysta Arabella i rzekł z miłym uśmiechem:

- A więc, droga Bello, wprawdzie solidnie się poobijałaś, ale nie znajduję żadnych poważniejszych obrażeń. Niczego w każdym razie, na co nie pomogłaby zwykła kąpiel. Może cię trochę pobolewać tu i ówdzie przez kilka dni, ale to nic groźnego. Jednak zalecam stanowczo, byś się dobrze dziś w nocy wyspała.

Tego wieczoru ciepłe błyski w brązowozielonkawych oczach doktora nie wywołały na jej twarzy uśmiechu. Zawsze go uwielbiała, był częścią jej życia od chwili narodzin. Teraz natomiast stał się świadkiem jej klęski, druzgoczącej porażki, choć może nawet nie zdawał sobie z tego sprawy. Nienawidziła siebie. Była cała obolała od czubka wilgotnej jeszcze głowy do poranionych stóp. Patrzyła na doktora, jak starannie odmierza krople z małej fiolki do szklanki z wodą. Podobnie jak jej ojciec Arabella nienawidziła chorób. Urabia wpoił w nią przekonanie, że ludzie słabi wykorzystują dolegliwości ciała, żeby zwrócić na siebie uwagę. Uleganie słabościom dowodziło, jego zdaniem, braku charakteru.

- Nie wezmę żadnego laudanum. Bo to laudanum, prawda, doktorze?

- Tylko odrobinę, moja droga.

- Nie. Proszę to dać pani Tucker. Dolewa je sobie do herbaty. Twierdzi, że dobrze jej robi na zmęczone stopy.

- Jak zawsze wszystkim rządysz - rzekł doktor Branyon, uśmiechając się do niej. - I dobrze ci to wychodzi, ale tym razem nic z tego. Nie chcę, by twoja matka zmyła mi głowę, a tak się stanie, jeśli nie zapewnię ci właściwej opieki. Czyż nie tak, Anno?

Lady Anna podeszła bliżej. Odezwała się ze stanowczością, która odebrała Arabelli całą chęć oporu.

- Cicho bądź, Arabello. To był naprawdę wyczerpujący dzień. Wiele się wydarzyło. Jeszcze więcej rzeczy musisz sobie dobrze przemyśleć. Nie pozwolę, byś chodziła

nieprzytomna z niewyspania. Wypij to.

Arabella nie wierzyła własnym uszom. Jej najukochańsza matka mówi do niej tak twardo i spokojnie?

- Mamo? Czy ja dobrze słyszę? Co to ma znaczyć? Nigdy nie podnosiła mama na mnie głosu. Nigdy mi się mama nie sprzeciwiała. Nie do tego przywykłam. Nic nie rozumiem.

- Pewnie zrozumiesz z czasem - powiedziała lady Anna głosem nadal dość ostrym, w którym jednak zabrzmiała teraz nuta rozbawienia. - Uspokój się, Arabello. Znacznie bardziej ty potrzebujesz tego lekarstwa niż stopy pani Tucker. Wypij. I to od razu, bo inaczej będziesz mieć do czynienia i z Paulem, i ze mną.

Wciąż zaskoczona niezwykłym zachowaniem matki, Arabella wychyliła lek do dna. Lady Anna ledwo powstrzymała nerwowy śmiech. Czyżby dotąd była aż tak słaba? Jak to, wystarczyło okazać odrobinę stanowczości i Arabella słuchała?

- Przyślę ci teraz Grace, kochanie. Jak będziesz czegoś potrzebowała, zadzwoń. - Lady Anna pochyliła się szybko nad córką i pocałowała ją lekko w policzek. Rzekała miękko: - Wybacz mi, że nie powiedziałam ci o istnieniu Justina. Bardzo się tym martwiłam, jednak złożyłam obietnicę twemu ojcu. Próbowałam wpłynąć na niego, żeby zmienił swoją decyzję, ale wiesz dobrze, kochanie, że on nigdy nie zmieniał zdania, jeżeli już raz sobie coś postanowił.

- Naprawdę? Nigdy, mamo? Ale chyba ojciec nie był do końca przekonany o słuszności tej decyzji?

Westchnęła w odpowiedzi na milczenie matki. A więc był. Zawsze modliła się o to, by mieć wolę tak silną jak ojciec. I dokąd jąta jego silna wola zawiodła? Ma dwa miesiące na poślubienie człowieka, który wygląda jak ona sama, jak jej brat i ojciec w jednej osobie, a jest bardziej arogancki i zimny, niż kiedykolwiek zdarzyło się to ojcu. W dodatku go nienawidziła.

Co robić?

- Dobranoc, mała Bello. - Doktor Branyon uśmiechnął się i pogłaskał ją po policzku. Dłoń doktora była duża i silna. Arabella pamiętała doskonale te ręce od najmłodszych lat.

Zasnęła, jeszcze nim wyszli z sypialni. Szli blisko siebie i mówili cicho, żeby jej przypadkiem nie obudzić. Doktor Branyon nie mógł powstrzymać uśmiechu.

- Teraz już nic mnie w życiu nie zaskoczy. - Uśmiechnął się do lady Anny. - Ty mówisz Arabelli, co ma robić, a ona cię słucha! Nie do wiary! To chyba jakieś czary? Czyżbyś stała się czarownicą? Jeżeli rozejrzę się dookoła i znajdę czarnego kota...

Milczała, a on wiedział, że lady Anna myśli intensywnie. Znał to spojrzenie, znał wszystkie jej spojrzenia.

- Wykazałaś niezłomną wolę godną twojej upartej córki. Nigdy dotąd nie zdarzyło się, byś miała ostatnie słowo. Cieszy mnie to, Anno.

Lady Anna westchnęła.

- Masz rację. Byłam strasznie tchórzliwym stworzeniem, prawda?

- Hmm, no nie, niezupełnie. To raczej hrabia i Arabella przytłaczali cię witalnością swoją niewyczerpaną energią. Dwoje prawdziwych tyranów, sama musisz to przyznać. Nigdy nie czuło się twój jej osobowości w Evesham Abbey.

- Byli niesamowicie wręcz podobni do siebie. Czasami zastanawiam się, co ja w ogóle robiłam przez te wszystkie lata, o czym myślałam. - Zmarszczyła brwi na chwilę i spojrzała niemal z niechęcią na ogromny pierścień Deverillów na serdecznym palcu. Dziwne, nie ciążył jej teraz tak jak zwykle. Westchnęła głęboko i spojrzała z ufnością na twarz, której każdy wyraz znała na pamięć od dawna. - Wiele razy wydawało mi się, jakbym to ja była dzieckiem, a Arabella kochaną ale despotyczną matką. Czasami czułam się przy niej dziwnie nieswojo, zwłaszcza gdy traktowała mnie ze swego rodzaju serdeczną protekcjonalnością. A jaki był hrabia w stosunku do mnie, tego nie muszę ci mówić. - Ku swemu zdumieniu przekonała się, że powiedziała to bez goryczy.

Doktor Branyon stłumił w sobie dobrze znany przyptyw gniewu, który tyle razy ogarniał go całego w ciągu minionych lat.

- Tak, wiem.

Nie zauważyła, że zacisnął szczęki, a oczy mu pociemniały. Wiedział, że gdyby nawet zauważyła, nie zdziwiłoby to jej ani nie zatrwożyło.

Lady Anna przystanęła na środku hallu i rozejrzała się dookoła. Spojrzała na wielkie renesansowe portale ujmujące żłobkowanymi pilastrami zamknięte łukiem otwory drzwiowe. Zdobiące je płaskorzeźby stanowiły przykład rzemiosła najwyższej klasy. Na ścianach wisiały atrybuty sztuki wojennej: napierśniki i przyłbice, skórzane kaftany, muszkiety i inne elementy uzbrojenia zdobyte na nieprzyjaciółach podczas wojen. Flamandzkie tkaniny przedstawiające sceny bitewne, choć nieco już wyblakły, nadal skrzyły się kolorami barwnych nici. Stary lichtarz wysyłał z zapalanej świecy smugi ciemnoniebieskiego dymu, które spiralnie unosiły się aż pod poczerńiałe belki sufitu.

- Wiesz, to dziwne - rzekła na głos. - Zawsze nienawidziłam Evesham Abbey, choć nie mogę odmówić temu domowi niewiarygodnego wprost piękna. Historia Anglii żyje w tym hallu, a ja ani nie odczuwam z tego powodu dumy, ani nie rozmyślam o dawnej świetności.

Powiedziałeś, drogi przyjacielu, że wykazałam siłę woli godną Arabelli. Powiem ci, że aż boję się pomyśleć, co by się z nią stało, gdyby została zmuszona do opuszczenia Evesham Abbey. - Lady Anna wskazała ręką na otaczające ich mury. - Każdy obraz, zbroja, tarcza, każdy kąt w tym domu to ona. Cała jej siła, niezłomna wola, jak sam to ująłeś, wywodzi się właśnie stąd. Sam więc rozumiesz, że muszę być stanowcza. Trzeba spróbować przekonać ją że ojciec wcale jej nie zdradził, że zrobił, co w jego mocy, by mogła tu pozostać.

- Więc uważasz, że powinna poślubić nowego hrabiego Strafford zgodnie z życzeniem ojca?

- Ależ to oczywiste. Ona musi wyjść za mąż za Justina.

Nie spodziewał się tego. Spojrzał na nią i pomyślał, że wiele dałby za to, by móc choć przez moment dotykać miękkich, jasnych włosów nad uchem. Chrząknął i powiedział:

- Sądząc z ostatnich wydarzeń, nie będzie to takie proste.

- Arabella płakała - rzekła lady Anna. - Nie mogłam wprost uwierzyć, ale tak było. Czy to złość na Justina stała się przyczyną jej łez? A może wreszcie opłakała ojca. Wiesz, że ona nigdy nie płacze. Nie wiem, co się stało, ale uważam to za dobry znak.

Odwróciła się, skinęła głową lokajowi, który otworzył przed nimi drzwi. Weszli do Aksamitnego Pokoju.

- Justin, Elsbeth - posłała obojgu ciepły, piękny uśmiech. - Mam nadzieję, że nie kazaliśmy wam zbyt długo czekać?

- Nie, lady Anno - odparła Elsbeth. Podeszła do macochy i spytała nieśmiałym głosem: - Czy Arabella lepiej się czuje?

- Spała głęboko, kiedy wychodziliśmy z sypialni - odpowiedział jej doktor Brany on. - Jutro powinna być w takiej formie jak zawsze.

- Szkoda - rzekł hrabia, nie zwracając się do nikogo, mówiąc jakby w powietrze. - Czy jesteś pewien, doktorze? A ja łudziłem się, że jednak zmieni się choć trochę i nabierze ogłady. Miałem nadzieję, że może stanie się bardziej uprzejma. Doprawdy, nie miałbym nic przeciwko temu, żeby wykazała odrobinę dobrej woli.

Lady Anna stłumiła śmiech i spojrzała na niego surowo. Po chwili zwróciła się do pasierbicy:

- Czy zdążyłaś już zawrzeć znajomość z jego lordowską mością, kochanie?

Zauważyła, że Justin drgnął, słysząc te słowa. No tak, w końcu to świeży tytuł - pomyślała. Będzie musiał przyzwyczaić się do tego, że jest hrabią.

- Jeszcze nie, lady Anno. Jego lordowska mość poszedł się przebrać. Jego strój nieco ucierpiał podczas poszukiwań Arabelli. Teraz zdążyliśmy porozmawiać dosłownie chwilę przed przyjściem pani i doktora. Był dla mnie bardzo uprzejmy. Zwracał się do mnie „pani”, ale poprosiłam, by mówił mi po imieniu, skoro jesteśmy kuzynami.

- Uważam, że „pani” jest całkiem na miejscu - rzekł hrabia. - Ale skoro pragniesz, bym zwracał się do ciebie „Elsbeth”, muszę poprosić lady Annę o zgodę.

- Pani? - rzekła lady Anna, przechylając wdzięcznie głowę na bok. - Sama uważam to za okropne. Strasznie postarza kobietę. Oczywiście, mów do niej: Elsbeth, Justinie.

- Dziękuję. Czy zatem, Elsbeth, zechcesz usiąść na tym złotym krzeselku obitym czerwonym aksamitem? Sam nie odważyłbym się za nic, mogłoby się pode mną załamać.

Lady Anna zasiadła przed pięknie zdobionym serwisem do herbaty.

- Pijesz ze śmietanką, Justinie? Z cukrem? Nie znamy jeszcze naszych upodobań.

- Poproszę bez niczego, samą herbatę, Anno.

- Żadnych frykasów, hmm, milordzie? - spytał doktor, unosząc swoją filiżankę gestem naśladowującym toast.

- Na wojnie nie było mleka, chyba że udało się złapać zabląkaną kozę. A o cukrze i cytrynie nikt nie słyszał. Okazuje się, że człowiek ma całkiem skromne wymagania, kiedy życie go do tego zmusi.

Doktorowi podobał się nowy hrabia. Nie miał w sobie ani pompatyczności, ani bezwzględnego okrucieństwa jak poprzedni. Był to mężczyzna słusznego wzrostu, czym przypominał zmarłego krewnego, lecz poruszał się z wyraźną lekkością i gracją jak na tak potężną budowę ciała. Opalona twarz zdradzała wprawdzie trudy żołnierskiego życia, jednak elegancki wieczorowy strój był w jego przypadku jak najbardziej na swoim miejscu. Zdawać by się mogło, że hrabia czuje się równie swobodnie w salonie jak na polu bitwy. Wyczuł teraz na sobie badawczy wzrok i odwrócił się w stronę lekarza. Na jego twarzy pojawił się pytający uśmiech, który nadał surowym rysom wyraz łagodnej miękkości.

Doktor Branyon zaczął nabierać przekonania, że Anna nie myliła się co do swych nadziei. Hrabia mógł okazać się całkiem odpowiednim mężem dla Arabelli. A już na pewno nie pozwoli, żeby Arabella nim rządziła. Chociaż, z drugiej strony, ona mogłaby go nawet zastrzelić, gdyby okazało się, że on - tak jak jej zmarły ojciec - uważa, iż kobieta nadaje się jedynie do rodzenia synów. Lub gdyby uważał, wzorem swego wuja, że mężczyzna ma prawo zdradzać swoją żonę, kiedy mu się żywnie podoba.

Hrabia zwrócił się teraz do lady Anny:

- Muszę pochwalić, Anno, urządzenie tego pokoju. To, zdaje się, Pokój Aksamitny, prawda?

- Dziękuję za pochwałę, ale nie zasłużyłam na nią. Ten pokój stoi nietknięty od lat. Aksamit zachował się doskonale, aż dziw bierze. Meble kazała obić pierwsza żona mego męża, Magdalena. Nie sądzisz, że karmazynowy aksamit i złocenia dodają wnętrzu elegancji i splendoru? I jeszcze te białe kolumny. Czasem mam wrażenie, że zaraz nadejdzie król. Ale nie Jerzy, naturalnie. Ten biedak jest zupełnie szalony.

Hrabia pociągnął łyk herbaty. Była mocna i aromatyczna, właśnie taka, jaką lubił. Zwrócił się z kolei do Elsbeth:

- Czy masz zamiar zamieszkać w Evesham Abbey? Filiżanka w ręku Elsbeth zadzwoniła lekko o spodek.

- Nie, milordzie. To nad wyraz uprzejme ze strony waszej lordowskiej mości, że nie masz, panie, nic przeciwko temu, bym tu została... ale teraz stać mnie na to, żeby mieć całkiem inne plany. - Uśmiechnęła się promiennie do niego.

- Od czasu do czasu muszę się szczypać, aby się przekonać, że to prawda. Lady Anna zapewniała mnie wielokrotnie, że nie ma mowy o żadnym nieporozumieniu. Chyba ojciec naprawdę kochał mnie... trochę. Lady Anna twierdzi, że tak. Nigdy nie sądziłam, że mnie kocha, ale ten zapis chyba o tym świadczy, prawda?

Trudno było temu zaprzeczyć. Zapis w wysokości dziesięciu tysięcy funtów rzeczywiście mówił sam za siebie.

- Tak - rzekł hrabia w końcu. - Z pewnością cię kochał. Co masz zamiar zrobić ze swoim majątkiem, Elsbeth? Pojechać do Paryża? Kupić willę w Rzymie?

- Jeszcze się nie zdecydowałam, milordzie.

Rzuciła szybkie spojrzenie w stronę lady Anny, która rzekła natychmiast:

- Zaczęłyśmy dopiero omawiać różne możliwości, Justinie. Myślę jednak, że Elsbeth sprawiłby przyjemność dłuższy pobyt w Londynie. Oczywiście pojechałabym z nią. - Zamilkła na chwilę i spojrzała prosto w jego szare oczy. - Kiedy już pobierzecie się z Arabellą, wtedy dokładnie ustalimy nasze plany. Na pewno nie będziemy wam tu przeszkadzać.

Lewa brew hrabiego uniosła się wysoko do góry. Identyczny odruch miała Arabellą, a odziedziczyła go po ojcu. Wstrząsnęło to lady Anną. Byli tacy do siebie podobni. Żeby tylko nie przyszło im do głowy uważać się za brata i siostrę! Hrabia milczał, ale widać było po jego minie, że miał ogromną ochotę coś powiedzieć i że z trudem się pohamował.

Kiedy Crupper zabrał tacę z herbatą, doktor Branyon zbliżył się do lady Anny i powiedział cicho:

- Nie śpiesz się tak, moja droga. Zastanawiam się, co też hrabia chciał ci powiedzieć. W ostatniej chwili się powstrzymał. To dobrze o nim świadczy i być może równie dobrze wróży na przyszłość.

- Justin doskonale wie, o co toczy się gra. Zrobi wszystko, żeby zaprowadzić Arabellę do ołtarza. Zapamiętaj sobie moje słowa.

- A co zrobimy, jeżeli ona go nie zechce?

- Zaczekamy i zobaczymy. Nie wierzę, by Justin okazał się głupi albo niezręczny. W zasadzie nie mamy innego wyjścia. Trzeba czekać.

Doktor Branyon spojrział w stronę Elsbeth, która z wyraźnym trudem prowadziła rozmowę z hrabią.

- Nie mówiłaś mi, że wyjeżdżasz z Elsbeth.

Lady Anna poczuła nagle gdzieś głęboko gwałtowne poruszenie. Zamrugwała, odwracając wzrok od doktora. Wróciły dawno pogrzebane wspomnienia. Niespodziewanie dla samej siebie zapytała:

- Czy pamiętasz te chwile, kiedy na świat przychodziła Arabellą? Nigdy ci nie mówiłam, że wiem, iż byłeś ze mną przez cały czas, przez te nie kończące się godziny męki. Wiem, że mnie nie opuściłeś. Pamiętam twój głos zachęcający mnie do wytrwania, gdy tak bardzo chciałam umrzeć. To ty uratowałeś mi życie.

Wiedział, że nigdy nie zapomni koszmaru tych ostatnich godzin, lęku, że ona umrze, i straszliwego gniewu na hrabiego za tę jego przekłątą obojętność.

- Nie myślałem, że będziesz pamiętać - powiedział wolno. -Ból był na tyle silny, że należało się spodziewać, iż wymażesz to wszystko z pamięci.

I wydało mu się nagle, że ona jest po prostu uprzejma, że chce dać mu do zrozumienia, iż nadal jest tu mile widziany i że zawsze będzie. Wstał, gdyż zapragnął za wszelką cenę stąd wyjść. Wszystko mógł znieść, byle nie obojętną uprzejmość z jej strony.

- Robi się późno, Anno, a ja powinienem jeszcze zajrzeć i sprawdzić, jak tam żołądek pana Crockera. To pół godziny drogi stąd. Staruszek pewnie będzie kłął w żywy kamień, zanim tam dotrę. Mówi do mnie „chłopcze”. W moim wieku!

A więc nie chce wspomnień - pomyślała lady Anna, patrząc na niego. Dla mnie to było straszne przeżycie, on był moim lekarzem, niczym więcej. Tylko wprowadziłam go w zakłopotanie. Wstała i stanęła przed nim. Udało się jej uśmiechnąć w miarę swobodnie, choć było to trudne.

- Przyjdź jutro, Paul, jeżeli nie z innych powodów, to po to, żeby sprawdzić, czy Arabellą jest już zdrowa. Mam nadzieję, że tak będzie, bo nie chcę więcej słuchać, jak się kłócicie.

- Naturalnie.

Lady Anna położyła mu rękę na ramieniu i znów poczuła przepływającą przez jej ciało falę bardzo przyjemnych doznań. Powiedziała nieśmiało:

- Byłaby to dla mnie... dla nas wielka przyjemność, gdybyś został na kolacji. Każę kucharce przygotować kapłona, tak jak lubisz, z sosem migdałowym i małymi cebulkami.

Mąż nieboszczyk nie znosił kapłona. Postanowiła sobie, że teraz będzie go dysponować przynajmniej raz w tygodniu.

Nie musisz mi okazywać swojej wdzięczności! - chciał krzyknąć do niej.

- Chętnie przyjdę, Anno - odparł. Długie lata praktyki nauczyły go zachowywać swoje opinie dla siebie. Poglaskał ją po dłoni jak pacjenta, który dokładnie stosuje się do jego zaleceń. -A zatem do jutra, moja droga.

Lady Anna stała w milczeniu w drzwiach Aksamitnego Pokoju, dopóki doktor Branyon i Crupper nie oddalili się na tyle, że ich kroki ucichły. Uświadomiła sobie w tym momencie, że zrobiło się jej gorąco. A przecież wieczór wcale nie był taki ciepły. I ogień na kominku przygasł już nieco. To śmieszne. Wielkie nieba, przecież ma dorosłą córkę!

Odwróciła nieprzyzwoicie młodą twarz i poszukała wzroku hrabiego. Jego uważne spojrzenie wprawiło ją w zakłopotanie. Ponieważ nie była niedoświadczoną dziewczyną, udało się jej uśmiechnąć do niego, jakby nigdy nic.

- Elsbeth, jeśli nie pójdziesz zaraz spać, to nam tutaj zaśniesz, kochanie. Chodź, powiedz Justinowi dobranoc, i idziemy.

Elsbeth ziewnęła, zasłaniając dłonią usta.

- Czyżbym był aż tak nudny, Elsbeth? Nie oszczędzaj mnie, jakoś to przeboleję. I tak twoja siostra potraktowała mnie znacznie surowiej.

- Ach nie, skądże! Wcale nie jesteś nudny, milordzie. Przysięgam.

- Justinie.

- Tak... Justinie. Trudno mi się przyzwyczaić. Jesteś lordem, podczas gdy ja jestem właściwie nikim. To bardzo uprzejme z twojej strony, że pozwalasz mi zwracać się do siebie po imieniu.

Cóż, podobna szczerłość stopiłaby najzimniejsze serce, z wyjątkiem serca jej ojca. Justin zastanawiał się przez moment, czy hrabia w ogóle znał z widzenia swoją starszą córkę i czyby ją rozpoznał, gdyby na przykład natknął się na nią niespodziewanie we własnym domu.

Oczywiście, że możesz mi mówić po imieniu. Jestem pewien, że twoja siostra nie miałaby podobnych rozterek. Ona nie ma żadnych oporów.

- Och nie, milordzie, to nie jest tak. Arabella jest naprawdę wspaniała, a ja potrafię być bardzo niezręczna. Nigdy nie wiem, co wypada, co należy zrobić. Bardzo chciałabym być podobna do Arabelli. Ona zawsze wszystko wie i jest taka pewna siebie. Proszę mi wybaczyć mój nietakt. Ja ziewnęłam ze zmęczenia, a nie z twojego powodu, milordzie... Justinie. Lady Anna pośpieszyła pasierbicy z pomocą.

- Nie zważaj na jego lordowską mość, kochanie, droczy się z tobą. A jeśli chodzi o Arabellę, to każda z was jest inna, ale obie jesteście wspaniałe. A teraz do łóżka! - Ujęła Elsbeth za rękę i pochyliła się ku niej. - Jutro mamy wiele spraw do omówienia, kochanie.

Śpij dobrze.

Ciemne, migdałowe oczy Elsbeth zaśniły.

- Dobrze, lady Anno. Na pewno będę spać jak suseł. - Odwróciła się, wykonała zgrabny dyg przed hrabią i wybiegła z pokoju.

- Powinnaś być dyplomatką, Anno - powiedział hrabia, kiedy zostali sami.

- Ta misja jest raczej zarezerwowana dla was, dzielni, bohaterscy mężczyźni - odparła, wciąż myśląc o Paulu Branyonie i o wspomnieniach sprzed lat.

- To prawda, ale trudno mi sobie wyobrazić, żeby zawsze miało tak być.

- Przepraszam, co by nie zawsze miało być?

- Nie słuchałaś. Nie szkodzi. Doktor Branyon to uroczy człowiek. I bardzo oddany Deverillom.

Za dużo zobaczył, za dużo się domyślił - pomyślała. Skinęła głową w milczeniu. Jej mąż był zupełnie inny, zimny i daleki. Albo ciągle mówił jej, co ma robić, albo w ogóle nie zwracał na nią uwagi, na przykład kiedy zdarzyło się, że przebywała w pokoju, do którego właśnie wszedł.

Hrabia przyjrzał się jej uważnie i taktownie zmienił temat.

- Znałem twego męża pięć lat, Anno. Dziwne, że nigdy słowem nie wspomniał o tym, iż ma drugą córkę. To urocza panna, ale... - Zawahał się.

- Ale co, Justinie? Co masz na myśli?

Skoro nalegasz... Elsbeth jest spragniona miłości i tylko czeka na to, by okazać jej choć odrobinę zainteresowania, a poza tym to taka ufna i szczerą istotą. To może być niebezpieczne, jeśli nie będzie ostrożna.

- Masz rację, naturalnie. Hrabia nie zgadzał się, żeby mieszkała z nami. Była malutkim, wystraszonego dzieckiem, kiedy wysłał ją do hrabstwa Kent do swojej starszej siostry Caroline. Przez te wszystkie lata utrzymywałam stałą korespondencję z tym biedactwem, ale oczywiście to nie to samo. Na pewno Caroline uczyniła dla Elsbeth, co tylko było w jej mocy, ale sam widzisz, jak bardzo dziewczyna spragniona jest miłości. - Lady Anna wzięła głęboki oddech. - Bardzo chciałabym wynagrodzić jej wszystko, co w życiu wycierpiała.

- Czemu hrabia tak ją traktował?

- Sama często się nad tym zastanawiałam. W końcu doszłam do wniosku, że tak bardzo kochał Arabelle, iż nie chciał dzielić tej miłości z nikim więcej. Po prostu nikt inny dla niego nie istniał.

Po chwili dodała:

- I z jakiegoś nie znanego mi powodu żywił urazę do de Trecassisów, czyli najbliższych krewnych jego pierwszej żony. Wiesz dobrze, że hrabia nie wybaczał łatwo.

- Czy nie wydaje ci się zatem dziwne, że zapisał jej dziesięć tysięcy funtów?

- Owszem, jestem wręcz tym zaskoczona. Może w końcu pożałował swego postępowania wobec niej, choć, prawdę mówiąc, nie jestem do końca o tym przekonana. Obawiam się, że nigdy nie poznamy motywów, jakie nim kierowały. Aha, Justinie, wybacz mi. Byłam nazbyt obcesowa, jeśli chodzi o ciebie i Arabellę. Doktor Branyon mi to wypomniał. Powiedział, że z trudem powstrzymałeś się, żeby mi nie odpowiedzieć.

- Rzeczywiście, nie było to łatwe. - Hrabia potarł brodę, patrząc na pomarańczowe płomyki w kominku. - Powiedzmy, że poczułem się przyparty do muru. Wprawdzie już parę lat temu zostało postanowione, że ożenię się z Arabellą, ale wierz mi, nie jest to łatwe zostać tak nagle wrzuconym na głęboką wodę. Wiesz, Anno, zrobię, co w mojej mocy, żeby to małżeństwo doszło do skutku i żeby było udane.

- Gdybym była o tobie innego zdania, drogi Justinie, walczyłabym przeciwko temu mariażowi jak lwica. Choć żywiłam pewne wątpliwości co do utrzymywania całej sprawy w tajemnicy, uważałam decyzję mego męża za najlepsze rozwiązanie. Wiesz, dużo mnie kosztowało zachowanie spokoju, kiedy George Brammersley zwlekał z odczytaniem testamentu przed twoim nadejściem. Dziś wieczorem rozmawiałam chwilę z Arabellą. Odnoszę wrażenie, że pomału zaczyna rozumieć powody, które skłoniły jej ojca do podjęcia tej decyzji, jak również przyczyny mego milczenia w tej sprawie. Jednak to wszystko jest dla niej bardzo trudne. I obawiam się, że jeszcze długo takie będzie.

- Jesteś niezwykłą kobietą, Anno.

- Miło, że tak mówisz, ale to niezupełnie tak, jak ci się zdaje. W ciągu tych wszystkich lat nauczyłam się być realistką, nic więcej. Jak sam się zapewne nieraz przekonałeś, tego właśnie uczy nas życie. Może to źle, że hrabia pragnął za wszelką cenę chronić Arabellę. Zresztą ty wiesz najlepiej.

- Owszem. Gdyby Arabellą wiedziała, że istnieje spadkobierca tytułu, byłby to dla niej powód do zdenerwowania.

- Delikatnie to ująłeś.

- Jej ojciec wciąż o tym myślał i zamartwiał się. Pamiętam, jak raz powiedział mi, że nie może pozwolić na to, aby poczuła się wyzuta ze swego dziedzictwa.

- Cóż, już po wszystkim - westchnęła. - Zobaczymy, co będzie dalej. A co myślisz o swoim nowym domu, Justinie?

Roześmiał się.

- Czuję się wręcz przytłoczony tym przepychem. Pierwszy raz w życiu zdarza mi się, że mam więcej służących niż krewnych. Dopiero dziś wieczorem zauważyłem, ile jest tu szczytów i kominów.

Lady Anna zaśmiała się cichutko na myśl o pewnym wspomnieniu.

- Musisz kiedyś spytać Arabellę o to, ile ten dom ma szczytów. Kiedy miała zaledwie osiem lat, wpadła pewnego razu do biblioteki i dumnie oznajmiła ojcu, że na Evesham Abbey znajduje się dokładnie czterdzieści szczytów. Była taką zadziorną, zdrową dziewczynką, ciągle potarganą, z wiecznie podrapanymi kolanami. Już wtedy była pełna życia i ciekawa świata. Wybacz mi, Justinie. Nie chciałam cię zanudzać. Sama nie wiem, dlaczego właśnie teraz przypomniało mi się to zdarzenie. Tyle upłynęło czasu...

- Dobrze, że mi to mówisz. Chętnie posłucham. Wszystko, co możesz mi zdradzić na temat Arabelli, jest dla mnie cenne. Obawiam się, że to małżeństwo nie będzie sprawą łatwą, przynajmniej na początku.

- Masz niestety rację. Więc jeśli rzeczywiście chcesz posłuchać tej starej historii, to wróćmy do czterdziestu szczytów Arabelli. Wkrótce potem ojciec wysłał ją do Kornwalii z wizytą do jej ciotecznej babki Grenhildy. Zaraz po jej wyjeździe wezwał cieśli i murarzy i kazał im dodać jeszcze jeden szczyt. Kiedy Arabella wróciła i rzuciła mu się w ramiona, przytrzymał ją na odległość ramienia i najbardziej surowym głosem, jaki tylko możesz sobie wyobrazić, powiedział: „No cóż, moja panno. Chyba będę musiał zatrudnić dla ciebie specjalnego nauczyciela matematyki! Czterdzieści szczytów, też coś! Zawiodłaś mnie, Arabello”. Nie powiedziała ani słowa. Wysunęła się z jego ramion i znikła na dwie godziny. Mąż coraz bardziej się niepokoił i nawet zaczął wyrzucać sobie swój niecny postępek, kiedy ta mała szelma przybiega do niego pędem, brudna jak nieboskie stworzenie i zmęczona. Staje przed nim, rozstawia szeroko małe nóżki, ujmuje się brudnymi rączkami pod boki i powiada z wyrzutem: „Jak mogłeś splatać mi takiego figła, ojcze? Nie zaprzeczaj. Przyprowadziłam tu murarza na świadka, że było czterdzieści szczytów”. O ile dobrze pamiętam, od tego dnia hrabia przestał żałować, że nie ma syna. I wszędzie zabierał ją ze sobą. Nawet podczas polowania woził ją w siodle na tym swoim wielkim, karym ogierze. Galopowali tak prędko, że aż nie mogłam na to patrzeć. Włos jeżył się ze strachu na głowie.

Hrabia uśmiechnął się, a potem odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się serdecznie na całe gardło.

- Więc teraz jest czterdzieści jeden szczytów, Anno?

- Na prośbę Arabelli hrabia kazał usunąć ten czterdziesty pierwszy. Ona była małą despotką. Właściwie nadal jest apodyktyczna. Już taką ma naturę, Justinie. To coś, do czego

będziesz musiał się przyzwyczaić.

Hrabia wstał, przeciągnął się i oparł o gzyms nad kominkiem. Ręce wsunął do kieszeni.

- Masz rację. Zastanawiam się tylko, czy pozwolę jej sobie rozkazywać. Nie pamiętam własnej matki, umarła przy moim urodzeniu, więc nigdy w moim życiu żadna kobieta nie mówiła mi, co mam robić. Nie wydaje mi się, abym się na to zgodził, Anno. Cóż, zobaczymy.

Lady Anna odwróciła się w krześle z lekkim szelestem czarnej jedwabnej spódnicy.

- Ta gwałtowna strona jej natury ma pewien swoisty urok.

Biedny George Brammersley. Sposób, w jaki potraktowała tego biedaka... Obawiam się, że przyprawiła go o niezły ból głowy.

- Prawda, lecz pomyśl, jakim straszliwym wstrząsem musiał być dla niej testament. - Przypomniało mu się wcześniejsze spotkanie z Arabella tego ranka, ale postanowił nie napomykać o nim lady Annie. Dla Arabelli rozmowa nad sadzawką mogła być jeszcze większym szokiem niż scena w bibliotece.

- Jednak pewien postęp stwierdzam. Udało ci się przewyciężyć jej dumę.

- Dumę, powiadasz? Zbyt łagodne to określenie na histeryczne zachowanie twojej córki. Nie, rzekłbym raczej, że jest śmiała, energiczna i rezolutna, a poza tym uparta jak koziół.

Cóż można było na to powiedzieć?

Następnego ranka Arabella zeszła na dół jak zwykle wcześnie. Czowała się zgaszona i przybita, a taki stan na pewno był dla niej absolutną nowością. Nienawidziła własnych uczuć. Sytuacja, którą rozważała teraz z każdego punktu widzenia, jaki mogła tylko wymyślić podczas bezsennych godzin od świtu, była nie do pozazdroszczenia. Musi albo opuścić Evesham Abbey, albo poślubić nowego hrabiego. I, naturalnie, to wszystko było bardzo proste. Wiedziała gdzieś tam w najgłębszym zakamarku świadomości, że nie zdobyłaby się na opuszczenie rodzinnego domu. A z kolei nowego hrabiego nie lubiła, nie życzyła sobie jego obecności w pobliżu, nie chciała z nim rozmawiać, wręcz wołałaby, żeby w ogóle nie istniał, co nie zmieniało faktu, że będzie musiała za niego wyjść.

Więc niech tak się stanie.

Przeszła przez hall pod wielkim łukiem do wąskiego korytarza prowadzącego do pokoju śniadaniowego. Tylko ona i ojciec jadal śniadanie tak wcześnie. Nie mogła się doczekać, kiedy zostanie sam na sam z grzanką posmarowaną ulubionym dżemem truskawkowym.

- Lady Arabello?

Odwróciła się, z ręką na klamce drzwi do pokoju śniadaniowego, i ujrzała panią Tucker balansującą dużym dzbankiem kawy w jednej ręce i tacą z grzankami w drugiej.

- Dzień dobry, pani Tucker. Dobrze pani dziś wygląda. Cieszę się, że przygotowała mi pani śniadanie jak zwykle. Proszę nie zapomnieć o dżemie truskawkowym. Chyba będziemy mieć dziś ładny dzień.

- Tak, tak, oczywiście, lady Arabello. Czuję się dobrze i ślicznie. To znaczy chciałam powiedzieć, że dzień będzie śliczny. - Podwójny podbródek pani Tucker zakotłosał się nad białym kołnierzykiem. Zmarszczyła nos, jakby chciała zatrzymać okulary zsuwające się jej z nosa. - Czy czuje się panienka lepiej dziś rano'? Muszę powiedzieć, że nie podobają mi się te zadrapania na kochanym gładziutkim policzku panienki. A bródka, pozwolę sobie zauważyć, to wygląda całkiem jak kolana panienki, kiedy panienka była mała. Ale i tak to śliczna kochana bródka...

- Czuję się dobrze, pani Tucker, naprawdę, i broda w porządku, i w ogóle wszystko. - Uśmiechnęła się do gospodyni. Rozchmurzyła się już zupełnie. Pani Tucker zajmowała ważne miejsce w życiu lady Anny, kiedy Arabelli nie było jeszcze na świecie, więc panna od małości przywykła do dziwnego sposobu wyrażania się gospodyni. Czego nie można było

powiedzieć o miejscowym pastorze. Miał przerażenie w oczach, kiedy tylko pani Tucker udało się go dopaść.

Arabella otworzyła drzwi i odsunęła się na bok, przepuszczając panią Tucker przodem. Za nic nie dopuściłaby do tego, żeby gospodyni rozlała kawę czy też upuściła grzanki. Zbyt wielką była amatorką i kawy, i grzanek.

Weszła za panią Tucker do pokoju śniadaniowego, podniosła wzrok i... zastygła w bezruchu. Zdziwienie sprawiło, że zapomniała języka w ustach. U szczytu stołu siedział nowy hrabia. Na miejscu ojca. Przed nim stał półmisek z jajecznicą na bekonie oraz plastrami krwistej wołowiny. Oczy utkwione miał w londyńską gazetę. Po chwili podniósł wzrok znad gazety i stwierdził, że Arabella skamieniała na niemiły sobie widok. Wstał i powiedział uprzejmie:

- Dziękuję, pani Tucker, to na razie wszystko. Proszę pogratulować kucharce wołowiny. Jest usmażona - a właściwie nie dosmażona - wręcz idealnie.

- Tak, milordzie. - Pani Tucker wykonała mało zgrabny dyg, poprawiła serdelkowatymi palcami koronkowy czepik i wyszła z pokoju, głaszcząc po drodze pieszczotliwie ramię Arabelli, która zdążyła jeszcze zawołać za nią:

- Proszę nie zapomnieć o dżemie truskawkowym!

- Zechce pani usiąść, lady Arabello? Czy tak wolno mi już się do pani zwracać?

- Nie.

Dobrze, a zatem pozostaje nam sama „pani”. Może zechcesz usiąść, pani. - Odsunął krzesło i ustawił je obok swojego. Z wyrazu twojej twarzy wnoszę, że raczej wolałabyś wziąć śniadanie i zjeść je w stajni. Wszędzie, tylko nie w pobliżu mnie. Jednakże byłbym wdzięczny, gdybyś zechciała pozostać. Sądzę, że jest kilka kwestii do omówienia, dość istotnych dla nas obojga, choć może niezbyt miłych dla ciebie.

Arabella usiadła. Nie miała wyboru. Chciała być opryskliwa, ale wiedziała, że i tak nic by to nie dało. Będzie musiała wyjść za niego, a zatem równie dobrze mogła z nim porozmawiać. I tak trzeba będzie to zrobić, prędzej czy później.

- Czy zawsze jesz, panie, śniadanie tak rano? Jest naprawdę wcześnie, pora znacznie wcześniejsza niż ta, którą większość ludzi uważa za wczesną. Może na ogół jadasz, panie, później? Może to jakiś specjalny dzień, że jesteś na nogach o tak ранней godzinie?

- Przykro mi cię rozczarować, pani, ale zawsze tak wstaję. Zechciej, pani, usiąść. Wołowina mi stygnie. - Uśmiechnął się, zauważywszy strój do konnej jazdy. - Nie tylko jadam wcześnie. Rano lubię też pojeździć konno. Zaraz po śniadaniu. Coś mi się zdaje, że mamy podobne zwyczaje. Czy to przypadkiem nie wróży dobrze na przyszłość? To znaczy na

naszą wspólną przyszłość.

Nie ma rady.

- Być może - odparła ostrożnie. Przyjęła jego pomoc, siadając przy stole, i zaczęła nakładać sobie jajecznicę na talerz, nim on usiadł z powrotem na swoim miejscu. Dżem truskawkowy już stał tuż przy jej talerzu. Skąd pani Tucker wiedziała, gdzie ona usiądzie? Ach tak, oczywiście! On jej powiedział. Zaczęła smarować grzankę dżemem.

- Czy nie uważasz, pani, że byłoby grzeczniej, gdybyś powściągnęła swój zapał do jedzenia, dopóki gospodarz nie usiądzie?

Jej ręka zacisnęła się odruchowo na trzonku noża. Gospodarz? Z pewnością widelec gładko by wszedł w jego serce. Jak w masło. Nie, nie zasługiwał na to, żeby go zabić. Dla krótkiej chwili satysfakcji? Nie, raczej bolesne pchnięcie w ramię byłoby bardziej na miejscu.

- Nie sobie to zawdzięczasz, że jesteś tu gospodarzem, panie - rzekła w końcu.

- Miałaś po prostu szczęście, że urodziłaś się z właściwych rodziców, we właściwym czasie i że jesteś mężczyzną. To wszystko.

- Podobnie jak ty, pani. Urodziłaś się z jak najbardziej właściwych rodziców. Jedynie płeć jest inna.

- Ja nie uzurpuję sobie prawa do bycia gospodynią. Jestem biedną ofiarą brutalnie rzuconą na małżeński ołtarz przez mego własnego ojca.

Z zadowoleniem usłyszał z jej ust żart zamiast przekleństw sypiących się dotąd na jego głowę.

- W takim razie - rzekł, widząc, że podnosi widelec do ust - zechciej poczekać chwilę, póki nie wezmę mojej grzanki. O, teraz już możesz wrócić do jajecznicy. Aha, zdaje się, pani, że lubisz dżem. Czy to jakiś specjalny dżem?

- Owszem. Kucharka zaczęła go robić, kiedy byłam jeszcze mała. Zakradałam się często do kuchni, a ona smarowała nim dla mnie słodką bułeczkę albo herbatnika, cokolwiek, co było pod ręką.

Zjadł gruby płat krwistej wołowiny, wziął gazetę i pochylił głowę.

- Czy mógłbyś, panie, podać mi kawę? Podniósł głowę znad gazety.

- Jeżeli oczywiście gospodarz robi takie rzeczy - dodała wyzywająco.

- Zaczynam nabierać przekonania, że gospodarz robi wszystko, byle tylko jego statek jakoś płynął. Ciekawe, czy w końcu uznasz we mnie pana tych włości. Proszę, oto kawa.

Pana na włościach? Przeklęte szare oczy, które były także jej oczami. Głośno powiedziała:

- Aha, czy mogę też dostać kilka stron gazety, jeśli nie masz, panie, nic przeciwko

temu?

- Ależ naturalnie, pani. Rozumiem, że nie jest przyjęte, by dama czytała strony inne niż kronika dworska i towarzyska, ale (y jesteś przecież lady Arabella z Evesham Abbey. Byłoby nie-grzecznością ze strony uprzejmego gospodarza pouczać cię, co masz czytać. Czy chodzi ci o jakąś szczególną stronę?

- Nie chcę, panie, pozbawiać cię całkowicie przyjemności lektury, więc z łaski swojej daj mi te strony, które już przeczytałeś.

Bardzo proszę, oto one. Kiedy brała od niego gazetę, zauważył świeże skaleczenia na jej lewej dłoni. I jeszcze ta podrapana broda oraz szramy na policzku. Przyszło mu do głowy, że pod ubraniem mogą kryć się dalsze obrażenia.

Ta myśl sprowokowała inne. Bez trudu wyobraził sobie, jak piękne i pełne są jej piersi. Jego ręka odruchowo zacisnęła się na filiżance z kawą. A co do reszty jej ciała... przełknął kawę i zakrztusił się. Przyglądała mu się obojętnie, dopóki nie przestał kaszleć.

- Gdybyś, panie, zsiniał na twarzy, klnę się, że pośpieszyłabym ci na ratunek - rzekła głosem tak bezbarwnym jak żółtawe zasłony w oknach.

- Wielkie dzięki. Już dobrze. Pewna myśl wzburzyła mnie nieco i zbiła z pantałyku. Mam nadzieję, że czujesz się, pani, lepiej dziś rano? Proszę, weź jeszcze jajecznicę. Powinnaś nabrać nieco ciała.

- Papa zawsze powtarzał, że kobiety nie powinny tyć, bo to nie jest przyjemne.

- Nieprzyjemne? Dla kogo?

- Jak to, przecież dla mężczyzn.

- A czy mężczyźni mogą tyć?

- Sądzę - rzekła dobitnie - że panowie mogą robić, co im się żywnie podoba, bez narażania się na słowa krytyki. Czy jakakolwiek kobieta powie swemu mężowi, że nie podoba jej się jego tłusty kark albo opasły brzuch, skoro to on daje pieniądze?

- Doskonała uwaga. A nawiasem mówiąc, mnie nie przeszkadza, jeśli kobieta ma nieco, mm... okrągłejsze kształty. Możesz więc, pani, jeść do woli. A gdy zjesz tyle, ile moim zdaniem powinnaś, otrzymasz swoje pieniądze.

Wygrał. Rzuciła gniewnie gazetę, która spadła na dywan.

- Cieszę się, że wydajesz się, pani, w zupełnie dobrej formie dziś rano, choć nie jest to dla mnie zaskoczeniem. Branyon zapewnił nas wczoraj wieczorem, że dziś rano będziesz taka jak zawsze. Z tego, jak wszyscy obecni wzniesli oczy do nieba, wywnioskowałem, że taka jak zawsze to wcale nie znaczy sam czar i urok.

- Kpisz sobie, panie, ze mnie. Jak dalece zdążyłam cię poznać, uważasz mnie za

skaranie boskie. Ale przynajmniej ja dla nikogo nie jestem ciężarem. No, może dla ciebie, ale to chyba zrozumiałe. Nie lubię cię. Gorąco pragnęłabym, żeby cię tu nie było. Wiem, że nie ma na to rady, ponieważ jesteś nowym hrabią ale wcale nie musi mi się to podobać. Niech cię lichy!

Widelec zadrżał w jej dłoni. Szybko podniosła go do ust.

- Dużo teraz powiedziałaś, pani. Ja również mógłbym coś ci powiedzieć, ale jestem dżentelmenem i gospodarzem. Muszę być uprzejmy. Czy zechcesz towarzyszyć mi podczas przejażdżki konnej? Oczywiście, kiedy skończysz śniadanie. Ja swoje już prawie zjadłem. Byłbym wdzięczny, gdybyś zechciała pokazać mi posiadłość. Jeżeli, naturalnie, potrafisz na trochę stłumić swoją niechęć do mnie.

Miała wielką ochotę odmówić. Marzyła, żeby pojechał sobie gdzieś, zgubił się i może jeszcze żeby koń zrzucił go do sadzawki. Choć to ostatnie nie miało większego sensu, jako że sadzawka miała zaledwie kilka stóp głębokości.

- Pokażę ci majątek, panie - rzekła. - Nie jestem nierozsądna.

Uniósł czarną brew dokładnie tak samo, jak robiła to ona i jak robił to ojciec.

Jej ojciec. Poczwała ucisk w gardle. Piekielny ból. Przyjęła go chętnie, bo wiązał się z najdroższymi wspomnieniami, ale jednocześnie była na ten ból wściekła, gdyż obnażał ją, ukazywał jej słabość.

Zauważył to i słusznie się domyślił, że dostałaby furii, gdyby zorientowała się, że on to widział. Rzekł więc:

- Doskonale. Zaraz wydam dyspozycje dla stajni. Na którym koniu jeździsz, pani?

- Na koniu hrabiego - rzekła bez namysłu, wciąż pogrążona w swoim nieszczęściu.

Nie lubił, kiedy była w takim nastroju jak teraz.

- Tak? Czy nie wydaje ci się, że będzie nam trochę niewygodnie jeździć na podwójnym siodle? Nie znaczy to naturalnie, bym miał coś przeciwko dzieleniu się z tobą moim koniem, przynajmniej dopóki nie nabierzesz ciała. Wtedy, być może, to biedne stworzenie nie będzie zachwycone, dźwigając nas oboje.

Poskutkowało. Spojrzała na niego, jakby miała ochotę narzucić mu obrus na głowę i udusić go. Uśmiechnął się do niej.

- Kpisz ze mnie. Wiesz doskonale, że nie miałam na myśli twojego przeklętego konia. Mówiłam o koniu hrabiego, to znaczy mego ojca...

- Czyli o Lucyferze.

- Wiesz dobrze, że zawsze na nim jeździłam.

- Masz moje pozwolenie na jazdę na Lucyferze.

- Czy wiesz, że bardzo dobrze strzelam? - spytała, odsuwając gwałtownie krzesło do tyłu dokładnie takim samym ruchem jak poprzedniego dnia w bibliotece.

- Byłbym wdzięczny, pani, gdybyś zechciała z większym szacunkiem traktować moje meble.

Zabrakło jej słów, a tak chciała zmieszać go z błotem. To dlatego, że jest zmęczona. Dlatego, że ostatnio czuła się zupełnie bez sił. Wpatrywała się jedynie w niego, licząc na to, że ten bezczelny łotr zauważy mordercze błyski w jej oczach.

Wstał i podszedł do niej.

- Chodźmy już, droga pani. Nie sądzisz, że dosyć się nawojowaliśmy tego ranka? Ja na przykład nie chciałbym, żeby śniadanie mi zaszkodziło. - Ponieważ odpowiedziało mu milczeniem, bo Arabella w duchu zgrzytała zębami, dodał z uśmiechem: -Zrobię ci prezent z Lucyfera. Wkrótce będzie się o nim mówić: koń hrabiny.

- Dzięki za łaskę.

- Staram się, jak mogę.

Pewien był, że usłyszał w jej głosie parsknięcie. A to wstęp do śmiechu. Zatem ból po ojcu ustąpi. Pomału, ale ustąpi, a on może jej w tym pomóc, jeżeli oczywiście mu na to pozwoli. Dziwne, ale tego ranka nie uważał jej za wiedźmę, jędzę i sekutnicę w jednej osobie. Kiedy spotkał ją poprzedniego dnia, miał wrażenie, że umarł i dostał się do piekła. Potraktowała go gorzej niż psa. Nie mieściło mu się w głowie, że normalny mężczyzna mógłby wytrzymać z taką kobietą. Tymczasem dzisiaj wszystko było inaczej. Dziś omal jej nie rozśmieszył. Po raz pierwszy dostrzegł bystrość jej umysłu. Sprowokował ją do dowcipnej, złośliwej riposty. Wyciągnął zegarek i spojrzał na tarczę.

- Idziemy, pani?

- Tak - odparła wolno, nie odrywając wzroku od wgłębienia w jego brodzie. Już idę.

Doktorowi Branyonowi nie drgnął nawet żaden mięsień w twarzy, kiedy lady Anna uniosła spódnicę, przechodząc nad małym, kwitnącym krzewem różanym. Odśloniła przy tym piękne kostki, a jak się domyślał, każdy cal jej ciała musiał być piękny. Nie miała kapelusza i jej gęste, jasne włosy lśniły jak żywe złoto w południowym słońcu. W prawej ręce trzymała pęk świeżo ściętych róż. Zdawało mu się, że jej twarz promienieje zdrowiem i energią. Nie wmawiał sobie, naprawdę tak było.

Przestępując ostrożnie nad różanym krzaczkiem, lady Anna zastanawiała się, gdzie też, na miłość boską może być Paul. Robiło się już późno, a on nie przysłał żadnej wiadomości. Ścisnęła mocniej trzymane w ręku żonkile i róże, uniosła głowę, a na jej czole pojawił się lekki mars. I wtedy ujrzała go stojącego w odległości zaledwie kilku stóp. Patrzył

na nią. Po prostu patrzył. Od jak dawna tak stał, po prostu patrząc? Zaczerwieniła się aż po nasadę włosów. Nie, to było niemądre. Miała już trzydzieści sześć lat. Nie powinna rumienić się tylko dlatego, że on patrzy na nią po prostu stoi, nie mówi nic i wpatruje się w nią.

To śmieszne. Zawołała:

- Paul, jak mnie tu znalazłeś?!

- Crupper jest bardzo spostrzegawczy. Powiedział mi, gdzie cię mogę znaleźć. Dopiero co przyszedłem. Jestem tu zaledwie chwilkę. Nawet krócej niż chwilkę. - Właściwie to był nieco dłużej, ale czy to ważne?

- Ach, w takim razie wszystko w porządku. - Więc nie wpatrywał się w nią. Cóż, głupstwo. Żałowała, że nie potrafi przeklinać tak gładko jak Arabella. Naprawdę nie umiała. Za każdym razem, kiedy próbowała, widziała przed oczami twarz własnej matki i natychmiast krew odpływała jej z twarzy. Matka kazała jej jeść mydło za każdym razem, kiedy choćby szeptem i najdelikatniej zaklęła.

Co miała powiedzieć, żeby nie wprawić go w zakłopotanie? Mogła jedynie próbować na ślepo, a nuż się uda.

- Myślałam, że może za bardzo jesteś dziś zajęty swoimi pacjentami, żeby nas odwiedzić. - To zabrzmiało całkiem niewinnie.

- Tylko przedwczesne narodziny trojaczków mogłyby mnie powstrzymać. Czy mogę wziąć od ciebie to mordercze narzędzie?

- Dziękuję. - Wręczyła mu sekator i przekonała się, że ta prosta czynność przywróciła światu dotychczasową perspektywę. Dobry Bóg wiedział, jak bardzo tego potrzebowała. Tak, wszystko między nimi wróciło do normy, a on znów był starym, oddanym przyjacielem. Jej stary przyjaciel. Jakże przygnębiające wydały się te słowa! Jednak nie mogła sobie przypomnieć, aby kiedykolwiek brązowy strój z prążkowanego aksamitu wydał się jej tak elegancki jak dziś. Jego oczy w tej chwili miały niemal ten sam kolor. Skrzyły się inteligencją i humorem, a co dziwne, wydawały się jaśniejsze niż zwykle.

Doktor Branyon dostosował długość swoich kroków do jej kroku i razem ruszyli wśród ozdobnych klombów w stronę frontowego trawnika.

- Jak się miewa Arabella?

- Masz na myśli jej fizyczne zdrowie czy też chodzi ci raczej o stosunki z Justinem?

Zachichotał i uśmiechnął się do niej.

- Cóż, jeśli znam moją małą Bellę, to jest równie zdrowa jak ta czarna bestia, której z takim uporem dosiada. Justin, w tym tkwi sęk. Wierzę, że poradzi sobie z nią. Nie jest głupi. Podejrzewam nawet, że jest znakomitym strategiem.

- Nie wiem nic na temat jego strategii, ale wybrali się dziś razem konno na przejażdżkę. Nie mam pojęcia, co zaszło między nimi. Żadne z nich nie pisnęło nawet słowa. Byłam zadowolona, kiedy podczas lunchu zachowywali się spokojnie.

- To znaczy nie wyglądało na to, że doszło między nimi do walki?

- No właśnie. Być może Arabella nie była tak rozmowna jak zawsze, ale przynajmniej też nie była dla niego niegrzeczna. O ile się nie mylę, oboje teraz ślęczą w bibliotece nad księgami rachunkowymi Evesham Abbey. Arabella wie niemal tyle samo, co wiedział jej ojciec o prowadzeniu majątku. Biedne dziecko, pamiętam, jak wbijał do jej młodej główki różne zawilości. Pocziwy pan Blackwater, nasz zarządca, omal się nie zakrztusił, kiedy Arabella przekazała mu swoje pierwsze polecenia w poważnym wieku szesnastu lat.

- I jak na to zareagował? Czy pamiętasz?

- Arabella opowiadała mi później, że gapił się na nią jak nieprzytomny. A hrabia tylko popatrzył na niego. Jak wiesz, wystarczyło, że raz spojrzął, a już wszyscy stawali na baczność. Wszyscy z wyjątkiem Arabelli. Pamiętam, jak kiedyś on krzyczał na nią, a ona na niego. Ja trzęsłam się ze strachu. A tych dwoje po chwili wyszło z gabinetu, uśmiechając się do siebie jak para najlepszych przyjaciół. Uwielbiał ją, tak samo jak ona jego. Zresztą dobrze o tym wiesz.

- Och tak. Widziałem nieraz, w jak wielkiej są przyjaźni, ale nie pamiętam tego zdarzenia. - Zaśmiał się tym razem, a jego głęboki, dźwięczny śmiech sprawił, że żonkile i róże zadrżały w rękach lady Anny. Zadrżały? Wielki Boże, toż ona całkiem straci rozum, jeżeli nie weźmie się w garść. - Czy myślisz, że hrabia nie będzie miał Belli za złe wybitnie niekobiecych umiejętności w tradycyjnie męskiej dziedzinie? W dodatku panienska jest osiem lat od niego młodsza.

- Prawdę mówiąc... Nie, Paul, nie wmawiam sobie... Wydaje mi się, że on jest nawet zadowolony. Coś mi się zdaje, że w końcu dojdzie do tego, iż zacznie ją podziwiać i uwielbiać. A poza tym będzie ją bezlitośnie wykorzystywał. Nie sądzę, aby miał szczególnie pociąg do rachunków i powołanie do zarządzania majątkiem ziemskim.

Doktor Branyon przystanął, opuścił dłoń na ramię lady Anny i uściskał je mocno. Zatrzymała się w jednej chwili i odwróciła twarz w jego stronę.

- Myślę, że masz rację, Anno. Choć bez trudu mogę wyobrazić sobie tych dwoje w stanie wojny, być może lepiej pasują do siebie niż większość par. Arabella potrzebuje męża silnego, inaczej zmieniłaby życie nieszczęśnika w piekło. A co się tyczy Justina, to daję głowę, że gdyby trafiła mu się spokojna, cicha żonczka, bardzo szybko stałby się domowym tyranem.

Miała cichą nadzieję, że on powie coś całkiem innego. Cóż, miał rację co do Arabelli i nowego hrabiego. Modliła się w duchu o to, by tych dwoje patrzyło na świat w podobny sposób. Miała ochotę westchnąć, ale powiedziała tylko:

- I jak zwykle zwięźle ująłeś wszystkie moje troski.

Czy naprawdę była zatroskana? Nie, raczej nie, ale wypadało coś takiego powiedzieć. Z rozbawieniem wyjęła z bukietu jednego żonkila i z żartobliwym ukłonem przypięła mu kwiat do fraka.

- Teraz zostałem pasowany na twojego rycerza. - Uśmiechnął się czule do zwróconej w jego stronę twarzy.

Lady Anna z trudem przełknęła ślinę. Wyraz jego oczu musiał przecież mieć coś wspólnego z jego myślami. Czy myślał o niej? To spojrzenie było takie czułe, takie intymne i zbyt bliskie. Nagle wykrzyknęła z wyraźnym poczuciem winy:

- O Boże, zapomniałam o Elsbeth! Pomyśli sobie, że ją zaniedbałam. I to prawda, przez ostatni kwadrans tak było. A wszystko przez ciebie, mój panie rycerzu. Poszukajmy jej. Zaraz będzie czas na podwieczorek.

Nie dbała ani o podwieczorek, ani o nic innego w tej chwili, ale znała swoje obowiązki. Niech je licho porwie!

Skinął głową i bez żadnego ostrzeżenia zatrzymał się nagle. Wybuchnął głośnym śmiechem.

- A cóż cię tak śmieszy?

- Właśnie przyszło mi do głowy, droga Anno, że wkrótce uzyskasz oficjalny tytuł hrabiny wdowy. Ty - poważną hrabiną wdową! Aż trudno to sobie wyobrazić. Wyglądasz na siostrę Arabelli, a nie na matkę. Och, jakie teraz będą posyłać ci zadowolone uśmiešky, jak będą kpić z ciebie i dokuczać ci! Różne stare baby będą wniebowzięte. Bez wątplenia zaczną przekonywać się wzajemnie, że jesteś siwa i pomarszczona, i będą się tym napawać.

- Cóż, pomału staję się matroną. Wkrótce włosy zaczną mi siwieć. A może powinnam wtedy zacząć wyrywać sobie te siwe? Z tym że z upływem lat stanę się całkiem łysa.

- Wyrywaj je sobie, ile dusza zapragnie. Obiecuję, że kupię ci perukę, i to niejedną jeśli okaże się, że jest ci potrzebna. A już od tej chwili służę ci wszelką pomocą. Oto moje ramię, wesprzyj się na nim. Kiedy już nie będziesz mogła poruszać się beze mnie, wtedy zapiszę ci laskę.

Nie miała pojęcia, że jej niebieskie oczy błyszczą zupełnie jak podczas tego nowego szalonego walca z Niemiec, ale on to widział. Był zachwycony, och Boże, zachwycony to mało. Był królem Arturem. Był Merlinem. Był wszystkim na świecie, co tylko może być

oczarowane, zaczarowane i zachwycone. I był tak zakochany, że z trudem oddychał.

Jedyne, do czego był teraz zdolny, to patrzeć na jej usta, kiedy mówiła z radością i uniesieniem:

- Laska? Ależ to świetny pomysł. Jeśli ktoś mi się narazi, będę go mogła walnąć po głowie.

Elsbeth wcale nie uważała, żeby lady Anna ją zaniedbała. Nie żywiła też żadnych obaw, że lady Annie mogło się coś przydarzyć. Właściwie w ogóle o niej nie myślała. Nie patrzyła też na nic konkretnego. Jej mała rączka zastygła w bezruchu nad robótką kolorowym haftem, o którym na moment zapomniała. Były to leśne dzwonki dookoła sadzawki czy jakiejś tam innej wody.

Myślała o rozrywkach czekających na nią w Londynie. Bale, przyjęcia, teatry na Drury Lane. Tyle do zrobienia, tyle do zobaczenia. Całe życie słyszała opowieści o bazarze Pantheon, na którym można było podobno znaleźć wstążkę w dowolnym kolorze oraz niezliczone ilości drobiazgów i świecidełek. I był też oczywiście Almack's, najważniejsze miejsce na świecie, gdzie młode dziewczęta spędzały całe godziny na tańcach z czarującymi młodzieńcami. Dziesięć tysięcy funtów powinno zapewnić jej odpowiednią pozycję nawet w najlepszym towarzystwie. Kiedy będzie miała przy sobie lady Annę, wdowę po parze Anglii i bohaterze wojennym, trudno sobie wyobrazić, by jakiegokolwiek drzwi się przed nią zamknęły. Tak była podniecona tą perspektywą, że jej wrodzona nieśmiałość i lęk przed eleganckim towarzystwem znacznie się zmniejszyły.

Zachmurzyła się na myśl o Josette. Wołałaby, żeby stara służąca przestała wreszcie złorzeczyć wszystkim Deverillom razem wziętym i każdemu z osobna.

W końcu czyż ojciec nie udowodnił, że ją kocha? Tak wielką sumę jej zapisał. Elsbeth westchnęła. Josette się starzeje. Rozum się jej mąci. Nie dalej jak tego ranka Josette nazwała ją Magdaleną. Zupełnie wyraźnie powiedziała:

- Stań bliżej okna, Magdaleno. Jak mam przyszyć tę falbanę, kiedy się tak kręcisz?

Elsbeth postanowiła nie przypominać wiernej służącej, że nie jest własną matką. Potulnie podeszła do okna. I wtedy dojrzała hrabiego i Arabellę.

- Ach, popatrz Josette! - wykrzyknęła z podziwem. - To hrabia i Arabella! Boże, jak oni pędzą! - Rzeczywiście dwa wspaniałe konie z wyciągniętymi szyjami mknęły co sił przez podjazd w stronę frontowego trawnika. - Ścigają się! O, i Arabella wygrała. Ojej, popatrz tylko, jak ten koń staje dęba! Ależ to niesamowite!

Elsbeth zadrżała. Korne były dla niej tajemniczymi i groźnymi istotami: wielkie, trzęsące się stworzenia, którym nie można było zaufać. Nie znosiła ich, ale nigdy nie przyznałaby się do tego przed Arabella.

Z dworu dobiegł okrzyk zwycięstwa. To krzyczała Arabella. Elsbeth patrzyła z

niemym podziwem, jak przyrodnia siostra bez pomocy zeskoczyła z konia. I jakie miała przy tym wdzięczne ruchy! Spódnica wirowała wokół jej nóg jak w tańcu. Stara Josette podeszła bliżej i zmrużywszy wyblakłe oczy od blasku porannego słońca, wymruczała z całkowitą dezaprobatą:

- Zupełnie jak jej ojciec, arogancka i zarozumiała. To nie jest prawdziwa dama, jak ty, moje kociątko. Zeskakuje z konia jak mężczyzna. A nowy hrabia... Jeszcze ją zachęca, ot co. i śmieje się z jej wyskoków. Aż żal się robi, gdy przyzwoity człowiek na to patrzy. Wspomnisz moje słowa, jemu wcale me będzie z nią dobrze. Mężczyźni nie lubią kobiet silnych i śmiałych.

Po ślubie to i tak on będzie rządził. Ona będzie musiała być mu posłuszna.

Nie będzie miała wyboru. Magdalena też me miała wyboru. Już ja coś o tym wiem.

Elsbeth nie słuchała. Myślała z lekkim ukłuciem zazdrości, że jest starsza od Arabelli, a czuje się tak bardzo niedoskonała... zupełnie jakby Bóg me poświęcił jej wystarczająco dużo uwagi. Przecież mogła być ładniejsza i mądrzejsza... a tymczasem sama sobie wydawała się bardzo głupiutka. No, może mądrzejsza niż biedna, stara Josette.

Elsbeth wróciła myślami do terażniejszości. Jej ręce nadal spoczywały bez ruchu na robótce. To śmieszne, że zazdrości Arabelli. W końcu to ona, Elsbeth, ma dziesięć tysięcy funtów. I jest wolna. Nie musi nic robić. To jej pieniądze, tylko jej. Jest w znacznie lepszej sytuacji. Tymczasem jeśli Arabella nie spełni ojcowskiego życzenia, nie będzie miała nic. Biedna Arabella! Musi poślubić nowego hrabiego, nie ma wyjścia. Elsbeth zadrzała. Hrabia napełniał ją taką samą trwogą jak potężny gniady ogier, którego dosiadał. Taki wielki i groźny. Zdawał się wypełniać sobą cały pokój. Poczwała nagle wewnętrzny dreszcz, aż zadrzały jej drobne rączki. Był to na wpeł rozkoszny strach, który sprawił, że oddech panny stał się szybszy. Ojej, tak przecież nie przystoi. Ujęła mocno igłę i szybko przeciągnęła przez robótkę jasnożółtą nitkę.

Nie oderwała więcej oczu od haftu, dopóki do Aksamitnego Pokoju nie weszli lady Anna i doktor Branyon. Ich ramiona stykały się niemal, głowy pochylone były ku sobie. Pograżeni byli w cichej rozmowie. Elsbeth wyczuła coś nowego, co dotyczyło tylko tych dwojga. Jakby nagle zaszła w nich jakaś zmiana, którą ona nie do końca rozumiała. Tajemnica? Zresztą to i tak nie miało znaczenia. Oboje byli przecież starzy i mogli mieć swoje problemy. Może po prostu rozmawiali o lekarstwie na bóle w stawach.

- Brawo, Elsbeth, pięknie grasz Mozarta. - Doktor Branyon zaczął głośno klaskać, a hrabia nie posiadał się ze zdumienia. Czy rzeczywiście ta straszliwie nieśmiała, skryta dziewczyna grała przed chwilą na fortepianie z taką pasją? Wielki Boże, czy to naprawdę

Elsbeth? Bezbarwna, właściwie można powiedzieć: nijaka na pierwszy rzut oka istota, kryła w sobie, jak się okazało, pokłady dzikiej namiętności.

Elsbeth wstała od fortepianu i zaczerwieniła się, z wyraźną przyjemnością obserwując uśmiechnięte twarze. Uśmiechały się do niej, pełne aprobaty. To prawda, że grała wyjątkowo dobrze, zatracając się czasem w galopujących tempach i głębokich akordach. Ale czy naprawdę im się podobało?

Zbliżała się godzina dziesiąta. Lady Anna miała właśnie przeprosić wszystkich i udać się na spoczynek, gdy hrabia dwornie zwrócił się do Arabelli:

- Teraz twoja kolej, pani. Czy zechcesz nam coś zagrać?

Arabella zaczęła śmiać się tak bardzo, że aż w jej oczach pojawiły się łzy.

- Gdybym spełniła twą prośbę, panie, z pewnością rychło pożałowałbyś swojej galanterii. Jedyne, o czym byś marzył, to aby jak najskuteczniej zatkać sobie uszy. Życzyłbyś mi z całego serca, bym wyzionęła ducha nad klawiaturą.

- Nie przesadzaj, Arabello. Nie jest aż tak źle - wtrąciła kochająca matka, stając w obronie umiejętności muzycznych jedynaczki. Przypomniały się jej upiorne godziny, kiedy stała za Arabella przy fortepianie i nie przestawała kochać jej mocno nawet wtedy, gdy zęby same zaciskały się z rozpacz. Zrobiła wszystko, co było w jej mocy, żeby nauczyć córkę gry. Niestety, rezultat był dość żałosny.

- Nadszedł czas spojrzeć prawdzie prosto w oczy. Pomimo heroicznego wysiłku mej drogiej mamy - dodała, zwracając się do hrabiego - nigdy nie udało mi się wykonać najprostszej gamy bez potknięcia się o własne palce. Nie rozpoznałabym tonacji melodii, nawet gdyby moje życie zależało od tego. Mamu kochana, niechże mama wreszcie przyzna. To ciemna karta w historii naszej rodziny. Przykro mi, ale tak jest.

- Ależ, Arabello, przecież ty wszystko robisz tak dobrze - powiedziała Elsbeth, wstrząśnięta tym, że idealizowana przez nią młodsza siostra nie jest idealna we wszystkich dziedzinach. - Jakoś trudno mi w to uwierzyć. Na pewno świetnie grasz. Jesteś zbyt skromna. Chodź, pokaż jego lordowskiej mości, że do muzyki też masz talent.

- Kochana moja - zwróciła się Arabella czule do siostry - zapewniam cię, że odziedziczyłaś cały muzyczny talent Deverillów. Dla mnie nic nie zostało. Lepiej posłuchajmy ciebie, niż żeby wszyscy mieli wyć z rozpacz z rękami przyciśniętymi do uszu. A uwierz mi, Elsbeth, że hrabia, jak dalece go znam, nie zawahałby się zawyć.

- A może grasz na harfie? - zapytała z nadzieją w głosie Elsbeth.

- Ani trochę.

Lady Anna uniosła ręce do góry.

- Przyznaję się do porażki. To było ponad moje siły. Wszystkie wysiłki poszły na marne. Dobry Bóg wie, jak bardzo się starałam. I co teraz ma zrobić biedna matka?

- Kochać mnie i chwalić wszelkie moje poczynania. - Arabella wstała i objęła matkę. - I kiedy inni mnie opuszczą, trwać dzielnie przy mnie. Dobrze, najdroższa mammo?

- Dobrze, kochanie - westchnęła lady Anna. - A jak Justin będzie się żalił, że wygrałaś dziś z nim wyścig, to powiem mu, że jesteś doskonała i już. I niech nie narzeka, tylko cieszy się tym, co ma. A twoja gra na instrumencie umili mu życie. Czy tak?

- Brawo, mammo. Niech mama powie mu to wszystko. Widzicie, państwo, mam najwspanialszą z matek.

Lady Anna podała obecnym herbatę, a doktor Branyon zwrócił się do hrabiego z zapytaniem:

- Jak tam minęła pierwsza noc w Evesham Abbey? Hrabia pochylił się w krześle do przodu i wsunął dłonie między kolana.

- Dobre pytanie, gdyż muszę przyznać, że noc rzeczywiście miałem dość niezwykłą.

- Brawo, panie - rzekła Arabella, grożąc mu żartobliwie palcem. - Zachowujesz się zupełnie jak aktor na scenie, który pragnie zwrócić na siebie uwagę publiczności.

- To jeden z moich licznych talentów, pani. Ale, mówiąc poważnie, skłonny jestem przypuszczać, że na przeżycia ubiegłej nocy miała wpływ sugestia i moja własna wyobraźnia. W każdym razie wszyscy państwo na pewno znają tę niezwykłą płaskorzeźbę znajdującą się w mojej komnacie, a przedstawiającą Taniec śmierci.

- Och, tak. Jest okropna - rzekła Elsbeth drżącym głosem, a filiżanka w jej ręku zadzwoniła o spodek. - Pamiętam, widziałam ją raz, kiedy byłam bardzo mała. Wierzyłam wtedy, że siedzi w niej diabeł. Może ten diabeł wciąż jeszcze tam jest.

- Nie jestem pewien co do diabła - powiedział hrabia - ale w sumie to wszystko było bardzo dziwne. Długo przyglądałem się reliefowi, zanim położyłem się do łóżka. Starałem się odczytać jego znaczenie, rozszyfrować tę ponurą scenę. Nie udało mi się znaleźć zadowalającego wyjaśnienia, o co tam właściwie chodzi, i długo rozmyślałem nad tym, już leżąc. - Hrabia zamilkł na moment i spojrzał na doktora Branyona. - To chyba był błąd. Za bardzo się tym przejąłem. Było już bardzo późno, a raczej bardzo wcześnie rano, kiedy obudziłem się nagle z uczuciem, że nie jestem sam. Zapaliłem świecę stojącą przy łóżku, podniosłem ją i rozejrzałem się po komnacie. Nie stwierdziłem niczyjej obecności, jedynie ten odrażający szkielet szczyrzył do mnie zęby z płaskorzeźby. Doszedłem zatem do wniosku, że coś mi się musiało przyśnić, kiedy nagle usłyszałem dziwny, głuchy odgłos w pobliżu kominka. Podniosłem po raz kolejny świecę, ale znowu nic nie zobaczyłem. I wtedy...

przysięgam... usłyszałem wysoki, zawodzący płacz jakby narodzonego dopiero co dziecka. Zanim zdążyłem w jakikolwiek sposób zareagować, rozległ się, i to bardzo blisko mnie, jeszcze jeden krzyk. Nie dziecka tym razem, lecz kobiety - krzyk przeszywający i pełen udręki. Potem zapadła cisza. Nic więcej się nie zdarzyło. Nadal nie jestem pewien, czy nie wyobraziłem sobie tego wszystkiego. Ale powiem państwu, że ciężko mi było zasnąć ponownie. Potem, Bogu dzięki, nic było więcej żadnych snów, wizji ani wizyt z zaświatów.

Hrabia spojrzał pytająco na poważne twarze obecnych.

Lady Anna odezwała się łagodnym, kojącym tonem matki:

- Nie wyobraziłeś sobie tego, Justinie. Zawarteś znajomość z duchami Evesham Abbey. To, co opisałeś, zdarza się rzadko i tylko w głównej sypialni. Najpierw płacz dziecka, a potem pełen udręki krzyk matki. Bardzo niewiele wiemy o tej kobiecie i o jej dziecku.

- Czy chcesz, bym dziś w nocy miał następne koszmary, Anno? Proszę cię, nie strasz mnie. Przyznam się bez bicia, że serce waliło mi jak młotem i cały się spociłem. Prawdę mówiąc, mam już tego dosyć. Wolałbym usłyszeć, że wszystkiemu winna jest kapusta, która była na kolację.

- Nie jedliśmy wczoraj kapusty na kolację. Bądź dzielny, panie. To wszystko prawda.

- Arabella pochyliła się do przodu w krześle. - Ojciec mój kilkakrotnie słyszał to, o czym przed chwilą nam opowiedziałeś. Podobno ponad dwieście lat temu, zanim Evesham Abbey stało się własnością rodziny Deverillów, mieszkał tu niejaki lord Faber. W sąsiedztwie cieszył się jak naj- gorszą opinią. Słynął z dzikiego okrucieństwa i gwałtownego charakteru. Był porywczy i chyba trochę niezrównoważony. Wieść niesie, że pewnej burzliwej nocy do miejscowej akuszerki przyjechał służący i kazał jej jechać ze sobą. Biedna kobiecina bała się i wykręcała, ale zmusił ją siłą. Zawiązano jej oczy i wieziono wiele mil. Wreszcie powóz się zatrzymał. Ciągnięto następnie biedaczkę po długich schodach, przez wielki hall, znów po schodach i wreszcie wprowadzono do komnaty. - Arabella, sama bez wątpienia niezła aktorka, zamilkła na chwilę, spojrzała po wszystkich twarzach, po czym mówiła dalej przyciszonym głosem: - Kiedy służący odsłonił jej oczy, zobaczyła brzemienną kobietę leżącą na wielkim łożu. W komnacie był też wysoki, ponury, milczący mężczyzna, który stał przy kominku. Kobieta zaczęła krzyczeć, więc akuszerka zapomniała o strachu i pośpieszyła rodzącej na pomoc.

Dziecko przyszło na świat po długich i ciężkich zmaganiach. Ku największemu przerażeniu akuszerki mężczyzna podszedł do nich, pochwycił płaczące dziecko i wrzucił je w ogień. Położnica krzyknęła i upadła zemdlna na poduszki.

Służący wyprowadził akuszerkę, ponownie zawiązał jej oczy i odwiózł ją do domu. -

Arabella niemal dyszała jak po ciężkim biegu, tak bardzo przejęła się swym opowiadaniem. Westchnęła: - O Boże, mam gęsią skórę na ramionach, a przecież słyszałam tę historię już kilka razy. Zawsze jednakowo mnie przeraża. Zawsze.

- To niewiarygodne - pokręcił głową hrabia, wpatrując się w nią.

- Jest za to sprawiedliwy koniec tej historii - powiedziała lady Anna. - Podobno położna zapamiętała różne dźwięki, a także policzyła stopnie schodów, którymi ją prowadzono. I tak doprowadziła królewskich urzędników do Evesham Abbey. Choć nie znaleziono niepodważalnego dowodu zabójstwa i lordowi Faberowi udało się uniknąć kary, na tym się nie skończyło. Mówiono, że pewnej nocy lord Faber wypadł jak oszalały ze swojej komnaty, z twarzą wykrzywioną grozą. Pobiegł do stajni i skoczył na jednego ze swych na wpół dzikich wierzchowców. Nie wiadomo dokładnie, co się stało potem, ale następnego ranka znaleziono go martwego, przygniecionego trupem własnego konia, obok niewielkiego pagórka zaraz za ruinami starego opactwa. Po dziś dzień miejsce to nazywa się Skok Fabera. Pewnego razu zebrałam się na odwagę i pojechałam tam. Miałam wrażenie, że to miejsce jest nawiedzone. Było w nim coś złego. Czułam to aż nadto wyraźnie.

Elsbeth wzdrygnęła się lekko.

- Josette opowiadała mi o lordzie Faberze, ale jej nie wierzyłam. Podobno moja matka słyszała raz krzyk tamtej kobiety i jej dziecka. Czy to prawda, lady Anno?

- Tak. Ale to już naprawdę dawne dzieje - powiedziała lady Anna. - A teraz dosyć tego, bo będziemy mieli koszmary. Czy ktoś ma jeszcze ochotę na herbatę?

- Oto dama o żelaznych nerwach - stwierdził doktor Branyon. - Obawiam się, że jeśli ktoś będzie w nocy słyszeć dziwne odgłosy, to na pewno nie ja. Mam zamiar spać snem sprawiedliwego, a jedyne, o czym będę rozmyślał przed zaśnięciem, to pyszna baranina, jaką nam dziś na kolację przyrządziła kucharka. Cóż, pora na mnie.

Lady Anna wstała.

- Ja też dziś w nocy mam zamiar smacznie spać. - Zwróciła się do Elsbeth: - Chodź, kochanie, najpierw obie razem odprowadzimy doktora Brany ona do drzwi, a potem ja odprowadzę cię do twego pokoju. Wyglądasz na zmęczoną. Wszyscy powiedzieli sobie dobranoc i lady Anna z Elsbeth w towarzystwie doktora Branyona opuściły pokój. Arabella została sam na sam z hrabią. Też miała ochotę pójść spać, ale nie chciała, żeby kuzyn pomyślał, iż ucieka od niego. Tak naprawdę to ogromnie chciała uciec, nie mogła jednak znieść myśli, że on uznają za tchórza. Nie spuszczała z niego wzroku. On tymczasem wstał i podszedł do stolika przy ścianie. Przeciągnął się. Był wysokim mężczyzną, dobrze zbudowanym, szczupłym, naprawdę przystojnym. Odwrócił się, zauważył, że mu się

przygląda, uśmiechnął się przelotnie i zaproponował bardzo poważnym głosem:

- Kieliszek sherry, pani?

- Tak, poproszę, panie. - Podwinęła nogi i oparła podbródek na ręce. Była całkowicie opanowana. - Jesteś, panie, nad podziw spokojny. Ja na twoim miejscu spałabym dziś w stajni.

Podał jej kieliszek i znów się uśmiechnął.

- Uwierz mi, pani, to pozory. Najchętniej poprosiłbym doktora Branyona o środek nasenny, gdybym się nie bał skompromitować w twoich oczach.

- Ojciec mój nigdy nie żądał środka nasennego. A kto wie, może powinien? Naprawdę włos mi się jeży za każdym razem, kiedy słyszę lub opowiadam tę historię. A wracając do ciebie, panie, i do środka nasennego, to mówisz głupstwa. Oczywiście znam cię dopiero od dwóch dni, ale zapewne w przyszłości usłyszę z twoich ust niejedną bzdurę.

A więc zaakceptowała przyszłość. Poczł coś w rodzaju ulgi. Twierdzisz, że jestem głupi, ponieważ staram się schlebiać ci? Nie zaprzeczaj. A poza tym to miło z twojej strony, iż wspominasz o przyszłości. Wypij swoje sherry, pani, i nie patrz na mnie tak srogo. To całkiem nowa mina. Zauważyłem ją przed chwilą, kiedy przyłapałem cię na prawdzie.

- Twoje nieustające zdrowie, panie - rzekła i wychyliła duszkiem resztę sherry.

- Może masz, panie, rację.

- Kiedy pozwolisz mi mówić do siebie „Arabello”?

- Znacznie łatwiej jest trzymać cię na dystans za pomocą słówka „pani” - odrzekła. - Myślę, że taki dystans jest w sam raz w twoim przypadku. Gdybym tylko mogła wymyślić inny tytuł, który trzymałby cię jeszcze dalej ode mnie, nie zawahałabym się go używać.

- Ja natomiast wołałbym się bardziej zbliżyć.

- Jesteś szybki, panie, zbyt szybki. - Podniosła nieco głos. Czowała, że ogarnia ją panika, a potem przypomniała sobie, że taka rzecz jak panika dotyczy istot gorszego rodzaju, ludzi, którzy nie są pewni samych siebie, słabeuszy i nieudaczników.

- Nie miałbym nic przeciwko temu, gdybyś mówiła mi po imieniu.

- „Panie” bardziej pasuje do ciebie, panie. Robi się późno. Dobranoc.

- Wróciliśmy zatem do punktu wyjścia - powiedział i znacząco westchnął. - Uciekasz ode mnie, pani. Jeszcze sobie pomyślę, że tchórz cię obleciał.

Postawił kieliszek i ruszył w jej stronę. Nie okazała strachu ani zakłopotania.

- Nic z tego, panie. Zbliź się tylko, a rzucę w ciebie tym kieliszkiem.

- Czy zawsze jesteś taka gwałtowna, pani?

- Tylko kiedy trzeba - powiedziała, zadzierając brodę wysoko do góry. - Zachowaj

odpowiednią odległość, a nic ci się nie stanie.

Dla niej było to wyzwanie. Ku jej zdumieniu, a nawet nie- wielkiemu rozczarowaniu, hrabia poddał się. Usiadł na krześle, które jęknęło pod jego ciężarem.

- A zatem uciekasz - skwitował głosem pojednawczym i trochę jakby smutnym. - Zostawiasz mnie samego na pastwę losu w sypialni, w której straszy.

Tego się nie spodziewała. Zaczął zachowywać się po ludzku. Brał ją na litość. To było deprymujące. Spokojnie odrzekła:

- Nic dziwnego, że jest ci, panie, nieswojo po tak niemiłym przeżyciu. Ja sama zawsze czułam się dziwnie w tej komnacie. Prawdę mówiąc, staram się jej unikać.

- Z jakąż ulgą słyszę te słowa! A czy twoja sypialnia jest wystarczająco duża dla nas dwojga?

- O nie! Tego już za wiele - powiedziała Arabella i szybko wyszła z pokoju.

- To dopiero początek, pani! - zawołał za nią.

Uśmiechnął się, zadowolony z siebie. Była uparta i samowolna, to prawda. Była także wytrawną amazonką, miała głowę na karku i potrafiła być zabawna.

A do tego posiadała wiedzę potrzebną do zarządzania Evesham Abbey. Miała zdolności i doświadczenie tam, gdzie jemu ich brakło. Może innym mężczyznom by się to nie podobało, ale jemu ciężar spadł z piersi. I nagle zrozumiał, iż wcale nie chce, żeby Arabella była inna. Wyobraził sobie jej piersi. Jego dłonie same ułożyły się tak, jakby obejmowały krągłe kształty. Doszedł do przekonania, że wcale tak źle nie wyszedł na układzie zawartym kiedyś z wujem. A może jest łajdakiem pozbawionym zasad?

Hrabia niecierpliwie bębnił smukłymi palcami po stronach księgi rachunkowej majątku. Tam do licha, nie w smak mu były te nie kończące się kolumny cyfr, to liczenie, przeliczanie i wszystkie szczegółowe kwestie, co robić z tą czy tamtą inwestycją czy też jak ustawić tenuty dzierżawne, żeby zapewnić jak najlepszy dochód. Marzył jedynie o tym, by te wszystkie liczby w jakiś magiczny sposób zniknęły i więcej już nie wracały, wzorem duchów Evesham Abbey, które nie zjawiały się od tygodnia po nastraszeniu go pierwszej nocy.

Rozparł się wygodnie na krześle i rzucił pióro na otwarte strony księgi. Lata dorosłego życia spędził na wojaczce. Dowodził ludźmi, a nie przeklętymi liczbami, które zdają się tańczyć od jednej kolumny do drugiej. Ach, Ciudad Rodrigo, to była bitwa, i to decydująca. Jednak - pomyślał, podnosząc pióro i stukając nim lekko o papier - Korsykańczyk nadal trzyma Europę w garści. Anglia cierpi z powodu francuskiej blokady, a jeśli krążące pogłoski były prawdziwe, to Napoleon skierował obecnie zachłanne oczy na Rosję.

A on tkwi tutaj, z dala od najważniejszych wydarzeń, spętany diabelnym tytułem i ogromnym majątkiem. Mruknął coś z niechęcią pod nosem, coś mało pochlebnego dla wykonywanej właśnie pracy, i wrócił do przerwanych studiów nad księgą. Przydałaby mu się Arabella. Raz spędziła z nim całe popołudnie, tłumacząc takie rzeczy, jak tenuty dzierżawne, ceny rynkowe, zbiory i temu podobne. Mówiła zwięźle i z dużą znajomością rzeczy, tak że w końcu udało mu się pojąć najbardziej podstawowe kwestie. Blackwater, zarządca, okazał się znacznie mniej pomocny. Ten układny, mały człowieczek miał niejakie trudności ze zrozumieniem wymagań stawianych gospodarce rolnej przez nowe stulecie.

Arabella. W ciągu ostatniego tygodnia zniknęła praktycznie na dobre, zupełnie jak nocni goście ze świata duchów. Domyślił się, że śniadanie jadła wcześniej rano w swoim pokoju, żeby uniknąć spotkania z nim. Jeździła samotnie na Lucyferze i często zdarzało się, że wracała dopiero, gdy słońce skryło się za cedrem Karola II, rosnącym na frontowym trawniku.

Chyba mądrze zrobił, zostawiając ją samej sobie. Przynajmniej zdawało mu się, że postępuje roztropnie. Przy wielu okazjach Arabella dokonywała cudów zręczności i dyplomacji, żeby tylko nie zostać z nim sam na sam. Tak już przywykł do jej rezerwy, że byłby nieswój, gdyby od czasu do czasu nic poczuł na sobie krytycznego spojrzenia jej szarych oczu.

Zerwał się, usłyszawszy odległy ryk grzmotu. Nareszcie jakieś urozmaicenie, dające

w dodatku pretekst do oderwania się od niemiłego zajęcia. Wstał i podszedł do okna. Ciemne, marmurowe, złowieszcze chmury wisiały nisko po wschodniej stronie. Miał nadzieję, że Arabelli... to znaczy... pani... nie złapie deszcz.

Smugi chłodnego, ciężkiego powietrza wirowały dookoła. Burza zbliżała się szybko. A mimo to Arabella nie ruszyła się z miejsca. Znajdowała się na szczycie największego kamienia w ruinach starego opactwa. Dziwne, że ojciec nie lubił tych ruin. Kiedy była mała, zabronił jej zbliżać się do nich. W tym jednym przypadku sprzeciwiła mu się. Całe życie kochała te ruiny. Pieszczotliwie przesunęła palcami po kamieniu, wspominając dziecinne przygody w opactwie.

Teraz nie była już dzieckiem, a ruiny były tylko ruinami. Westchnęła, kiedy kropla deszczu spadła jej na policzek i spłynęła po brodzie. Co robić? Oczywiście tak naprawdę nie miała wyboru, a bardzo pragnęła mieć wybór, prawdziwy wybór, który nie pozostawiłby uczucia niechęci i goryczy.

Pomyślała o Justinie, przywołując w myślach jego obraz. Jest jak brat bliźniak - pomyślała - z wyjątkiem może tego wgłębienia w brodzie. Odsunął się, wycofał, zostawił ją samej sobie i za to była mu wdzięczna. Tak naprawdę podobały się jej niektóre jego cechy - siła, poczucie humoru, honor. Lubiała go i wtedy, kiedy zachowywał się jak osioł. Odpowiadało jej nawet, kiedy był dokuczliwy, kiedy śmiał się z niej albo traktował ją z wyższością.

A jako mąż z pewnością nie byłby taki najgorszy. Na pewno niełatwy we współżyciu, ale skoro wytrzymała sama ze sobą przez osiemnaście lat, to wie coś niecoś o ludziach trudnych. Uśmiechnęła się teraz i wielka kropla deszczu wpadła jej prosto do ust. Roześmiała się w głos i wstała. Popatrzyła w stronę Evesham Abbey mającego niewyraźnie w zapadającym mroku. Wydało się mało prawdopodobne, by lady Anna i Elsbeth zaryzykowały opuszczenie Talgarth Hall, gdy zbierało się na burzę. Kilka godzin wcześniej widziała je, jak wsiadają do powozu. Towarzyszył im jedynie stangret John. Ciekawe, dlaczego hrabia nie pojechał z nimi. Nawet była zadowolona, że nie pojechał. W takim razie będzie go mieć wyłącznie dla siebie. Strząsnęła spódnicę i zaczęła biec w stronę domu. Nie ma rady, trzeba będzie za niego wyjść.

Hrabia stał, ujmując się pod boki, pod chroniącym go przed deszczem kolumnowym portykiem.

- Lady Arabella nie wzięła Lucyfera? - spytał Jamesa, głównego stajennego. Deszcz lał strugami, a chłodny wiatr łopotał w rękawach białej koszuli hrabiego.

- Nie, milordzie.

- Dobrze, dziękuję, James, że przyszedłeś. Weź płaszcz, nim wrócisz do stajni. Chyba się jeszcze bardziej ochłodzi.

Niech to licho! Czy uznała jego towarzystwo za tak nieciekawe, że woli złapać przeziębienie? W bardzo krótkim czasie jego lęk o jej bezpieczeństwo przerodził się w gniew. Boże, udusiłby ją najchętniej za to, że włóczy się nie wiadomo gdzie, kiedy leje jak z cebra.

W wyobraźni już skręcił jej kark, kiedy nagle przez grube zasłony ciemności i deszczu ujrzał niewyraźny zarys postaci biegnącej co sił w nogach od stajni w stronę trawnika przed domem. Postać przybliżyła się i wtedy okazało się, że jest to Arabella, ze spódnicą w garści, podkasaną aż do kolan. Wbiegła po schodach, przeskakując po dwa stopnie, i zatrzymała się przed nim. Dyszała ciężko po biegu. Była cała przemoknięta. Obrzucił ją spojrzeniem od stóp do głów i rzekł idealnie obojętnym tonem:

- Uważasz, pani, że to rozsądne przebywać na dworze w taką pogodę?

- Nie, skądże! Ale czasami to mi się zdarza. Nieważne. -Jeszcze beczelnie wzruszyła ramionami.

- A czy możesz mi łaskawie zdradzić, gdzie byłaś?

Arabella zgarnęła mokre włosy z czoła i uniosła wyniośle czarną brew do góry.

- Biegałam sobie po deszczu. Chyba to oczywiste, skoro mam mokre włosy i przemoczoną suknię. A teraz chciałabym pójść się przebrać.

Spojrzał na jej szyję i wyobraził sobie, jak zaciskają się na niej jego własne palce.

- Doprawdy, panie, nie powinieneś tu stać. Jest zimno i mógłbyś się przeziębic. Zwłaszcza przy takim wietrze.

Dać mu sytuację kryzysową do opanowania, a zachowa stoicki spokój i zimną krew. Postawić go w nowej sytuacji, a szybko się zaadaptuje i wykorzysta nabyte wcześniej doświadczenia. Postawić go na czele wojska, a nigdy nie straci kontroli nad sobą. Ale kobiecej logiki nie był w stanie ogarnąć. Arabella przemknęła obok niego i weszła do hallu. Najpierw patrzył z niedowierzaniem, a potem ryknął co sił w płucach:

- Pani, niech cię wszyscy diabli, wróć tu natychmiast! Mam ci coś do powiedzenia. I żebyś mi się nie ośmielała wzruszać ramionami ani też podnosić tej przekłętej brwi!

Zatrzymała się dokładnie pod wielkim świecznikiem. Gdy stanęła bez ruchu, widać było, że mokra suknia przylega do jej ciała jak druga skóra. Wyraźnie widział zarys jej piersi i bioder. Wściekły był sam na siebie za uczucia, jakie wzbudził w nim ten widok. Nie chciał takich doznań, kiedy złościł się na nią. W tym momencie nie zasługiwała na to, żeby jej tak strasznie pragnął.

- Masz mi coś do powiedzenia? - Miała czelność niecierpliwie stukać przemoczonym

pantoflem w marmurową posadzkę. - Panie, czy nagle ogłuchłeś? Zdawało mi się, że chciałeś coś powiedzieć.

- Za pół godziny czekam cię, pani, w Aksamitnym Pokoju - powiedział zdumiewająco spokojnym głosem. - Nie mam zamiaru zwlekać dłużej z kolacją.

Ruszyła na górę po schodach, zostawiając na stopniach kałuże wody. Nagle odwróciła się i spojrzała na niego.

- Teraz rozumiem. Twoja złość na mnie bierze się stąd, że jesteś, panie, dżentelmenem i nie chciałeś zasiadać do kolacji beze mnie. Obiecuję, że jak najszybciej zejdę na dół. Tylko się przebiorę.

Hrabia w tym momencie szczerze żałował, że w hallu nie ma nic takiego, co można by kopnąć. Stały tu jedynie dwa pięknie rzeźbione, masywne siedemnastowieczne krzesła. Na pewno znacznie cięższe od niego.

Zdażył wychylić tylko jeden kieliszek brandy, kiedy Arabella weszła do Aksamitnego Pokoju. Była jak zwykle w czerni, ale sprawiała wrażenie, jakby całe popołudnie spędziła na drzemce. Świeża, wypoczęta i pełna życia. Tchnęła przy tym niewinnością i szczerością. Ha, on i tak dobrze ją zna. Nie da się nabrać. Szkoda tylko, że ujrzał jej piersi i biodra tak wyraźnie odznaczające się pod mokrą suknią. Wolałby trzymać tę piekielnicę na dystans. Ożeni się z nią, musiał ożenić się z nią, ale poza tym nie chciał się w nic angażować.

Na razie był odporny na nią, przynajmniej odporna była większa część jego ciała. Jej posepna czarna, żałobna suknia była już trochę niemodna. Za to te włosy! Opadały na plecy mokrymi falami, grube i lśniące. Przytrzymała je cienka, czarna wstążka, przewiązana przez czoło. Ręce aż rwały się, żeby do- tknąć tych włosów. Ach, okręcić je wokół dłoni i przyciągnąć ją wolno do siebie, aż oprze się piersiami o jego tors.

To i tak by się nie udało.

- Mam nadzieję, że nie będziemy musieli wzywać doktora Branyona, żeby ci coś przepisał.

W jego głosie zabrzmiało rozdrażnienie, co wydało się jej dziwne. Zły dlatego tylko, że zje kolację trochę później? Uśmiechnęła się do niego, ponieważ uwielbiała takie złości, zwłaszcza jego złość sprawiała jej przyjemność.

- Cieszę się takim samym dobrym zdrowiem, jakie miał zawsze mój ojciec - powiedziała, najwyraźniej w doskonałym humorze. Podeszła blisko miejsca, w którym stał, obok kominka. Zatrzymała się dopiero, gdy znalazła się tuż przy nim. O co jej chodzi? Czy bawi się w drażnienie niedźwiedzia? Hrabia zaniepokoił się nieco. Nie, na pewno nie da się jej przestraszyć.

Sęk w tym, że nic zachowywała się wcale tak jak przez cały ostatni tydzień. Zamiast unikać go, podeszła aż do tego miejsca, w którym stał. Odwrócił się i ruszył w stronę drzwi. Przejdzie zatem do jadalni. Sensowne posunięcie, skoro narzekał, że przez nią opóźnia się kolacja.

- Justinie?

Odwrócił się błyskawicznie i spojrzał na nią z niedowierzaniem. Chyba się przesłyszał. Czemu ona się tak dziwnie zachowuje? Powiedział:

- Przecież miałaś się zwracać do mnie per pan.

- Owszem, dotąd tak było. Pomyślałam sobie jednak, że może nie miałbyś nic przeciwko temu, abym mówiła ci po imieniu.

- Znamy się dopiero nieco ponad tydzień. Nie zaprzyjaźniliśmy się ani nie jesteśmy ze sobą na tyle blisko, żeby to było stosowne. Nie, wołę, żebyś mówiła mi „pan”. - Wtedy ku swemu zdumieniu ujrzał, jak przesuwając językiem po dolnej wardze. Bardzo ładnej, pełnej wardze, jak to zauważył, w dodatku teraz wilgotnej.

- Właśnie staram się z tobą zaprzyjaźnić. Może więc zmienisz zdanie? Na przykład po kolacji?

Potrząsnął głową.

- Ty nie możesz być Arabella Deverill - rzekł stanowczo. -Może jesteś jej siostrą bliźniaczką trzymaną dotąd w ukryciu na strychu, pod jednym z tych czterdziestu szczytów.

- Nie, ona nadal tam jest, w okowach. Czy słyszałeś, jak wyje? Nie, nie mogłeś jej słyszeć. Księżyc jest teraz na nowiu, a biedactwo wyje tylko przy pełni. - Uśmiechnęła się do niego bezczelnie. - A teraz, panie, proszę, zechciej usiąść. Mamy ważne sprawy do omówienia.

- Jakie ważne sprawy? - spytał, nie drgnąwszy nawet. - Nie, nie mów nic. Jeżeli twierdzisz, że są jakieś ważne sprawy dotyczące nas obojga, może to znaczyć tylko jedno. Pamiętaj, że kobieta nie zaleca się do mężczyzny. Poza tym nie będę rozmawiał z tobą o niczym istotnym, dopóki nie zjem kolacji. - Przy tych słowach gwałtownie szarpnął sznur od dzwonka.

Ojciec zawsze mówił, że żołądek jest bardzo ważny dla mężczyzny. Nie najważniejszy... w końcu nigdy mi nie powiedział, co jest najważniejsze... ale mimo to mam nadzieję, że będziesz w lepszym humorze z pełnym żołądkiem. Spojrzał na nią podejrzliwie. Nie wie, co najważniejsze... Ożeni się z nią, powiedzie ją do łóżka i wtedy przynajmniej skończy się ta przeklęta niewinność.

- A, jesteś, Crupper. Każ lokajowi przynieść kolację tutaj. Lady Arabella nie ma

ochoty iść do jadalni. Za daleko.

Parę minut później hrabia z powątpiewaniem spoglądał na pieczeń wieprzową z zielonym groszkiem.

- Zgodnie z dyspozycją lady Arabelli, milordzie - powiedział Crupper. Zapach był cudowny.

- Zadysonowałaś to? Skinęła głową.

- Nie jestem zbyt wielkim amatorem pieczeni wieprzowej, Crupper. Czy jest coś innego?

- Oczywiście, są też inne potrawy - powiedziała Arabella. - Ale w czwartki kucharka zawsze przyrządza dla mnie pieczeń wieprzową.

- Tam do licha, zostaw tę piekielną pieczeń, Crupper. Niepotrzebne będą inne dania. To nam w zupełności wystarczy.

Język jego lordowskiej mości stał się ostatnio zdecydowanie mniej elegancki. Lady Arabelli zdawało się to nie przeszkadzać, więc Crupper zdecydował, że jemu również nie będzie. Mnóstwo zmian zaszło w Evesham Abbey. Nastąpiły trudne czasy dla każdego. Jeżeli hrabia miał ochotę przeklinać, to prawdopodobnie tak będzie najlepiej dla wszystkich. Lepiej, niż gdyby miał rzucać przedmiotami. Im starszy robił się Crupper, tym trudniej przychodziło mu uskakiwanie w porę, a musiał to robić wiele razy za poprzedniego hrabiego.

Wycofał się z ukłonem i dopiero stojąc w drzwiach, przekazał wiadomość:

- Przyjechał służący z Talgarth Hall, milordzie. Lady Anna i lady Elsbeth postanowiły zostać na kolacji, żeby nie wychodzić na taki deszcz.

Justin pomyślał, że będzie z nią sam. Po raz pierwszy. Ciekawe, czy ona znowu spróbuje uciekać. Może i nie, biorąc pod uwagę jej dziwne zachowanie, odkąd zesłała na dół. Przypomniawszy sobie, żeby powiedzieć:

- Dziękuję, Crupper.

Przez następne dziesięć minut nie padło ani jedno słowo. Wreszcie Arabella spytała:

- Czy pieczeń odpowiada ci, panie?

Jadł jak wygłodniały wilk, więc nie mógł powiedzieć, że ta przeklęta wieprzowina mu nie smakuje.

- Znośna - rzekł i wziął kolejny, potężny kęs. Potem odłożył widelec na talerz i oparł się wygodnie, z rękami złożonymi na piersi. Oddał jej przewagę, choć to właściwie ona sama ją sobie wzięła i już nie oddała. Teraz ona była panią sytuacji. Nie mógł się nie uśmiechnąć. Już kiedyś, przy jakiejś okazji, wydało mu się, że ona jest cudowna. Nie pozostało mu więc nic innego niż przyznać to w duchu raz jeszcze.

- Czy długo robiłaś próby przed dzisiejszym wieczorem?

- Nie wiem, o co ci chodzi.

Wiedziała doskonale, a on wiedział, że ona wie. Rzekł spokojnie:

- Unikałaś mnie, chowałaś się w mysiej dziurze, kiedy tylko próbowałem się do ciebie zbliżyć. Można to logicznie wytłumaczyć jedynie tym, że wykorzystywałaś ubiegły tydzień na przygotowanie dzisiejszego przedstawienia. Czy już zdecydowałaś się, jak masz zamiar ze mną postąpić?

Grał z nią uczciwie, ale ona jeszcze nie była gotowa. Nie mogła poddać się tak łatwo. Wolno odłożyła widelec i odchyliła się w krzesło, naśladując jego ruchy i przechylając głowę na bok.

- Wiesz, panie, ten dołeczek w twojej brodzie jest całkiem przyjemny. Długo zastanawiałam się, czy kiedykolwiek dostrzegę w nim coś niezwykłego, i okazało się, że tak właśnie się stało. Jest ci bardzo do twarzy z tym dołkiem, panie.

- Widzę, że przesłałaś, pani, do ataku. Dobrze. Może zatem miałabyś ochotę przyjrzeć się memu uroczemu dołkowi z bliska? - Zamilkł na moment i potem dodał: - A poza tym, jeśli sama tego nie zauważyłaś, to informuję, że są też inne fragmenty mojej osoby, które, mam nadzieję, uznasz za równie interesujące.

- Ufam, że ty też nie będziesz zawiedziony, panie.

- Od kiedy ujrzałem cię przemoczoną, w sukni przylegającej do ciała, pani, pewien jestem, że się nie rozczaruję. Jednakże należę do ludzi, którzy wolą konkretne dowody od jałowych domysłów.

Chciał wprost, będzie miał wprost. Aż się zdziwi.

- Ach tak, rozumiem. To znaczy wolałbyś, bym zdjęła suknię?

- To byłby doskonały początek, ale wątpię, czy właśnie to powinniśmy robić dziś wieczorem. Daj spokój, pani, dosyć tych potyczek. Siądźmy przy kominku i porozmawiajmy o ważnych sprawach, o których wspomniałaś. Poprowadził ją do niewielkiej sofy. Sam usiadł tuż przy niej. Chyba za blisko, ale trudno.

Odwróciła twarz w jego stronę i spojrzała mu prosto w oczy.

- Postanowiłam, że wyjdę za ciebie.

- Mówisz to tak bez żadnych wstępów - rzekł, biorąc jej dłoń i przyglądając się jej palcom. - Żadnego ostrzeżenia, delikatnego sygnału, że masz zamiar wytoczyć najcięższe działo? Czy uwierzysz mi, jeśli ci powiem, że właśnie uczyniłaś mnie najszcześniejszym człowiekiem na świecie? Nie, widzę, że mi nie wierzysz. Ja sam bym na twoim miejscu nie bardzo wierzył.

- To nie ma nic wspólnego ze szczęściem, panie. Dlaczego przyglądasz się moim palcom i bawisz się nimi? To tylko palce.

- Masz wyjątkowo piękne palce. Przynajmniej jeśli chodzi o ręce, nie jesteśmy do siebie podobni. Bardzo miłe masz, pani, dłonie, zupełnie inne niż ja. A zatem twoim zdaniem nie czeka nas szczęście?

- Wiesz doskonale, dlaczego musimy się pobrać. Jestem gotowa odegrać moją rolę. Czy zechcesz zagrać swoją?

- Role. Ciekawe słowo. Będziemy mieć wiele ról do odegrania, pani, jeśli się pobierzemy. Czy jesteś gotowa przyjąć mnie także jako mężczyznę, a nie tylko jak człowieka, który przypadkiem zamieszkał z tobą pod jednym dachem?

- Co masz na myśli, panie?

Podniósł jej rękę do ust i pocałował każdy palec z osobna.

- To dopiero wstęp, pani. - Przyciągnął ją bliżej i pocałował w usta. Nie był to namiętny pocałunek, zaledwie muśnięcie. Mimo to szarpnęła się do tyłu. Długo spoglądał w jej szare oczy. Palcem lekko dotknął jej brody i przesunął wzdłuż policzka. - Nikt cię nigdy nie całował, pani?

Potrząsnęła głową. Włosy już wyschły, były lśniące i czarniejsze niż grzech śmiertelny. Patrzyła na niego, na jego usta, potem na swoją rękę, którą trzymał w dłoni, i na palce, które całował.

- To nie wszystko. Jest znacznie więcej. Może uznasz to za równie odstręczające. Ale w tych sprawach nie powinno się niczego przyspieszać. Czy chcesz pocałować mnie znowu?

Skinęła głową.

- Dobrze.

Tym razem to ona przysła do niego. Płasko rozłożone dłonie oparła na jego piersi, ale nie odpychała go, nie, po prostu opierała ręce. Jedną trzymała na jego sercu, a on wiedział, że ręka ta wyczuje przyspieszone bicie. Pocałował ją znów, też lekko, nie wymuszając niczego. Dotknął językiem jej dolnej wargi, tej, którą przedtem polizała. Aż podskoczyła. Ujął jej twarz w swoje duże dłonie. Gorąco zapragnął położyć ją przed sobą, zedrzeć z niej suknię i sycić wzrok. Mógł sobie jedynie wyobrażać, jak bardzo musi być piękna. Chciał ją całować, wsunąć rękę w miękkie wnętrze jej ud. Delikatnie rozchylił językiem jej wargi.

Nie drgnęła tym razem. Jeśli się nie mylił, a raczej nie, to była tym wszystkim zainteresowana, a jej ciekawość jeszcze się w tym momencie wzmogła. Wsunął ręce w jej włosy, zaplątał palce w długie pasma, owinał ciemnymi splotami dłonie, przyciągał ją bliżej i bliżej, aż twarde piersi dotknęły jego torsu, a dziewczęce dłonie po chwili drżącej

niepewności powędrowały na jego plecy.

- To właśnie miałem na myśli, mówiąc o rolach - szepnął prosto w jej usta. - Cała sztuka odegra się dopiero wtedy, kiedy się połączymy. Wyjdź za mnie jak najszybciej, pani, inaczej spalę się w moim pragnieniu.

Podniosła głowę. Nie powiedziała ani słowa, co było dla niego dużą niespodzianką, gdyż odkąd ją znał... krótko, naprawdę krótko... zawsze była szorstka i niegrzeczna, gotowa wojować z każdym, a zwłaszcza z nim. Dotknęła czubkiem palca zagłębienia w jego brodzie. Obwiodła je dookoła. Przyjrzała mu się.

- Role... - powtórzyła, pochylając się i całując tę brodę. -Te, które poznałam do tej pory, podobają mi się.

- To dobrze.

- I podoba mi się też twój frak, panie. Czy szył go Weston? To był krawiec jej ojca.

- Tak - odparł i dalej pieścił jej miękkie, czarne jak noc włosy.

Oparła czoło o jego brodę. Wzięła kilka głębokich oddechów i wreszcie powiedziała głosem zaledwie odrobinę głośniejszym niż szept:

- Tak się bałam... To nie był zwykły lęk, ale prawdziwy strach... mój świat się zawalił. Wiem, że nie traktowałam cię dobrze, przyznaję. Byłam prawdziwą jędzą przynajmniej zanim postanowiłam trzymać się z dala od ciebie. Dużo nad tym ostatnio myślałam i doszłam do wniosku, że może jednak nam się uda i że to będzie dobre małżeństwo. Chcę odegrać moją rolę. Co o tym myślisz, panie?

Roześmiał się, pocałował ją i przyciągnął do siebie.

- Myślę, że odtąd życie będzie naprawdę ciekawe. Weźmy ślub, pani, i to jak najszybciej. Ja też postaram się odegrać wszystkie moje role.

- Może przypieczętujemy naszą zgodę? Czy możesz pocałować mnie jeszcze raz? Naprawdę nie mam nic przeciwko temu.

Hrabia sam miał na to wielką ochotę. Była tak blisko, tak bardzo blisko, jej usta tuż obok. Tym razem nauczył ją rozchyłać wargi dla niego...

- Do diaska! - zaklął i odsunął ją gwałtownie od siebie, bo właśnie w tym momencie drzwi się otworzyły i do pokoju weszły roześmiane lady Anna z Elsbeth, obie w płaszczach lśniących od deszczu. W ślad za nimi wkroczył Crupper.

- Leje jak z cebra - oznajmiła lady Anna, wręczając Crupperowi mokry płaszcz. - Może trzeba było zostać w Talgarth Hall, ale obie z Elsbeth chciałyśmy wracać do domu. O, tutaj kazaliście podać kolację. Ale jakoś strasznie mało zjedliśmy. Ledwo co skubnięte, a przecież...

Lady Anna zamilkła. Spojrzała najpierw na córkę, a potem na Justina.

Nietrudno było wyobrazić sobie, co tu zaszło przed ich powrotem, który najwyraźniej nastąpił nie w porę. Arabella miała czerwone policzki. Jej piękne czarne włosy jeszcze przed chwilą rozkoszowały się pieszczotą dłoni mężczyzny.

Hrabia wstał. Jego pożądanie zniknęło w okamgnieniu, Bogu dzięki.

- Anno, Elsbeth, witamy - powiedział. - Może napijecie się herbaty?

Lady Annie chciało się śmiać. Tylko zażenowanie córki powstrzymało ją przed niewczesną wesołością. Zauważyła, że Elsbeth zmieszała się. Patrzyła na swoją przyrodną siostrę i widać było, że już, już gotowa jest zadać jakieś pytanie.

- Elsbeth, kochanie - powiedziała szybko lady Anna. - Myślę, że nie zaszkodzi, jeśli na chwilę udamy się do naszych sypialni.

Nie wyglądało na to, żeby Elsbeth chciała wyjść. Najwyraźniej miała ochotę zostać i porozmawiać. Hrabia powiedział:

- Widzę, że obie porządnie zmokłyście. Zobaczymy się zatem rano.

- Nie - rzekła lady Anna, a w jej głosie dźwięczał tłumiony śmiech. - Myślę, że zejdziemy na dół i wypijemy wspólnie herbatę. Za pół godziny, Justinie?

Miał wielką ochotę zakląć, ale nie zrobił tego. Chciał porwać Arabellę na strych i pokazać jej coś więcej z obiecanych ról, więcej przynajmniej, niż sobie dotąd wyobrażała. Tymczasem jedynie westchnął i rzekł:

- Tak, za pół godziny.

Nigdy nie przyszłoby mu do głowy, że lady Anna może spletać takiego figła. Aha, i jeszcze świetnie się tym bawić. Nie odważył się pocałować Arabelli w ciągu tej półgodziny. Bał się, że nie ochłonałby w porę.

Po powrocie pań do Aksamitnego Pokoju hrabia podał im kryształowe kieliszki napełnione szampanem i oznajmił:

- Anno i Elsbeth, życcie nam dużo szczęścia. Panna Arabella uczyniła mi ten zaszczyt, że przyjęła moje oświadczenia.

- Och! - wykrzyknęła Elsbeth. - Więc dlatego wydawaliście się tacy... no, może niezupełnie dziwni, ale trochę jakby nieprzytomni. Odniosłam wrażenie, że chcecie wysłać lady Annę i mnie w podróż na Księżyc.

- Cóż, przyznam uczciwie, że tak było - rzekł hrabia. - Ale widzisz, tak właśnie zachowują się ludzie, kiedy postanowią sobie, że się pobiorą. Marzą o tym, żeby rodzina trzymała się jak najdalej.

- Święta prawda - przyznała lady Anna. - I będziemy się trzymać z dala, ale jeszcze

nie teraz. - Roześmiała się dźwięcznie i podniosła kieliszek. - Za wasze zdrowie i za wasze szczęście, moi kochani!

- Jesteśmy zatem wszyscy zgodni. Ślub odbędzie się w przyszłą środę. Czy tak, pani?

- Trzymał ją za rękę, lekko ściskając jej chłodne palce.

- Dobrze, panie. Ale to zaledwie sześć dni. - Urwała, odwróciła wzrok i spojrzała w przestrzeń.

- O co chodzi, pani?

- Nie mogę iść do ślubu w czerni. Co mam włożyć?

Zobaczył, że jej oczy lśnią od łez, i szybko zwrócił się do lady Anny:

- To racja. Co powinna włożyć, Anno?

- Włóżysz suknię z jasnoszarego jedwabiu, Bello. I perły. Tak, to będzie stosowny strój.

- Tak - odrzekła Arabella. Przełknęła ślinę i szybko wstała.

- Jakże się cieszę, Arabello! - powiedziała Elsbeth. Zniżyła głos i pochyliła się do ucha siostry, szepcząc: - Lady Anna zapewnia mnie, że hrabia jest miły. To nie znaczy, że sama tak nie uważam, oczywiście, ale ludzie bywają czasem dziwni, nie sądzisz? Czy naprawdę możemy do końca poznać innych? Prze- czuć, co kryje się w ich sercach? Jakie są ich myśli? Ale nie niepokój się, Arabello, on wygląda na miłego. Jeśli okaże się, że jest inaczej, to go po prostu zastrzel.

Arabella wybuchnęła śmiechem. Ojciec z pewnością byłby zachwycony starszą córką. Czemu tyle lat trzymał ją z dala od Evesham Abbey? Powiedziała do hrabiego:

- Zastanawiam się, panie, czy będziesz dla mnie miły. A może sam nie jesteś jeszcze tego pewien? Czy sądzisz, że powinnam liczyć się z najgorszym? A może lepiej przed ślubem wyczyścić broń i trzymać ją w pogotowiu na wszelki wypadek?

- Daj mi najpierw szansę, pani.

- Przemyślę to. A teraz chętnie udałabym się na przejażdżkę. Słońce świeci, warto skorzystać z tak pięknego dnia.

Drzwi biblioteki otworzyły się i do środka wszedł Crupper, sztywno wyprostowany z racji wieku i dostojęstwa. Chrząknął i oznajmił:

- Milordzie, lady Anno. Przed chwilą przyjechał pewien młody dżentelmen. Pozwolę sobie zauważyć, że bardzo cudzoziemski. Ale na pewno dżentelmen, nie kupiec czy sklepikarz.

- Bogu niech będą dzięki - rzekł hrabia z ledwo wyczuwalną ironią tak by nie urazić

starego sługi. - A jak bardzo jest cudzoziemski, Crupper?

- Trochę wcześniej jak na wizyty - orzekła lady Anna, spoglądając w stronę drzwi.

- Kim jest ten młody dżentelmen, Crupper? - spytał ponownie hrabia. Wstał i przeszedł za oparcie sofy, na której siedziała Arabella. Położył delikatnie dłoń na jej ramieniu.

- Nazywa się Gervaise de Trecassis, milordzie, i twierdzi, że jest kuzynem panny Elsbeth. To Francuz, milordzie. Naprawdę bardzo cudzoziemski. Przedstawił się jako hrabia de Trecassis.

- Wielkie nieba! - wykrzyknęła lady Anna, zrywając się z krzesła. - Myślałam, że cała rodzina Magdaleny zginęła podczas rewolucji. Elsbeth, ten pan musi być bratankiem twojej matki!

- Bratanek, hm? - rzekł hrabia. - W takim razie, naturalnie, Crupper, wprowadź pana de Trecassis.

Chwilę później do biblioteki wkroczył uderzająco przystojny młodzieniec. Nie był wysoki, zaledwie średniego wzrostu, szczupłej budowy ciała, elegancko ubrany w ciemnożółte spodnie i czarne, lśniące, wysokie buty. Włosy miał czarne jak noc, oczy niemal równie ciemne. Hrabia spoglądał to na młodego człowieka, to na Arabellę, ciekaw jej reakcji.

Uśmiechała się do hrabiego uprzejmie, ale od pierwszej chwili uznała, że to fircyk. A już na pewno inkrustowana drogimi kamieniami dewizka zegarka była bardzo pretensjonalna. Ciężkie pierścienie, jakie nosił, nadawały jego dłoniom kobiecy charakter. Szytywne kołnierzyka koszuli niemal dotykały jego gładko wygolonej brody. Przyjrzała się oczom młodzieńca - czarnym, tryskającym inteligencją i humorem, kryjącym w sobie jakąś tajemnicę i może odrobinę złośliwości - osadzonym pod delikatnymi czarnymi brwiami, i czarnym lokom w artystycznym nieładzie. Wyglądał olśniewająco i bardzo romantycznie. Ciekawe, czy lord Byron choć trochę przypominał kuzyna Elsbeth pomyślała. Jeśli tak, to rzeczywiście był przystojny.

- Hrabia de Trecassis - oznajmił Crupper, właściwie niepotrzebnie. Młody panicz, na pierwszy rzut oka niewiele starszy od Elsbeth, popatrzył kolejno na wszystkich z na wpół przepraszającym uśmiechem. Arabelli przyszła do głowy dziwna myśl, że gość wcale nie wygląda na dręczonego najmniejszym choćby wyrzutem sumienia. Nie, był pewien siebie i tego, że zostanie tu dobrze przyjęty. Jak nie przymierzając hrabia, którego jeszcze tydzień temu nie znała, a który wkrótce miał zostać jej mężem.

Lady Anna podniosła się z gracją i wyciągnęła rękę.

- To doprawdy wielka niespodzianka, drogi panie. Nie miałam pojęcia, że ktoś z

rodziny Magdaleny przeżył. Nie muszę chyba dodawać, jak wielka to dla nas radość.

Ku jej zdumieniu gość ujął jej dłoń i dotknął ustami na wzór francuski, czego w końcu - jak doszła po chwili do wniosku - należało się spodziewać, skoro był Francuzem.

- To ja mam prawdziwą przyjemność, milady. Błagam o wybaczenie za tak zuchwałe wtargnięcie podczas okresu żałoby, ale właśnie dowiedziałem się o śmierci hrabiego Strafford. Chciałem osobiście złożyć kondolencje. Mam nadzieję, że wybaczy mi pani to najście. - Mówił z lekkim, śpiewnym akcentem i natychmiast wszystkie panie wybaczyły mu „zuchwałe wtargnięcie”.

- Ależ bardzo nam miło - rzekła lady Anna.

- Czy mam przyjemność z nowym hrabią Strafford? - spytał Francuz Justina, kiedy już puścił dłoń lady Anny. Przez krótki moment obaj panowie mierzyli się uważnie wzrokiem. Wreszcie gospodarz odparł uprzejmie:

- Tak, jestem Justin Deverill, hrabia Strafford. Lady Anna powiedziała nam przed chwilą że pan jesteś kuzynem pierwszej żony świętej pamięci hrabiego.

Gość skłonił się.

- Mój Boże - rzekła lady Anna. - Zupełnie się zapominam.

- Drogi panie, pozwól, że cię przedstawię twojej kuzynce Elsbeth, córce Magdaleny, oraz mojej córce Arabelli.

Lady Anna wcale nie była zdziwiona tym, że czarujący młodzieniec został powitany przez zazwyczaj pełną rezerwy Arabellę uśmiechem, od którego pokraśniałyby nawet jej ukochane róże. Elsbeth skinęła tylko w milczeniu głową. Wycofała się, zostawiając siostrze dopełnienie ceremonii powitania.

- Nie jesteśmy wprawdzie spokrewnieni, panie - rzekła Arabella, patrząc na niego z właściwą sobie otwartością - lecz nie poczytuję wcale za rzecz niestosowną tego, że złożyłeś nam wizytę. Cieszę się, że mogę cię poznać, panie.

Francuz posłał jej czarujący uśmiech. Nie pocałował jej w rękę, tylko skłonił się nisko. Lady Anna pomyślała natychmiast, że rzeczywiście maniery ma nienaganne. Następnie gość zwrócił się do Elsbeth:

- A to moja droga kuzyneczka. Wielkie to szczęście dla mnie, że wreszcie mogę poznać ostatnią żyjącą osobę z naszej rodziny. Jesteś równie urodziwa, kuzynko, jak twoja matka. Masz taki sam słodki uśmiech i oczy równie ciepłe. Mój ojciec miał portret twojej matki. W dzieciństwie często mu się przyglądałem.

Nie ujął jej dłoni, tylko delikatnie położył jej ręce na ramionach i lekko pocałował w oba policzki. Twarz panny oblała się szkarłatem, ale Elsbeth nie cofnęła się. Patrzyła na niego

z wyrazem nabożnego lęku w oczach.

Gość odstepił od Elsbeth, uśmiechnął się promiennie do całego towarzystwa i rzekł, wyciągając w ich stronę ramiona:

- Jesteście, państwo, tacy mili dla mnie, obcego. Choć moja kuzyneczka jest jedyną moją prawdziwą krewną czuję się, jakbyśmy wszyscy byli rodziną. -

Tu spojrzął na zebranych wyczekująco.

Hrabia wyczytał z pełnych entuzjazmu twarzy dam, co teraz jako gospodarz powinien uczynić, i -jak zauważyła Arabella -może odrobinę za chłodno rzekł:

- *Monsieur*, zechce pan przyjąć zaproszenie do Evesham Abbey na jakiś czas, jeśli pilniejsze sprawy nie wzywają pana gdzieś dalej. Oczywiście, jeśli pan pozostanie...

- Miałem zamiar udać się z przyjaciółmi na polowanie do Szkocji - rzekł szybko Francuz, rozkładając ręce afektowanym gestem. Hrabia nie wiedząc czemu nabrał ogromnej ochoty, żeby go uderzyć. Ale zapewniam, milordzie, że pobyt w Evesham Abbey sprawiłby mi ogromną przyjemność. Z radością przyjmuję pańskie zaproszenie.

W tym momencie hrabia nabrał ostatecznego przekonania, że Francuza należałoby zastrzelić.

- Doskonale, zatem witamy w Evesham Abbey, panie -rzekła Arabella.

- Och, zechciej mi, pani, mówić: Gervaise. Niestety tytuł mój jest... że się tak wyrażę... pusty. Macie, państwo, przed sobą biednego emigranta, wypędzonego z domu przez tego przekłętą korsykańskiego parweniusza.

- Jakież to smutne! - odezwała się Elsbeth, a w jej oczach pojawiły się łzy.

Dobry Boże - pomyślał hrabia. Aż ciemno mu się zrobiło przed oczami ze zgrozy.

- Na szczęście udało mi się jakoś przeżyć. Postanowiłem sobie, że przetrwam, a następnie spróbuję odebrać, co moje, kiedy wreszcie ten Korsykanin przegra lub zginie. Masz duszę anioła, droga Elsbeth, że tak mi współczujesz. Jakże jesteś podobna do matki! Moja ciotka Magdalena była podobno prawdziwą boginią nie tylko nadzwyczaj piękną lecz także bardzo dobrą.

Z trudem hrabiemu to przyszło, ale opanował się jednak i nie parsknął głośno śmiechem. Jego czarne brwi uniosły się do góry, kiedy słuchał przymilnego tonu młodzieńca. Zdało mu się, że dostrzegł ledwo zauważalny błysk wyrachowania w lśniących ciemnych oczach, kiedy spojrzenie gościa padło na Elsbeth, i cynicznie pomyślał o dziesięciu tysiącach funtów. Francuz ubrany był jak bogaty, młody dandys. Ciekawe, czy wkrótce Evesham Abbey nie zaczną nękać różni kupcy, krawcy, szewcy i im podobni.

- Drogi chłopcze - rzekła lady Anna, lekko dotykając czubkami palców jego rękawa. -

Zbliża się pora lunchu. Zadzwoń na lokaja, żeby wniósł twoje rzeczy. Dzisiejsze popołudnie możemy spędzić na zawieraniu bliższej znajomości.

Francuz obdarzył ją chłopięcym uśmiechem, mającym - jak pomyślał oczywiście Justin - obudzić w lady Annie instynkt macierzyński. A kiedy pochylił się nad jej dłonią i wyszeptał: „Pokorny sługa pani”, hrabia znowu poczuł niesmak.

„Nim wieczór dobiegł końca, Justin doszedł do wniosku, że gość bynajmniej nie jest niczym pokornym sługą. Tymczasem zdawać się mogło, że wszystkie panie uległy bez reszty jego czarowi. Nawet Arabella sprawiała wrażenie, jakby akceptowała obecność gościa bez zastrzeżeń. Więcej razy uśmiechnęła się w obecności młodzieńca niż do niego od czasu jego przyjazdu. Nie podobało się to hrabiemu ani trochę.

W ciągu następnych kilku dni zaczął się poważnie zastanawiać, czy jeszcze jest zaręczony. Rzadko widywał Arabellę. Jeśli nie odbywała właśnie konferencji ze szwaczką i nie przymierzała sukni ślubnej w towarzystwie lady Anny, jeździła konno z Francuzem, łowiła z nim ryby, składała - także z nim - wizyty w sąsiedztwie i traktowała hrabiego - w końcu własnego narzeczonego - z całkowitą obojętnością. Jednak nawet w przyпыłwie największej wściekłości hrabia nie mógł zarzucić jej, że flirtuje z de Trecassisem. Musiał obiektywnie przyznać, że Arabella zachowuje się jak młoda kobieta, która pomału wychodzi z okresu żałoby, smutku i żalu po stracie ukochanego ojca. Wielokrotnie ze zdziwieniem przyglądał się, jak bardzo stała się wesoła i pełna życia. Szkoda tylko, że to nie on był sprawcą tej zmiany. Fakt, że Elsbeth towarzyszyła Arabelli we wszystkich wspólnych eskapadach, nie pomógł ani trochę. Hrabia odczuwał całą sytuację jako swoistą niesprawiedliwość. Ponieważ jednak był tu panem i gospodarzem, czuł się w obowiązku zachować spokój i opanowanie. W związku z tym często traktował całą trójkę jak pobłażliwy wujaszek. Czasami lady Anna ze zdziwieniem unosiła piękną brew, widząc jego zachowanie, a Arabella, czego się nie domyślał, aż zgrzytała zębami ze złości.

Jedynego sojusznika znalazł hrabia w doktorze Branyonie. To doktor któregoś wieczoru, kiedy lady Anna i trójka młodych grali w wista - Arabella z Francuzem w parze - powiedział spokojnym głosem:

- Niewątpliwie młody panicz wydaje się niegroźny, jednak dziwi mnie to, że zjawił się akurat teraz. To trochę podejrzane. Dlaczego nigdy o nim nie słyszeliśmy? Przecież poprzez swoje pierwsze małżeństwo hrabia został jego wujem. Czemu zwlekał z wizytą, dopóki wuj nie zmarł? Cokolwiek mnie to niepokoi, dlaczego zjawił się właśnie teraz.

Hrabia, obserwując jednocześnie, jak młodzian zręcznie przegrywa kolejkę do lady Anny, a Arabella jedynie się uśmiecha, rzekł wolno:

- Całkiem trafna uwaga, doktorze. Może należałoby się przyjrzeć bliżej wcześniejszym poczynaniom pana de Trecassis.

- Nie jest zbyt doświadczony, za młody na to. Spytałem go o wiek. Ma dwadzieścia trzy lata. Cztery lata młodszy od ciebie, Justinie. Mnie wydaje się chłopcem.

- Czy to znaczy, że ja przy nim wydaję się stary?

- Nie, skądże, ale ty jesteś dojrzałym mężczyzną. Wiesz doskonale, kim jesteś i czego chcesz. A jeśli chodzi o niego... -doktor Branyon wzruszył ramionami. - Chwilami zastanawiam się, czy mu o coś nie chodzi. A może on coś knuje? Szczerze mówiąc, nie podoba mi się to.

- I ten zniewalający kobiety urok. Zaczynam nabierać przekonania, że już taki się urodził. Jest w tym naprawdę dobry. Lepszy niż niejeden stary wyjadacz. Coś knuje, powiadasz, doktorze. Zobaczymy.

Francuz nagle wyrzucił ręce do góry w udawanej rozpacz i wykrzyknął:

- Elsbeth, przebiłaś atutem mego pika! Nie spodziewałem się tego, ale tak trudno jest mi się skupić, skoro jestem otoczony trzema pięknymi kobietami. Cieszę się, że udało mi się wygrać choć dwie kolejki.

- Był pan dość nieuważny, Gervaise - rzekła Arabella. Na ogół walczyła zażarcie, ale tym razem była spokojna i nawet się uśmiechała. - Gratuluję Elsbeth, mamó. Dobra rozgrywka.

- Ciekawe, czy dziś będzie herbata - mruknął szyderczo hrabia do doktora. Wstał wolno z miejsca, ze wzrokiem utkwionym w Arabellę. - Pani! - zawołał do niej. - Jesteśmy ogromnie spragnieni. Czy masz jakieś propozycje?

- Owszem - odparła, podchodząc do niego. Szła na palcach. - Zaczekaj do ślubu. Wtedy przedstawię ci niejedną propozycję.

- Pani, jestem zbulwersowany - rzekł z niezwykłym zadowoleniem.

- Dopiero będziesz zbulwersowany, panie.

- Dlaczego hrabia nie zwraca się do swej narzeczonej po imieniu? - spytał Francuz lady Annę.

- Bo nie są jeszcze małżeństwem - odparła lady Anna i mrugnęła porozumiewawczo do przyszłego zięcia.

Hrabia był mile zdziwiony następnego ranka, kiedy okazało się, że je śniadanie wyłącznie w towarzystwie Arabelli.

- Aa, jesteś panie! - wykrzyknęła na jego widok. - Prawdę mówiąc, miałam nadzieję, że cię zobaczę. Jak się dziś spało?

- Dziękuję, dobrze. Bogu dzięki, tym razem żadnych odwiedzin ze strony duchów. Dlaczego miałaś nadzieję, że mnie zobaczysz? - Usiadł na swoim miejscu i skinął na Cruppera.

- Nie widuję cię zbyt często od przyjazdu Gervaise'a. Widzę, że jesteś wypoczęty i wyglądasz na zadowolonego. To dobrze. A teraz wybac. Czas na mnie. Miło było cię widzieć, panie. - Szybko chwyciła kawałek grzanki, wypła pospiesznie łyk kawy i zerwała się z krzesła.

- Pani! Masz okruch grzanki na brodzie. Straciłaś resztki godności... jeśli w ogóle wiesz, co to takiego. I chyba nie chcesz, żeby pan de Trecassis pomyślał sobie, że jesz jak małe prosiątko.

Arabella dotknęła palcami brody, starła okruszki i powiedziała:

- Dzięki za dobre słowo. A teraz naprawdę muszę się śpieszyć. Nie chcemy wracać zbyt późno.

- A dokąd to dziś jedziecie? - W jego głosie zabrzmiało rozdrażnienie, choć bardzo starał się go nie okazywać. Wziął głęboki oddech, żeby się uspokoić. Arabella zatrzymała się i spojrzała na niego z czułością. Tak, z pewnością była to czułość, w każdym razie uczucie bardzo do niej zbliżone.

- Jedziemy z Gervaise'em, no i oczywiście z Elsbeth, obejrzyć rzymskie ruiny w Bury St. Edmunds.

- A mnie nie zaprosiliście? - Teraz podobny był do skamlącego psa. Pochyliła głowę, przyglądając mu się z zaciekawieniem.

- Przecież już widziałeś te ruiny, panie. Nie pamiętasz? Mówiłeś mi nie tak dawno, że zwiedzałeś okolicę przed przyjazdem do Evesham Abbey.

- Pani, przypominam ci, że za dwa dni jest nasz ślub. -Boże, tym razem zabrzmiało to jak wycie rannego psa.

- Raczej trudno by mi było o tym zapomnieć - powiedziała. - Jeśli zechcesz pojechać z nami, panie, jestem pewna, że Elsbeth i Gervaise nie będą mieli nic przeciwko temu. Ja tylko nie chciałam, żebyś się, panie, nudził, oglądając drugi raz to samo.

Hrabia wstał z krzesła, podszedł do narzeczonej i oparł lekko ręce na jej ramionach.

- To dlatego, że w ogóle nie miałem cię dla siebie przez te kilka ostatnich dni.

- Na ramionach poczuła pieszczotliwe dotknięcie jego palców. Podobało się jej to. Podniosła głowę w nadziei, że może zechce ją pocałować. Nie zrobił tego ani razu od tamtego wieczoru sprzed tygodnia. Wpatrując się w jego usta, powiedziała:

- Możesz mnie mieć dla siebie, jeśli tylko sobie tego życzysz. Czy mam dziś zostać w

domu?

- Nie. - W rzeczywistości chciał powiedzieć: tak. Chciał zanieść ją nad sadzawkę z liliami i tam okazać jej, jak szaleńczo jej pragnie. - Nie, pani, jedź z panem de Trecassis i z Elsbeth. Tylko nie zapominaj o mnie.

- Nie zapomnę. - Westchnęła i skryła twarz na jego ramieniu, obejmując go jednocześnie. - Tak miło się do ciebie przytulić, panie. Jesteś taki silny, mądry i twardy. - Już miała dodać, że zupełnie jak jej ojciec, kiedy przytulała się do niego, ale w ostatniej chwili zreflektowała się i uznała, że może nie na miejscu jest mówić takie rzeczy mężczyźnie, za którego ma się zamiar wyjść za mąż.

- Ty, pani, jesteś miękka, silna i mądra. Najbardziej lubię czuć twoje piersi na swojej własnej. - Jego słowa wprawiły ją w lekkie zażenowanie. Cóż, zasłużyła na to.

I zamiast zachowywać się jak zgorszona niewinna panienka, wspięła się na palce i pocałowała go we wgłębienie w brodzie. Przytuliła się do niego mocniej.

- Podoba mi się, jak twoje ciało napiera na moje, panie - zachichotała.

To podziałało nazbyt silnie. Odsunął ją.

- Lepiej idź albo zaraz położę cię na stole, pośród tych jajek i śledzi, i wtedy już nic mnie nie powstrzyma.

Bogu dzięki, że za niecałe czterdzieści osiem godzin jego żądza zostanie uświęcona przez Kościół i będzie mógł dochodzić praw należnych mężowi.

Przytuliła go raz jeszcze, pocałowała w brodę po raz drugi i wybiegła z pokoju.

Hrabia wrócił do śniadania. Starał się skoncentrować na krwistej poledwicy i nie myśleć więcej o rozkoszach czekających go w noc poślubną.

Zaplanował sobie wiele spraw, by czymś zająć umysł i ciało przez resztę dnia. Rano spotkał się z Blackwaterem, następnie zjadł lunch z lady Anną i doktorem Branyonem - obecnie, jak to zauważył, codziennym gościem w Evesham Abbey - a po południu pojechał rozmówić się z paroma dzierżawcami. Dzień miał się już ku końcowi, kiedy wrócił do domu i zaprowadził konia do stajni. Ponieważ było jeszcze dość jasno, postanowił dokonać inspekcji zabudowań gospodarskich. Krowy nie wróciły dotąd na wieczorny udój i tylko kilka kur leniwie grzebało w ziemi w wysypanej żwirem zagrodzie. Podeszedł do dużej piętrowej stodoły i zatrzymał się na chwilę, wdychając zapach świeżego siana. Ku swemu zdumieniu i radości ujrzał zbliżającą się Arabellę. Wolno otworzyła wrota i znikła we wnętrzu.

Stał przez kilka minut, walcząc ze sobą. Ciało koniecznie chciało iść za nią, umysł chłodno rozważał pułapki kryjące się w takim działaniu.

- Do diabła! - powiedział do kozy wpatrującej się z apetytem w jego but. Oczyma

wyobraźni widział Arabellę leżącą na wielkim stosie siana. Ujrzał samego siebie, jak pieści i całuje każdy kawałeczek jej ciała. W końcu to tylko dwa dni. I tak będzie jego żoną.

Ruszył z miejsca i nagle stanął jak wryty. Kątem oka dostrzegł jakiś ruch.

Odwrócił głowę i zobaczył pana de Trecassis, z rozwianymi połami eleganckiego fraka, zmierzającego wielkimi krokami w stronę stodoły.

Ogarnęło go niedobre przeczucie, którego w żaden sposób nie potrafił racjonalnie wytłumaczyć. Nie zawołał do Francuza, nie zdradził swojej obecności, nie wyszedł mu na spotkanie. Stał w miejscu, z oczami utkwionymi w młodego człowieka. Do tej chwili pogardzał nim tylko, ponieważ mu nie ufał, a odtąd szczerze i głęboko go nienawidził.

Francuz zatrzymał się na moment przed drzwiami stodoły, rozejrzał się ukradkiem dookoła, pchnął drzwi i, podobnie jak Arabella, zniknął w mrocznym wnętrzu.

Szybkim, wyćwiczonym w bojach ruchem hrabia sięgnął do boku, gdzie lata całe wisiała śmiercionośna szpada. Jego dłoń chwyciła powietrze, nie znajdując niczego prócz kieszeni. Zacerpnął tchu i stał bez ruchu, nie spuszczać ani na moment oka z wrót. Arabella była w stodole. Francuz tam właśnie wszedł.

Nie, to niemożliwe. Na pewno istnieje jakieś wytłumaczenie. I to tak dziecinnie proste, że pewnie śmiałyby się z samego siebie. Ale kiedy rozpaczliwie szukał w myślach jakiegokolwiek wyjaśnienia, czuł jedynie tępy ucisk w żołądku. Miał wrażenie, że oto bezpowrotnie utracił część samego siebie, bardzo ważną, cenną część, i w dodatku jeszcze nie do końca zrozumiałą i poznaną. Ale to, co mu przyszło do głowy, wcale nie musiało być prawdą. Na razie nie miał żadnych dowodów.

Czas płynął, ale hrabia zupełnie nie zdawał sobie z tego sprawy. Z łąki rozciągającej się zaraz za zabudowaniami gospodarskimi dobiegało natarczywe muczenie krów. Słońce szybko bladło, zalewając stodołę złotymi promieniami zmierzchu. Dzień zbliżał się ku końcowi jak każdy inny, ale hrabia tego nie widział, nie słyszał i nie czuł.

Ani na chwilę nie spuszczał oczu z ciężkich wrót. I w pewnym momencie otworzyły się nagle. Wyszedł z nich szybkim krokiem de Trecassis. Znów rozejrzał się dookoła jak ktoś, kto nie chce, by odkryto jego obecność. Gestem, który wprowadził hrabiego w najczarniejszy gniew, poprawił guzik przy spodniach, strzepnął z nogawek i z płaszcza źdźbła słomy, po czym ruszył dumnym krokiem w stronę Evesham Abbey.

Hrabia nadal stał bez ruchu, z oczami utkwionymi we wrota stodoły. Nie musiał długo czekać, bo kiedy ostatnie światło dnia ustąpiło wreszcie ciemnościom, drzwi się otworzyły i na dwór wyszła Arabella, z włosami opadającymi w nieładzie na ramiona, przystanąła na moment, przeciągnęła się ociężale, a potem odwróciła się i pomaszerowała w stronę domu,

nucąc coś pod nosem. Co kilka kroków pochylała się i strzepywała żdźbła słomy z sukni.

Zobaczył jeszcze, jak wesoło macha do parobków zaganiających krowy na wieczorny udój.

Przed oczami hrabiego przesunął się upiorny kalejdoskop wspomnień. Ujrzał nagle wyraźnie pierwszego człowieka, którego zabił w bitwie - młodego francuskiego żołnierza, na którego jasnym kubraku wykwitła purpurowa plama krwi po jego strzale. Ujrzał też pomarszczoną, wykrzywioną grymasem twarz sierżanta przebitego szpadą i zdziwienie malujące się w jego oczach w obliczu śmierci. Zebrało mu się na wymioty, zupełnie jak wtedy.

Nie miał żadnych romantycznych wizji zabijania; nauczył się, że życie jest zbyt cenne i zbyt kruche, żeby nim szafować w ogniu uczuć.

Odwrócił się i ruszył w stronę swego nowego domu. Ramiona miał uniesione, krok pewny, twarz spokojną. Ale w oczach - pustkę.

- Zebraliśmy się tu w dniu tak uroczystym, by w obecności Boga połączyć najświętszymi z ziemskich więzów dwoje jego dzieci, jego lordowską mość Justina Morleya Deverilla, dziesiątego barona Lathe, dziewiątego wicehrabiego Silverbridge, siódmego hrabiego Stratford, oraz lady Arabellę Elaine Deverill, córkę świętej pamięci hrabiego Strafford.

Ciągle miał przed oczami widok Francuza zapinającego spodnie po wyjściu ze stodoły. A poprzedniego dnia była taka słodka, całowała go, mówiła z nim śmiało, tuliła się do niego. Może już wiedziała dokładnie, co robią mężczyzna i kobieta? Nie mógł znieść tej myśli.

Arabella podniosła oczy i spojrzała na pięknie rzeźbiony profil pana młodego... Gorąco pragnęła, by spojrzał na nią, ale on nie zrobił tego. Jego szare oczy wpatrywały się uparcie w twarz pastora. Poprzedniego wieczoru sprawiał wrażenie, jakby był myślami zupełnie gdzie indziej. Był nieobecny duchem, wręcz chłodny w stosunku do niej. Stłumiła uśmiech, tłumacząc to sobie jego zdenerwowaniem całym tym małżeństwem albo obawą przed zbliżeniem się do niej, gdyż tak bardzo jej pragnął. A tymczasem ona nic nie miałaby przeciwko kilku więcej pocałunkom przed ślubem. Z największą radością usłyszałaby raz jeszcze, że Justin pragnie poczuć, jak jej piersi przywierają do niego. Aż dreszcz ją przeszedł na samo wspomnienie. Tej nocy miała otrzymać o wiele więcej. Co dokładnie to znaczyło, tego nie była pewna, ale gotowa się była o tym przekonać.

- Jeżeli ktoś z obecnych wie o przeszkodach, dla których małżeństwo to nie może być zawarte, niech wyjawi je teraz.

Spotkała się z Francuzem w stodole i przyzwoliła, by ją posiadł. Na zimno i z rozmysłem zdradziła go. Chciał zabić oboje i nie zrobił tego. Stawka była zbyt wysoka.

Miała słomę we włosach, jej suknia była w nieładzie, a ona sama pogwizdywała wesoło. Najwyraźniej była zachwycona. Ach, zabić oboje! I to tego samego dnia, kiedy była tak miła i swobodna wobec niego, taka otwarta. A on myślał, że to jego pragnęła!

Lady Anna poczuła lekki ucisk w gardle i szybko przełknęła ślinę. Zawsze krzywiła się na matki płaczące rzewnymi łzami na ślubach córek, choć zazwyczaj to one same robiły, co mogły, żeby do ślubu doprowadzić, kusząc między innymi często pana młodego dużymi sumami pieniędzy. Ale kilka łez z pewnością wypada uronić. Poza tym nie mogła się powstrzymać. Arabella wyglądała tak pięknie, tak bardzo przypominała swego ojca, podobnie

jak Justin. Ach, na szczęście nie była taka jak ojciec. Nie, to dobra, miła i stanowcza dziewczyna, choć uparta jak kozioł. Miała wszystkie cechy, jakich matka mogłaby sobie życzyć u córki. Kolejna łza spłynęła po policzku.

Pastor powiedział cicho:

- Skoro nikt nie zgłasza sprzeciwu, przystępujemy do dalszej części ceremonii. Milordzie, proszę powtarzać za mną: ja, Justin Morley Deverill, biorę sobie ciebie, Arabello Elaine...

Chciał udusić się tymi słowami. Nie, wolałby ją udusić. Dziwne jednak było to, że nie spojrzała ani razu w stronę tego przeklętego Francuza, kiedy przed ceremonią weszła do salonu. Wyglądała olśniewająco pięknie w ślubnej sukni z jasnoszarego jedwabiu. Włosy miała splecione i podpięte do góry. Błyskały w nich wysadzane brylantami grzebyczki. Kilka loków opadało swobodnie na białe ramiona.

Dlaczego nawet nie spojrzała na swego gacha? Jak szybko zgodziła się zostać jego kochanką? Pierwszego dnia po jego przyjeździe? Nie, to wydawało się mało prawdopodobne. Chyba odczekała przynajmniej trzy dni, nim oddała mu się w stodole. A więc prawie tydzień temu. Tydzień.

I to zaraz potem, jak powiedziała, że zostanie jego żoną. Zdrada dławiała go bezlitośnie. Wyda ją tu i teraz, wyjawি prawdę, niech wszyscy wiedzą że jest ladacznicą i to w dodatku podłą. Otworzył usta. Nie, nie może tego zrobić. Nie wyrzeknie się Evesham Abbey, nic wyrzeknie się swego rodu.

- Ja, Justin Morley Deverill, biorę sobie ciebie, Arabello Elaine, za żonę...

Mówił cicho, ale i tak jego głos zabrzmiał dziwnie szorstko w uszach Arabelli. Patrzyła na niego, kiedy wymawiał te słowa, i pragnęła, żeby zwracał się przy tym do niej, ale on mówił w przestrzeń. Spoglądał ponad nią ani przez moment nie spojrzał wprost na nią. Był wyższy niż ojciec. Bardzo się to jej podobało. Tylko dlaczego na nią nie patrzy?

Lady Anna poczuła, jak do oczu napływają jej łzy. Nic chciała tego, ale cóż...

Jej jedyna córka wychodzi za mąż. Będzie odtąd dorosłą kobietą. Wygląda nad wyraz pięknie. Jest tak bardzo podobna do swego ojca i do przyszłego męża. Te szare oczy, te lśniące czarne włosy. Oj, nie zanosilo się na wnuczeta z jasnymi włosami i niebieskimi oczami, podobne do babki.

Justin był wspaniałym mężczyzną, silnym, przystojnym, dobrze zbudowanym. Arabella na pewno go pokocha. Trzymał się prosto i pewnym głosem powtarzał słowa przysięgi. Od pięciu lat wiedział, że poślubi Arabellę. Nigdy nie zawahał się, nigdy nie zwątpił, jak dalece lady Anna była zorientowana. Zmarły mąż ani razu nie wspominał, by

Justin kwestionował jego decyzję. Zastanawiała się, czy Justin ma jakieś wątpliwości teraz, kiedy nadszedł oczekiwany dzień. Nie, to raczej nie wchodziło w rachubę. Gra toczyła się o zbyt wysoką stawkę. Poza tym widziała, jak tych dwoje spogląda na siebie.

Mieli więcej szczęścia niż większość małżeństw. Nie, to coś więcej niż zawarty z rozsądku układ. Lady Anna uśmiechnęła się, przysłaniając usta dłonią obciągniętą elegancką rękawiczką. Tej nocy, kiedy obie z Elsbeth wróciły niespodziewanie z Talgarth Hall, w oczach Justina płonęło pożądanie. Wszystko będzie dobrze.

- W obecności Boga, w świetle Jego praw i przykazań wzywam cię teraz, Arabello Elaine Deverill, byś powtarzała za mną...

Elsbeth z uwagą słuchała hrabiego składającego przysięgę głosem dźwięcznym, jednak brzmiącym nieco dziwnie, inaczej niż zwykle. Zauważyła, że Arabella patrzyła na niego, kiedy wymawiał te słowa, a na jej ustach pojawił się uśmiech. Radosny uśmiech. Elsbeth też się uśmiechnęła.

Zdradziła go. Z premedytacją zdradziła go z tym żalonym Francuzikiem.

Śmiało doń przemawiała, a on wierzył w jej niewinność, uczciwość, szczerłość.

A tu nic z tego. Chciało mu się wyć z bólu. To było niemal nie do zniesienia. Arabella przysięgała głośno i dźwięcznie:

- Ja, Arabella Elaine, biorę sobie ciebie, Justinie Morleyu Deverill, za męża i ślubuję ci miłość, wierność i posłuszeństwo...

Posłuszeństwo... Na to słowo lady Anna zareagowała w sposób szczególny. Niemalę ustępstwo ze strony mojej samowolnej, niezależnej córki - pomyślała.

Usłyszała siebie powtarzającą takie same słowa skierowane do innego hrabiego Strafford, zupełnie jakby to było zaledwie przed chwilą. Głos miała niepewny, drżący i ledwo ją było słyszeć w ogromnej katedrze. Wiedziała, że bezwzględny ojciec, markiz Otherton, zabiłby ją, gdyby nie wyszła za człowieka, którego dla niej wybrał.

Posłuszeństwo.

Mąż cisnął w nią tym słowem podczas nocy poślubnej, kiedy cofała się ze wstrętem przed jego bezceremonialnym uściskiem. Posłuchała, uległa, a strach i ból czyniły jego wymagania jeszcze trudniejszymi do zniesienia. Zawsze poddawała się, wiedząc, że nie ma wyboru, a on - jeśli nie przeklinał jej za to, że biernie leży pod nim - brał odwet na jej ciele inaczej, często w sposób tak okrutny i bezwzględny, że noce stały się jednym wielkim koszmarem. Szkoda, że ojciec nie umarł przed ślubem, do którego ją zmusił, lecz został zrzucony przez własnego wierzchowca dopiero dwa tygodnie potem, jak ona została hrabiną Strafford.

Życie wydawało się jednym pasmem nieszczęść. Nienawidziła męża bardziej, niż to się jej w ogóle wydawało możliwe, ale przynajmniej dał jej Arabellę. Gdyby znieawdził swą drugą córkę, tak jak nienawdził Elsbeth, pewnie doprowadzona do ostateczności zabiłaby go. Ale on uwielbiał Arabellę, kochał ją ponad własne życie. Jakie to dziwne - taki despota i tyran, który nade wszystko w świecie pragnął syna.

Lady Anna oderwała się od tych wspomnień akurat w dobrym momencie, by zobaczyć, jak po króciutkiej chwili wahania - dziwne! - Justin wsuwa złotą obrączkę na palec Arabelli.

Nuciła. Wyraźnie słyszał jej głos, pogodny i pełen zadowolenia. Nuciła, gdy wyszła ze stodoły. Nuciła, wyjmując źdźbła słomy z włosów. Nuciła, poprawiając suknię. Wyraźnie zobaczył, jak schyla się nisko i wyciąga źdźbło z pantofla. Zdradziecka dziewczka.

- Mocą nadaną mi przez Kościół anglikański ogłaszam was mężem i żoną.

Pastor spojrział z promiennym uśmiechem na młodą parę i szepnął do hrabiego:

- Szczęśliwy człowiek z pana, milordzie. Lady Arabella to wielka piękność. Możecie teraz, panie, pocałować pannę młodą.

Hrabia zacisnął szczęki. Teraz musiał spojrzeć na nią. Była jego żoną. Na zawsze. Przemógł niechęć, pochylił się nad nią i musnął wargami jej usta. Boże, jakie miękkie, wilgotne, chętne! Wszetecznicą. Promienny wyraz jej twarzy przyprawił go o mdłości. Starła się zatrzymać jego usta choć przez chwilę dłużej na swoich i uśmiechnęła się do niego zalotnie, a on gwałtownie oderwał się od niej. Odwrócił się szybko i zaczął uporczywie wpatrywać się w złoty krzyż widoczny za plecami pastora.

Lady Anna modliła się cicho, żeby Justin był delikatny dla Arabelli. Po chwili na jej ustach pojawił się smutny uśmiech.

Tego popołudnia krzątała się przy córce, pokazywała jej po kolei różne części nowej garderoby, ale Arabella prawie wcale nie zwracała na to uwagi. Strofowała ją więc za ten brak zainteresowania, a kiedy pokojówka wytarła córce mokre włosy, pomyślała, że czas, by wypełnić obowiązki matki. Podenerwowana odprawiła służącą i zbliżyła się do córki.

- Moja kochana - zaczęła wolno - dziś wieczorem będziesz mężatką. Myślę, że powinnaś wiedzieć o tym, iż pewne rzeczy będą wyglądać całkiem inaczej niż dotąd. Justin będzie twoim mężem, a to oznacza wiele. Na przykład... Arabella przerwała jej wybuchem serdecznego śmiechu.

- Czy mama usiłuje opowiedzieć mi coś na temat nieuniknionej utraty dziewictwa?

O Boże!

- Arabello!

- Ach, mammo! Przykro mi, jeśli to wstrząs dla mamy, ale ojciec wyczerpująco opisał mi cały... nazwijmy to... proces. Papa nazywał to pożyciem. Nie boję się, mammo, naprawdę trudno mi wyobrazić sobie coś miłszego niż miłość z Justinem. Myślę, że będzie w tym dobry. Nie uważa mama? Dżentelmen powinien mieć doświadczenie i nabrać... cóż... wprawy przed ślubem. Jak mama myśli, chyba go nie rozczaruję? Kochana moja mammo, wiem natomiast bardzo niewiele o tym, jak się to wszystko odbywa. Może jest coś, co mogłaby mi mama powiedzieć, a co pomogłoby mi... hm... dać mu do zrozumienia, że w moich oczach jest piękny i że wcale się go nie boję.

Lady Anna nie wiedziała o niczym takim. Mężczyzna piękny? Może był piękny, ale bała się tak bardzo i tak szczerze go nienawidziła, że starała się przez cały czas mieć zamknięte oczy. Mężczyzna piękny? Nigdy do głowy by jej to nie przyszło. Może... Patrzyła na swą dorosłą córkę, bezradna i zagubiona. Ojciec wszystko jej powiedział? I to, że mężczyźni to dzikusy i brutale, których nic a nic nie obchodzi ból, jakiego doznaje kobieta? Nie, tego jej naturalnie nie powiedział. Opowiedział jej tylko o „procesie”. Łotr. To jest samo w sobie odrażające. A może powinna poważnie się nad tym zastanowić? Wyobraziła sobie doktora Branyona i zaczerwieniła się jak słońce zachodzące po burzy.

- Czy mama dobrze się czuje? Ach, widzę, że myśli mama, iż nie powinnam wiedzieć tego, o czym wiem. Przysięgam, że nie jestem upadłą kobietą, ale uważam to naprawdę za śmieszne, żeby kobiety miały nie mieć przyjemności z... pożycia. Myślę też, że wiele dziewcząt ma wpojone przekonanie, iż jest to najbardziej niemiły obowiązek... Cóż, wtedy zasługują na to, co mają. Wiem, że z mamą i z ojcem musiało być inaczej. My z Justinem też będziemy inni. Będzie nam razem dobrze. Więc niech się mama już nie martwi. Bardzo cię kocham, mammo. I proszę, nie smuć się już.

- Jesteś pewna, że nic nie mogę ci powiedzieć? - Lady Anna miała ochotę zemdleć, a tymczasem musiała zachowywać się normalnie i dalej grać fałszywą rolę. Boże, jakże go nienawidziła! Z całego serca i z całej duszy. Czy Arabella naprawdę wierzy w to, że jej ojciec kochał jej matkę? Że dawał jej rozkosz w łóżu? Dobry Boże, jakąż farsą było ich małżeństwo! Nienawidziła tego, że jest ofiarą.

- Jest mama bardzo błada. Przynajmniej nie rumieni się mama więcej. Proszę się nie martwić. Naprawdę wzruszona jestem mamy troską. - Arabella chwyciła matkę w ramiona. Tuliła ją długo i mocno. Lady Anna nie mogła oprzeć się wrażeniu, że to ona jest córką.

Później tego wieczoru, kiedy lady Anna zawiązała wstążki przy pięknej, białej, satynowej nocnej koszuli Arabelli, udzieliło się jej podniecenie córki, oczekiwanie i pożądanie, które widziała w jej oczach. Te oczy skrzyły się. Nie było w nich strachu. Było

wielkie pragnienie, inaczej nie można było tego opisać.

Zmusiła Arabellę, żeby usiadła, i zaczęła szczotkować jej włosy.

- Już dosyć, mamó - Arabella zerwała się z miejsca. - Czy on przyjdzie zaraz? Och, mamó, nie chcę, żeby mama tu była, kiedy on do mnie przyjdzie.

- Dobrze. - Lady Anna cofnęła się i położyła szczotkę na toalecie. - Justin będzie zachwycony. Wyglądasz przepięknie. Chyba nigdy nie widział cię z rozpuszczonymi włosami. Ach tak, teraz przypomniałam sobie. Raz, tego wieczoru, kiedy podjęliście decyzję o małżeństwie. Arabello, zostaw w spokoju guziki od koszuli.

- Wiem - odparła Arabella, wykonując taneczny pływ. - Wypada, żebym ją miała na sobie jeszcze przez jakiś czas.

Lady Anna zakrztusiła się.

- Justin zaraz tu będzie. Zostawiam cię. - Przytuliła mocno córkę. - Bądź szczęśliwa, Arabello. Bądź szczęśliwa. Jeśli coś pójdzie źle... to znaczy nie sądzę, aby tak miało być, ale... Nie, nie martw się. - Dobry Boże, co tu jeszcze powiedzieć? Jak ją ostrzec? A jeśli okaże się, że Justin jest taki sam jak jej mąż?

Arabella powiedziała bardzo cicho i łagodnie:

- W sprawach mnie dotyczących ojciec nigdy się nie mylił. Nigdy.

Słyszając te słowa, lady Anna podniosła szybko głowę. Może to tylko wyobraźnia, ale wydało się jej, że słyszy smutek w głosie córki. Nie, to niemożliwe. Potrząsnęła lekko głową i odwróciła się gwałtownie.

Mam nadzieję, że masz rację, Arabello. Dobranoc, kochanie. Chcę jutro na twojej twarzy zobaczyć uśmiech.

Zobaczyła mama ogromny uśmiech. Kiedy matka opuściła pokój, Arabella zaczęła niecierpliwie przemierzać wnętrze komnaty w radosnym oczekiwaniu. Uwielbiała odkrywać nowe rzeczy, a dziś... no właśnie dziś w nocy... Objęła samą siebie ramionami, nie mogąc się doczekać. Odważyła się spojrzeć na Taniec śmierci, pokazała język płaskorzębie, demonstrując pogardę dla niepewności i lęku przed nieznanym. Potem jej wzrok powędrował w stronę wielkiego łóżka. Zaczęła się zastanawiać z figlarnym uśmiechem na twarzy, czy przypadkiem matka nie napadła na Justina i nie tłumaczy mu, co ma robić - kiedy oto drzwi się otworzyły i w progu stanął jej mąż. Jak pięknie wyglądał w ciemnoniebieskim brokatowym szlafroku! Serce zaczęło bić jej szybciej na jego widok. Był boso. I pewnie nie miał niczego pod szlafrokiem. Wolałaby, żeby nie miał. Nie mogła się doczekać, kiedy go zdejmie. Chciała wreszcie zobaczyć go nagiego. Przecież należał teraz do niej.

Hrabia zamknął drzwi i przekręcił w nich klucz.

- Cieszę się, że nie kazałeś mi długo czekać na siebie, Justinie. Czy wiesz, że nigdy dotąd nie spałam w tej komnacie? Za nic na świecie nie odważyłabym się tu spać sama. Ale ponieważ jesteś ze mną, niestraszy mi nawet ten nieszczęsny Taniec śmierci. Czy podobają ci się moje włosy? A koszula? Mama kazała mi ją mieć na sobie. - Zdawała sobie sprawę, że papie bez sensu, ale cóż w tym dziwnego? Przecież jest oblubienicą i ma prawo czuć się zdenerwowana. Nerwowo wykonała przed nim dyg.

Stał przy drzwiach. Nie ruszał się. Patrzył na nią trzymając ręce skrzyżowane na piersi.

- Twoje włosy są piękne. Koszula też. Wyglądasz bardzo dziewiczo. To wszystko bardzo miłe, ale nieco mnie to dziwi.

- Och, tak! Ale zaraz, czemu cię to dziwi? - Była tak podniecona, że nie zauważyła niczego szczególnego ani w jego głosie, ani w jego zachowaniu. Hrabia nie wykonał w jej stronę żadnego ruchu, nie odpowiedział też na pytanie. Lekkim, tanecznym krokiem podbiegła do niego. Jej białe stopy bezszelestnie sunęły po dywanie. Położyła ręce na ramionach męża, poczuła gładką skórę pod palcami, wspięła się na czubki palców i pocałowała go.

Jego ręce ruszyły w kierunku jej ramion, i nagle, bez żadnego ostrzeżenia, odepchnął ją. Zachwiała się, przytrzymała się oparcia krzesła i spojrzała na niego z otwartymi szeroko ustami, w najwyższym stopniu zmieszana.

- Justinie? Co się stało? Czy zrobiłam coś złego? Nie chcesz, żebym cię pocałowała?

Chciał ją zabić. Nie, tego nie mógł zrobić. Ale mógł sprawić, że będzie cierpiała. Zranił ją tak, jak ona zraniła jego. Odezwał się spokojnym głosem, zimniejszym niż grudniowy mróz:

- Zdejmuj koszulę.

Teraz pojęła. A więc on jest taki... Ojciec uprzedzał ją, że mężczyźni mają czasem humory.

- Justinie, jeśli piłeś, to... - Urwała nagle i zamarła, kiedy hrabia ruszył w jej stronę. Ujrzała napięte żyły pulsujące na jego szyi. Dostrzegła nieopisaną furię w jego szarych oczach.

Furia?

Na nią? Co się tutaj dzieje? Przecież powinien być tak samo szczęśliwy i podniecony jak ona. Uwielbiał całować ją i tulić mocno do siebie. Powiedział, że chce czuć na swoim ciele jej piersi. Ma teraz okazję. Przecież to jego noc poślubna. Czemu jest taki wściekły?

- Rób, co ci każę, dziewczko przeklęta, albo sam ją zedrę z ciebie. Dziewka? Nazwał ją

dziewką? Patrzyła na niego bezradnie.

- Nie rozumiem - powiedziała wolno, nie spuszczać z niego wzroku. Wycofała się pomału za duży fotel. - Proszę cię, powiedz, o co ci chodzi. Dlaczego mówisz do mnie takim tonem? Jakim prawem nazywasz mnie dziewczką? Mam osiemnaście lat i pięć godzin temu wyszłam za męża. Jestem dziewczką. A poza tym jestem twoją żoną.

Nie było mowy o pomyłce. W jego oczach płonęła nieprzytomna wprost furia. Zachowywał się jak szaleniec. Nic nie powiedział. Ruszył nagle w jej stronę. Nie rozumiała, co się dzieje, ale nie była aż tak głupia, żeby stać i biernie czekać. Próbowała uciec. Wkrótce jednak dopadł ją przy toalecie. Wyciągnęła przed siebie ręce w błagalnym geście.

- Justynie, proszę cię, przestań. Jeśli to jakaś gra, to ja nie rozumiem jej zasad. Nie wiem, o co tu chodzi. Ojciec o niczym takim mi nie mówił.

Roześmiał się, szorstko, gburowato, nieprzyjemnie, co wywołało w niej nieopisany strach. Coś złego się działo. Był wściekły na nią, a ona nie miała pojęcia, dlaczego.

Złapał ją nagle, ale wyrwała ramię z jego uścisku i rzuciła się jak szalona w stronę drzwi. Biegła bardzo szybko. Strach dodawał jej sił. Och Boże, drzwi sennie otwierały. Szarpała rozpaczliwie klamkę, ale nawet nie drgnęły. Do licha, czemu? Klucz! On zamknął drzwi na klucz. Dłonie miała spocone. Złapała klucz i szarpnęła go. Wyczuła, że mąż stoi tuż za nią i przygląda się jej. Nagle złapał ją za włosy, okręcił je sobie wokół dłoni i zaczął wolno, nieubłaganie przyciągać ją do siebie, dopóki nie krzyknęła z bólu. Głową uderzyła o jego pierś. Odepchnął ją wtedy drugą ręką i spojrzał jej prosto w twarz.

Przez bardzo długą chwilę tylko wpatrywał się w nią. Potem cicho powiedział:

- Zrobisz, co ci każę, i to natychmiast. Chyba nie chcesz się przekonać, co ci zrobię, jeśli mi się sprzeciwisz.

Zrozumiała, że wszelka dyskusja jest bezcelowa. Do niego nic nie docierało. Nie był sobą jakby w ogóle zapomniał, czym ona dotąd była dla niego. Jedyne, co jej pozostało, to starać się ocalić siebie. Zagryzła zęby, chcąc opanować ból po uderzeniu w głowę, podniosła nogę do góry i wymierzyła z całej siły cios kolanem. Trafiła w twarde udo, okazał się szybszy.

Jego oczy były niemal czarne z wściekłości. Wiedziała, że zaraz ją uderzy.

Sprężyła się w oczekiwaniu na cios. Tymczasem on wziął głęboki oddech i szarpnął ją za włosy, przybliżając jej twarz do siebie. Popatrzył jej prosto w oczy, te oczy tak podobne do jego własnych, i powiedział cicho:

- Coś mi się zdaje, że to twój szanowny rodzic nauczył cię sztuczki nad wyraz skutecznej w postępowaniu z mężczyznami. Byłoby znacznie gorzej dla ciebie, gdyby ci się

udało. Wtedy byłbym bardzo zły. Potraktowałbym to jako zaproszenie do tego, żeby ci ukręcić tę zdradziecką szyję.

- Justinie! - Była odrętwiała, miała pustkę w głowie, brakło jej słów.

Szybkim, gwałtownym ruchem puścił jej włosy, chwycił palcami koronkę koszuli u wycięcia przy szyi i szarpnął z taką siłą, że Arabella bezwładnie poleciała do przodu. Odgłos rwącego się materiału wdarł się w ciszę panującą w pokoju. Arabella spojrzała w osłupieniu na koszulę rozdartą od szyi aż po kostki. Zanim zdążyła zareagować, ściągnął koszulę z jej ramion, odrywając przy tym małe, obszyte satyną guziczki przy mankietach. Jak we śnie widziała, że toczą się po dywanie obok podartej w strzępy koszuli. Poczowała wzrok męża najpierw na piersiach, a potem niżej, na brzuchu. Własna bezradność doprowadziła ją do krańcowej rozpacz. Stuliła dłoń w pięść i z całej siły uderzyła go w twarz.

Przytrzymał jej ramię, zanim cios osiągnął cel. Zapytał bardzo cicho i bardzo spokojnie:

- Pragniesz walki ze mną, pani?

Jeszcze wczoraj podczas rozmowy z nią ledwo panował nad podnieceniem, głos miał pełen czułości, a jednocześnie tak cudownie władczy. Odpowiedziała mu wtedy całą sobą. A teraz... Jego głos brzmiał spokojnie, to prawda, ale był jak martwy. Tak martwy, że wszystko w niej też zamarło. Złapał ją w pasie i zarzucił sobie na ramię.

Zaczęła walić go w plecy, wiedząc dobrze, że to i tak nie pomoże. Był mężczyzną, był silny i sprawny fizycznie. Nie miała żadnych szans w walce z nim. Cisnął ją jak najdalej od siebie. Upadła na łożo niemal bez tchu. Leżała na plecach i dysząc boleśnie, myślała tylko o jednym: jak uciec od niego. Przywarła do prześcieradła i zaczęła pełznąć w drugi koniec łoża. Krzyknęła, kiedy złapał ją za kostkę i wykręcił, zmuszając do odwrócenia się z powrotem na plecy.

- Do diabła, leż spokojnie. Tak, teraz o wiele lepiej. Myślę, że to odpowiedni moment, żebyś obejrzał sobie dokładnie mój nabytek.

Dobry Boże, on jest szalony, całkiem szalony. To jedyny powód, dla którego tak się zachowuje. Jednak nie. Ojciec z pewnością poznałby się na nim i nigdy by nie wybrał dla niej kogoś, kto jest wariatem, zboczeńcem, człowiekiem, któremu sprawia przyjemność zadawanie kobiecie bólu. Nie, na pewno nie.

Krzyknęła do niego:

- Przestań, Justinie! To szaleństwo, słyszysz? Dlaczego to robisz? Nie pozwolę na to. Puść mnie, łotrze!

Nie powiedział nic, tylko patrzył na jej piersi. Przyglądał się mi dokładnie i sprawiał

przy tym wrażenie znudzonego. Jednak gniew nadal płonął w jego oczach. Nagle przestraszyła się. Bardzo się przestraszyła.

- Niech cię wszyscy diabli, przestań!

- Wyrażasz się jak portowa dziewczka. Powinienem był się domyślić, że kryje się za tym coś więcej. Podła.

- Podła? A co, u diabła, jest we mnie takiego podłego? Wiem, że mam popędliwy charakter. Ty też. Nie ma w tym nic z podłości. Czyś ty oszalał?

- Zamilcz! - ryknął, nie patrząc nawet na jej twarz.

Przerażona usiłowała uciec, ale znów złapał ją mocno za kostki.

- Rusz się raz jeszcze, a cię przywiążę - zagroził lodowatym głosem, który mroził duszę. - Drogo zapłaciłem za moje dziedzictwo, między innymi tym, że mam cię teraz w swym łożu. Wątpię, czy będzie z tego dużo przyjemności. A już ty na pewno nie będziesz jej miała.

Musiała spróbować znowu, koniecznie musiała. Wyciągnęła rękę, chcąc go dotknąć, ale odtrącił ją brutalnie.

- Czemu to robisz, Justynie? Co ja ci takiego zrobiłam? Dlaczego twierdzisz, że jestem podła? Czemu nazywasz mnie dziewczką? Proszę cię, powiedz mi, co jest nie tak. Przecież to musi być jakieś nieporozumienie!

Spoglądając na jej piersi, rzekł cicho, bardziej do siebie niż do niej:

- Czułem, że będziesz piękna. Wiedziałem, że twoje ciało będzie jak dziewiczy śnieg. Tyle razy oglądałem cię w wyobraźni leżącą na plecach jak teraz. Biała skóra i te niewiarygodnie czarne włosy splątane na ramionach. Przeczynałem, że nie będę rozczarowany twoim ciałem, i nie jestem. Wcale nie chcę cię pragnąć, własna żądza napawa mnie obrzydzeniem. Niech Bóg mi wybaczy, ale posiadam cię teraz. Muszę to zrobić. To przekłete małżeństwo musi zostać spełnione.

Znowu przypatrywał się jej piersiom. Nie mogła zapanować nad nimi, unosiły się i opadały w rytm przyspieszonego oddechu. Wielki Boże, to jakiś koszmar, to nie może dziać się naprawdę.

- Pytasz mnie, dlaczego nazwałem cię dziewczką? Dlaczego cię tak traktuję? Chcesz wiedzieć, dlaczego nie obchodzę się z tobą tak, jak na to zasługuje słodka, dziewicza oblubienica? Gardzę twymi podłymi kłamstwami, zapewnieniami o niewinności. Bądź przekłeta, Arabello. Zdradziłaś mnie. Wzięłaś sobie tego obmierzłego francuskiego łajdaka za kochanka i za to, dziewczko, drogo mi zapłacisz. - Dotknął jej piersi. Próbowwała się wyrwać.

Krzyczała. Przycisnął rękę do jej ust. - To już nie powinno cię ani zaskoczyć, ani tobą wstrząsnąć. - Zabrał rękę. -Nie, nie zniósłbym, gdybyś teraz zaczęła zachowywać się jak ladacznica. Nie będę cię pieścił i dotykał, bo nie chcę, byś mi tu jęczała i krzyczała z rozkoszy. Inaczej to załatwię. Jak powie- działem, sam będę miał niewiele przyjemności, za to ty nie będziesz jej miała wcale. Przynajmniej ze mną wszeteczna.

Gwałtownie wstał z łoża i rozwiązał szlafrok. Strząsnął go z ramion. Stał przed nią nagi, uważnie patrząc jej w twarz. Na jego ustach wykwitł nieprzyjemny uśmieszek.

Arabella wpatrywała się w niego. Nigdy jeszcze nie widziała nagiego mężczyzny. Ależ on był piękny! Mięśnie, ścięgna i gładka skóra. Ani odrobiny zbędnego tłuszczu, tylko szczupła twardość. Aż wstrzymała oddech. Nazwał ją dziewczką, oskarżył, że miała kochanka? Przecież to szaleństwo, czyste szaleństwo. Mówił, że nie będzie jej dotykał, zapowiedział, że tego nie zrobi. Spojrzała na gęste, czarne włosy łonowe i na jego pełną gotowość. Ach, tak, widziała nieraz konie i wiedziała doskonale, co to znaczy. Ale przecież był za duży. Chyba jej nie zmusi siłą? Och Boże, jak bardzo nienawidziła samej siebie, swojej słabości i strachu. Mimo to powiedziała:

- Justinie... proszę. Co masz zamiar zrobić? To... jest duże. Ja... obawiam się, że się nie uda. - Spojrzał, jakby miał ochotę splunąć na nią. W tym momencie wściekłość wzięła w niej górę. - Do diabła z tobą! Przecież jestem dziewicą! Nie miałam żadnego kochanka, a już na pewno nie tego żalostnego fircyka! Kto ci naopowiadał takich kłamstw? Gervaise? Powiedz mi, do stu diabłów, kto ci to powiedział.

Gorączkowo zacisnęła uda i uniosła ręce, osłaniając nimi piersi.

- Niezła z ciebie aktorka. - Przeciągnął się niedbale, a potem jeszcze raz. Cały czas mu się przyglądała. Roześmiał się głośno, niedobrym śmiechem, który zmroził ją do szpiku kości. - Możesz mi wierzyć, że twoje ciało bez trudu mnie pomieści. I wolałbym, żebyś skończyła wreszcie się tak głupio upierać. Mam dosyć twoich kłamstw. Chcesz wiedzieć, kto mi powiedział? No to słuchaj. Nikt. Widziałem go, widziałem ciebie, widziałem was oboje wychodzących ze stodoły, jedno po drugim. To chyba oczywiste, co tam robiliście.

Jego oddech stał się teraz tak ciężki, że z trudem mogła zrozumieć słowa.

- Może powinienem dać ci rozkosz? Tylko boję się, że to nie moje imię wykrzyknęłabyś w momencie największego rozgorączkowania. To byłby dla mnie cios, nie sądzisz? Nie, po prostu jak najszybciej skończę z tobą. Krzycz, przeklinaj, wyj, ile ci się podoba. Nie sprawi mi to różnicy.

Patrzyła na niego w osłupieniu i bez słowa potrząsała głową. Widział ją z de Trecassisem? Jak wychodzą ze stodoły? Ależ to niemożliwe!

Pochylił się nad nią, rozsunął jej nogi i usiadł na niej okrakiem. Rozpoczęła cichą walkę, próbowała podrapać mu twarz, rozpaczliwie kopała go kolanem w podbrzusze. Przytrzymał jej ręce na jej własnym brzuchu, a nogi unieruchomił swoimi nogami. Poczowała dłoń wślizgującą się między jej uda i zmartwiała.

W tym momencie uświadomił sobie, że nie może jej tak brutalnie zgwałcić.

Nie, tego nie mógł zrobić, a to byłoby właśnie to - gwałt. Podszedł do toaletki, zanurzył palec w słoiczku z kremem i wrócił do niej. Leżała na plecach, patrząc na niego z niedowierzaniem i z przerażeniem.

- Nie ruszaj się. - Na wszelki wypadek położył dłoń na płask na jej brzuchu. Przez chwilę szamotała się, potem znieruchomiała.

Patrzyła, jak pokryty kremem palec zniża się. Potem wcisnął się w jej ciało. Nawet kiedy szamotała się, próbując uwolnić ręce, cały czas czuła ten palec poruszający się w niej coraz głębiej i głębiej. Boże, jakże nienawidziła tego! Justin był w tej chwili zupełnie obcym dla niej człowiekiem, a palec był okrutną i niezasłużoną karą. Stodoła? O co chodzi z tą stodołą?

- Justin, proszę cię, przestań! Nie rób mi krzywdy. Nic z tego, co powiedziałeś, nie jest prawdą. Nie było żadnej stodoły. Ja przecież ledwo mogę znieść tego paniczyka. Dlaczego... - Z jej ust wydarł się krzyk wysoki, świdrujący w uszach. To już nie palec był wewnątrz niej, to on wchodził w nią coraz głębiej i głębiej. Justin zatrzymał się na moment, chwycił jej ręce i przytrzymał na poduszce za głowę. Niemal czułym ruchem odgarnął pasma włosów z jej twarzy.

- Nie mogę uwierzyć, że mi to zrobiłaś. - Wchodził coraz głębiej, krem ułatwiał drogę, ale i tak jej ciało rozdarł ból. Łkała, myślała, że udławi się własnymi łzami. Znieruchomiał nagle, zaprzestał dzikich pchnięć, natrafiwszy na błonę dziewiczą. Spojrzał z niedowierzaniem. W jego oczach odmalował się szok i niepewność.

- Justinie - szepnęła. - Nie.

Jej ciało wygięło się z bólu. W duszy miała pustkę. Znikło stamtąd wszystko, co znała i rozumiała.

Z jego gardła dobył się chrapliwy dźwięk. Puścił jej ręce, chwycił ją za biodra i uniósł do góry. Przedarł się jak najszybciej i wszedł głęboko.

Koniec nastąpił szybko. Dyszał nad nią ciężko, aż wreszcie zamarł w bezruchu, a ona poczuła wewnątrz jego nasienie. Mężczyzna otrzymał swoją rozkosz. Uniósł się nad nią, a potem skłonił głowę, jego silne ramiona drżały, podtrzymując ciężar ciała. Głęboko w niej był mężczyzna. Justin był w niej. Własny mąż ją zniewolił, zadał jej ból, ponieważ uwierzył, że

ona i de Trecassis byli kochankami.

Arabella straciła całą wolę walki i odwagę. Powiedziała mu, że to nieprawda, ale jej nie uwierzył. Ból zelżał odrobinę, kiedy mąż wolno wysunął się z niej. Jednak nadal w środku bolało ją, aż jęknęła, nienawidząc siebie za to, ale nie mogąc tego jęku powstrzymać.

Zastanawiał się, czy zdoła wstać. Udało się. Gniew mu już minął. Arabella patrzyła na niego obojętnym wzrokiem. Była półżywa. Nie, jednak coś jest nie w porządku. Myślał, że go oszukała. A jednak... Była dziewicą. Nie spodziewał się tego. Napotkał jej wzrok, dojrzał ból w jej oczach i straszliwą świadomość tego, czego przed chwilą zaznała. Na moment zwątpił we wszystko.

Była dziewicą. I zaprzeczała temu, że miała przed ślubem romans z Francuzem.

Oczyma wyobraźni ujrzał de Trecassisa wychodzącego ze stodoły pewnym, tryumfalnym krokiem, aż nadto dobitnie świadczącym o charakterze dopiero co odniesionego zwycięstwa. A potem wyszła ze stodoły ona, potargana, w pomiętej sukni. Tak wygląda kobieta, która właśnie zaznała miłości z mężczyzną i której sprawiło to rozkosz. I dusza Justina znów stwardniała na kamień. Co za perfidia! Zdradziła go, a potem okłamała. Zaczął już odwracać się od niej, wciąż nie mówiąc ani słowa, ale jeszcze raz spojrzął na nią. Nogi miała rozrzucone. Jej uda i prześcieradło zbryzgane były krwią zmieszaną z nasieniem i kremem. Nienawidził samego siebie w tym momencie. Nigdy w życiu nie skrzywdził kobiety. Zachował się jak zwierzę. Ale nie, nie. Był usprawiedliwiony. Tak bardzo to jej znowu nie skrzywdził. Po prostu wziął ją tak, jak mężczyzna bierze kobietę, konsumując małżeństwo. Zrobił to szybko, naprawdę prędko uporał się ze wszystkim. I użył kremu. Nie zgwałcił jej. Nie byłoby dla niego usprawiedliwienia, gdyby ją zgwałcił, ale przecież nie uczynił tego. On tylko zrobił swoje.

Okłamała go.

Chwycił ręcznik wiszący na umywalce i rzucił w jej stronę. Nie ruszyła się nawet, żeby go złapać. Upadł jej na brzuch.

- Wytrzymaj się, okropnie wyglądasz.

Arabella nie drgnęła. Patrzyła na niego, tak naprawdę nie widząc go wcale. Nie chciała go widzieć, gdyż to, co uczynił, wypaliło się bolesnym piętnem w jej duszy. Uwierzył, że jest zdolna do takiego podstępu. Dla niej nie miało to sensu, ale on w to uwierzył. Dlatego postąpił tak okrutnie, tak brutalnie. Powiedział z pustką i goryczą w głosie:

- Nie patrz tak na mnie. To nie moja wina. Zrobiłem to, żeby zabezpieczyć moje dziedzictwo. Nie zgwałciłem cię, użyłem kremu. - Zwichrzył palcami włosy. - No więc dobrze, nie miałem racji, byłaś dziewicą. To dla mnie niespodzianka. Jakże to szlachetne ze

strony pana de Trecassis, że zostawił cię nietkniętą na twoją noc poślubną, odstępując mi zaszczyt pozbawienia cię dziewictwa. Czy to ty namówiłaś go do tego? Bałaś się, że aż takim głupcem to ja nie jestem? A może to on wolał, bym się nie dowiedział, że nie jestem twoim pierwszym mężczyzną? Pewnie bał się, że z miejsca go zabiję.

Jego oczy zwięziły się. Mówił dalej pustym, pozbawionym emocji głosem:

- Chcę zabić tego przeklętego bękarta. Ciągłe zastanawiam się, co też mu zrobię. Oczywiście są również inne sposoby. Domyślałam się, w jaki sposób mnie oszukałaś. Czy popełniliście sodomię? Tak, to bardzo prawdopodobne.

A może sprawiłaś mu rozkosz swoimi pięknymi usteczkami. Mężczyzna... zwłaszcza Francuz... lubi to tak samo jak normalny stosunek.

O czym on mówił? Co to znaczy sodomia? Co to miało wspólnego z ustami? Potrząsnęła głową. Słowa były gdzieś daleko, poza jej zasięgiem. W sercu czuła chłód i pustkę.

Roześmiał się. Głośno i nieprzyjemnie.

- Cóż, teraz, kiedy twój mąż skorzystał ze swego prawa do twego dziewictwa, możesz zadawać się z kochankiem w znacznie wygodniejszy sposób. Wielkie dzięki, droga Arabello, za tę parodię małżeństwa.

Znowu uderzyła ją zajadła furia ukryta w jego słowach, a same słowa były jak dźwięki bez znaczenia. Jak mógł uwierzyć, że miała kochanka? Przecież sama podjęła decyzję, że wyjdzie za niego. Za sprawą tej decyzji oddała siebie jemu, tylko jemu jednemu. To nie miało sensu. Tylko piekący ból wewnątrz ciała był realny. Czuła się dziwnie odrętwiała, jakby - co było prawdziwym błogosławieństwem - oddzieliła się od tej nieszczęsnej kobiety, leżącej z rozrzuconymi nogami i słuchającej mężczyzny, który jej nienawidził.

Milczenie potraktował jak przyznanie się do winy. Rozzłoszczony jeszcze bardziej, chwycił szlafrok i narzucił na siebie.

- To, że mnie zdradziłaś, każe mi zabić was oboje. Ale jak mogę cię zabić? Gdybym to zrobił, utraciłbym wszystko. Gorzko przez ciebie zapłaciłem za moje dziedzictwo, schedę, której zapragnęłaś dla siebie. Proszę jedynie, droga żono, żebyś odtąd zachowywała większą dyskrecję, kiedy będziesz romansowała. Nappełniłem cię moim nasieniem, lecz nie uczynię tego więcej. Nie będziesz miała dziecka za moją sprawą. Jeżeli zajdziesz w ciążę, nie uznam dziecka. Oznajmię światu, że nosisz bękarta innego mężczyzny... przeklęty płód Francuza... Powiem, że inny mężczyzna nappełnił cię swym nasieniem. Tego możesz być pewna.

Odwrócił się na pięcie i nie oglądając się więcej za siebie, ruszył do sąsiadującej z sypialnią garderoby. Zamknął cicho za sobą drzwi.

Złożony zegar nad kominkiem odmierzał tykaniem minuty z uświęconą przez czas dokładnością. Pomarańczowe płomienie na kominku trzaskały i syczały w ostatnim śmiertelnym rozbłysku, poddając się w końcu dojmującemu zimnu, jakie panowało w pokoju. Przerazający szkielet z otwartą gębą, na wiek wieków uwięziony w płaskorzeźbie, bez słowa urągał nieruchomej postaci leżącej na łożu.

Lady Anna odstępiała od swego zwyczaju i zaskoczyła panią Tucker, zjawiając się o niezwyklej jak na nią godzinie ósmej rano pod drzwiami pokoju śniadaniowego. Było to raczej niemądre, gdyż trudno było się spodziewać, żeby nowożeńcy wstali o tak wczesnej porze. Jednak lady Anna obudziła się z niejasnym przeczuciem, że coś jest nie tak, i mimo miłego ciepła kuszącego do pozostania w łóżku wstała, zadzwoniła na pokojówkę i ubrała się znacznie szybciej, niż miała to na ogół w zwyczaju.

- Dzień dobry, pani Tucker - uśmiechnęła się do gospodyni. - Chyba tylko ja jedna domagam się śniadania o tak wczesnej porze.

- Ach nie, milady. Jego lordowska mość jest w pokoju śniadaniowym już od pół godziny, ale trudno powiedzieć, by dziś zjadł z apetytem jajecznicę z cynaderkami, jaką specjalnie dla niego przyrządziła nasza kucharka. Zdaje się, że w ogóle niczego nie tknął.

Lady Anna poczuła nagły skurcz w żołądku. Z pewnością było w tym coś podejrzanego. Ale co się mogło stać? Powiedziała:

- W takim razie, pani Tucker, kucharka nie będzie musiała przygotowywać jajecznicę dla mnie.

Drzwi do pokoju śniadaniowego były lekko uchylone. Kiedy lady Anna weszła, udało się jej przez chwilę przyglądać hrabiemu, nim uświadomił sobie jej obecność. Talerz przed nim rzeczywiście był nietknięty. Justin na wpół leżał w fotelu, zjedną nogą przerzuconą niedbale przez obitą brokatem poręcz. Brodę opartą miał na rękę i gapił się przez okno na trawnik, ale widać było od razu, że nie patrzy na nic szczególnego.

Lady Anna wyprostowała się i pewnym krokiem podeszła do stołu.

- Dzień dobry, Justinie. Pani Tucker powiedziała mi, że wzgardziłaś śniadaniem. Czy dobrze się czujesz?

Odwrócił się szybko w jej stronę i wtedy uderzyło ją napięcie malujące się na jego twarzy. Dostrzegła też cienie pod oczami i zmarszczki wokół ust, które wygładziły się w okamgnieniu. Po chwili sprawiał wrażenie obojętnego i całkiem spokojnego, ale doskonale wiedziała, że tak nie jest. Musiało stać się coś bardzo złego.

- Dzień dobry, Anno. Wcześniej wstałaś. Proszę cię, usiądź. Jakoś nie mam dzisiaj apetytu. Wczoraj było tyle jedzenia, że starczyłoby dla pułku wojska. Lady Anna usiadła po

jego prawej stronie. Bardzo chciała zadać mu pytanie, ale zupełnie nie wiedziała, od czego zacząć. Jego twarz spochmurniała i stała się nagle bardzo nieprzystępna, zupełnie jakby wyczuł jej myśli. Zaczęła metodycznie smarować masłem ciepłą grzankę. Wreszcie, nie podnosząc oczu, powiedziała:

- To dziwne, że jesteś teraz moim zięciem. Doktor Brany on stwierdził, że nie mogę już dłużej unikać mego nowego tytułu -hrabiny wdowy Strafford. Czuję się przez to bardzo staro.

- Ze dwadzieścia lat upłynie, zanim ten tytuł zacznie do ciebie pasować, Anno. Aha, a tak przy okazji, czy masz zamiar wyjść za mąż za Paula Brany ona?

- Justinie, cóż za pytanie, dlaczego... Ja... - Zaskoczył ją całkowicie. Grzanka wysunęła się jej z palców i wpadła w marmoladę. Zakrzuszyła się. - To trudne pytanie jak na tak wczesną porę.

- Owszem, i do tego bardzo osobiste, więc pewnie nie masz ochoty odpowiadać. Wybacz mi, Anno. Takie pytania stawiają osobę, do której są skierowane, w dość trudnej sytuacji. Czy zgodzisz się ze mną?

- Tak - rzekła wolno. - Oczywiście masz rację. Rozumiem aluzję. Nie przypominam sobie, bym kiedykolwiek otrzymała równie subtelny prztyczka w nos.

Wstał od stołu, rzucił serwetkę obok pełnego talerza.

- Wybacz mi, Anno, mam kilka spraw do załatwienia dziś rano.

Bez słowa patrzyła, jak wychodzi z pokoju. A cóż można było powiedzieć? Spojrzała na stół zastawiony potrawami przygotowanymi dla nowożeńców. Wielki Boże, co się mogło stać? Arabella była taka szczęśliwa i podniecona zeszłej nocy... wcale nie jak zdenerwowana panna młoda.

Arabella. Mój Boże! Trzeba natychmiast do niej iść. Gnana troską o córkę, lady Anna niemal biegła po schodach do małżeńskiej sypialni - komnaty, której nienawidziła bardziej niż czegokolwiek innego w tym wielkim domostwie.

Drzwi były uchylone, zapukała lekko i weszła.

- Och! - wykrzyknęła w zdumieniu na widok pokojówki Arabelli, trzymającej w ręku strzępy nocnej koszuli.

Grace szybko dygnęła, wyraźnie unikając wzroku lady Anny.

- Gdzie jest lady Arabella? - Szła jak zahipnotyzowana, nie mogąc oderwać oczu od podartej koszuli.

Grace chrząknęła nieśmiało. Lady Arabella nakazała jej surowo, by doprowadziła pokój do porządku, zanim ktokolwiek się zjawi. A tu przyłapano ją z dowodem brutalności

hrabiego.

- Jej lordowska mość jest w swoim pokoju, milady.

- Aha - powiedziała wolno lady Anna, przyglądając się jednocześnie zaschniętym plamom krwi na kapie łoża, zabarwionej na czerwono wodzie i poplamionemu krwią ręcznikowi w umywalni. Aż słabo jej się zrobiło ze strachu. Nie miało sensu zadawanie dalszych pytań Grace. Będzie chroniła Arabellę. Lady Anna wyszła z pokoju, nim Grace zdążyła dygnąć.

Szła coraz wolniej w miarę zbliżania się do sypialni córki. Nie mogła powstrzymać natrętnych wspomnień własnej nocy poślubnej, pełnej bólu i upokorzenia. Potrząsnęła głową, zwalniając krok jeszcze bardziej. Nie, nie mogło przecież być tak samo. Justin jest zupełnie inny niż jej zmarły mąż.

Kiedy pukała delikatnie do drzwi Arabelli, ręce miała zupełnie wilgotne. Nie było odpowiedzi. Prawdę mówiąc, nie spodziewała się jej. Zapukała znowu. Czy Arabella nie wpuści jej do środka? I wtedy usłyszała słaby głos: Proszę. Lady Anna nie miała pojęcia, co zastanie w pokoju córki. Tymczasem kiedy weszła, Arabella wyglądała tak samo normalnie jak wczoraj. Wstała spokojnie na powitanie matki. Była ubrana w czarny strój do konnej jazdy. Czarny aksamitny kapelusik pewnie siedział na gładko upiętych włosach. Czarne strusie pióro kołysało się nad niewielkim rondem, prawie dotykając policzka.

- Dzień dobry, mammo. Cóż to się stało, że tak wcześnie mama wstała? Czy ma przyjechać doktor Brany on?

Jej głos brzmiał spokojnie. Pod tym spokojem kryły się całe lata arogancji, która onieśmiała lady Annę do tego stopnia, że bała się cokolwiek powiedzieć. Gdyby nie widziała Justina przy śniadaniu, gdyby nie była w sypialni nowożeńców, czułaby się teraz bardzo głupio.

- Wybierasz się dzisiaj na przejażdżkę?

- Oczywiście, mammo. A czemuż by nie? Zawsze rano jeżdżę. Czy mama życzy sobie może czegoś ode mnie?

Było w tym jeszcze więcej arogancji. Lady Annie zdawało się, iż tonie w niej. Nie była w stanie sprostać temu wyzwaniu. Skoro Arabella nie chce jej zaufać, proszę bardzo, nie będzie na nią naciskać. Uświadomiła sobie w tym samym momencie, że Arabella rzadko się jej zwierzała w ciągu ostatnich kilku lat. Tylko ojciec miał dostęp do jej myśli, marzeń i obaw, jeśli oczywiście w ogóle żywiła jakiejkolwiek obawy.

- Nie, kochanie, jeśli masz ochotę na przejażdżkę, to oczywiście jedź. Po prostu nie mogłam spać i pomyślałam sobie, że przyjdę i powiem ci dzień dobry. To wszystko.

Spotkałam Justina w pokoju śniadaniowym. Wyglądał na znużonego. Poza tym był spięty, może nawet przygnębiony, nie wiedzieć czemu...

Czarna brew wystrzeliła w górę podejrzliwie, a jednocześnie pytająco.

- Jeżeli interesuje mamę Justin, to proszę jego spytać, jak się miewa. A teraz obawiam się, że będzie mama za bardzo zmęczona, jeśli nie odpocznie trochę. Zechce mi mama wybaczyć... - Arabella naciągnęła rękawiczki, poprawiła kapelusz i podeszła do matki. Pocałowała ją lekko w policzek - przy czym wyraz jej twarzy nieco złagodniał - a następnie szybko wyszła z pokoju.

Lady Anna stała, patrząc w ślad za nią. Co tu się, do licha, dzieje?

Arabella skierowała Lucyfera na drogę prowadzącą obok ruin starego opactwa w stronę Bury St. Edmunds. Patrzyła przed siebie śmiało i dumnie, obciążone rękawiczkami dłonie pewnie trzymały wodze. Głowę trzymała wysoko podniesioną.

Biedna mama - pomyślała w nagłym przyływie poczucia winy. Nieładnie zachowała się wobec własnej matki. Ale skąd mama wiedziała, że coś było nie tak? Bo wiedziała. Na pewno. Skąd? To dopiero zagadka. Zaraz, zaraz, stwierdziła, że Justin wyglądał na znużonego... Wręcz przygnębionego? Niech go wszyscy diabli! Arabella w duchu życzyła mu, by jak najszybciej zgnił w piekle. W pełni sobie na to zasłużył. Zasługiwał na to, by spotkało go wszystko najgorsze, co tylko może człowieka spotkać.

Ale jak matka się domyśliła? Och, pewnie widziała tę jatkę w sypialni. Może Grace nie zdążyła spalić koszuli i prześcieradeł. Pewnie za mało miała czasu, żeby doprowadzić wszystko do porządku. Trzeba ją spytać po powrocie do domu, czy tak było.

Uderzyła lekko Lucyfera wozami, zmuszając go do galopu. Gdybyż tylko mogła zostawić za sobą ohydę, ból i nienawiść z ubiegłej nocy! I ten okropny krem, który niby to miał ulżyć, ale tak naprawdę nie miał żadnego znaczenia. Nic teraz nie miało dla niej znaczenia. Czuła się chora z rozczarowania, z rozpacz. Chciało się jej płakać. Ale kiedy ta myśl przyszła jej do głowy, ujrzała przed sobą twarz ojca patrzącego na nią z pogardą. Według niego unikanie doświadczeń, jakie niesie ze sobą życie, świadczyło o słabości i tchórzostwie, a płacz był absolutnie niedopuszczalny. Wyprostowała się jeszcze bardziej, choć z trudem jej to przyszło, i dumnie zadarła brodę do góry.

I co to życie jej przyniosło? Wdarł się w nie Justin i omal jej przy tym nie unicestwił. Dokuczliwe pieczenie między udami aż nazbyt boleśnie przypominało o tym, że jej ciało zostało w okrutny sposób zniewolone i upokorzone. Ale już ani umysłu, ani duszy zniewolić nie pozwoli.

Słowa, które wypowiedział w nocy, dźwięczały jej wyraźnie w uszach. Były tak

absurdalne, że aż trudno było dać im wiarę. Próbowała je dokładnie przeanalizować, odnaleźć w nich jakiś sens, ale nadal nic z tego nie pojmowała. Nie starała się usprawiedliwiać tego, co zrobił, lecz raczej zrozumieć go. Ależ to absurd! Uwierzył, że Francuz był jej kochankiem? I twierdził, że widział ich przy stodole. Przecież to wszystko razem było niedorzeczne. Zupełnie nie mogła dojść do tego, skąd wzięło się u niego tak idiotyczne przypuszczenie. Ktoś musiał go okłamać, wmówić mu, że go zdradziła.

Ale kto i, na miłość boską, dlaczego?

Zmarszczyła gniewnie brwi. To oczywiste, że uwierzył w czyjeś kłamstwo. Ale czemu w takim razie dążył do zawarcia tego małżeństwa? No tak, że też nie wpadła na to od razu. Przecież chodziło o jego dziedzictwo. Sam to szczerze przyznał. Uważał, że go zdradziła, ale nie mógł jej zabić, bo wówczas straciłby wszystko. Ale myślał o zabiciu Gervaise'a. Zastanawiała się beznamyślnie, czy rzeczywiście byłby zdolny do zabicia Francuza. Pomyślała, że właściwie jest to jej najzupełniej obojętne, z wyjątkiem może faktu, że Gervaise był niewinny, a więc nie byłoby to sprawiedliwe.

Zwolniła galop. Zwierzę oddychało ciężko. Rozejrzawszy się dookoła, stwierdziła, że minęła już rzymskie ruiny, nawet ich nie zauważając. Zatrzymała konia i poklepała go po grzbiecie. Nagle przypomniały się jej słowa ojca skierowane do jednego z bliskich przyjaciół:

- Ujeżdżałem tę dziewczkę, dopóki nie doprowadziłem jej do tego, że najchętniej by mnie zrzuciła, gdyby tylko mogła.

Pomyślała z gorzką ironią, że przynajmniej teraz jasne stało się dla niej znaczenie tej okrutnej uwagi.

Niechętnie zawróciła Lucyfera i ruszyła stępa z powrotem do Evesham Abbey. Musiała jeździć już od kilku godzin, gdyż słońce dobiegało najwyższego punktu na niebie.

Jej pełen goryczy spokój zaczął się załamywać, w miarę jak zbliżała się do jego domu. Justin tam czeka. Musi stanąć z nim twarzą w twarz, nie tylko dzisiaj, lecz także jutro, i tak już będzie przez całe życie. Przez jeden ulotny moment zastanawiała się nad tym, czy nie porozmawiać z nim raz jeszcze i nic spróbować przekonać go o swojej niewinności oraz zażądać, by ujawnił, kto naopowiadał mu tak okropnych kłamstw. Wyobraziła sobie taką scenę i ujrzała siebie, jak go błaga, i jego, jak pozostaje głuchy na wszelkie zaklęcia, tak jak zeszej nocy. Intuicja podpowiadała jej, że znów jej nie uwierzy. Wyobraziła sobie wybuch jego gniewu i dziki odwet. Kolejny raz w życiu gorzko żałowała, że jest kobietą, istotą z natury słabszą. Nienawidziła męskiej siły, która pozwalała Justinowi brać nad nią górę z racji samej tylko fizycznej przewagi. Zadrżała, mimo że gorące słońce paliło skórę przez grubą strój do konnej jazdy. Z pewnością więcej nie wymusi na niej uległości. Czy nie

zapowiedział, że już nigdy nie wleje w nią swego nasienia? Czy nie oznajmił stanowczo, że nie chce mieć z nią dziecka? Jego zemsta była całkowita i bezlitosna. Już po wszystkim. Najgorsze minęło. Przynajmniej na tak długo, jak długo on zechce dotrzymać słowa.

Poprowadziła Lucyfera na stajenny podwórzec, zatrzymała się przed zajęтым pracą stajennym i zeskoczyła na ziemię. Przeklinała sama siebie za uczucie znużenia i lęku, które stawało się coraz silniejsze, im bardziej zbliżała się do drzwi Evesham Abbey. Boże, gdyby nie miała swojej dumy, nie miałyby teraz nic. On nie może wiedzieć, jak bardzo ją zranił, jak głęboko i boleśnie rozczarował. Nie wolno nigdy i pod żadnym pozorem do tego dopuścić. Pomyślała znowu o słowach, jakie padły z jego ust zeszłej nocy, wypowiedzianych z takim spokojem, choć w jego głosie słychać było furję. Powtarzała je w kółko w myślach. Jedno z nich było dziwne, zupełnie niezrozumiałe. I nagle wydało się jej, że kluczem do wszystkiego jest poznanie jego znaczenia.

Spojrzała na słońce, domyśliła się, że zaraz będzie lunch, i cicho wślizgnęła się bocznym wejściem. Myślała tylko o tym, żeby nie spotkać Justina, dopóki nie stanie się to absolutnie nieuniknione. Przemknęła się ukradkiem przez swój własny dom do biblioteki, weszła do środka i zamknęła za sobą cicho drzwi. Nigdy nie miała akademickich zapędów i w związku z tym nader rzadko korzystała ze słowników, stąd też trochę czasu zajęło jej przejrzanie półek, nim znalazła odpowiedni tom. Zawsze uważała, że słowa, których nie używał ojciec, nie są warte tego, żeby je znać. Pomyślała sobie, że w tym przypadku omyliła się. Wyciągnęła oprawny w skórę tom z półki, pośliniła palec i zaczęła przerzucać sztywne karty.

Przesuwała szybko palcem po kolumnach, dopóki nie znalazła tego, czego szukała. „Sodomia - przeczytała. - Średnioangielski i starofrancuski: sodomie”. Potem następowały jakieś fragmenty z Biblii, które wcale nie wyjaśniały, co to słowo znaczy. Tam do licha! O co mu chodziło? O co?

Arabella poczuła nagle jakieś poruszenie za sobą. Odwróciła się gwałtownie i omal nie upuściła słownika, który był tak gruby i ciężki, że niechybnie zmiażdżyłby jej stopę. Ujrzała hrabiego stojącego z obojętną miną i opierającego dłoń na biurku. Zaschło jej w ustach. Poczuała się winna, choć przecież nie było żadnego powodu. Chociaż zaraz, zaraz, mówiła do siebie na głos. Czy ją usłyszał? Oczywiście, że słyszał.

- Cóż, droga żono, jakież to słowo tak cię zainteresowało, że aż sięgnęłaś po słownik?

Jego głos brzmiał jeszcze chłodniej niż poprzedniego wieczoru. Mówił jak człowiek całkiem obcy. Pełen wzdryki wobec niej. Czy znów zada jej ból? Zerwie z niej ubranie? Potrząsnęła głową, spojrzała jeszcze raz na to przeklęte słowo i chciała szybko zatrzaskać słownik. Hrabia jednak okazał się szybszy. Wyrwał jej książkę.

- Chyba nie powinniśmy mieć przed sobą sekretów. Jesteśmy przecież małżeństwem. Daj spokój, Arabello, jeżeli chcesz dowiedzieć się znaczenia jakiegoś słowa, wystarczy spytać.

Przez jedną krótką chwilę miała ochotę zażądać, żeby zwracał się do niej „pani”, ale nie przeszło jej to przez usta. Wszystko się zmieniło. Sprawy przybrały zbyt dramatyczny obrót, zrobiło się za bardzo niebezpiecznie. Nic nie powiedziała. Nie było żadnej nadziei. On i tak odnajdzie to słowo. Nie zrobiła nic złego. A niech ją licho, jeśli będzie się zachowywać tak, jakby była winna. Starła się bardzo, żeby ton jej głosu był równie lodowaty jak głos męża.

- Sprawdziłam słowo, które wykrzyczałeś wśród oskarżeń skierowanych przeciwko mnie zeszłej nocy. Nigdy przedtem go nie słyszałam. Chciałam wiedzieć, co ono oznacza. Jakie to słowo wykrzyczałem wczoraj? Sodomia. Czarne brwi Justina podniosły się do góry o dobry cal. Bezwstydna, przeklęta dziewczka. Rzuciła mu je prosto w twarz. Dobrze, zatem niech ma. Sama chciała.

Odwrócił się wolno i położył słownik na biurku. Spojrzał na nią. Stała dumnie wyprostowana z uniesionymi ramionami. Patrzył, rozbierając ją wzrokiem jak poprzedniej nocy. W jego oczach znów malowało się potępienie, pogarda i gniew.

- Biedna Arabello, zatem Francuzik nie powiedział ci nawet, co robisz. Rozumiem, że to może być bolesne, jeżeli w ten sposób mężczyzna bierze kobietę. Nigdy tego nie robiłem. Ale może teraz, skoro on zaczął, uczynię tak i ja. Czy był delikatny i miły dla ciebie? Jesteś kobietą inteligentną. Nie mogę pojąć, dlaczego nie powiedział ci, jak nazywa się to, co z tobą

robił. To zaniedbanie z jego strony.

- Nie mam kochanka - powiedziała najspokojniejszym tonem, na jaki potrafiła się w tej chwili zdobyć. Głos miała głuchy, odcięła się od jakichkolwiek emocji mogących upokorzyć ją jeszcze bardziej. - Pan de Trecassis nie jest moim kochankiem. Nie mam pojęcia, co to jest sodomia. Zostaw mnie wreszcie w spokoju. Powtarzam raz jeszcze: pan de Trecassis nie jest moim kochankiem. Nie mam żadnego kochanka. Powiedz mi, co to znaczy, albo idź precz.

Teraz ona przeszła do ataku. Złapał ją za ramiona i ścisnął.

- Sodomia - rzekł wolno, patrząc na nią. - Dobrze. Powiem ci, co to jest. Szybko się zresztą domyślisz. Poznam to po twoich oczach. Kiedy cię brał, byłeś na czworakach albo na brzuchu. Niech cię wszyscy diabli, nie patrz na mnie tak tępo. Wziął cię od tyłu. Czy to ci nie wystarczy? Wziął cię tak, jak wziąłby chłopca, gdyby był pederastą.

To jej nie przyszło do głowy. Nagle przekonała się, jak rozpaczliwie skapa była dotąd jej wiedza o świecie.

- Ale to przecież niemożliwe. Konie ponoć tego nie robią a ja jednak widziałam taką scenę. Mój Boże, straszne! Gorzej niż zwierzęta. Co to jest pederastą? Co to znaczy?

- Zamilcz, przeklęta! Dobrze, skoro cię nie wziął tak... A zatem usta. -Szarpnął ją gwałtownie w swoją stronę, pochylił się i pocałował mocno. - Otwórz usta - rozkazał tuż przy jej wargach. - Otwórz usta, bym sam zobaczył. Czy ten żalosny bękart wlał nasienie w twoje usta?

Nie otworzyła ust, mimo że użył siły. Wreszcie puścił ją, Podniósł głowę i lekko dotknął palcem jej warg.

- Tak - rzekł wolno. - Pozwoliłaś mu na to. Masz piękne wargi... Miękkie i uległe, nawet kiedy odmawiasz ich mnie. Mogę sobie wyobrazić, co przeżywał, kiedy go pieściłaś.

Ujrzała to natychmiast oczami wyobraźni. W ustach? Nie, to niemożliwe. Zwilżyła językiem wargi. Roześmiał się. Chciała go za to zabić. Twierdził, że Francuz... w ustach?! Aż wstrząsnęła się z obrzydzeniem. Nie starała się jednak uciec od niego Stała dumnie. Nie pozwoli mu się unicestwić.

Uśmiechnęła się i głosem równie spokojnym jak głos jej maiki powiedziała:

- Kłamiesz. Nikt nie zrobiłby tego, co mi tu opisałeś. To absurd. Nie do wiary.

Po raz ostatni powtarzam ci, że pan de Trecassis nie jest moim kochankiem. Tak bardzo w to wierzysz. Czy masz aż takie zaufanie do osoby, która naopowiadała ci takich kłamstw? Kto to był, Justinie? Kto cię tak zwiódł?

Tym razem on odsunął się od niej. Poprzysiągł sobie, że nic pozwoli więcej na to, by

gniew i rozgoryczenie wzięły naci nim górę. Ależ go rozzłościła tym swoim spokojem, starając się od wrócić kota ogonem i zmylić trop. Zmusił się do tego, żeby uśmiechnąć się drwiąco, ale było to naprawdę trudne. Miał ochotę udusić ją rzucić na dywan, zadrzeć jej spódnice i wejść w nią głęboko. Zaczerpnął tchu.

- Nikt mi nie naopowiadał kłamstw, Arabello. Możesz najwyżej winić siebie za to, że poznałem prawdę. Widziałem cię i widziałem jego.

- Widziałeś mnie? Widziałeś Gervaise'a? O czym ty mówisz? O jakiej prawdzie? Przecież w tym nie ma ani odrobiny sensu. Co ty, u diabła, wygadujesz? Niech cię licho, nie stój jak kaznodzieja polujący na czarownice. Powiedz mi!

- Może kiedy następnym razem spotkacie się w stodole, czy też gdzie indziej, pochwalisz się przed nim nowo nabyła wiedzą. Powiedz mu, że chcesz popełnić z nim sodomię. Tak, tylko uprzedź go, żeby to robił powoli. Powiedz, że ma być delikatny, że...

Pociemniało jej w oczach. Z całej siły wymierzyła mu policzek. Aż odskoczyła mu głowa.

Chwyciła w garść spódnice i biegiem rzuciła się w stronę drzwi. Rozcierając obolałą szczękę, zawołał za nią:

- Zapłacisz mi za to, Arabello!

- Już zapłaciłam - szepnęła nienawistnie. Otworzyła drzwi i wypadła z biblioteki.

- Chętnie wezmę jeszcze makaronika, moja droga. - Doktor Brany on uśmiechnął się do lady Anny, zsuwając ciasteczko na swój talerzyk.

- Elsbeth, napijesz się jeszcze herbaty?

- Nie, dziękuję, lady Anno - odparła pasierbica, próbując wrócić do rzeczywistości.

- Chyba to nic niezwykłego, że nie ma z nami hrabiego i hrabiny. - De Trecassis rozłożył ręce gestem pełnym ekspresji. W jego oczach pojawił się porozumiewawczy błysk.

Lady Anna posłała mu spojrzenie, jakim, jak dotąd, obdarzyła jedynie sir Arthura Benningtona, który usiłował ukradkiem ją pocałować. Błysk w oczach znikł w ułamku sekundy. Dobrze. Nawet Francuz zrozumiał to spojrzenie. Skinęła chłodno głową i zwróciła się do doktora Branyona:

- Paul, liczę na to, że zjesz z nami kolację. Dziś jest czwartek, więc jak wiesz, kucharka przyrządza pieczeń wieprzową dla Arabelli.

- Pieczeń wieprzowa, powiadasz? Chyba się skuszę. - Spojrzał na zegar nad kominkiem i szybko wstał. - Ale jeśli mam zdążyć na jakąkolwiek kolację, muszę ruszać do pacjentów. O szóstej?

Lady Anna skinęła potakująco głową i wyszła z salonu razem z nim. Kiedy znaleźli

się sami, rzekł cicho:

- Widzę, że coś cię trapi, Anno. Czy chodzi o to małżeństwo? Chyba powinnaś przyzwyczaić się do myśli, że Arabella jest mężatką.

Lady Anna nie wiedziała, co robić. Spojrzała w twarz, którą znała tak dobrze, odkąd skończyła siedemnaście lat, twarz tak kochaną że ze wszystkiego na świecie najbardziej pragnęła dotknąć jej i pocałować, a potem przytulić się do niego tak mocno, żeby nigdy nie wypuścił jej z objęć. Prawdą było jednak, że teraz przede wszystkim martwiła się o Arabellę. Co zaś się tyczy jej własnych uczuć, to trudno, muszą poczekać. Nie miała pojęcia, co on czuł do niej. No tak, na pewno ją bardzo lubił, to było oczywiste, ale jeśli chodzi o coś więcej...

- Nie w tym rzecz. Uważam, że Arabella urodziła się już dorosła. Kobieta zamężna? Pogodziłam się z tym bez najmniejszej trudności. - Westchnęła głęboko. - Chodzi o inną sprawę. Coś niedobrego zaszło między nimi. Bardzo niedobrego.

Doktor Branyon spojrzał w jej zamglone niebieskie oczy. Na końcu języka miał słowa zapewnienia, że nie powinna się tak przejmować, ale w ciągu tych wszystkich lat, odkąd ją znał, przekonał się wielokrotnie, że jej spostrzegawczość i trafność osądów co do ludzi bywała doprawdy zdumiewająca. Powiedział:

- Nie widziałem ich jeszcze dzisiaj, trudno mi się zatem wypowiedzieć na ten temat. Przyjrzę się im wieczorem, Anno. Mam nadzieję, że się mylisz. Naprawdę.

- Ja też mam taką nadzieję, ale niestety chyba płonną. - Wahała się, czy powiedzieć o podartej koszuli Arabelli. Nie, tego byłoby za wiele. Są to sprawy zbyt intymne.

Boże, jakże trudno mu przychodziło znieść to, że ona się zamartwia.

Odruchowo uniósł jej dłoń. Jej palce zacisnęły się mocno. Zapomniał o całym świecie, z wyjątkiem tego, jak bardzo jej pragnął. Spojrzał wygłodniałym wzrokiem na jej usta, a potem zajrzał głęboko w niebieskie oczy. W pierwszej chwili nie mógł uwierzyć w to, co tam zobaczył, choć było to tak oczywiste, że chyba tylko ślepiec by nie zauważył.

- Anno, moja najdroższa... - W jego głosie zabrzmiała tak ogromna tęsknota, tak całkowite oddanie, że lady Anna nie zauważyła nawet zbliżającego się stajennego, który prowadził konia doktora.

On jednak zauważył. Starał się uśmiechnąć swobodnie, co było dość trudne, jako że ze wszystkich sił pragnął całować ją tak długo, dopóki oboje nie utraciliby tchu. Gorąco chciał dotknąć jej, choćby lekko. To wszystko, o co prosił los w tej chwili, ale nie było mu to dane. Westchnął i zdławił przekleństwo.

- Trudno tu porozmawiać spokojnie, a chętnie pomówiłbym z tobą, Anno. Spojrzała

na niego, na jego usta i spytała bez wahania:

- Kiedy?

Zaśmiał się cichutko i puścił jej rękę.

- Niczego więcej w tej chwili nie pragnę, jak tylko mieć cię wyłącznie dla siebie.

Niestety, pacjenci czekają.

- Zatem jutro.

Zebrał się na odwagę i powiedział:

- Wiesz, Anno, sadzawka jest wyjątkowo piękna o tej porze roku. Czy miałabyś ochotę przejść się jej brzegiem jutro, powiedzmy: o pierwszej? - Oczyma duszy ujrzał ją leżącą pośród żonkili. I jej piękne włosy rozsypane na twarzy. Przełknął ślinę. Chyba tracił zmysły.

I znów rzekła bez cienia wahania w głosie:

- Myślę, że nic nie sprawiłoby mi większej radości.

Doktor Brany on zapomniał w jednej chwili o wszystkich latach, które spędził bez niej, i pomyślał o przyszłości. A konkretnie o jutrzejszym dniu nad sadzawką.

- A może jednak życie jest piękne. - Dotknął lekko jej policzka i czule się uśmiechnął.

- Obiecuję, że dziś wieczorem przy kolacji będę wszystko uważnie obserwował. A zatem jutro o pierwszej, najdroższa Anno.

Odwrócił się i zszedł z ganku krokiem lekkim i pewnym siebie. Pomachał do niej, nim zawrócił konia i ruszył galopem po wysypanym żwirem podjeździe.

- Tak, Paul, masz rację. Życie może być piękne. - Czuła się tak pełna szczęścia, że zupełnie bez sensu chciała pobiec za oddalającym się stajennym i uściskać go serdecznie. Zamiast tego objęła się ramionami.

Po drodze do salonu starała się opanować i przygasić niezwykle blask, jaki płonął w jej oczach. Pomyślała, że tylko Justin zauważyłby w niej zmianę. Ale i tak wedle wszelkiego prawdopodobieństwa Justina tam nie będzie.

Zdziwiła się, zastawszy samego pana de Trecassis. Uśmiechnęła się do niego, unosząc pytająco jasne brwi.

- *Ma petite cousine* oddaliła się do swego pokoju odpocząć nieco przed kolacją. Sądzę, że jest trochę zmęczona. - Wzruszył lekko i uroczo ramionami, Francuz w każdym calu.

- Ach tak rzekła. Woląaby, żeby on też udał się do siebie i odpoczął przed kolacją, a ona mogłaby wtedy pójść do siebie albo może do swoich ukochanych kwiatów. Chciała być sama, rozważać w duchu słowa Paula, smakować ich znaczenie, wyobrażać go sobie i

uśmiechać się na myśl o tym, co jeszcze może się zdarzyć.

- Lady Anno, prawdę mówiąc, bardzo się cieszę, że mogę z panią porozmawiać na osobności - rzekł nagle pan de Trecassis, wyprostowując się.

- Widzi pani, *chere madame*, tylko pani może opowiedzieć mi o mojej ciotce Magdalenie.

- O Magdalenie? Ależ ja bardzo niewiele wiem o niej. Umarła, zanim poznałam mego męża. Na pewno brat Magdaleny, a pański ojciec, wiedziałby znacznie więcej niż ja...

Pokręcił z ubolewaniem głową.

- Tak się niefortunnie złożyło, że potrafił mi opowiedzieć jedynie o jej młodych latach spędzonych we Francji. A i to jego informacje nie były ściśle. Natomiast o jej życiu w Anglii nie wiedział nic. Proszę mi opowiedzieć o niej, lady Anno, wszystko, co pani wie. Przecież musi pani coś wiedzieć.

- Zgoda, ale proszę dać mi chwilę na zastanowienie się. -Dobry Boże, wiedziała niewiele, wcale nie kłamała. Szukała w pamięci, składając strzępy informacji dotyczących pierwszej żony swego męża. - Wydaje mi się, że hrabia poznał pańską ciotkę podczas wizyty na francuskim dworze w tysiąc siedemset osiemdziesiątym ósmym roku. Nie wiem dokładnie, co wtedy zaszło. Słyszałam jedynie, że pobrali się dość szybko w chateau Trecassisów i zaraz potem przyjechali do Anglii. Elsbeth, jak panu wiadomo, urodziła się w tysiąc siedemset osiemdziesiątym dziewiątym roku, w rok po ich ślubie. - Zamilkła na chwilę i uśmiechnęła się do tego niezwykle przystojnego młodego człowieka. - Oczywiście, Gervaise, nie może pan być o wiele starszy od Elsbeth. Musieliście urodzić się mniej więcej w tym samym czasie.

Francuz skinął lekko głową, jakby przytakiwał, i poprosił, by mówiła dalej.

- Jest jeszcze coś, ale nie jestem tego pewna. Wydaje mi się, że Magdalena wróciła na krótko do Francji zaraz po wybuchu rewolucji. Nie wiem, jakie powody skłoniły ją do podjęcia podróży w tak niebezpiecznym czasie. - Potrząsnęła głową. - Jestem pewna, że zna pan resztę, Gervaise. Niestety, zaraz po powrocie do Evesham Abbey zachorowała i tu zmarła w tysiąc siedemset dziewięćdziesiątym roku.

- I nie wie pani nic więcej, *madame*?

- Nie, przykro mi, Gervaise. - To miło, że chciał się dowiedzieć czegoś więcej o swojej ciotce, ale jego rozczarowanie tym, że ona wie tak niewiele, było chyba trochę przesadzone. Pomyślała o Paulu. Jakież to piękne imię!

Pan de Trecassis usiadł wygodnie na krześle i zaczął lekko postukiwać czubkami swoich długich palców o poręcz. Rzekł wolno, wpatrując się uważnie w twarz lady Anny:

- Wygląda na to, lady Anno, że mogę dorzucić coś niecoś do tego, co przed chwilą od pani usłyszałem. Proszę nie zrozumieć mnie źle, ale podobno kiedy w tysiąc siedemset osiemdziesiątym siódmym roku świętej pamięci mąż pani przyjechał do Francji, jego majątek... jak to mówią Anglicy?... znajdował się w dość opłakanym stanie. Mój ojciec, starszy brat Magdaleny, powiedział mi, że hrabia de Trecassis ofiarował hrabiemu Strafford znaczną sumę pieniędzy w związku z tym małżeństwem. Ponadto dalsza część posagu miała być przekazana później, po wypełnieniu pewnych warunków.

Lady Anna milczała. Wróciła myślami do swego własnego ogromnego posagu, przypominając sobie mało delikatny pośpiech, z jakim hrabia dążył do poślubienia jej. Przypomniała sobie też gorzkie rozczarowanie, kiedy jako nieśmiała, na wpół tylko świadoma wielu spraw panna niechcący podsłuchiwała, jak jej narzeczony żartobliwie wyznał jednemu ze swoich przyjaciół, iż jej posag nie jest tak wart grzechu jak jego kochanka, ale za to jest córką markiza, a to coś znaczy. Wyraził też nadzieję, że jej dziewczęca krew nie będzie pospolicie czerwona.

Zdziwiła się teraz, że hrabia de Trecassis zaproponował tak wielki posag. W końcu Magdalena pochodziła ze znakomitego rodu. De Trecassisowie spokrewnieni byli z Kapetyngami*. Wyglądało to tak, jakby posagiem zapłacono za coś. Naprawdę dziwne. Za co? Czemu?

Pan de Trecassis wstał i wygładził żółtą, wzorzystą kamizelkę. Był to naprawdę przystojny młody człowiek, a te jego czarne oczy...

- Zechce mi pani wybaczyć, *chere madame*, że zabrałem pani tyle czasu.

Lady Anna odpędziła od siebie wspomnienia sprzed osiemnastu lat i uśmiechnęła się.

- Przykro mi, Gervaise, że nie mogę powiedzieć panu nic więcej. Ale widzi pan... - Rozłożyła bezradnie białe dłonie. - O Magdalenie, a także o pańskiej rodzinie, rzadko mówiło się w mojej obecności.

Wiedziała dobrze, iż to wcale nie dlatego, że hrabia tak bardzo kochał pierwszą żonę. Nie, wystarczyło przekonać się, jak postąpił z biedną Elsbeth. Miał w sobie nie więcej miłości i oddania dla biednej Magdaleny niż dla niej.

- Cóż, trudno się dziwić. Jaki mężczyzna chciałby mówić o swojej pierwszej żonie w obecności drugiej? Och, lady Anno, zapomniałem powiedzieć, że pani perły są wyjątkowo eleganckie. Chyba szkatułka hrabiny Strafford musi być dobrze strzeżona. To na pewno miłe

* Dynastia wywodząca się od Hugona Capeta, panująca we Francji w latach 987-1328, linie boczne (Walezjusze, Burbonowie)

uczucie mieć rodowe klejnoty.

- Dziękuję, Gervaise - powiedziała z roztargnieniem, nie słuchając wcale, bo znów myślała o Paulu. Zobaczy go za trzy godziny. Czas się będzie dłużył bez niego. - Ach, mówisz panie o klejnotach Straffordów! - wykrzyknęła, wracając do rzeczywistości. - Zapewniam cię, że są tak liche, iż Księżę Regent nie śmiałby ich ofiarować nawet księżnej Karolinie, której, jak powszechnie wiadomo, szczerze nie lubi*.

- To bardzo dziwne - rzekł hrabia. - Doprawdy, bardzo dziwne.

- O tak, na pewno. Ciekawe, jak można zawrzeć związek przy wzajemnej niechęci obu stron.

- Słucham? Ach tak, naturalnie. Tak wygląda życie królów, *cherc madame*. - Pochylił się nisko nad jej ręką, po czym wyszedł z salonu.

Lady Anna poprawiła spódnicę i ruszyła w stronę drzwi. Może powinna jutro włożyć tę różową jedwabną suknię ozdobioną malutkimi różanymi pączkami z satyny? Miło by było złamać monotonię żałoby choć jeden raz. Kiedy szła po schodach do swego pokoju, pomyślała o głębokim wycięciu w sukni i uśmiechnęła się przebiegle. Zupełnie tak samo uśmiechała się Arabella - pomyślała. Oczywiście przed ślubem.

O Boże!

* Księżna Karolina, żona Księcia Regenta, późniejszego Jerzego IV, była kobietą niesympatyczną i zdradzała męża, podobnie zresztą jak on ją. Gdy Jerzy IV zasiadł na tronie w 1820 r, nie zgodził się na koronację żony i kazał usunąć jej imię z liturgii Kościoła anglikańskiego

Kolacja była niezbyt udana, a zaczęło się od tego, że kowal usiłował podkuć czarnego ogiera dziedzica Jamisona i bestia ugryzła go w rękę.

- Biedaczysko - opowiadał doktor Branyon, kiwając ze współczuciem głową. - Był wściekły na siebie i chciał zabić konia. Powiedział, że skoro tak, to przeklęty zwierzak w ogóle nie będzie miał podkowy, bo on go na pewno nigdy więcej nie pod-kuje.

Historia może nie była zbyt zabawna - pomyślał doktor Branyon, prowadząc lady Annę do stołu - ale mimo to zasługiwała na coś więcej ze strony hrabiego i Arabelli niż ich wymuszone uśmiechy. De Trecassis śmiał się na swój oryginalny sposób, który niezbyt odpowiadał doktorowi. Elsbeth uśmiechała się wstydliwie, tak jak się tego po niej spodziewano, czyli jak to zwykle ona.

Doktor Branyon przyjrzał się uważnie Elsbeth zaraz po wejściu do jadalni. W zeszłym tygodniu, w rozmowie z lady Anną, wyraził się o niej, że jest „zastraszoną, małą dziewczynką, która ciągle boi się, że za chwilę ktoś dorosły wyśle ją na górę z kromką suchego chleba i kubkiem wody”. Teraz już by tego nie powiedział o pasierbicy Anny. Rzuciło się w oczy, że nieśmiała panna nabrała nie znanej dotąd pewności siebie. Jej milczenie przy stole wynikało teraz raczej z własnego wyboru, za którym kryła się pewność siebie, a nie ze strachu przed zwróceniem na siebie ogólnej uwagi. To pewnie przez ten zapis. Wreszcie uwierzyła w swoją wartość i w to, że była ważna dla ojca, człowieka, którego z pewnością czcila całe swoje życie. Szkoda, że dopiero okrągła sumka przekonała ją o tym.

- Arabello - odezwała się lady Anna. - Teraz ty jesteś hrabin;! Stratford, więc twoim obowiązkiem jest zasiąść na miejscu pani domu.

Arabella przez chwilę patrzyła na matkę pustym wzrokiem, trzymając dłoń na oparciu swego krzesła, na którym dotychczas siedziała. O Boże, mama miała rację. Jest teraz hrabiną Strafford. Nie, to bez znaczenia. Nie chciała robić niczego, co by ją jeszcze bardziej wiązało z hrabią. Potrząsnęła głową przecząco.

- Och nie, mammo. Nie chcę zajmować miejsca mamy. Po co? Wolę siedzieć tam, gdzie zawsze.

Kostki na dłoni Arabelli, zaciśniętej na oparciu krzesła, aż pobieleały, gdy rozległ się spokojny, lekko znudzony głos hrabiego:

- Twoja matka ma rację, Arabello. Jako hrabina Strafford powinnaś siedzieć u szczytu stołu. Dzięki temu za każdym razem, kiedy podniesiesz wzrok znad talerza, ujrzysz swego

męża. Czy to cię nie cieszy?

Tak, oczywiście - pomyślała z goryczą. Sama rozkosz. Spoglądanie na niego podczas jedzenia na pewno wywoła niestrawność. Miała zamiar odpowiedzieć w lekkim tonie, ale głos, jaki z siebie wydała, zdradzał zdenerwowanie.

- Ojciec zawsze nazywał to miejsce szarym końcem stołu. Proponuję skończyć tę jałową dyskusję. Pieczeń wieprzowa ostygnie, jeśli będziemy dłużej stać. Mamo, proszę, niech mama zajmie swoje dotychczasowe miejsce.

- Usiądziesz, pani, tam, gdzie wypada, byś siedziała. Giles, odprowadź jej lordowską mość do stołu.

Drugi lokaj, który nigdy nie zrobił niczego wbrew woli Arabelli, zwrócił błagalny wzrok na lady Annę.

- Chodź, kochanie - rzekła lady Anna bardzo cicho. - Niech Giles odsunie ci krzesło.

A niech to, po co się w ogóle odzywała? Tylko dała Justinowi broń do ręki.

Ale dlaczego potrzebował broni? O co toczyła się wojna? Arabella aż pobladła z napięcia i nie ruszyła się z miejsca. Lady Anna wstrzymała oddech w oczekiwaniu. Czy Arabella obróci jadalnię w pole walki?

Arabella natomiast poczuła neodpartą chęć, by cisnąć w męża krzesłem. A potem po kolei wszystkimi nożami, jakie leżały przy nakryciach. Niestety, wiedziała, że nie może sobie na to pozwolić. Jeśli będzie nadal stawiać opór, wszyscy zauważą ŻC małżeństwo układa się źle. Zaklęła pod nosem. Tylko Giles ją usłyszał. Myślała, że biedak zemdleje, kiedy odwróciła się do niego i oznajmiła, że dobrze, usiądzie na tym -jak się wyraziła głośno i dobitnie - „przeklętym krzesle”. Udało się jej nawet uśmiechnąć.

Po spożytej w ciszy zupie zółtowiej, którą podano na pierwsze danie, doktor spytał hrabiego:

- Czy już zawarłeś znajomość ze starym Hamsworthem, Justinie? Lekki uśmiech wykrzywił kąciki ust hrabiego.

- Ależ to drażliwy stary gbur. Uważa, że niezwykle zasłużył się tej ziemi. Przedstawił mi długą listę ulepszeń, jakie jego zdaniem powinienem wprowadzić w majątku. Powiedział wprost, że jestem za młody, by sobie poradzić w roli hrabiego, ale on pomoże mi zachować właściwy kierunek działań. Nawet podał godziny, w jakich mogę się do niego zwracać o pomoc.

- Zawsze tak samo zachowywał się wobec ojca - wyjaśniła odruchowo Arabella. - Pouczał go, co powinien robić, a czego nie. Ojciec zgrzytał zębami. Ale nigdy nie dał się wyprowadzić z równowagi.

- Z jakim skutkiem? - spytał hrabia, spoglądając na nią uważnie przez całą długość stołu.

- Ojciec nigdy go nie słuchał, więc Hamsworth starał się przekupić mnie.

Justin pomyślał o lubieżnym staruchu i jego nieprzyzwoitej uwadze na temat jednej z dziewczyn od krów.

- Tak? A w jakiż to sposób, jeśli wolno wiedzieć?

Słowa te wyrzekł tonem tak niemiłym, że migdałowe oczy Elsbeth oderwały się na moment od smażonych grzybów. Panna spojrzała na niego z wyraźnym zmieszaniem. Nawet Francuz odłożył widelec i z zaciekawieniem popatrzył na hrabiego.

Demon drzemiący w Arabelli wymknął się spod kontroli. A czemuż by nie?

Na jej twarzy pojawił się przez moment domyślny uśmiech. Uniosła lekko brwi.

- Ciekawe, że właśnie o to pytasz, milordzie. Kiedy miałam pięć lat, przekupywał mnie jabłkami ze swego sadu. Natomiast jak podrosłam, stary Hamsworth stał się bardziej pomysłowy. Jeszcze teraz, gdy pomyślę o niektórych rzeczach, jakie obiecał mi pokazać, to się rumienię. Oczywiście wtedy jeszcze nie był tak i siary.

Nagroda za bzdurę wymyśloną na poczekaniu przez demona przysłała w postaci grymasu gniewu, który odmalował się na Opalonej twarzy męża. Arabella wróciła spokojnie do jedzenia, przekonując się przy tym, że może obiektywnie wieprzowina nic jest zła, jednak zupełnie jej nie smakuje. Ledwo zdawała sobie sprawę z tego, że do końca posiłku hrabia milczał, a rozmowa toczyła się wyłącznie między matką, doktorem Branyonem, Elsbeth i Francuzem.

- Arabello?

Podniosła głowę na dźwięk swego imienia. Lady Anna mówiła dalej miękko:

- Kiedy zdecydujesz, że czas, by panie opuściły jadalnię, musisz sama wstać od stołu.

Cóż to za budząca grozę władza, a ona do tej pory nawet o tym nie pomyślała. Szybko zerwała się z miejsca, a biedny Giles, który usiłował jej pomóc, zastygł w niezręcznej pozie.

- Jeśli panowie wybaczą, zostawimy was przy kieliszku porto.

Jakie to proste! Była wolna. Bezcelnie spojrzała hrabiemu prosto w oczy, po czym odwróciła się na pięcie i tak szybko wy-maszerowała z jadalni, że lady Anna i Elsbeth musiały niemal biec, by dotrzymać jej kroku.

- Co się dzieje z Arabella? - spytała szeptem Elsbeth lady Annę, kiedy szły za nią do Pokoju Aksamitnego. - A jego lordowska mość? Tak nieprzyjemnie się do niej zwracał. Nawet pomyślałam sobie, że wygląda, jakby był bardzo zły, ale to chyba niemożliwe. Są dopiero co po ślubie.

- Zdarza, się, moja kochana - rzekła po namyśle lady Anna - że małżonkowie zaraz po ślubie nie zawsze się ze sobą zgadzają. To kłótnie zakochanych, nic więcej. Nie przejmuj się tak bardzo. Takie chmury szybko mijają. - Gdyby tylko sama mogła w to uwierzyć! Kochana Elsbeth - pomyślała -jakaż ona jest niewinna! Chyba przyjęła to proste wytłumaczenie, gdyż widać było, że myśli teraz o czymś innym. Może o swoim przyszłym sezonie w Londynie"?

A jednak lady Anna nie była tego do końca pewna, gdyż od paru dni Elsbeth ani razu nie wspomniała o swoich dziesięciu tysiącach funtów ani czekającej ją podróży. Nic nie było tak, jak być powinno.

Lady Anna spojrzała na Arabelle, która niespokojnie chodziła tam i z powrotem przed długim tarasowym oknem. Odwróciła się do pasierbicy:

- Zagraj nam, Elsbeth. Może którąś z twoich francuskich ballad, ale bardzo proszę o coś weselszego, byle nie do płaczu.

Elsbeth chętnie posłuchała. Usiadła z wdziękiem przy fortepianie i wkrótce pokój napełnił się rzewnymi dźwiękami. Minio prośby macochy grała smutne ballady.

Lady Anna podeszła do córki i dotknęła jej ramienia.

- Dlaczego naopowiadałaś takich niestworzonych rzeczy o biednym starym Hamsworcie? Przecież pamiętasz doskonale, że ojciec zabronił ci zbliżać się do jego domu. Nawet zagroził ci, że nie będziesz jeździć konno przez cały tydzień, jeśli go nic posłuchasz. A ty zawsze go słuchałaś.

Arabella odczuła niewiarygodne zmęczenie. Chciało się jej płakać. I wrzeszczeć. Próbowwała wykrzesać z siebie cokolwiek, ale się jej nie udało. Wzruszyła jedynie ramionami i powiedziała:

- To był żart, mamó. Nic więcej.

- Ten żart poważnie rozgniewał Justina. Specjalnie to zrobiłaś. Chciałaś go rozgniewać. Dlaczego tak nieładnie postąpiłaś, kochanie?

- Bo tego Justin się spodziewał. To właśnie chciał ode mnie usłyszeć. Ja tylko spełniłam jego oczekiwania.

- Arabello, o czym ty mówisz? Jak możesz twierdzić, że on chce słyszeć takie rzeczy? Tak się nie robi. Przecież to twój mąż, a nie zazdrosny kochanek, któremu można dokuczać.

Arabella podniosła piękne szare oczy i spojrzała na matkę. Kolacja zaczęła buntować się w jej żołądku. Omal się teraz nie zdradziła. Gdybyż tylko patrzyła w znające życie oczy ojca, a nie w błękitne i niewinne, które miała przed sobą.. Wzięła się w garść, wzruszyła ramionami i rzekła:

- Proszę, niech mama nie bierze tego, co mówię, zbyt poważnie. Zapewne domyśliła

się mama, że pan hrabia i ja mieliśmy drobne nieporozumienie.

Zanim lady Anna zdążyła choćby otworzyć usta, czarna jedwabna spódnica córki zawirowała z szelestem przy gwałtownym obrocie.

- Przygotuję stolik do loteryjki - rzuciła przez ramię Arabella.

Ku wielkiej uldze Arabelli doktor Brany on i hrabia nie przyuczyli się do gry. Jednak pasjonująca ją zazwyczaj gra tym razem nie poprawiła jej humoru. Ciągłe myślała o tym, że mąż uwierzył w to, iż Francuz jest jej kochankiem, że wygłaszane przez nią w najlepszej wierze argumenty tylko utwierdzały go w podejrzeniach. Na próżno starała się towarzysko ignorować de Trecassisa. Co gorsza, ku swemu przerażeniu przekonała się, że czerwieniła się za każdym razem, kiedy piękne ciemne oczy Francuza spoglądały na nią. Zaczęła wręcz czuć się winna. Gdyby nie była pewna swej niewinności, sama by chyba uwierzyła w absurdalne oskarżenia małżonka. Przyznałaby, że jest dziewczką.

Wczorajsze uprzejme słowa i spojrzenia dziś nabierały zdradziecko podwójnego znaczenia. Czuła się bezbronna i bezwładna, jak kłoda płonąca na kominku.

Kiedy Crupper wniósł tacę z zastawą była bliska załamania. Podała obecnym herbatę bez napomnień ze strony matki i szczęśliwie udało się jej niczego nie rozlać. Kiedy napełniła ostatnią filiżankę, podniosła się z miejsca. Niezbyt grzecznie ziewnęła.

- To był długi dzień. Życzę wszystkim państwu dobrej nocy. Skinęła głową całemu towarzystwu, unikając przy tym wzroku Justina, i ruszyła w stronę drzwi.

- Zaczekaj chwilę, moja droga - rzekł hrabia, a ona zamarła w pół kroku. - Ja też już gotów jestem udać się na spoczynek.

Chciała uciec, i to jak najszybciej, ale doskonale wiedziała, że nic z tego. Z godną podziwu zręcznością postawił ją w sytuacji bez wyjścia. Nie mogła zaprotestować, gdyż zdradziłaby wszystkim swój lęk. Stała w pełnym napięcia milczeniu, dopóki mąż nie powiedział wszystkim po kolei dobranoc. Doskonale wiedziała, że specjalnie zwleka.

Doktorowi Branyonowi bardzo się to nie podobało. Patrzył z niepokojem na hrabiego, gdy ten objął Arabellę ramieniem i wyprowadził z pokoju. Miał nadzieję, że Anna nie zażyczy sobie, by z nim porozmawiał. Nie miał pojęcia, jak w ogóle należałoby zacząć taką rozmowę. A jeszcze trudniej było przewidzieć, co hrabia by mu odpowiedział. A jeśli Justin okazał się równie bezwzględny wobec żony jak nieboszczyk wobec lady Anny? Czy potrafiłby być równie okrutny? Najwyraźniej między Justinem a Arabellą nie układało się dobrze, ale dlaczego? Co, u diabła, mogło się stać?

Doktor Brany on wcześniej podzielił się z nim uwagą, że Francuz najwyraźniej potrafi postępować z kobietami. Hrabia odparł mu na to:

- Może to leży w jego interesie, żeby być miłym dla wszystkich. - A potem, bardziej do siebie niż do doktora Branyona, wypowiedział słowa, które zabrzmiały dość niejasno: Niedługo będę wiedział na pewno, czy nasz miody francuski krewniak ma odwagę zająca i jadowitość żmii, czyli, krótko mówiąc, pozbawione zasad moralnych instynkty właściwe jego francuskiej krwi. Coś mi się zdaje, że od początku przejrzałeś go na wylot, doktorze, kiedy tylko się tu zjawił.

Doktor Branyon zbyt wiele wtedy nie zobaczył. Po prostu od razu poczuł instynktowną niechęć do młodego człowieka. Odparł:

- Skoro go nie lubisz, czemu nie każesz mu stąd wyjechać? Hrabia milczał długo. Wreszcie rzekł:

- Nie mogę. Jeszcze nie teraz. A poza tym raczej bym go zabił, niż pozwolił mu za wcześniej wyjechać z Evesham Abbey. Nawet nie wiesz, z jaką rozkoszą bym go zabił.

Dobry Boże - pomyślał doktor Branyon. Co tu się dzieje?

Arabella milczała cały czas, dopóki nie weszli po schodach na górę. Tu usiłowała zostawić go samego, ale się jej nie udało. Syknęła przez zęby:

- Puść mnie. Chcę iść do mej sypialni.

Ręka męża zacisnęła się mocniej wokół jej talii.

- Oczywiście chciałaś powiedzieć do naszej sypialni. Właśnie tam cię prowadzę, moja droga.

- Nie! Niech cię wszyscy diabli! - Jakoś udało się jej wyrwać. Pobiegła korytarzem do swego pokoju i otworzyła szeroko drzwi. Stała w progu jak wryta. Miała wrażenie, że śni. Wszystkie meble przykryte były całunami z białego płótna. Ulubione obrazy znikły, nigdzie nie widać było jej rzeczy osobistych. Pokój został odarty z jej obecności. Zupełnie jakby nigdy nie spędziła ani jednej chwili w tym pokoju, jakby nigdy tu nie istniała. Ogarnięta paniką, podbiegła do szafy i pociągnęła za uchwyty z kości słoniowej. Wszystkie suknie i kapelusze także znikły. Nie było nawet pantofli, zwykle leżących tu kolorowym rzędkiem. Odwróciła się powoli i spojrzała na męża stojącego w drzwiach, z rękoma skrzyżowanymi na piersi.

- Co zrobiłeś? Gdzie są moje ubrania, moje obrazy, moje szczotki? Niech cię diabli porwą, odpowiedz mi!

Hrabia wyprostował się i rzekł nader rzeczowym tonem:

- Zdecydowałem, że ten pokój nie jest wystarczająco duży dla nas dwojga. Podczas kolacji kazałem przenieść twoje rzeczy do mojej sypialni. Jeśli duchy Evesham Abbey powrócą, będziemy musieli przywyknąć do nich oboje. A teraz chodź, żono. Twój mąż

oczekuje tego, co mu się należy.

Arabella wsunęła rękę do kieszeni sukni. Jej palce objęły gładką rękojeść z kości słoniowej. Kiedy przed kolacją ujrzała leżący obok szkatułki z biżuterią swój własny pistolet, aż się zdziwiła, że nie pomyślała o nim wcześniej. Jak na ironię prezent od ojca miał teraz chronić ją przed człowiekiem, którego tak starannie sam wybrał jej na męża. Zaiste, okrutna to była ironia. Wyprostowała się i uniosła wysoko głowę.

- Planujesz następny gwałt dziś w nocy? Obojętnie wzruszył ramionami.

- To nie był gwałt. Użyłem kremu, żebyś za bardzo nie cierpiała. Nie moja wina, że walczyłaś ze mną. Ale będzie, jak sobie życzysz. Bez kremu. Skoro twój kochanek może cieszyć się twoimi wdziękami w ciągu dnia, dlaczego ja nie miałbym zostać zaspokojony w nocy? Poza tym jeszcze się tobą nie znudziłem. Czy już zapomniałaś, jak powiedziałem ci, że masz piękne piersi? Nie przyjrzałem ci się jeszcze dokładnie. Dziś mam zamiar obejrzeć sobie każdą cząstkę twojego ciała. Z pewnością sprawi ci przyjemność uwaga mężczyzny skoncentrowana wyłącznie na tobie.

Aż wzdrygnęła się, słysząc te słowa, przypomniała sobie bowiem, jak przyglądał się jej zeszłej nocy. Sądził, że może zrobić z nią, co zechce, zmusić ją do posłuszeństwa. Uważał ją za dziewczkę. Był przekonany, że go zdradziła. Nie była dziewczką; i nie zdradziła go. A poza tym miała pistolet. Nigdy więcej jej nie zniewoli.

Uśmiechnęła się do niego, obserwując, jak w jego szarych oczach pojawia się zaskoczenie.

- Więcej ci na nic nie pozwolę. Czy to nie kpina ze strony losu, że ojciec nie poznał się na tobie i dal ci swoje największe skarby? - Uśmiech znikł z jej twarzy, głos pozostał nadal zimny i stanowczy. - Jak pomyślę, że mam dowodzić swojej niewinności wobec kogoś takiego jak ty... Powiem ci raz jeszcze, milordzie, choć obawiam się, że pozostaniesz głuchy na słowa prawdy: ja nie mam kochanka.

- Owszem, twój ojciec popełnił błąd, ale zapewniam cię, że nie w ocenie mego charakteru. Całe szczęście, że nie ma go tu dzisiaj i że oszczędzone zostało mu oglądanie na własne oczy zepsucia ukochanej córki. Daj spokój, Arabello. Mam dosyć tych nonsensów. I będziesz mi posłuszna. W tej kwestii na pewno nie masz wyboru. - To uporczywe trwanie w kłamstwach wywoływało w nim chęć uduszenia jej natychmiast gołymi rękami. Nie miał zamiaru brać jej brutalnie, pomimo jej beczelnych uwag o tym starym rozpustniku Hamsworcie, ale chciał zmusić ją do tego, by doświadczyła rozkoszy w jego ramionach. Chciał obudzić w niej namiętność, nakłonić, by mu dobrowolnie uległa. Tylko jemu.

Choć sam przed sobą nie chciał się do tego przyznać, pragnął sprawić, żeby

zapomniała o tym przeklętym Francuzie. Chciał, aby błagała go o przebaczenie i o to, by ją z powrotem przyjął.

Co jej takiego zrobił, że go zdradziła? Pytanie to zadawał sobie nieskończenie wiele razy. Nie było na nie odpowiedzi, przynajmniej tak długo, jak długo zaprzeczała swojej zdradzie.

Kiwnął na nią niecierpliwie palcem. Arabella bez słowa wyszła za nim z pokoju. Nie wziął jej pod ramię, ale wiedziała, że jest czujny i gotowy. Gdyby usiłowała uciec, złapałby ją natychmiast.

Przed drzwiami sypialni cofnął się o krok i przepuścił ją przodem. Jeszcze zanim odwróciła się do niego, usłyszała, jak przekręca klucz w zamku.

- Zabawię się w twoją pokojówkę, Arabello. Chcę cię widzieć nago. Chcę nasycić tobą mój wzrok. Chcę trzymać twoje piersi w dłoniach. Chcę poznać twoje ciało. Podejź tu, rozepnę ci guziczki.

- Nie - rzekła spokojnie, dumna i wyprostowana. - Nie dotkniesz mnie, Justinie.

Nozdrza zadrgały mu gniewnie, tak jak przewidywała. Nie był przyzwyczajony do tego, by mu się sprzeciwiano. Ale chwilę później na jego twarzy pojawił się leniwy uśmiech, a oczy załśniły. Odpowiedział na rzucone mu wyzwanie. Wolno i dobitnie:

- Jak powiedziałem wcześniej, będzie tak, jak sobie życzysz. Czy chcesz mieć suknię w strzępach, Arabello? Gdyż to będzie oznaczała twoja odmowa. I weź pod uwagę, moja droga, że po tygodniu czy dwóch zabraknie ci sukien. Oczywiście, ja nie mam nic przeciw temu, byś chodziła nago. - Ruszył w jej stronę pewnym krokiem.

Arabella schroniła się po drugiej stronie wielkiego łóża, wiedząc, że samymi słowami nic tu nie zdziała. Oceniała odległość między nimi i zacisnęła palce na rękojeści pistoletu.

- Ponieważ lubisz gry... - Wciąż pewny swego, szedł w jej stronę, obchodząc łóżo dookoła powolnym, przyprawiającym o szaleństwo krokiem. Nie mogła cofać się dalej, dotykała już plecami czerwonych aksamitnych zasłon.

- Nie podchodź do mnie. - Mówiąc te słowa, wyjęła pistolet z kieszeni i wymierzyła prosto w jego pierś.

Uśmiechnął się ponuro i zrobił jeszcze jeden krok.

- Na Boga, skąd to wzięłaś? Odłóż broń, Arabello. Nie chcę, żebyś coś sobie zrobiła.

- Bo chcesz mieć tę przyjemność tylko dla siebie? A teraz ty mnie posłuchaj. Naprawdę dobrze strzelam. Chyba domyślasz się, że ojciec mnie nauczył, kiedy jeszcze byłam dzieckiem. Wiesz, ja wcale nie chcę cię zabić, ale jeśli podejdziesz bliżej choćby o krok, właduję ci kulę prosto w ramię. Pozwalam ci wybierać, prawe czy lewe?

Spoglądał na nią z dziwną mieszaniną gniewu, zawodu i podziwu. Tam do licha, rzeczywiście wierzył, że spełni swoją groźbę. Nie drgnął, nie zrobił żadnego gestu w jej kierunku, tylko szybko ocenił swoje szanse na odebranie jej broni. Mógł być najzupełniej pewien, że zmarły hrabia dobrze wywiązał się ze swego zadania. Z tej odległości mogła - a jak sądził, nader chętnie by to zrobiła - trafić w dowolnie wybraną część jego ciała. Widział, że przygląda mu się zimno i obojętnie, ma pewną rękę i spokój w sobie, zupełnie jak on sam przed bitwą. Poczł smak porażki i stwierdził, że jest bardzo gorzki.

- To tylko drobna potyczka, Arabello Nic masz szans, wiesz o tym. Ciesz się swym zwycięstwem, bo to ostatnie. - Odwrócił się na pięcie i nie oglądając się za siebie, wyszedł do przyległej garderoby, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

Arabella przełożyła pistolet do drugiej ręki i wytarła spoconą dłoń o spódnicę. Jej brawura zaczęła powoli słabnąć, kiedy uświadomiła sobie, że co noc może spodziewać się podobnych awantur. Ogarnęło ją gorzkie rozczarowanie. Boże, czy naprawdę musi trzymać swego męża na muszce do końca życia? Pokręciła głową. Była zbyt wyczerpana, by spokojnie zastanowić się, co ma teraz robić.

Przez chwilę myślała intensywnie, patrząc na łoże. Po namyśle zrezygnowała z wygodnego spania i zwinęła się w kłębek na wielkim, miękko wyściełanym fotelu stojącym przy kominku. Nogi otuliła spódnicą i ze znużeniem oparła głowę na ramieniu. Chciało jej się płakać, ale wiedziała doskonale, że jej nie wolno. Płacz niczego nie rozwiąże. Ile razy ojciec powtarzał te słowa? Przypomniało się jej, jak kiedyś wypowiedział je wyjątkowo pogardliwym tonem. To było wtedy, gdy mama rozplakała się przy nim. A córka w pełni się z nim zgadzała. Nie płakała więc i teraz, tylko palce miała cały czas zaciśnięte na rękojeści pistoletu.

Rano obudziła się, drżąc z zimna. Nogi zdrętwiały jej od długiego leżenia w tej samej pozycji. Była przykryta kocem. Aż podskoczyła, gdy zorientowała się, że nie ma pistoletu. Po chwili dostrzegła broń leżącą na stole. Serce jej załomotało. To znaczy, że Justin wszedł do sypialni, kiedy spała. Mógł z nią zrobić, co chciał. A on tymczasem przykrył ją i wyjął jej z ręki pistolet. Wolno wstała i przeciągnęła się.

Zupełnie go nie rozumiała.

Ale przynajmniej nareszcie miała jakiś plan.

- Zobacz, jakie mnóstwo lilii wodnych tu rośnie.

- Takie są prawa natury. Każda żaba musi mieć swój liść. Lady Anna zatrzymała się w tym momencie i uśmiechnęła do doktora.

- Wygląda na to, że zabawiam cię rozmową. - Westchnęła głęboko. Tyle miała mu do powiedzenia, tak bardzo chciała otworzyć przed nim swoją duszę.

Doktor Branyon ujął jej twarz w dłonie.

- Wystarczy mi, że mogę patrzeć na ciebie, więc nie musisz teraz opowiadać o tym, jak gęsto rosną trzciny.

Pocałowała wnętrze jego dłoni. Ciało miał ciepłe. Wyczuła, że drży. Czy to za jej sprawą? Ta myśl budziła lęk. Zmarły mąż... nie powinna myśleć o nim. Ale myślała, nic nie mogła na to poradzić. Najprawdopodobniej jedyne, co czuł do niej, to niechęć granicząca z odrazą. Nigdy nie drżał, kiedy całowała jego dłoń. Zresztą nie przypominała sobie, by z własnej chęci całowała go gdziekolwiek. Pocałowała jeszcze raz dłoń Paula i uniosła głowę.

- Trzciny są dość gęste, ale nie tak gęste, żeby nie można było w nie wejść - powiedziała.

- Całkowicie się z tobą zgadzam. Proponuję zatem mój płaszcz, abyś mogła usiąść wygodnie pośród tych gęstych trzcin.

Nie poruszyła się jednak. Chciała tak stać do końca swoich dni i patrzeć na niego. Kochała jego twarz, gładką i szczupłą, i kreski po obu stronach ust - lekarskie zmarszczki, jak kiedyś żartobliwie je nazwała. W tym oświetleniu oczy miał jasnozielone, tak jasne jak młode liście dębu w jaskrawym popołudniowym słońcu. Zrozumiała, że pragnie czegoś więcej niż pocałunku, więcej może nawet niż uścisku Nic była tego tak do końca pewna, ale chyba chciała, by całował jej szyję, a nawet niżej, piersi. Zamrugnęła gwałtownie. Piersi? Najwyraźniej nie jest już tą samą kobietą, która przysłała nad sadzawkę dziesięć minut temu. Nic, teraz była kobietą, która pragnie. Po raz pierwszy w życiu pragnęła, aby dotknął jej mężczyzna.

Doktor Branyon ujął ją mocno za rękę i poprowadził na drugą stronę sadzawki. Znalazł odpowiednie miejsce, rozłożył płaszcz na sprężystym mchu i miękkiej trawie. Skłonił się przed nią.

- Pozwól, że ci pomogę, Anno. Chcę, żeby ci było jak najwygodniej.

Usiadła z wdziękiem na płaszczu i przyglądała falbanę różowej sukni nad kostkami

nóg. Potem podciągnęła suknię aż do łydek. Chciała, żeby zobaczył jej kostki.

- To nowe pończochy - powiedziała. - Podobają ci się?

Z trudem przełknął ślinę. Patrzył na jej stopy i na kostki, nie widząc żadnych przeklętych pończoch.

- Może powinnam była przynieść ze sobą jakiś drobny posiłek i urządzilibyśmy sobie piknik - powiedziała, ponieważ stał jak słup, wpatrując się w jej nogi. Sprawilo jej to niewyobrażalną przyjemność. Miała ochotę jeszcze wyżej podciągnąć suknię, ale lata zasad i wstydu zrobiły swoje. Zamrugął oczami.

- Po tych piętnastu latach miałby oddzielać nas od siebie jakiś koszyk z kurczakiem na zimno? Twoje pończochy są cudowne.

- Och, myślałam, że patrzysz w ziemię. Roześmiał się.

- Założę się, że wcale tak nie myślałaś. Nie przypuszczasz chyba, że interesują mnie trzciny. - Usiadł tuż obok niej. Poczula nagłe ciepło. Niepewnymi palcami odwiązała wstążkę pod brodą i zdjęła kapelusz.

Doktor Branyon podniósł kapelusz i odrzucił go na bok. Wolno unióś rękę i dotknął jej twarzy. Przesunął palcami po gładkim policzku, zgrabnym, prostym nosku, aż wreszcie zatrzymał się na jej różowych ustach.

- Twoje kostki są piękne, twoje włosy są piękne, ale najpiękniejsza jesteś ty sama. Nie wiem, czy kiedykolwiek na ciebie zasłużę..

- Czy zasłużysz na mnie? O Boże, Paul, to jest całkiem na odwrót. To ty jesteś cudowny. Nie widziałam wprawdzie jeszcze twoich kostek, ale wiem na pewno, że chciałabym zanurzyć palce w twoje włosy i patrzeć na ciebie. Czy mogę patrzeć na ciebie przez następne pięćdziesiąt lat?

Było w tym coś nieskończenie rozkosznego, czego w dodatku zupełnie nie oczekiwał. Modlił się wprawdzie o coś takiego, ale to, co przed chwilą otrzymał, przeszło jego najśmielsze oczekiwania.

- Czy to znaczy, że mi się oświadczasz?

Delikatnie położył rękę na jej szyi, na gęstych puklach jasnych włosów, i przyciągnął ją do siebie. Pomyślał, że wygląda jak młoda dziewczyna gotująca się do swego pierwszego w życiu pocałunku. Był na tyle przytomny, by zdawać sobie sprawę, że z jej strony było to wypróbowywanie go, mimo że przed chwilą oświadczyła mu się. Ach, żeby rzeczywiście chodziło jej o małżeństwo!

Tymczasem ona patrzyła na jego usta i nie odpowiadała na pytanie. Pocałował ją delikatnie, ledwo muskając ustami jej wargi, rozkoszując się smakiem pocałunku, jego

słodyczą. Wyczuł w niej drżącą gotowość na spotkanie z nim. Lekko dotknął jej ramion i przechylił ją do tyłu. Oczy Anny otwały się szeroko, wyczytał w nich niepewność, a może nawet i strach. Tak, to chyba strach. Zbyt szybko działał. Puścił ją i położył się obok, opierając się na łokciu. Od lat był święcie przekonany, że mąż nie obchodził się z nią dobrze. A jednak było w niej coś czystego i niewinnego, czego nawet okrutnemu tyranowi nie udało się zniszczyć. Może kiedy będą małżeństwem, opowie mu o swoim życiu.

- Czy to znaczy, że oświadczasz mi się, Anno? Jeśli chcesz patrzeć na mnie tak długo, to z pewnością małżeństwo jest jedynym rozwiązaniem, jakie wchodzi w grę, i jednocześnie jedynym sposobem na uniknięcie plotek sąsiadów.

Uśmiechnęła się do niego figlarnie, a w jej uśmiechu nie było już niepewności.

- Rzeczywiście, Paul, obawiam się, że nie mam wyjścia. Przecież okazałabym się kobietą upadłą, gdybym pocałowała mężczyznę, za którego nie mam zamiaru wyjść za mąż.

- W takim razie muszę pocałować cię raz jeszcze, żeby podwójnie zapewnić sobie twoją przychylność. Śmiała się cicho, kiedy ją całował. A polem językiem rozchylił jej wargi. Nie była w stanie zapanować nad ukłuciem dawnego strachu i natychmiast odruchowo zacisnęła zęby. W tym momencie był to hrabia, nie Paul, i jego usta męża miażdżyły jej wargi, raniły je, zmuszając do otwarcia się. Jakże nienawidziła tego wilgotnego, wdzierającego się w nią języka, choć oczywiście pan małżonek nie tracił wcale czasu na pocałunki. Zależało mu jedynie na tym, żeby leżała na plecach. Naga, cicha, otwarta i nie stawiająca oporu.

Doktor Branyon natychmiast się wycofał. W jego oczach i w głosie tym razem nie było czułości.

- Nie jestem nim, Anno - rzeki stanowczo. - Spójrz na mnie. To nie ja cię zraniłem i upokorzyłem. Nie ja zrobiłem ci krzywdę.

Drżała. Ujął jej dłoń i ucałował palce.

- Nigdy bym cię nie zranił. Nigdy bym cię nie upokorzył. Nigdy przeze mnie nie czułabyś się nieważna i zdeptana. Przecież wiesz o tym. Znasz mnie. Chyba nie wątpisz, że oddałbym za ciebie życie.

- Tak, wiem. Przepraszam. To się więcej nie powtórzy.

- Nawet jeśli się powtórzy, to nic. Sprawię, że wkrótce na zawsze uwolnisz się od niego. Czy wierzysz mi? Wierzyła mu.

- Nienawidziłam go. Nienawidziłam go równie mocno, jak Arabella go uwielbiała.

Chętnie dowiedziałby się, co ten szubrawiec jej zrobił, ale nie chciał w żaden sposób naciskać na nią. Powie mu, jeśli sama zechce. Poza tym należało pamiętać, że tamten - w przeciwieństwie do niego - nie żyje. Smutne wspomnienia zblakną i w końcu znikną. A ona

zostanie z nim na zawsze. Zapytał cicho:

- Czy ufasz mi, Anno? Palcem dotknęła jego ust.

- Moja ufność jest większa niż tamten strach - rzekła prosto. Wziął ją w ramiona i delikatnie przyciągnął do siebie. Położył dłonie na jej plecach, a ona przytuliła się do niego. Objęła go ramionami za szyję. Wtulił w nią twarz. Jego bliskość i ciepły oddech na karku napełniały ją niewypowiedzianym szczęściem.

Miał nadzieję, że Anna nie poczuje, jak bardzo jej pragnie. Był to jeden z nielicznych momentów w życiu, kiedy zadowolony był z tego, że kobiety noszą tyle warstw ubrania. Chciał pieścić jej biodra, całować każdą krągłość ciała, ale zmusił ręce do pozostania na jej plecach. Chciał rozebrać ją, pieścić, całować i wejść w nią. Chciał, żeby trzymała go mocno w ramionach. Chciał, aby dzięki niemu odnalazła rozkosz. Ale było jeszcze za wcześnie, mimo jej chęci i mimo jej odwagi. Zmusił się do opanowania, choć naprawdę było to trudne. Leżeli, trzymając się w objęciach, dopóki słońce nie zaczęło gwałtownie zniżać się ku zachodowi.

Obudził się, czując lekkie pocałunki na brodzie, na policzkach, na nosie. A więc zasnął. Nie mógł wprost w to uwierzyć.

- Do licha! - rzekł, podnosząc jej twarz ku sobie i całując ją. - Jak długo mnie wykorzystywałaś? - tchnął prosto w jej usta.

Drgnęła i uśmiechnęła się. Potem nagle znalazła się na nim. Ujęła jego twarz w dłonie, jej usta rozchyliły się do namiętnego pocałunku. Piękne jasne włosy rozsypały się i opadły jak gruba zasłona po obu stronach twarzy. Zapach jej ciała doprowadzał go do szaleństwa. Nie chciał jej przestraszyć, ale nie mógł się powstrzymać. Jęknął głośno i ochryple.

Nie przestraszyła się wcale. Raczej ogarnęło ją jeszcze większe uniesienie.

Chciał wejść w nią, teraz, natychmiast, ale nad wyraz roztropnie pozwolił jej panować nad sytuacją. Musiał być cierpliwy, należało zmierzać do celu wolno, lecz wytrwale. Był lekarzem, na miłość boską a nie jurnym, niecierpliwym młokosem. Jęknął znów, unosząc do góry biodra.

- Anno, to staje się dla mnie zbyt intensywne. Osiemnaście lat to bardzo długo, a ja właśnie tyle czekam na ciebie.

Uniosła głowę i spojrzała mu głęboko w oczy.

- Bardzo długo - rzekła poważnie. - Stanowczo za długo. Jeśli będziesz czekał jeszcze choć jedną minutę, będę musiała znów zacząć opowiadać o liliach i trzcinach.

Śmiała się cichutko cały czas, nawet wtedy, gdy zerwała się na równe nogi i zaczęła

odpinać guziki sukni. Patrzył na nią w ekstazie. Nie było w niej cienia wahania, najmniejszego strachu. Jej piękna twarz płonęła podnieceniem i radosnym oczekiwaniem. Oboje śmiali się szczęśliwi, leżąc nago na płaszczu doktora w gorącym uścisku. Gdy wreszcie wszedł w nią, powitała go cichutkim jękiem. A kiedy krzyki u; la, zgarnął ten krzyk ustami i oddał się jej całkowicie. Myślał potem, że zasnęła, gdy nagle odezwała się:

- Paul, po raz pierwszy odczuwałam rozkosz. To jest coś, czego nigdy przedtem nie byłabym sobie w stanie wyobrazić. Czy zawsze tak będzie z tobą...? Z nami?

- Jeśli nie, utnę sobie obie ręce.

- Nie wiedziałam... Pocałował ją w ucho.

- Tak też sądziłem. Teraz już wiesz. A o reszcie zapomnij, Anno. Teraz jesteśmy tylko my. Będę dawał ci rozkosz do końca naszych dni, dopóki oboje nie przeniesiemy się do wieczności.

- Czyja dałam ci rozkosz?

Pytanie zabrzmiało niepewnie, może nawet nie pozbawione było nutki strachu. Ucałował koniuszek jej nosa.

- Jeszcze trochę, a potrzebowałbym pomocy lekarza. -Ziewnął.

Ugryzła go w ramię, smakując ciepłe, pachnące przyjemnie ciało. Pocałowała go znowu.

- Ta rozkosz... nie śmiej się ze mnie., jest zupełnie niezwykła. Wiedziałam, że coś powinno się stać, ale nie miałam pojęcia, że to będzie taki wstrząs, od czubka głowy do pięt.

Przesunął pieszczotliwie ręką po jej włosach.

- Jest wiele sposobów dawania ci rozkoszy, Anno.

Pochyliła się nad nim, oparta na łokciu, i zagryzając dolną wargę, spytała:

- Ile? Jęknął.

- Chyba padnę trupem, nim minie rok. Wystarczy, Anno, teraz jesteś zbyt obolała, byśmy się znów złączyli. Nie, nie rzucaj się na mnie, to prawda. Nie jesteś przyzwyczajona do mężczyzny. Nie chciałbym ci sprawić bólu. Natomiast teraz możesz zabawić mnie rozmową. Nie mówmy już o rozkoszy. Chcę tylko, żebyś coś wiedziała. Coś bardzo ważnego. Kocham cię. Tylko ciebie. Zawsze byłaś tylko ty.

Kochał ją. Tylko ją.

- I ja cię kocham - szepnęła, z twarzą ukrytą na jego ramieniu. Uświadomiła sobie wtedy, że odczuwa ból między nogami. Ale nie był to ból dokuczliwy. Raczej dziwny i cudowny. Chciała czuć go w każdej chwili przez resztę życia. Westchnęła, muskając wargami jego usta.

Zabaw mnie rozmową, Anno. Mówię poważnie. Zmarszczyła brwi w zamyśleniu.

- Co zrobimy w sprawie Arabelli i Justina?

- Trochę za szybka zmiana tematu. Spodziewałem się spokojniejszego przejścia od namiętności do problemów życia codziennego. Oto ja, biedny człowiek, którego ciało wykorzystywała ta oto kobieta dla swojej własnej rozkoszy, trzymam nadal -z czego ona nie zdaje sobie sprawy - dłoń na jej prześlicznym tyłeczku.

Poruszyła się. Jęknął.

- Przestań albo nigdy więcej nie powiem nic inteligentnego. Nie, naprawdę zabaw mnie rozmową. Nie będę się więcej uskarżał. Przysięgam. Przynajmniej przez dziesięć minut. A więc martwisz się Bella i Justinem. Wiedział, że nie będzie w stanie skupić się na problemach młodej pary, dopóki ona będzie tak blisko. I choć zrobił to z największą niechęcią, odsunął się, wstał i zaczął się ubierać. Poszła w jego ślady. Pomógł jej zapiąć guziki sukni. Pochylił się przy tym i pocałował ją w szyję. Była mokra od potu. Jej ciało miało cudowny smak.

- Wiesz, Anno - rzekł wolno, w zamyśleniu - sędzę, że ich problemy mają coś wspólnego z panem de Trecassis.

Lady Anna spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Z Gervaise'em? Ale co? Nie wyobrażam sobie, aby Gervaise mógł mieć cokolwiek z tym wspólnego.

- Widać to po sposobie, w jaki Justin patrzy na niego. Dla mnie to oczywiste, że nim gardzi. Idę o zakład, że wyzwiałby go na pojedynek, gdyby nie było to wbrew prawu. Justin na szczęście ma wiele zdrowego rozsądku i zdaje sobie sprawę, że musiałby uciekać z kraju, gdyby zabił Francuza, a przecież gdyby doszło do pojedynku, to zabiłby go z całą pewnością. Justin nie robi nic, choć wyraźnie ma ochotę podjąć jakieś kroki. To go męczy. Nie ufa temu młodemu człowiekowi. Mam podstawy sądzić, że nawet rozpytywał o niego w Londynie. Chyba jeszcze jest za wcześnie na to, by otrzymał jakąś konkretną odpowiedź. Próbowałem domyślić się, dlaczego Justin lak się zachowuje wobec Arabelli, i jedyną rzeczą, jaka przyszła mi do głowy, jest to, że powoduje nim zazdrość.

- Zazdrość... - powtórzyła wolno. Zebrała niesforne pasma włosów i zwinęła je w zgrabny węzeł na karku. Jest zazdrosny o Gervaise'a? I dlatego nim pogardza? Jak to możliwe, żeby Justin był zazdrosny o jakiegokolwiek mężczyznę? Przecież jest taki przystojny, dobrze urodzony, jest parem... To dla mnie nie ma sensu. - Teraz ona westchnęła.
- Może masz racje., ale wy- daje mi się to mało prawdopodobne. Dla Arabelli Gervaise praktycznie nie istnieje. Gotowa jestem na to przysiąc. Jedyne, co ona do niego czuje, to

pogarda. Może to ze względu na jego francuskie pochodzenie. W końcu przejęła lak wiele cech po ojcu, a on nigdy nie krył się z tym, co myślał na temat cudzoziemców. - Na moment zamilkła, po czym dodała: - Wiesz, Paul, Justin zranił ją poważnie podczas nocy poślubnej.

- Była przecież dziewicą, ból był nie do uniknięcia.

- Nie, wydarzyło się coś więcej. - Opowiedziała mu o podartej na strzępy koszuli nocnej i poplamionym krwią łóżku. - Kiedy rozmawiałam z Justinem, był nie tylko nieszczęśliwy, był wściekły. Naprawdę rozzłoszczony, ale mimo to jak zwykle panował nad sobą. Dlaczego? Nie miał ochoty mi powiedzieć. A Arabella zachowywała się jakby nigdy nic. Ale sam widziałeś przy kolacji, że między nimi nie układa się dobrze.

- Nie wiedziałem nic o tym - rzekł, podając jej ramię i prowadząc ją w stronę domu. - Byłem raczej skłonny przypuszczać, że nasza pewna siebie, mała Bella z wrodzonym wdziękiem uwiodła pana młodego, nie pytając nikogo o nic. A co się tyczy Justina, aż nie chce mi się wierzyć, żeby to z powodu jego niedoświadczenia doszło do gwałtownych scen. W tym rzeczywiście jest coś więcej, o czym my nie wiemy. Do licha, Anno, to trudne. Czy myślisz, że ją zniewolił?

- Tak właśnie myślę. Ona się go wyraźnie boi. Moja córka się boi! Przejrzałam ją na wylot. Oczywiście nie chce, żeby on o tym wiedział, i nie chce, żeby ktokolwiek o tym wiedział. Musimy coś zrobić, Paul. Czy powinnam powiedzieć panu de Trecassis, żeby wyjechał? Jak go nie będzie, może Justinowi minie gniew.

- Nic, ta inicjatywa nie może wyjść od ciebie, Anno. Jeśli Justin z jakichś nie znanych nam powodów uważa, że Arabella woli Gervaise'a, to do niego należy decyzja, jak postąpić w tej sytuacji. Ponieważ jak dotąd nie zabił tego młokosa ani nie kazał mu opuścić Evesham Abbey, to znaczy, że ma jakieś plany w stosunku do niego. Justin jest wytrawnym graczem. Jak na wojskowego przystało, dobrze się zna na strategii. Zaufałbym mu. A poza tym nie mamy wyboru.

- Wiesz, przypomniało mi się nagle coś dziwnego. Otóż niedawno Gervaise starał się jak najwięcej dowiedzieć ode mnie na temat Magdaleny.

- Gervaise wypytywał cię o Magdaleny? Dlaczego? Co chciał wiedzieć?

- Prosił, żebym opowiedziała mu o jej życiu w Anglii. Oczywiście wiem bardzo niewiele. Zmarła na długo przedtem, nim ja pojawiłam się na scenie. Interesujące jednak jest to, zwróć uwagę, proszę, że Gervaise zaczął mi wówczas opowiadać o dość niezwykłym kontrakcie zawartym między hrabią i rodziną Magdaleny, a dotyczącym jej posagu. Z opowieści Gervaise'a wynikało, że hrabia nie otrzymał po ślubie całego wiana. Naprawdę nie wiem, dlaczego Gervaise opowiedział mi to wszystko. Magdalena umarła wkrótce po

powrocie z Francji, w niecałe dwa lata po ślubie. - Zamilkła na chwilę, a potem spojrzała na niego z nagłym uśmiechem. - Jakież to niemądre z mojej strony! Paul, przecież byłeś przy jej śmierci, prawda? Gervaise powinien po- rozmawiać z tobą, jeżeli chce dowiedzieć się czegoś o swojej ciotce.

Doktor Branyon odwrócił wzrok. Kiedy wreszcie odpowiedział, jego głos zabrzmiał niezwykle, jak na niego, ponuro.

- Tak, byłem przy Magdalenie, kiedy umierała. A jeśli chodzi o jej wiano, to nic mi nie wiadomo o umowie jej rodziny z hrabią. Ale zastanawiam się, czemuż to nasz francuski kogucik opowiedział ci to wszystko? Nie podał żadnego powodu, żadnego wytłumaczenia?

- Nie, nic.

Kiedy znaleźli się w pobliżu wypielegnowanych geometrycznych kwietników, doktor zapytał:

- Czy pan de Trecassis pytał cię o coś jeszcze?

- Owszem, ale o nic ważnego. Wręcz mnie rozśmieszył. Zastanawiał się nad biżuterią rodową Straffordów. Myślał, że jako hrabina muszę mieć szkatułkę z klejnotami wartymi królewską fortunę. Powiedziałam mu, jak bardzo się myli.

- Hm. - To była jedyna odpowiedź doktora Brany ona. Gdy doszli do frontowych schodów, zatrzymał się, ujął lady Annę za rękę i ścisnął mocno. Spojrzał jej głęboko w cudne błękitne oczy.

- Coś ci powiem. Jesteś teraz moja, Anno. Cała moja. Będę cię kochał aż do śmierci, a jeśli moja dusza zostanie skazana na wędrówkę po świecie, będę kochał cię nadal. Nie czekajmy tych ośmiu miesięcy. Wyjdź za mnie, Anno. Już teraz. Jak najszybciej.

Przyglądała się jego ustom.

- Jak najszybciej - rzekł znowu, a jego głos zadrżał. -Wiesz, nic dziwnego, że ludzie od razu poznają, gdy kobieta jest kochana. Masz teraz taki figlarny błysk w oku, a twój uśmiech rozjaśniłby mrok najczarniejszej nocy, stał się tak jasny.

- Czy jutro nie będzie za późno?

Roześmiał się i przytulił ją mocno, nie dbając o to, czy przypadkiem nie widzi ich ktoś ze służby.

- Zaczekajmy jedynie do chwili rozwiązania sprawy Justina i Arabelli. Wtedy nie będziemy musieli myśleć o niczym innym, tylko o naszym szczęściu.

- Porozmawiam zaraz z Justinem. Pocałował ją w koniuszek nosa.

- Nie, wstrzymaj się jeszcze. Przemyślmy to dobrze. Pozwól mi najpierw porozmawiać z Arabella.

- Zgoda, ale zrób to szybko. Może uda nam się rozwiązać ich problem do piątku?

- Postaram się. Zrobię, co w mojej mocy. Anno?

- Tak? - Oparła dłonie na jego piersi. Pochwycił je i przycisnął mocno do siebie.

- Czy nie przeszkadza ci to, że poślubisz skromnego lekarza?

Mówił śmiertelnie poważnie, wiedziała o tym. Odparła spokojnie, a w jej słowach dźwięczała moc i radość:

- Zawsze uważałam, że jesteś niezwykły. Nigdy nie myślałam o tobie jak o zwykłym lekarzu. To niemądre pytanie.

Odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się ze szczerego serca.

Jej głos stał się cichszy i tak poważny, że aż Branyon poczuł ucisk w gardle, kiedy mówiła:

- Wysłałabym za ciebie, nawet gdybyś był prostym wieśniakiem. To nie ma dla mnie znaczenia. To jest dom Arabelli, nie mój. Nigdy nie był moim domem. Moje miejsce jest przy tobie, Paul. Chcę być z tobą. Na zawsze.

- Cieszę się, że zjawiłaś się w moim życiu - powiedział, całując ją. Lekko dotknął czubkami palców jej ust i odszedł. Szczerze wątpił, czy w tej chwili potrafiłby wypowiedzieć się poważnie i rozsądnie na jakikolwiek temat, nawet gdyby od tego miało zależeć jego życie.

Dlaczego nie mogę nic poczuć? Proszę, Boże, spraw, bym coś czuła. Czy to kara za mój grzech? Och, proszę, pozwól mi czuć moją miłość do niego. Choć raz.

Łapczywe usta wędrowały po małych, wzniesionych piersiach.

Przecheszyła palcami czarne kędziory i przyciskała jego głowę mocniej do siebie. Pomyślał, że jej gest wynikał z pożądanego odpowiadającego jego własnej żądz, i zaczął jeszcze łapczywiej ssać jej pierś. Był młody, pełen entuzjazmu, a jego poczucie własnej wartości było niezachwiane.

Zagryzła zęby z bólu, chcąc powstrzymać wyrrywający się z piersi krzyk. Ujęła jego brodę w dłonie i przysunęła jego twarz do ust. Piękne ciemne oczy młodzieńca były niemal czarne od pożądania. Dojrzała w nich błysk zniecierpliwienia, który zdążyła już poznać. Ach, ta niecierpliwłość... Czemu nie jest taka jak inne kobiety? Reagowała za wolno. Nie była odpowiednią kobietą dla niego. Och, Boże, trzeba coś zrobić. Bała się, że on się domyśli, iż te pieszczoty, pocałunki, dotknięcia nie sprawiają jej przyjemności, a wręcz przeciwnie, mrożą wszystko w środku, wszelkie doznania. Instynktownie jęknęła cichutko prosto w jego usta i wygięła ciało w łuk. Poczowała w nim gwałtowne przyspieszenie i przez moment doznała przemożnego pragnienia, by zepchnąć go z siebie i błagać, aby nie wkładał w nią swojej męskości. Nienawidziła tego ponad wszystko. Wstrzymała oddech, zawstydzona tak nienaturalnymi myślami, z trudem znosząc łapczywe usta i natarczywy język. Musi pamiętać, że on ją kocha i że nade wszystko na świecie ona nie chce go stracić, nie chce go zawieść.

Próbowała odprężyć się, wdychać słodki zapach siana. Ale czuła jedynie zapach jego ciała, zapach miłości. Jesteś szczęśliwa, zostałam wybrana - powtarzała sobie. On nie chce Arabelli ani żadnej innej kobiety. Oddanie ciała jest dla niego dowodem miłości, potwierdzeniem twojej wartości jako kobiety.

Nagle cofnął się, chwycił jej kolana i rozsunął je. Zamknęła oczy, czując jego palce tam, w dole. Usłyszała, że jęknął zawiedziony, i czerwony welon wstydu spowił jej umysł. Znowu poczuła wpychające się palce, tym razem mokre od śliny. Wiła się, gdy palec zagłębiał się coraz bardziej, i na wpół świadomie, z rozpaczą, pomyślała o grubym mieczu, który miał ją przeszyć.

Położył się na niej, nie mogąc już dalej hamować pożądania. Wszedł w nią, doznając w tym momencie erupcji wszystkich zmysłów, prowadzącej do zawieszenia w myśli i w czasie. Jego nasienie zalało małe, napięte wnętrze, ułatwiając drogę, wsunął się więc jeszcze

głębiej. Nastąpiło ekstatyczne uniesienie, chwila zwierzęcego zwycięstwa potwierdzająca męskość oraz wyższość i przewagę nad kobietą. Drobnymi rączkami ścisnęła jego ramiona, a on uwierzył raz jeszcze, że zdobył ją, tak jak prawdziwemu mężczyźnie przystoi zdobyć kobietę, że posiadał ją bez reszty, za sprawą własnej żądz dając jej zaspokojenie.

Pocałował jej lekko wilgotne usta, zsunął się i ułożył obok. Poczwała w nozdrzach jego zapach. Zebrało się jej na mdłości. Ciało miała ciężkie jak z ołowiu, mokre i obolałe. Chłodne powietrze owiało cienką, lśniącą warstwę potu w miejscu, gdzie na niej przed chwilą leżała.

- Uwielbiam cię, *mapetite cousine* - szepnął, znając doskonale swe obowiązki galanta, kochanka, człowieka, którego kobiety uwielbiają. Proste słowa dla niej znaczyły bardzo dużo, a kosztowały go w końcu tak niewiele. Z pewnością mile łechtało to jego próżność, że podbił serce nieśmiałej kuzynki. Wiedział jednak, że chcąc zapewnić sobie jej absolutne posłuszeństwo, musi też posiadać jej ciało. Owiany atmosferą tajemniczy akt pozbawienia jej dziewictwa sprawił mu dużą przyjemność.

A ja ciebie, Gervaise - szepnęła Elsbeth. Ciało miała zeszywniałe. Umysł zamglony bólem i upokorzeniem. Przekonywała samą siebie, że naprawdę wyróżniona została spośród wielu kobiet, bo pokochał ją ktoś tak przystojny jak on. Te ciemne oczy o migdałowym kształcie, zupełnie jak jej własne, i olśniewająco białe zęby... Był znacznie przystojniejszy niż hrabia, który i tak przerażał ją samym tylko wzrostem i posturą, zwłaszcza teraz, gdy już wiedziała, czego mężczyźni żądają od kobiet. Podniosły nastrój przygasł nieco. Gdyby tylko mogła też odczuć przyjemność, rozkosz w chwili największej namiętności! Chyba nie żąda za wiele. Ale może jednak tak. Pewnie to tylko mężczyźni jęczą, unoszą się i krzyczą, kiedy spełnia się ich żądza. Starła się stłumić w sobie ten niegodziwy egoizm. Przecież jeżeli w ogóle ktoś miał szczęście na tym świecie, to właśnie ona. Powinien jej wystarczyć sam fakt, że ją wybrał i że pozwala mu czerpać rozkosz ze swego ciała.

- Wiesz, Elsbeth - rzekł po chwili rozmawiałem z lady Anną o twojej matce, o Magdalenie. Wie znacznie mniej, niż się po niej spodziewałem, o okolicznościach pobytu twojej matki w Anglii i o jej życiu tutaj.

Elsbeth naciągnęła na siebie skraj jego płaszcza i odwróciła się w jego stronę.

- Co masz na myśli, mówiąc o okolicznościach pobytu mamy w Anglii? - Dlaczego mówił z nią o nieżyjącej od dawna matce? Czemu nie wołał rozmawiać o wspólnej przyszłości?

Szybko pogłaskał ją po policzku, a potem jego palce zabłądziły na jej pierś.

Za szybko zaczął działać, zaskoczył ją zanadto. Kobiety to dziwne stworzenia. Ciągłe potrzebują zapewnień o miłości. Wzruszył obojętnie ramionami i ziewnął.

- Och, nic takiego, doprawdy.

Uśmiechnęła się, uspokojona, zadowolona, że jego uwaga znów skupiona jest na niej.

Jednak Gervaise nie mógł sobie pozwolić na to, żeby całkiem zarzucić ten temat. Pozostało niewiele czasu. Wyglądało na to, iż w każdej chwili hrabia mógł zażyczyć sobie, żeby wyjechał. Przeklęty hrabia! Patrzył takim wzrokiem, że wydawało się, iż chce go zabić. Czyżby dowiedział się o Elsbeth? Jeśli tak, to dlaczego nic o tym nie wspomniał? A czemu, na miłość boską, w ogóle go to obchodziło? Jednak coś go rozgniewało: Gervaise wyraźnie dostrzegł tłumioną wściekłość w oczach hrabiego.

Musiał się śpieszyć.

- Może nie powinienem był powiedzieć „okoliczności”. Po prostu ojciec opowiedział mi kilka dość niezwykłych rzeczy o twojej matce. Czy nie interesuje cię własna matka, Elsbeth? - W jego głosie zabrzmiała lekka wymówka. Jak posłuszny piesek natychmiast złapała się na to.

- Ależ tak, ale ona umarła dawno temu. Byłam wtedy małym dzieckiem. Nie mam żadnych wspomnień. A jeśli chodzi o jakieś nowe historie, to oczywiście jak najchętniej dowiem się czegoś.

- Może w takim razie niebawem... Jakże łatwo przychodziło mu odwracać jej uwagę, budzić w niej niepewne, samotne dziecko, rozpaczliwie pragnące sprawiać przyjemność. Choć był pewien, że silnie związał ją ze sobą, obawiał się, że jej lojalność wobec lady Anny i Arabelli może stanąć na przeszkodzie w spełnieniu jego żądań.

Udał, że znudził się tematem. Chwila zresztą wystarczyła, by posiać ziarno ciekawości w jej umyśle. Zlustrował uważnie jej ciało od stóp do głów. Nic nie rzekł. Był święcie przekonany, że każda kobieta pragnie, by jej pożądał i uważał za piękną. Do głowy by mu nie przyszło, że Elsbeth rozpaczliwie próbuje wymyślić jakiś interesujący temat do rozmowy, zająć jego uwagę i nie dopuścić, by znowu wdarł się w jej ciało. W nagłym natchnieniu powiedziała:

- Gervaise, to świetny pomysł, że chcesz się dowiedzieć czegoś więcej na temat mojej matki. Czy wiesz, że moja pokojówka, Josette, była nianią mamy? Znała matkę od dziecka i przyjechała z nią do Evesham Abbey po jej ślubie z moim ojcem. Ona mogłaby ci bardzo dużo opowiedzieć.

Spojrzał niewidzącym wzrokiem na biały dziewczęcy brzusek. Boże, jakież był głupi! Oczywiście, Josette. Nie musi już liczyć na pomoc Elsbeth. Czy Josette nie okaże się lojalna wobec rodziny de Trecassis, wobec niego? Poczul się o wiele pewniej. Postanowił wynagrodzić Elsbeth za dostarczenie tej informacji, rozpałił więc w sobie przygasające

płomyki pożądania i wsunął rękę między jej wilgotne od nasienia uda. Zerwał okrywający jej ciało płaszcz i przyciągnął ją do siebie. Przez chwilę zdawało mu się, że go odpycha, ale w końcu jęknęła cicho, wtulona w jego szyję miękkimi, wilgotnymi ustami, i objęła mocno jego ramiona.

- Tak - szepnął, całując jej szyję. - O, właśnie tak. Chciało się jej płakać.

Elsbeth spojrzała na mały złocony zegar stojący na stoliku obok miedzianej wanny, westchnęła z zadowoleniem i zanurzyła się głębiej w ciepłą, pachnącą wodę. Czuła się bezgranicznie szczęśliwa, nawet kiedy szorowała skórę na udach tak mocno, że aż gładkie ciało zaczęło boleć. Długo leżała w ciepłej wodzie. Gwałtowna, zawstydzająca męska strona miłości została niemal całkiem wymazana z pamięci. Jej wyobraźnia szybowiała teraz swobodnie, kreśląc romantyczny wizerunek Gervaise'a, olśniewającego, pełnego galanterii kochanka, mężczyzny, którego uwielbiała, a co ważniejsze, mężczyzny, który właśnie ją wybrał ze wszystkich kobiet na ziemi. Łącznie z Arabellą. Nie zwrócił nawet uwagi na Arabellę. To musi coś znaczyć.

- Chodź, moje jagniątko, robi się późno. Chyba nie chcesz spóźnić się na kolację.

Elsbeth zwróciła się w stronę pokojówki. Josette miała zamglone, zażawione oczy i pewnie nie zdawała sobie sprawy, że w jej starczym głosie pojawił się niezwykle dla niej ostry ton.

- Chodź, panienko - powtórzyła Josette, wyciągając duży ręcznik kąpielowy w stronę Elsbeth.

- Dobrze - rzekła Elsbeth głosem niezwykle delikatnym, z lekka nieobecny. Wstała, wyciągając ramiona.

- Moje dziecko, jesteś damą, nie gryzetską, nie wypada tak paradować nago. - Szybko owinęła Elsbeth ręcznikiem, odwracając przy tym wzrok.

Elsbeth przyjrzała się uważnie starej wiernej służącej z uśmiechem kobiety wtajemniczonej w życie. Jakże staroświecka jest biedna Josette! -pomyślała, zapominając o tym, że jeszcze nie tak dawno temu za nic na świecie nie wyszaby nago z kąpeli, dopóki służąca nie stanęłaby przed nią z rozłożonym szeroko ręcznikiem, zapewniającym osłonę panińskiej skromności.

- Och, nie miej mi tego za złe, Josette. Widzisz, jestem teraz taka szczęśliwa. Nareszcie żyję. Wreszcie wiem, co powinnam wiedzieć.

Josette mruknęła coś pod nosem, naciągnęła Elsbeth koszulę przez głowę i obolałymi, wykrzywionymi od artretyzmu palcami zaczęła z trudem zawiązywać cieniutkie tasiemki. Rzekła ostro:

- Tylko dlatego, że jesteś bogatą młodą damą z dziesięcioma tysiącami funtów, nie wypada ci skakać i piszczeć, jakbyś była kuchenna, dziewczką.

- Wcale nie piszczę. Och, powiem ci, bo i tak dowiedziałabyś się, - wkrótce. - Okręciła się w radosnym piruecie, chwyciła powykrzywiane dłonie Josette w swoje ręce i przyciągnęła do siebie siwą głowę staruszki. - Jestem zakochana! Josette poczuła się w tym momencie dziwnie zagubiona. Nie, to przecież nie jest Magdalena. Kto w takim razie był zakochany? Elsbeth? Ależ to niemożliwe. Zastanowiła się chwilę nad różnymi możliwościami i aż drgnęła, przerażona.

- Och nie, moje kociątko. Tylko nie hrabia. On przecież ma poślubić Arabelle.

- Z trudem wyteżyła pamięć. - Nawet chyba się już z nią ożenił. Czyż nie? Elsbeth roześmiała się dźwięcznie i przytuliła zgarbioną staruszkę.

- Tak, oczywiście, hrabia poślubił Arabelle. Ale to nie o niego chodzi, o nie!

- Przecież nie ma tu nikogo innego - powiedziała Josette wolno, coraz mniej pojmując. Wolałaby, naprawdę wolałaby, żeby ta drobna, krucha istota stojąca przed nią przypominała tak bardzo Magdaleny. Te uniesienia, ta wielka radość, zupełnie jak Magdalena, kiedy była zakochana.

- To mój kuzyn, naturalnie. Hrabia Gervaise. Czyż nie jest przystojny i najcudowniejszy na świecie?

- Hrabia Gervaise - powtórzyła Josette jeszcze wolniej, głosem tak słabym, że ledwie słyszalnym.

- Kochana Josette, czyż to nie cudowne? Czyż nie jestem najszczęśliwszą z kobiet? Gervaise kocha mnie, a teraz, kiedy jestem niezależna, mogę wyjść za niego, nie przynosząc mu wstydu, że jestem bez grosza. A wszystko dzięki temu, że ojciec mnie kochał. Josette, naprawdę mnie kochał!

Staruszka nagle zeszywniała w ramionach Elsbeth. Odepchnęła pannę i dotknęła sztywnymi palcami czoła.

- Josette, co się stało?

Twarz służącej nagle zapadła się, jakby coś się w niej załamało. Stara kobieta potrząsnęła głową i jęknęła:

- Nie, na Boga żywego, nie! Tylko nie to!

Elsbeth wzdrygnęła się, patrząc w osłupieniu na Josette. Nareszcie do biednego, słabego umysłu dotarła rzeczywistość - pomyślała. Najwyraźniej był to dla niej wstrząs. Ogarnęło ją nagle współczucie dla wiernej służącej.

- Josette, odezwijże się wreszcie. Powiedz mi, na Boga, o co ci chodzi. Stara piastunka

wydała pełen bólu okrzyk. Elsbeth aż się zachwiała.

- Nie możesz go poślubić, Magdaleno. To przeciw prawom boskim. Przeciwno wszystkiemu, co święte.

- Josette, ja nie jestem Magdaleną. Spójrz na mnie, to ja, Elsbeth, jej córka.

Josette patrzyła na swoją młodą panią błędnym wzrokiem. Potrząsała niepewnie głową. Coraz więcej siwych kosmyków wymykało się jej spod czepeczka. Szeptala monotonnym głosem:

- To kara boska. Wszystko skończone. Powinnam się była domyślić, że nadchodzi koniec, ale nic nie widziałam. Byłam ślepa. - Jakby nie mogąc dłużej znieść widoku młodej, pełnej nadziei twarzy, odwróciła się i powłócząc nogami, wyszła z pokoju.

- Josette, zaczekaj - szepnęła Elsbeth, choć tak naprawdę wcale nie chciała, żeby służąca wróciła. Nie, jeszcze nie teraz. Poczwała gęsią skórę na ramionach, a strach ścisnął ją za gardło. Drzwi się zamknęły, została sama. Niewprawnie ubrała się i zwinęła czarne włosy w węzeł na karku. Ze smutkiem pokiwała głową. Josette oszalała do reszty, teraz już stale przebywa w przeszłości. *Ale co to za mruczenie o Bogu i Jego karze? Oczywiście, wiem, że myślałaś, iż jestem Magdaleną, ale dlaczego mówisz takie rzeczy o mojej matce?*

Elsbeth w jednej chwili zapomniała o tych wszystkich pytaniach, kiedy dowiedziała się od lady Anny, że lady Talgarth i panna Suzanne Talgarth spodziewane są lada chwila na kolacji. Westchnęła w duchu, niezadowolona z dziwnego stanu Josette, przez co włosy miała upięte w sposób daleki od doskonałości. Na widok lady Talgarth i Suzanne skrzących się klejnotami, szeleszczących jedwabiem i powiewających lawendowym tiulem, dotknęła swej żałobnej czarnej sukni i poczuła zazdrość. Sama sobie wydawała się niezręczna i małowówna, jak zwykle w obecności zmysłowej, wiecznie roześmianej Suzanne. Patrząc na lady Annę i na Arabelle, doszła do wniosku, że przez tę bezlitosną czerń kobiety z rodziny Deverillów sprawiały wrażenie jakby zepchniętych na dalszy plan.

Humor się jej znacznie poprawił w drodze do jadalni, gdy Gervaise szepnął jej do ucha:

- Jakże jesteś krucha i delikatna, *ma petite*, w porównaniu z tą bladą różową angielską krową. Ona mnie wręcz napawa odrazą.

Chciała wykrzyknąć na głos, że go kocha, ale oczywiście nie mogła. Lekko dotknęła jego ramienia. Usłyszała cichy śmiech hrabiego i ujrzała, jak pochyla nisko ciemną głowę nad złotymi lokami panny Talgarth. Szybko popatrzyła na Arabelle i ku swemu zdumieniu stwierdziła, że przyrodnia siostra z uśmiechem przygląda się tej parze. Dlaczego się uśmiecha? Czy nie jest wściekła na Suzanne? Elsbeth pomyślała, że zabiłaby każdą kobietę,

która by flirtowała z Gervaise'em, tak jak Suzanne robiła to w tej chwili z gospodarzem.

To nie miało sensu.

Brawo, Suzanne - pomyślała Arabella. Nie mogłabym wymyślić lepszej rozrywki. Ojciec naprawdę mylił się co do ciebie. Głupiutka panienczka bez krztyny rozumu twierdził. Gdyby zobaczył cię teraz, to idę o zakład, że rywalizowałby z Justinem o twoje względy.

- Powiedz sama, droga Anno, co mam robić z tą moją córką- rzekła lady Talgarth, potrząsając ze znużeniem jasnymi loczkami. Wyraźna duma, jaka zadźwięczała w jej nieco piskliwym głosie, przeczyła tym słowom. - Przecież ta dziewczyna to jeden uśmiech, jedno szczęście. I do tego taka piękność, prawda? Te nieprawdopodobne dołeczki, te oczy tak niebieskie, że błękit nieba im nie dorównuje. Dwie propozycje małżeńskie w pierwszym sezonie, Anno. A moja trzpiotka trzyma obu panów, rozmarzonych i zakochanych, w niepewności. - Spojrzała uważnym, przenikliwym wzrokiem na drugą stronę stołu. -Arabello, z pewnością znasz młodego wicehrabiego Graybourn?

Pierwszorzędna partia. Jego ojciec to hrabia Sanbridge. Bardzo bogaty. Oczywiście nie ma to żadnego znaczenia, oboje z mężem pragniemy jedynie, by nasza mała córeczka była szczęśliwa. Ich domy... Mówiono mi, że ojciec lorda Graybourn ma pięć majątków ziemskich rozrzuconych po całej Anglii. Moja córuchna mogłaby mieszkać, gdzie dusza zapagnie. Czyż to nie wielkie szczęście?

Arabella mrugnęła, posyłając Suzanne szybkie spojrzenie, i odrzekła:

- Lady Talgarth, nie mówi pani chyba o tym niezgrabnym młodym człowieku, któremu dawno już zniknął podbródek?

Suzanne roześmiała się dźwięcznie i szczerze, tak właśnie, jak nic powinny się śmiać dobrze wychowane, młode panny, ale za to nikt przy stole nie mógł się powstrzymać od uśmiechu.

- Widzi mama, Arabella zgadza się ze mną. Zapomniałaś dodać, Bello, że w wieku zaledwie dwudziestu pięciu lat wicehrabia cieszy się okazałą tuszą. Skądinąd wiem, że jedynym powodem, dla którego lord Graybourn wstaje przed południem, jest lęk, by nie przespać śniadania. Mówiono mi, że uwielbia nereczki. Już to by wystarczyło, bym natychmiast uciekła z małżeńskiej sypialni, choćby w samej koszuli.

- Suzanne! To naprawdę mało uprzejme z twojej strony, kochanie. Doprawdy, pomyśl raczej o pięknych sukniach i klejnotach, jakie należałyby do ciebie. Pomyśl o domach. Jest ich aż pięć. W całym naszym pięknym kraju. Pięć, Suzanne!

- Ale ja już mam piękne suknie, mam. A jeśli chodzi o klejnoty... - Suzanne

wzruszyła lekko ramionami. - Chyba nie potrafiłabym być miłą dla lorda Graybournu tylko dlatego, żeby mieć na szyi sznur brylantów.

Suzanne roześmiała się, patrząc na Arabellę, a potem podniosła kokieteryjnie wzrok na hrabiego, ściągnęła różowe usteczka i powiedziała z całą przewrotnością urodzonej aktorki:

- Myślę, że wolałabym dżentelmena bardziej światowego, człowieka doświadczonego. Może kogoś, kto ma za sobą karierę wojskową... jak pan, milordzie? Mężczyznę o silnym charakterze, ale który też wie, jak należy postępować z damą. Pewnie czujesz się bezpiecznie, Bello, i jesteś pod dobrą opieką.

- Jestem zaledwie dwa lata starszy od nieszczęsnego lorda Graybournu - rzekł hrabia, uśmiechając się do swego kieliszka z winem. To dopiero kokietka z tej Suzanne Talgarth!

Arabella zacisnęła mocno palce na nóżce kieliszka. Zauważyła kątem oka, że oczy hrabiego zwięzły się lekko. Zmusiła się do tego, by uśmiechnąć się do Suzanne.

- Myślę, że najlepiej, jak człowiek sam dba o własne bezpieczeństwo. I tak mi się wydaje, że czasami trudno jest przewidzieć, jak będzie wyglądać postępowanie drugiej osoby na co dzień.

- Na miłość boską a cóż to ma znaczyć? - zdziwiła się Suzanne. Mimo to utwierdziłaś mnie w mojej opinii. - Zwróciła się do hrabiego: - Bella zawsze zgadza się ze mną. Kilka razy nie zgodziła się, więc gadałam i gadałam, aż wreszcie zemdląła u moich stóp, w ostatniej chwili potakując głową na znak zgody.

- Nie mogę nie żywić odrobiny współczucia dla pani przyszłego męża - rzekł hrabia.

- Droga panno Talgarth - rzekł pan de Trecassis z wyraźnym francuskim akcentem - z całą pewnością doświadczenie mierzone w latach, o jakim pani mówi, nie jest najważniejsze. Francuski dżentelmen posiada pewne cechy od urodzenia, mademoiselle.

- Według mnie to dokładnie to samo wtrąciła się do rozmowy lady Talgarth, wprawiając wszystkich w zmieszanie, gdyż nie bardzo było wiadomo, o co jej chodzi. Wróciła do swoich skarg. - Jestem pewna, że ani ty, Arabello, ani ty, Suzanne, nie możecie zarzucić lordowi Hartlandowi otyłości czy też braku podbródka. O ile mi wiadomo, nigdy nic wstaje wcześniej po to, żeby jeść nerekczki. On zresztą i tak nic wstaje przed godziną drugą. Same więc widzicie, moje drogie, wszystko jest bez zarzutu.

Ku zdziwieniu Arabelli Suzanne zawahała się. Arabella rzekła więc szybko:

- Doprawdy, ma pani rację. A jeśli chodzi o doświadczenie, to cóż, on ma co najmniej pięćdziesiąt lat, pochował już dwie żony, nie mówiąc o utrzymywaniu kilku latorośli mających całkiem kosztowne wymagania. Tak, lord Hartland wydaje się całkiem bez zarzutu.

Wyobrażam sobie, jak bardzo potrzebuje gospodyni i matki dla czworga młodszych dzieci. A kto wie, może też matki dla przyszłych pociech. Widzi pani -dodała ze śmiertelną powagą - słyszałam, że nie wstaje przed drugą ponieważ cierpi na gościec. Czy przypadkiem twój ojciec nie choruje też na gościec, Suzanne?

Lady Talgarth miała wielką ochotę spoliczkować Arabellę. Była naprawdę bliska zrobienia tego. Aż ją ręka swędziała.

Justin z trudem opanował śmiech. Boże, ona potrafiła być zupełnie niezwykła. Z nim... - Nie dokończył tej myśli. I tak nic by nie osiągnął.

- Czy księżę wybiera się do Brighton tego lata? - spytała głośno lady Anna.

- Jak dziwnie Arabella wygląda na twoim miejscu, Anno! -rzekła lady Talgarth, jakby nie słysząc pytania.

- Myślę, że wygląda jak matrona - rzekła Suzanne, śmiejąc się, ;i Arabella aż się zakrztusiła groszkiem.

- A co do księcia i Brighton... ciągnęła lady Anna jeszcze głośniejszym głosem. Suzanne zwróciła się do lady Anny:

- Och, jak zwykle. W związku z tym, że papa bardzo narzeka na gościec, który w tym roku wyjątkowo daje mu się we znaki, mama przekonała go, że przynajmniej ja powinnam złożyć ciotce Seraphinie zaległą wizytę. Wiecie, państwo, okna domu ciotki wychodzą na Marinę Paradę, więc można obserwować wszystkich wchodzących i wychodzących z Pawilonu Królewskiego.

- Ciekawe - rzekła Arabella - czy lord Hartland i wicehrabia Graybourn też planują pobyt w Brighton.

- Pozostaje jedynie modlić się, aby jednego zatrzymały w domu pyszne nereczki, a drugiego gościec, będący skutkiem posiadania zbyt licznych potomstwa i częstego nadużywania brandy - odparła Suzanne. - Poza tym będzie tam pewno o wiele więcej rybek. To znaczy takich nie złapanych jeszcze na wędkę. Przynajmniej mam taką nadzieję.

- Oczywiście odwiozę Suzanne do mojej siostry - rzekła lady Talgarth z naciskiem, kierując słowa głównie do lady Anny. Z Suzanne policzy się później.

Justin zastukał widelcem o nóżkę kieliszka.

- Wypijmy za pani pobyt w Brighton, panno Talgarth, i za dżentelmena, który będzie miał niezwykle szczęście, że zerwie tak piękną różę.

Arabella wypijała swoje wino do dna - było to przepyszne bordo - i pomyślała, że Suzanne doskonale radzi sobie z mężczyznami. Pewna też była, że piękna róża potrafi pokazać ostre kolce, zwłaszcza kiedy się ją będzie próbowało skrzyżować w niewłaściwy

sposób. Lady Anna chrząknęła lekko i spojrzała na córkę.

Arabella wstała i skinęła głową obu panom.

- Zechcą panowie nam wybaczyć. Przejdziemy teraz do Aksamitnego Pokoju. Justin wstał także i rzekł uprzejmie:

- Chyba darujemy sobie dziś porto, moja droga. Jeśli panie nic mają nic przeciwko temu, przyłączymy się do was od razu.

Lady Talgarth zwróciła się do lady Anny i szeptem - który miał wszelkie prawo dotrzeć nawet do uszu Cruppera stojącego w kącie jadalni i powiedziała:

- Nie mogę się jakoś przyzwyczaić do tego, moja droga Anno, że Arabella zajmuje twoje miejsce Arabella udawała, że nie słyszy, i obejrzała się dopiero wtedy, gdy Suzanne pociągnęła ją za rękaw.

- Wielki Boże, ależ ty szybko idziesz. Daj spokój, Arabello, nie przejmuj się mamą. Wiesz przecież, że jest zazdrosna, ponieważ złapałaś doskonałą partię, zanim mnie udało się znaleźć nawet nieodpowiednią.

- Tak jakby to było w ogóle dla ciebie ważne - Arabella czule pociągnęła ją za jeden ze złotych loków. - W twoich ustach zabrzmiało to tak, jakbym złapała uciążliwą chorobę, na przykład odrę.

Jasne pukle zakotływały się nad małymi kształtnymi uszkami.

- Z pewnością nie miałam nic takiego na myśli. Myślę, że twój mąż jest bardzo przystojny i zupełnie nie przypomina odry. A skoro ty złapałaś hrabiego, to ja bez wątplenia zostanę księżną. Może ten cudowny książę będzie miał siedem domów rozrzuconych po całej Anglii. Może zarzuci przynajmniej trzy sznury brylantów na moją białą szyję.

Arabella spojrzała na roześmianą twarz z dołeczkami i sama się uśmiechnęła.

- Będziesz świetną księżną, Suzanne. Mam nadzieję, że książę okaże się młody i piękny.

- Starzy książęta natomiast miewają synów, nieprawdaż? Niemożliwe, żeby wszyscy już wpadli w sieci. Wiesz, mama byłaby zachwycona, gdybym wyszła za grubego wicehrabiego bez podbródka. Ogromne pieniądze zostały wydane na moje stroje w związku z sezonem i dlatego papa był wściekły, kiedy jedynym rezultatem, jakiego się doczekał, była wizyta jednego dżentelmena, który nawet nie umiał grać w wista, i drugiego, który potrafił rozmawiać jedynie na temat swojej kochanki. -Zamilkła na chwilę i odwróciła się. - Tak, mam, to prawda. Niechże mama nie robi takiej przerażonej miny. Nie, nikt tego nie powiedział w mojej obecności. Ja... stałam pod drzwiami biblioteki papieża i usłyszałam przypadkiem. - Przerwała na moment i siadła grzecznie obok Arabelli, układając starannie

fałdy lawendowej spódnicy. - Ojej, Elsbeth ma grać. Mam nadzieję, że mania nic będzie nalegać, abym leż zagrała. Elsbeth jest taka utalentowana. To okropnie deprymujące. Zupełnie nie można się przy niej popisać.

- To prawda. W jej grze jest ogromna pasja. Gdyby potrafiła mówić tak, jak gra, byłaby znakomitym oratorem;

Po trzecim preludium Bacha Suzanne zaczęła się kręcić. Pochyliła jasną główkę do ucha Arabelli i przysłaniając usta dłonią w lawendowej rękawiczce, szepnęła:

- Masz szczęście, Bello. Hrabia jest przystojny. Piekielnie przystojny. Gdybym nie była dobrze wychowaną młodą damą, nie wytrzymałabym i zapytałabym o twoją noc poślubną. Więc jak to było?

Wspomnienie bólu i gorzkiego upokorzenia ścisnęło boleśnie serce Arabelli.

- Nie mówmy o tym - powiedziała wreszcie. - Wiedz tylko, że noce poślubne nie są... nie, o tym także nie mówmy. Cicho, posłuchaj Elsbeth.

- Jesteś niedobra.

Po występie Elsbeth otrzymała jak zwykle gromkie brawa, a Suzanne przekonała matkę, że dojmujący ból palca nie pozwoli jej wydobyć choćby jednego dźwięku z fortepianu. W rezultacie skończyło się na wiście. Arabella w parze z de Trecassisem grała przeciwko hrabiemu i Suzanne.

Szybko przekonała się, że Francuz gra równie dobrze jak ona. Zaczęła grać ostro, tak jak nauczył ją ojciec. Nie zamierzając tego wcale, dała się wciągnąć w cichą wojnę przeciwko mężowi. Gervaise i Suzanne zniknęli z jej myśli zupełnie. Kiedy lady Anna przerwała grę zaproszeniem na herbatę, Arabella i de Trecassis nieomal zmiażdżyli przeciwników. Suzanne, która w gruncie rzeczy była równie zajadła jak Arabella, roześmiała się tylko wesoło i rozrzuciła karty w kolorowy wachlarz na stole.

- Byłaś, pani, jak Joanna d'Arc niszcząca wroga stojącego jej na drodze - rzekł Francuz z podziwem w głosie. Ujął rękę Arabelli i pocałował w nadgarstek. Oczy hrabiego zwięzły się. Wyglądał, jakby miał zaraz kogoś zabić. Arabella wyrwała dłoń z uścisku i rzekła:

- Drogi panie, to nonsens. Poza tym nie znoszę pochlebstw. Mieliśmy doskonałe karty, nic więcej. To Suzanne zawsze niszczy przeciwnika.

- Tylko czasami. Pan de Trecassis ma rację, Bello. Walczyłaś jak lwica. Czy pamiętasz, jak w dzieciństwie wbijałaś mi do głowy zasady gry?

- Ma pani zbyt piękną główkę na takie niemądre gry, panno Talgarth - rzekł hrabia, pomagając jej wstać i podając jej ramię.

- A ja brałam pana za człowieka prawdomównego, milordzie - rzekła Suzanne.

- Niech pan przyzna, najchętniej ukreśliłby mi pan tę główkę, kiedy przebiłam atutem pańskiego biorącego pika w trzecim rozdaniu.

- Doskonale, przyznaję. Prawda bywa bolesna, czyż nie uważa pani, panno Talgarth?

- Jego lordowska mość najwyraźniej znajduje, że piękna panna Talgarth jest bardzo zabawna, nie sądzisz, kuzynko?

Arabella podniosła szare oczy na stanowczo zbyt przystojną twarz Francuza i rzekła:

- A zatem powiem panu, *monsieur*, że ja sama uważam Suzanne za zabawną. Potrafi ożywić każdą konwersację, jest ozdobą każdego przyjęcia.

Kiedy wśród szelestu i szumu okryć i kapeluszy lady Talgarth z córką odjechały, Arabella szybko przeprosiła wszystkich, nie patrząc przy tym nikomu w oczy, i pobiegła na górę. Zamknęła na klucz drzwi sypialni i odetchnęła z ulgą, gdy wtem niespodziewanie otworzyły się drzwi przyległej garderoby. Stała jak skamieniała na środku pokoju. Do sypialni wszedł hrabia.

Spostrzegł, że jej wzrok natychmiast padł na małą nocną szafkę, i domyślił się, że pistolet leży w szufladzie. Przystanął. Przyjrzał się jej uważnie. Zaciśnęła pięści, a twarz jej pobladła, co było aż nadto widoczne nawet w słabym blasku świec. Przed oczami mignął mu obraz Arabelli w koszuli nocnej, posuwającej się tanecznym krokiem w jego stronę, uśmiechniętej i ufnej. Wspomnienie nocy poślubnej, która miała miejsce wieki temu. Powiedział do niej spokojnym głosem:

- Nie będziesz dziś potrzebować broni, Arabello. Przyszedłem tylko życzyć ci dobrej nocy. Byłaś wspaniałą gospodynią. Uważam, że spędziliśmy wyjątkowo udany wieczór.

- Dziękuję. Owszem, wieczór był udany - rzekła. Stała bez ruchu, dopóki nie wyszedł z sypialni i nie zamknął za sobą drzwi.

Deszcz uderzał o szyby i sływał grubymi strugami na krzaki toż, których długie łodygi obijały się z łoskotem o zewnętrzną ścianę biblioteki. Arabella westchnęła, niezadowolona z przymusowej beczynności. Przejrzała ciemne półki w poszukiwaniu książki, która pomogłaby jej spędzić długie godziny po- południa. Jakże to dziwne, że ona, ukochana córka hrabiego Strafford, skrada się po domu, unikając pozostałych mieszkańców. Nawet doktor Branyon, którego spodziewano się na podwieczorku, dołączył do grona osób przyglądających się jej wnikliwie, co sprawiało, że czuła się jak intruz we własnym domu.

Tam do licha, to przecież absurd. Złapała pierwszą lepszą książkę w kolorowej oprawie, jaka wpadła jej w oko. Dopiero w sypialni przekonała się, że wybrała sztuki francuskiego pisarza Mirabeau. Jako że jej francuski był raczej mierny, podobnie jak próby

z głębień tajników fortepianu, powolne czytanie poszczególnych słów okazało się równie męczące jak wyjmowanie zadry z palca. Po chwili wyrzała ze swego kąta i potarła oczy. Aż zdziwiło ją to pragnienie samotności, chęć ukrycia się przed innymi. Podświadomie wybrała najciemniejszy zakamarek na spędzenie popołudnia.

Nim zmusiła się do przetłumaczenia zabawnych podobno zdań pierwszego aktu, otwarta książka osunęła się jej na kolana, a głowa opadła na ramię.

Arabella nie była pewna, co ją obudziło - może to lęk, że hrabia wszedł do sypialni, szukając jej. W jednej chwili stała się czujna, napięta, gotowa do działania.

Spojrzała w stronę lepiej oświetlonej części pokoju i ze zdumieniem spostrzegła przygarbioną sylwetkę Josette, pokojówki Elsbeth. Staruszka podeszła do *Tańca śmierci*, rozejrzała się szybko dookoła i zaczęła wodzić sękatymi palcami po figurach płaskorzeźby.

Arabella wstała z krzesła i wyszła ze swego ciemnego kąta. Josette! Co ty tu robisz? - spytała ostro.

Stara kobieta odskoczyła od ściany i opuściła ręce. Skonsternowana patrzyła na młodą hrabinę, w gardle zaschło jej ze strachu, tak że z ust dobywały się jedynie mało zrozumiałe dźwięki.

- Josette, co takiego ciekawego znalazłaś w tej płaskorzeźbie? Jeśli chciałaś ją obejrzeć, mogłaś mnie zapytać. Nie kręć mi się tu bez powodu. - Arabella zmarszczyła gniewnie brwi, ale nagle zauważyła przerażenie malujące się na pomarszczonej twarzy kobiety.

- Wybaczcie mi, pani - udało się wreszcie wykrztusić Josette zduszonym szeptem. - Ja tylko... tylko...

- Tylko co? - spytała Arabella, przechylając głowę na bok. Dobry Boże, kobiecina wyglądała tak, jakby spodziewała się, że drewniany szkielet wyciągnie z ram obrazu rękę i złapie ją za gardło. To wszystko było bardzo dziwne. Staruszka składała nerwowo ręce, wreszcie przycisnęła je do wątej piersi.

- Och, milady. Nie miałam wyjścia. Zostałam zmuszona do tego. Zmuszona. - Urwała gwałtownie. Zanim Arabella zdążyła zadać jej więcej pytań, wybiegła z komnaty w gorączkowym pośpiechu.

Arabella nie zatrzymywała jej. Długo wpatrywała się w zamknięte drzwi, zastanawiając się, co też, u licha, stara służąca miała na myśli. Podeszła do *Tańca śmierci* i przez dłuższą chwilę uważnie studiowała dziwną kompozycję rzeźbionych postaci. Przesunęła lekko palcami po powierzchni płaskorzeźby. Szkielet wykrzykiwał bezgłośnie rozkazy w stronę otaczających go demonów.

Wszystko było jak zawsze. Arabella postąpiła jeszcze chwilę, a potem wzruszyła ramionami i wróciła do ciemnego kąta.

Arabella cicho wsunęła się do sąsiedniej garderoby. Szlafrok wisiał na niej luźno, czarne włosy spływały w dół po plecach. Bezszelestnie podeszła do łóżka męża.

- Justinie, Justinie, obudź się. - Pochyliła się nad nim i potrząsnęła go za ramię.

- Co, co? Arabello? - Od razu oprzytomniał. Jej blada twarz niewyraźnie majaczyła w szarym świetle poranka.

Arabella zaczerpnęła tchu.

- Josette. Służąca Elsbeth. Nie żyje. Znalazłam ją przed chwilą u stóp wielkich schodów. Chyba skręciła kark.

- Dobry Boże! - Odrzucił kołdrę, nie zważając na to, że jest niemal zupełnie nagi, i rzucił spiesznie: - Prędkiej, podaj mi szlafrok.

Kiedy podawała mu elegancki brokatowy szlafrok, nie mogła oprzeć się pokusie, żeby nie spojrzeć na męża. Był absolutnie piękny - same mięśnie, szeroka klatka piersiowa porośnięta czarnymi włosami i lędźwie. Cofnęła się, przerażona własną reakcją, zastanawiając się, czy zauważył, że mu się przygląda.

Hrabia, najwyraźniej nieświadom tych rozterek, rzucił szorstko przez ramię, idąc w stronę drzwi:

- Nie stój tak, Bello, chodź ze mną. Przyszłaś z tym najpierw do mnie?

- Oczywiście - odparła po prostu. - A do kogo miałabym pójść? - I była to prawda. Musiała niemal biec, żeby go dogonić. - Nie mogłam spać i poszłam do biblioteki po odrobinę brandy.

- Całe szczęście, że służba jeszcze nie wstała.

Cofnęła się, kiedy pochylił się nad nienaturalnie wykręconym ciałem starej kobiety i zaczął poddawać je starannym oględzinom. Po chwili podniósł się i pokiwał głową.

- Masz rację. Złamała kark. Jest już zimna i sztywna. Nie żyje od jakiegoś czasu. - Zamilkł, patrząc na schody, a potem znów na zniekształcone ciało. Wolno zmarszczył gładkie czoło, tak że czarne brwi niemal się spotkały.

- Co o tym myślisz, Justinie? - spytała Arabella, patrząc na kręte schody.

- Sam nie wiem, co mam o tym myśleć rzekł wolno. Nagle podjął decyzję i dodał stanowczym tonem: Wszystko po kolei. Przynies coś, żeby ją przykryć, a ja przeniosę ją do tylnego saloniku i zaraz poślę po doktora Branyona.

Doktor zjawił się w ciągu godziny. Twarz miał zatroskaną. Wyobrażał sobie po

drodze Bóg wie jak straszne wypadki, a chłopiec stajenny wysłany po niego niewiele umiał mu powiedzieć.

Z wdzięcznością przyjął potem w Aksamitnym Pokoju filiżankę gorącej kawy z rąk Arabelli.

- Kilka kości jest złamanych - orzekł - ale mieliście rację, że skręciła kark, spadając ze schodów. Szkoda - westchnął. -Aż trudno w to uwierzyć, że przebywała w Anglii od przeszło dwudziestu lat. Była pokojówką Magdaleny. Opiekowała się Elsbeth od urodzenia. Biedna Elsbeth, na pewno bardzo przeżyje tę śmierć. - Zwrócił się do Arabelli: - Czy obudziłaś matkę? Myślę, że najlepiej będzie, jeśli to Anna powie o tym smutnym wydarzeniu twojej siostrze. Zostanę tu i dam jej coś na uspokojenie, jeśli zajdzie potrzeba. Biedna, biedna Elsbeth.

Lady Anna pozostała z pasierbicą przez większą część dnia, pokazując się tylko na krótko podczas lunchu.

- Nie przypuszczałem, że moja kuzynka tak się przejmie śmiercią służącej - rzekł z nutą niedowierzania w głosie pan de Trecassis, biorąc potężny kęs pieczonej szynki.

- Josette była dla Elsbeth jak druga matka - powiedziała cicho lady Anna. - Elsbeth była do niej bardzo przywiązana, znała ją całe swoje życie. Byłabym wręcz zdziwiona, gdyby mocno tego nie przeżyła. Na szczęście czuje się teraz znacznie lepiej, kochane dziecko.

Arabella przyglądała się Francuzowi, zastanawiając się jednocześnie, jak można być tak zupełnie pozbawionym wrażliwości. Jakby wyczuwając potępienie u obecnych przy stole, de Trecassis rozłożył ręce pełnym skruchy gestem i pośpiesznie zapewnił:

- Proszę wybaczyć mi tę impertynencką uwagę, lady Anno. Wydaje mi się, że Anglicy bardziej biorą sobie takie sprawy do serca niż my, Francuzi. Oczywiście, ma pani rację. Rozumiem uczucia mojej kuzynki. To z pewnością bardzo smutny wypadek.

Hrabia wstał gwałtownie i rzucił serwetkę na talerz.

- Paul, czy możesz pójść ze mną do biblioteki? Zaraz przyjdzie stolarz, który ma zrobić trumnę. - Skinął głową lady Annie i Arabelli, po czym nie oglądając się za siebie, opuścił jadalnię.

Dopiero późnym popołudniem zabrano ciało Josette. Arabella nie potrafiła tego wytłumaczyć, ale czuła się zobowiązana do wzięcia udziału w wyniesieniu zwłok. Hrabia przyszedł również i stanął cicho obok niej na ganku.

- Boże, jak ja nienawidzę śmierci! - powiedziała ochryłym głosem. - Spójrz tylko... To oznaki jej władzy... czarne pióra na końskiej uprzęży i czarne zasłony w oknach powozu. - Dodała gorzko: - A ja? Cała jestem spowita w welon śmierci, który przypomina nieustannie o

jej straszliwej mocy. Jesteśmy bardzo kruchymi istotami. O Boże, dlaczego ci, których kochamy, muszą zniknąć z naszego życia?

Hrabia spojrzał na bladą napiętą twarz żony i rzekł łagodnie:

- Twoje pytanie od lat zajmuje filozofów. Nawet oni mogą jedynie próbować na nie odpowiedzieć, w dodatku najczęściej niezadowolająco. To głównie żywi cierpią, bo ci, których kochamy i którzy odeszli, są już poza wszelkim bólem. - Urwał na chwilę i zamyślił się nad bezwzględnością praw natury. - Smutna to myśl, że tylko przez krótki moment uczestniczymy w tym trwającym wieki procesie.... Teraz ja opowiadam nonsensy. Bello, a może oddałabyś już czarne suknie pastorowi dla biednych? Przecież miłość do ojca i wspomnienia o nim żyją w tobie. Dlaczego podporządkowujesz się tym śmiesznym i niepotrzebnym konwenansom?

- Masz rację, tym bardziej że ojciec zawsze nienawidził czerni - rzekła wolno. Już się odwróciła i miała zamiar odejść, kiedy przypomniała sobie dziwną wizytę Josette w sypialni dzień wcześniej. - Justinie, pewnie to głupie i nie ma żadnego znaczenia, ale wczoraj po południu Josette przyglądała się uważnie tej upiornej płaskorzeźbie w sypialni. Nie widziała mnie, bo drzemałam w tym wielkim fotelu w kącie. Była bardzo przestraszona i zdenerwowana, kiedy ją nakryłam. Nie powiedziała nic sensownego. Kiedy spytałam, czego szuka, wybiegła z pokoju, jakby sam diabeł deptał jej po piętach - Czy coś powiedziała?

- Jakoś tak bardzo niejasno... że została zmuszona. To naprawdę nie miało większego sensu, jak już mówiłam. Ostatnio w ogóle zachowywała się dość dziwnie. Może wszystko się starowinie poplątało i myślała, że w sypialni zasiane żywą Magdalenę. - Umilkła i pokiwała ze smutkiem głową.

- Czy coś jeszcze, Arabello?

- Wiesz, to dziwne, że Josette chodziła w nocy po domu bez świecy.

Przez chwilę Justin poczuł się zupełnie jak podczas pewnej dusznej nocy w Portugalii. Razem z kilkoma innymi żołnierzami poszli na zwiad do lasu na obrzeżach małej wioski, szukając nieuchwytnych guerrillas. W pewnym momencie wyczuł niebezpieczeństwo. Przygwoździł towarzyszy do skalnego podłoża dokładnie w chwili, gdy nad ich głowami huknęły strzały. Teraz też, podobnie jak wtedy, wyczuł niebezpieczeństwo - wprawdzie nie w postaci kryjących się w ciemnościach morderców gotowych podrzynać gardła, ale mimo to niebezpieczeństwo. Uznał, że nie ma potrzeby zwierzać się z tak niesprecyzowanych obaw Arabelli, więc rzekł pozornie niedbale:

- Może Josette miała spotkać się z kochankiem. Świeca by ją zdradziła.

Cofnęła się gwałtownie, jakby nagle znalazła się daleko stąd, o wiele mil od niego. W

jej oczach pojawił się wstyd. I gorycz. I wina. Jego przekonanie, że go zdradziła, odebrało jej chęć do dalszej rozmowy.

- Arabello, zaczekaj, ja nie... Tam do diabła! - Urwał, wściekły na samego siebie. Ale jej już nie było.

- Czy uwierzysz, Bello? Nasz bezbrody wicehrabia niby przypadkiem zajechał w sąsiedztwo po drodze do Brighton. Mama natychmiast zaczęła czule gruchać i narobiła straszego zamieszania. Kochany papa, potraktował go dość chłodno. Oczywiście to przez ten swój gościec był w kiepskim humorze, ale i tak omal nie przyprawił mamy o apopleksję. Ależ go wyłajała, że niweczy moje szanse na małżeńskie kajdany.

Suzanne zatrzymała Piwonię i pogłaskała ją po szyi.

Papa śmiał się do łez, aż zrobił się purpurowy na twarzy, kiedy mu powiedziałam, że skoro Arabella Deverill potrafiła złapać hrabiego, to mnie należy zapewnić księcia.

Arabella ściągnęła cugle Lucyfera i spojrzała z namysłem na przyjaciółkę.

- Wiesz, Suzanne, to dobry żart, ale mimo to nie uważam za - rozsądne...

- Boże, Bello, co się z tobą dzieje? Odkąd wyszłaś za męża, zmieniłaś się bardzo. Jesteś stanowczo za cicha. Patrzysz na mnie dziwnie, kiedy uda mi się powiedzieć coś naprawdę dowcipnego. O czym ty mówisz? Co, u licha, nie jest rozsądne?

- Wcale się nie zmieniłam, wierz mi. To tylko... nie... to nie twoja sprawa. Powiem ci jedynie, co nie jest rozsądne. Otóż to wychowanie młodych dziewcząt, które każe im idealizować obraz jakiegoś żalostnego człowieczka, mającego być ich mężem.

- Uważaj, Bello, to brzmi jak wypowiedź kobiety głęboko zawiedzionej. Mama rzeczywiście starała się mnie wychować w podobnie nonsensowny sposób, ale przecież znasz mnie. Jeżeli mężczyzna jest osłem, to nim jest i nic się na to nie poradzi. Wiesz, Bello, czasami odnoszę wrażenie, że wbrew pozorom jesteś wielką romantyczką, w przeciwieństwie do mnie. Jestem przekonana, że marzyłaś o grand amour, czyż nie? - Wobec milczenia Arabelli Suzanne zaśmiała się i szarpnęła cugle na lśniącej brązowej szyi Piwonii.

- Chodź! - zawołała przez ramię. - Jesteśmy już niedaleko Bury St. Edmunds. Powiedz Lucyferowi, żeby się trochę postarał. Jest tak pięknie. Obejrzymy sobie ruiny.

Ale nie obejrzały. Kiedy tam dotarły, Suzanne z gracją zsiadła z konia w cieniu starego wiązu na porośniętym trawą pagórku i wróciła do poprzedniej rozmowy.

Wiesz, nigdy nie wierzyłam w żadną wielką miłość. Trudno by mi zresztą było w nią wierzyć, obserwując przez wiele lat nianię i papę. Myślę - dodała, marszcząc brwi - że taka rzecz jak miłość zdarza się chyba tylko wśród prostych ludzi, gdyż nie zauważyłam jej w małżeństwach z naszej sfery. Nawet byłoby całkiem miło, gdyby się przytrafiła komuś

znajomemu. Czy sądzisz, że to jest w ogóle możliwe?

- Nie miałam pojęcia, że uzależniasz miłość od sfery, Suzanne - rzekła Arabella. - Chyba nie jesteś snobką. Ale może dziewczęta, takie jak my, wychodzą za mąż za człowieka, którego się dla nich wybierze, i to wszystko, tak jak ja. Zrobiłam, co ojciec kazał, choć już wtedy nie żył. - Wygładziła fałdy niebieskiej sukni do konnej jazdy. Z jakąż rozkoszą pozbyła się tych przygnębiających czarnych strojów!

Suzanne popatrzyła na nią i kiwnęła głową z uznaniem.

- Podoba mi się twoja suknia. Ja leż nienawidzę czerni. Mama dostanie ataku, kiedy cię zobaczy, ale nie przejmuj się tym. Czy ja rzeczywiście jestem snobką? Suzanne potrząsnęła głową. - Nie, Bello, ja tylko patrzę na świat realnie. Niewątpliwie mój książę będzie po czterdziestce, ze skłonnością do tycia i do hazardowania się w eleganckim towarzystwie. Ale za to będę „waszą wysokością”, będę mieć niezliczone zastępy służby spełniającej każdy mój kaprys, będę cieszyć się życiem, tak jak człowiek powinien się cieszyć. A przede wszystkim liczę na przepyszne paszteciki z homarem i tyle szampana, ile tylko zdołam wypić.

- A nie uważasz, że mogłabyś pokochać człowieka, za którego wyjdiesz? - spytała wolno Arabella. Myślała przy tym, że zadławi się własnym pytaniem.

- Takie pytanie z twoich ust, Arabello? Ach, zapomniałam o twoim przystojnym mężu. Jest piękny, co do tego nie ma cienia wątpliwości. Jest także czarujący i lubi rządzić, ale w taki przyjemny, opiekuńczy sposób. Pewnie lubicie się wzajemnie. To dobrze. Masz szczęście, że wyszłaś za mąż za takiego człowieka. Ma podbródek i nie ma gośćca. I jest naprawdę mądry. Niewielu takich jak on spotkałam w Londynie. Pomyśleć tylko, że ojciec sam ci go wybrał. Tak, zdecydowanie mogłaś trafić gorzej. Poza tym, jak dalece cię znam, gdyby ten biedny człowiek nie jeździł jak dżokej, w ogóle byś z nim nie rozmawiała.

- Tak, to był pomysł mego ojca, a właściwie jego rozkaz - rzekła Arabella, patrząc na widoczne w dali ruiny. - Nie miałam w zasadzie wyboru. Widzisz, nie mogłam opuścić Evesham Abbey.

- Jakie to dziwne! - rzekła Suzanne po chwili. - Kiedy byłyśmy dziećmi, nigdy nie wyobrażałam sobie ciebie jako kobiety zamężnej. Byłaś zawsze pewna siebie, zdecydowana i silna, gdybyś nie była taka śliczna, mogłabyś nawet uchodzić za mężczyznę. Ojciec ciągle mi powtarzał, żebyś ci się nie dała zdominować. Twierdził, że powinnaś być urodzić się chłopakiem, ponieważ twój ojciec nieustannie zachęcał cię do różnych szaleństw. Nigdy nie mogłam zrozumieć, dlaczego to nie lady Anna zajmuje się tobą. Ale i tak widziałam błysk podziwu w jego oczach, gdy niby to zrzędził i narzekał na ciebie.

- Pamiętam, jak nieraz wpędzałaś mnie w kłopoty - powiedziała Arabella. - Ale dziwi mnie to, co mówisz: że nie sądziłaś, iż kiedykolwiek wyjdę za mąż. Po co właściwie jest kobieta? Żeby stać się taką dziwaczką jak panna Stanhope czy moja ciotka Grenhilda? Nie, małżeństwo jest nam przeznaczone. A czy ja rzeczywiście jestem pewna siebie i silna... - Arabella zamilkła na chwilę, starając się uważnie dobrać słowa. - Wiesz, może byłoby dla mnie lepiej, gdybym była bardziej uległa i posłuszna.

- Mówisz o swoim rządzącym mężu? Bo jeszcze pomyślę, że wojujecie ze sobą, kto silniejszy. Wiesz, wydaje mi się, że mimo całej twojej dzielności i dzikich wyczynów w czasach naszej wspólnej młodości jesteś bardzo niedoświadczona. Brak ci kobiecej mądrości.

- Kobiecej mądrości? To kojarzy się ze starą Cyganichą sporządzającą na nowiu napój miłosny. Co masz na myśli, Suzanne?

Z oczu Suzanne znikła wesołość, a jej głos stał się nagle bardzo poważny.

- Powiem ci, Bello. Masz silny charakter, ale to nie jest kobiecy silny charakter. Nie, nie przerywaj mi, gdyż dopiero dochodzę do sedna sprawy. Nigdy nie widziałam, żebyś cofała się przed czymś, nawet jeśli było to coś nieprzyjemnego. Jesteś otwarta, szczerą, lojalna... A to wszystko są cechy przypisywane mężczyznom. Na tym właśnie polega twój problem. Panowie myślą, że ich zwodzimy lub udajemy, nawet kiedy postępujemy wobec nich uczciwie. A kiedy zostajemy zmuszone do drobnej nieuczciwości, oni i tak nie zauważają różnicy. Stąd płynie prosty wniosek, moja droga przyjaciółko.

Dlaczego ich rozczarowywać?

- Mówisz dość niejasno, Suzanne, i nie jestem całkiem pewna, czy dobrze cię zrozumiałam. Czy to znaczy, że jeśli jestem uczciwa, podobnie jak większość kobiet, to mężczyznom nie sprawia to różnicy? To miałaś na myśli?

- Tak, mniej więcej o to mi chodzi.

Arabella westchnęła, zerwała źdźbło trawy i zaczęła je gryźć.

- Zaprosiłam cię na tę przejażdżkę, bo myślałam, że mnie rozweselisz. Wiesz przecież, że Elsbeth pogrzażyła się w głębokim smutku po tragicznej śmierci Josette. Spodziewałam się ciepła od ciebie. Liczyłam na miłe, subtelne żarty, że mnie pocieszysz, podbudujesz, pogłaszczesz po głowie. A ty jedynie analizujesz szczegółowo mój przykry charakter.

Teraz Suzanne westchnęła i zacisnęła śliczne usteczka. Wyciągnęła wygodnie nogi i poruszyła palcami w miękkich butach z ciepłej skóry.

- Widzę, że cała moja mądrość poszła na marne. Powiem ci coś, Bello. Myślę, że jesteś taką samą romantyczną gąską jak nasza droga Elsbeth. Arabella obróciła zdziwione oczy na przyjaciółkę.

- Suzanne, przestań wiercić palcami w butach. O co ci właściwie chodzi? Elsbeth ma być romantyczna? Ależ to absurdalny pomysł. To jeszcze niewinne dziecko, mimo że ma już dwadzieścia jeden lat. Ona nie ma najmniejszego pojęcia o romansach i romantyczności.

- Biedna Arabello! Nawet Elsbeth stara się skrywać swoje uczucia, choć nie jest w tym dość biegła. Czy nie zauważyłaś, jak chłonie każde słowo pana de Trecassis? Założę się, że jest bardzo przejęta tym młodym Francuzem. To zdaje się jej kuzyn?

- Tak, jej kuzyn. Jej matka była jego ciotką. Ale doprawdy, Suzanne... Suzanne podniosła ręce w geście rozpaczy.

- Bello, jak możesz być tak ślepa? Twoja przyrodnia siostrzyczka nie jest wcale takim niewiniątkiem. Głowę daję, że poluje na przystojnego kuzynka. Wczoraj wieczorem zauważyłam, jak patrzyła na ciebie, kiedy graliście w wista. W tych pięknych oczkach była nienawiść, Bello, nienawiść i zazdrość o ciebie, a wszystko dlatego, że kuzyn zachowywał się, jak na Francuza przystało.

Elsbeth i Gervaise? To niemożliwe. Ale zaraz, Arabello.

Przypomnij sobie. Czyż nie zdarzało się, że oboje, Elsbeth i Gervaise, byli nieobecni podczas dnia? Czy Elsbeth nie stała się śmielsza i bardziej pewna siebie. I tak swobodnie zawsze rozmawia z Gervaise'em...

- O mój Boże! - Zerwała się na równe nogi. *Justin wierzy święcie, że Gervaise jest moim kochankiem. Nie rozumiałam, dlaczego. Nie znajdowałam odpowiedzi na jego zarzuty. Jedyne, co mogłam zrobić, to zaklinać się, że jestem niewinna. Czy to naprawdę możliwe, że Elsbeth, moja nieśmiała i zahukana Elsbeth, jest kochanką Francuza?*

Suzanne rozplatała swoje zgrabne nóżki i też wstała. Dziwny wyraz oczu przyjaciółki zaniepokoił ją bardzo. Chwyciła Arabellę za ramię i potrząsnęła mocno.

- Bello, co cię tak zdenerwowało? Przecież ja mogę się mylić co do Elsbeth i jej kuzyna. Znasz mnie nie od dziś. Plotę, co mi ślina na język przyniesie, i nie zawsze przy tym pomyślę. Arabella odwróciła głowę i spojrzała na przyjaciółkę.

- Nie - rzekła wolno. - Masz rację. Byłam ślepa. Nie widziałam, co się wokół mnie dzieje. Drogo za to zapłaciłam.

Justin też. Ale jak się dowiedział? Dlaczego był przekonany, że to ja? Był tak pewien, jakby mnie złapał na gorącym uczynku, a to przecież niemożliwe.

- Muszę teraz wracać do Evesham Abbey, Suzanne - dodała spieszenie, ściskając szpicrutę w rękę. - Mam wiele rzeczy do przemyślenia. O Boże, tyle spraw trzeba teraz wyjaśnić. Suzanne, błagam, zatrzymaj dla siebie to wszystko, o czym tu dziś mówiłyśmy. I jestem ci naprawdę wdzięczna za to, co mi powiedziałaś. Z całego serca ci dziękuję.

Arabella skoczyła na grzbiet Lucyfera i popędziła jak wiatr, nim Suzanne zdążyła cokolwiek pomyśleć.

Hrabia patrzył w zamyśleniu na arkusik papieru listowego z wiadomością od serdecznego przyjaciela, lorda Mortona, ministra wojny. Jack przeprowadził właśnie skuteczną operację wojskową, mimo że Francuzi mieli pod kontrolą cały kontynent. Przeczytał jeszcze raz te kilka linijek, a potem podarł list i chwilę patrzył, jak białe kawałki papieru opadają na drewno leżące w kominku. Zapalił je od świecy i zaczekał, aż - brązowiejąc najpierw na brzegach - obrócić się w popiół w pomarańczowym płomieniu.

Miał już wyjść z biblioteki, kiedy otworzyły się drzwi i stanęła w nich lady Anna.

- Mój drogi, cieszę się, że cię jeszcze zastałam. Chciałabym z tobą porozmawiać.

Hrabia natychmiast pomyślał, że chodzi o Arabellę. Spojrzał na nieruchomą twarz Anny i zdecydował, że należy postępować ostrożnie. Natychmiast stał się bardziej oficjalny.

- Miałem właśnie jechać do Talgarth Hall, ale nie śpieszy mi się aż tak bardzo. Może zechcesz usiąść, Anno.

Lady Anna usiadła i wskazała mu miejsce obok siebie. Powiedziała cicho:

- Nie mam zamiaru poruszać żadnych drażliwych spraw, Justinie, więc nie niepokój się. Chciałam pomówić z tobą o Elsbeth.

- O Elsbeth? Przecież wszelkie decyzje jej dotyczące podejmujesz ty, Anno. - Założył nogę na nogę i czekał niecierpliwie na ciąg dalszy.

Anna doszła do wniosku, że nie powinna dłużej zwlekać. -

- Tak, masz rację, sprawy związane z Elsbeth pozostają w mojej gestii, i nie o to mi w tej chwili chodzi. - Wzięła głęboki oddech. Chciałam poruszyć temat Gervaise a de Trecassis. Wiem że nie masz o nim zbyt wielkiego wyobrażenia. W tej kwestii zgadzamy się z tobą, zarówno ja, jak i doktor Branyon. Nie ułam naszemu gościowi i tyle. Jest w nim coś dziwnego. Czasem sprawia wrażenie, jakby udawał czy też odgrywał przed nami jakąś rolę. Nie podoba mi się jego swobodny sposób-być w stosunku do Elsbeth i Arabelli. Wiem doskonale, że Arabella go nie znosi. Zastanawiam się więc, co on jeszcze tutaj robi. Dlaczego nie poprosisz go, by wyjechał z Evesham Abbey? Przecież me musisz go od razu zabijać, choć doktor Branyon twierdzi, że masz na to wielką ochotę. .

Patrzył na nią bardzo długo i wreszcie zadał pytanie, które ją zdumiało.

- Dlaczego uważasz, że Arabella go nie znosi? To mocno powiedziane, Anno.

Z tego wszystkiego, co przed chwilą usłyszał, obeszła go jedynie Arabella!

- To od razu widać, że on nie tylko jest dla niej odpychający, ale też że ona się go boi.

Wydaje mi się, że boi się, iż naopowiadał ci kłamstw na jej temat. Czy może z tobą o mej rozmawiał?

- Nie.

- Aha w każdym razie Arabelli wydaje się, że mógł to zrobić. Chociaż nie bardzo rozumiem, skąd się u mej wzięło to przekonanie.

- Czy powiedziała ci o tym?

- Nie, skądże, lecz jestem jej matką i znam ją trochę? Rozumiem ją bardzo dobrze. To zastanawiające, że z kolei Elsbeth pan de Trecassis wyraźnie się podoba. Już kilka razy stanęła w jego obronie, kiedy odezwał się niezbyt sensownie. Czy to nie dziwne?

- Że Elsbeth broniła kuzyna? Może to nie jest aż tak dziwne. Rodzinna lojalność. W końcu są dość blisko spokrewnieni. To wrażliwa, młoda dziewczyna...

- Prawie trzy lata starsza od Arabelli.

- Owszem, ale bardzo niewinna, jeśli chodzi o sprawy tego świata. Może widzi w nim bohatera?

- Dlaczego go nienawidzisz, Justine:

Wstał szybko i podszedł do stolika przy ścianie. Nalał sobie kieliszek brandy i wypił.

- Zostawmy to, Anno - rzekł w końcu. - Dajmy temu spokój. I tak nie zrozumiałabyś, a nie jest to coś, o czym chciałbym z tobą rozmawiać.

- Doskonale cię rozumiem. I pochwalam twoją dyskrecję, z tym że jednak się mylisz. Nie wiem, skąd to przekonanie, że on i Arabella mają romans.

Przeczuł, że ten moment nadejdzie. Przewidział to. Więc Arabella wyplakała się matce na piersi i prosiła o interwencję. Można było się tego spodziewać. Z ironią w głosie powiedział:

- Aha, widzę, że córeczka się poskarżyła. Czy wyznała, że małżeństwo ze mną było dla niej rzeczą tak straszną, iż wzięła sobie kochankę, jeszcze zanim się pobraliśmy? Czy przyznała ci się i do tego, że nasz związek to kpiny z sakramentu? Wyobrażam sobie, jak błagała cię, żebyś wpłynęła jakoś na mnie.

Nie do wiary, że człowiek może mieć w sobie tyle gorzkości. Należało poruszać się bardzo ostrożnie. Stawka była zbyt wysoka.

- Posłuchaj, Justine. Arabella unika mnie tak samo jak ciebie. Jest rozgoryczona i nieszczęśliwa. Wiem też, że zadałeś jej ból w noc poślubną. Rano na własne oczy widziałam porwaną na strzępy koszulę i pełno krwi w pokoju. Nic mi nie powiedziała, ani słówka. Pytasz, czy błagała mnie o pomoc. Czyś ty rozum postradał? Wyobrażasz sobie Arabellę błagającą o coś kogokolwiek?

- Przykro mi doprawdy. Oczywiście to nie leży w jej charakterze, ale inne rzeczy tak. Nie możesz być ślepa tylko dlatego, że to twoja córka.

- Dlaczego mówisz, że jest ci przykro? Czy dlatego, że dowiedziałam się, co zrobiłeś mojej córce?

- Przykro mi, że to wszystko tak się ułożyło. - Chciał wyjść stąd, i to jak najszybciej.

- Jesteś głupcem, Justinie. Jeśli chodzi o moją córkę, to wiele można mi zarzucić, ale nie to, że jestem ślepa. Co miałeś na myśli, mówiąc o jej charakterze? Odpowiedz mi.

- Anno, ona w pełni zasłużyła na karę, jaką jej wymierzyłem. Wiele się wydarzyło między nami, a jeszcze nie do końca załatwiliśmy tę sprawę. Dlatego wolałbym nie mówić na ten temat. Nic tu nie możesz poradzić. Wystarczy, że wiem, iż Arabella jest jego kochanką. A jeśli chodzi o pana Gervaise'a de Trecassis, to jeszcze zobaczymy. Rzeczywiście nie chcę, by wyjeżdżał. Paul ma całkowitą rację. Najchętniej bym go zabił... nie kulą Czy szpadą, ale gołymi rękami. Na razie jednak niech tu jeszcze zostanie. Jestem zdania, że gdy w pobliżu czai się wąż, to mądrze jest mieć go na oku. Jeśli mu się pozwoli odpełznąć za wcześnie, może nagle wrócić i ukąsić znieścacka, kiedy człowiek najmniej się tego spodziewa.

- Gołymi rękami?

- I to z rozkoszą. Ale niestety nie mogę. Przynajmniej na razie.

- Dlaczego? I nie zbywaj mnie opowieściami o węzłach czających się w pobliżu!

- Dobrze, Anno, będę mówił wprost. Muszę wiedzieć, kim jest i po co się tu zjawił, zanim zacznę działać. Co do jednego masz rację. Nie mogę pozwolić sobie na to, by mój gniew na Arabellę pokrzyżował mi plany. Tak, droga Anno, gorąco pragnę zabić człowieka, który uwiódł mi żonę. Ośmielę się zauważyć, że Paul Branyon zabiłby każdego, kto uwiódłby ciebie.

Potrząsnęła głową.

- Pan de Trecassis nie jest jej kochankiem. Zaraz, zaraz, czy chcesz przez to powiedzieć, że nie była dziewicą w noc poślubną?

- Miała to być rozmowa na temat Elsbeth - rzekł sucho. Wypił jeszcze trochę brandy, która palącą strugą spłynęła mu do żołądka. - Mogłem się domyślić, o co naprawdę ci chodzi.

- Powinieneś...

- Czy to już wszystko?

- Nie. Czy Arabella była dziewicą w noc poślubną? Westchnął.

- Była dziewicą.

- W takim razie o czym my, na miłość boską, mówimy? Czyś ty oszalał? To chyba ja ciebie zaraz zastrzelę! - Lady Anna zerwała się z miejsca. Przez chwilę miał wrażenie, że go

uderzy. Zatrzymała się tuż przed nim i położyła mu dłoń na ramieniu. - No i co? Przecież była dziewczicą. Powiedziała, że nie było żadnego romansu. O co ci zatem chodzi?

- Anno, byłaś kobietą zameźną. Wiesz, że są różne sposoby zaspokojenia mężczyzny. Spojrzała na niego, jakby nagle ogarnęły ją mdłości.

- Och, nie! Arabella nigdy nie zrobiłaby tego. Nie, nie, to straszne. Na pewno nie.

- Nasza rozmowa jest nie na miejscu, Anno Nie życzę sobie więcej poruszać tego tematu. Wystarczy, jeśli powiem, że mam absolutną pewność co do tego, że Arabella została kochanką pana de Trecassis przed naszym ślubem Pewność, czy słyszysz? Nie jestem kłamcą. Nie wymyśliłem solne tego, to nic są żadne domysły ani podejrzenia. Czy nadal się z nim spotyka? Nie wiem. Oczywiście uparcie zaprzecza wszystkiemu. A czego byś się po niej w tej sytuacji spodziewała?

- Arabella w życiu nie skłamała.

- Jakże słabo znasz swoją córkę, Anno!

Uderzyła go z całej siły, aż głowa hrabiego odskoczyła w tył, a na policzku pojawił się odcisk dłoni. Nie powiedział nic, tylko patrzył na nią.

- Mylisz się. Bardzo się mylisz - rzekła sztywno, unosząc dumnie głowę.

Dotknął policzka. Palił jak ogień. Była silniejsza, niż na to wyglądała. I co teraz robić z Arabella? Nowy dom stał się polem bitwy. Nawet lady Anna, spokojna, urocza teściowa, uderzyła go. Czyżby tylko on jeden był przekonany o winie Arabelli? A może jego intymne sprawy omawiane są już w kuchni?

Nagle drzwi do biblioteki otworzyły się gwałtownie i do środka wpadła Arabella. Zatrzymała się w progu niepewnie, a na jej twarzy pojawił się lęk. Wyciągnęła przed siebie ramiona, jakby chciała odgrodzić się od matki i męża.

- Myślałam, że jesteś sam, milordzie. Nie sądziłam, że zastanę tu mamę. Dlaczego ja właściwie tak myślałam? Już sama nie wiem. Jak się dziś mama czuje?

- Bardzo dobrze, dziękuję, Arabello. Jak tam przejażdżka z Suzanne? Nie, nie odpowiadaj, to głupie pytanie. Nie, kochanie moje, nie wychodź. To ja właśnie miałam iść. Justinie, proszę, weź pod uwagę to, co ci powiedziałam. Może porozmawiamy jeszcze później. - To dopiero niespodzianka - pomyślała lady Anna i mijając córkę, pogłaskała pieszczotliwie jej dłoń. Arabella chce zostać sam na sam z mężem.

Tymczasem Arabella niespodziewanie chwyciła rękę matki i przytrzymała ją mocno. Przejęła się wyrazem twarzy hrabiego, groźnym i odpychającym. Przyszło jej do głowy, że spostrzeżenie Suzanne dotyczące Elsbeth i pana de Trecassis może się okazać dla hrabiego argumentem niewystarczającym. Skoro ona sama nie widziała, co się święci między

Francuzem a przyrodnią siostrą, to tym bardziej Justin mógł niczego nie zauważyć. I znów jej nie uwierzy. Doszła zatem do wniosku, że lepiej się wycofać. Nawet teraz widziała nieufność i potępienie w oczach męża. Na wszelki wypadek zajęła pozycję bliżej drzwi, za matką.

- To nic ważnego. Przepraszam, że przeszkodziłam, milordzie. Pójdę teraz do siebie odpocząć.

- Zaczekaj, Arabello! - zawołał hrabia, kiedy odwróciła się, chcąc wybiec. Lady Anna zorientowała się, że Arabella użyła jej jako tarczy, osłaniając się przed mężem. Od razu zauważyła, że córka stała się bardziej spięta, gdy hrabia zbliżył się do niej. On tymczasem wyciągnął klucz z kieszeni kamizelki. - Jeśli chcesz iść do naszej sypialni, będzie ci potrzebny klucz.

Lady Anna zbyt długo zachowywała spokój. Dłoń nadal ją paliła po policzku wymierzonym zięciowi. Sytuacja wymagała wyjaśnień.

- Moje drogie dziecko, przede wszystkim to naprawdę właśnie wychodziłam. Nie przeszkodziłaś nam w niczym. A po drugie: dlaczegoż to, Justinie, zamknęłaś sypialnię na klucz?

Wzruszył lekko ramionami.

- Przypadkiem zauważyłem, że kilka desek w podłodze obłuzowało się. Nie chcę, żeby służący, chodząc tam, uszkodzili je jeszcze bardziej. Postanowiłem zamknąć pokój, dopóki nie przyjdzie cieśla i ich nie naprawi. Proszę, oto klucz, Arabello.

Arabella porwała klucz, odwróciła się i szybko wyszła z pokoju.

- Nie boisz się odpowiedzialności, Justinie? - rzekła lady Anna, patrząc mu prosto w oczy. - Naprawdę źle postąpiłeś.

- Nie sądzę, Anno. A teraz wybacz mi, obiecałem złożyć wizytę lordowi Talgarthowi. Zastanowię się nad tym, co mi powiedziałaś.

- Wątpię, czy coś z tego wyniknie. Z własnego doświadczenia wiem, że jeśli mężczyzna raz w coś uwierzy, to prędzej umrze w tym przekonaniu, niż dopuści do siebie myśl, że może się mylić. Mój Boże, jakże ja tego nienawidzę! - Już miała odejść, ale odwróciła się raz jeszcze i wyciągnęła znacząco palec. - Arabella nigdy w życiu się nie bała. A od ślubu z tobą stała się cicha, zamknięta w sobie, sprawia nawet wrażenie wystraszonej. Ani razu od tamtego dnia, czy może raczej od tamtej nocy, nie pouczała mnie, co powinnam robić, a uwierz mi, że jak na nią jest to dość niezwykle zjawisko. Och tak, na was, mężczyznach, ciąży straszliwa odpowiedzialność. Niech was wszystkich licho!

Tym razem wyszła. Hrabia przez dłuższy czas spoglądał na drzwi. Łagodna, uprzejma, opanowana lady Anna. A tu nagle zmieniła się w tygrysyce.

Wyjechał do Talgarth Hall i spędził tam resztę dnia.

Elsbeth uwielbiała słodką woń świeżego siana. Wdychała głęboko w płuca zapach, jaki napełniał stodołę, i uśmiechała się. Szybko przeszła w najdalszy koniec stodoły. Minął tydzień, odkąd ostatni raz wymknęła się z Evesham Abbey na potajemną schadzki. To stanowczo zbyt długo. Od śmierci Josette ani razu nie napomknął o swojej męskiej żądzy. Szanowała go za tę delikatność uczuć. To, że uszanował jej smutek po tym tragicznym wydarzeniu, sprawiło, iż stał się jeszcze droższy jej sercu.

A jednak kiedy rozkładała płaszcz na sianie i wyglądała fałdy sukni, zasepiła się. W ciągu ostatnich kilku dni czuła wyraźnie, że ukochany czymś się trapi. Odniosła nawet wrażenie -choć natychmiast skarciła za to samą siebie - że zawahał się, kiedy złożyła mu nieśmiałą propozycję spotkania po południu.

Ponieważ przez chwilę zastanawiał się, natychmiast przed jej zakochanymi oczami pojawiła się śliczna twarzyczka Suzanne Talgarth. Jakże nienawidziła Suzanne! Była święcie przekonana, że Suzanne chce mieć Gervaise'a dla siebie. Która kobieta by go nie pragnęła? Wszak był wszystkim, o czym każda może marzyć. Och tak, Elsbeth doskonale wiedziała, co kto czuje. Tak, Suzanne, ta kokietka, wyraźnie miała na niego ochotę. Ale on przecież nie dałby się wziąć na jej wdzięki. Na pewno nie, mimo że Suzanne jest wesoła i piękna. Nie, nie zdradziłby przecież swojej *petite cousine*.

Przez ostatni tydzień ani razu nie położyła się posłusznie na sianie i w związku z tym coraz silniejsze stawało się jej romantyczne wyobrażenie, że fizyczna jedność jest najwyższym dowodem miłości Gervaise'a do niej. Modliła się znowu, by poczuć rozkosz pod dotknięciem ręki kochanka i jęczeć w ekstazie w odpowiedzi na jego pocałunki.

Podczas tych chwil oczekiwania w mrocznym wnętrzu zaczęła odczuwać lekkie zdenerwowanie. Pewnie zatrzymała go jakaś ważna sprawa. Już miała wstać i wyrzucić przez szparę w drzwiach, gdy cicho wślizgnął się do środka.

- Och, kochanie, zaczęłam się już martwić. Zarzuciła mu ramiona na szyję i obsypała go pocałunkami. - Czy miałeś trudności? Coś cię zatrzymało? Ale chyba nie Suzanne Talgarth, prawda? Powiedz, namawiała cię, byś przyszedł do niej. Czy ty jeszcze mnie kochasz?

Gervaise ucałował ją w głowę, a potem łagodnie posadził na płaszczu.

- A co to ma wspólnego z Suzanne? Gdyby się nawet nic wiem jak *starala, ma petite*, roześmiałbym się jej w twarz. Mówiłem ci już, że nie przepadam za różowymi angielskimi

pannami przypominającymi krowy.

Z gracją usiadł obok niej na rozpostartym na sianie płaszczu, patrząc na słodką twarzyczkę i oczy o migdałowym kształcie -tak podobne do oczu jej matki - w których płonęło absolutne oddanie.

- Nie, droga Elsbeth - rzekł lekko, wodząc palcami po jej gładkim policzku. - Miałem rozmowę z lady Anną. Nie byłoby to zbyt uprzejme z mojej strony, gdybym nagle przerwał jej w pół słowa.

Pochyliła się i objęła go. Czuła się winna z powodu swoich wątpliwości. Uważała się w tej chwili za jędzę, ponieważ ośmieliła się zadawać mu pytania.

Naprawdę nie jest go warta. A jednak był przy niej, wybrał właśnie ją. Poczowała lekki pocałunek we włosach i spodziewała się, że teraz weźmie ją w ramiona. A on tymczasem wcale nie przygarniał jej gwałtownie, tak jak przedtem. Czekala. Nic. Cofnęła nieco głowę, zdumiona, aż oczy pociemniały jej z lęku. Chyba po tygodniu przerwy powinien jej pragnąć. A może jednak Suzanne była w Evesham Abbey? Czyżby ją okłamał? Nie, nie powinna tak myśleć, ani przez chwilę. Nie powinna też myśleć o wielkiej uldze, jakiej doznała, gdy nie zaczął od razu ściągać z niej sukni.

- Co się stało, mój ukochany? - szepnęła, wtulona w jego ramię. - Co się stało, że jesteś taki niespokojny?

Westchnął i położył się na boku, wspierając się na łokciu.

- Jesteś spostrzegawcza, Elsbeth. Dużo widzisz. - Przekonał się, że słowa, które przyszyły mu lak łatwo, sprawiły jej ogromną przyjemność. Byłaby dokładnie laka, jak by sobie tego życzył, zrobiłaby wszystko, czego by od niej zażądał. A o to właśnie mu chodziło. Bardzo starannie ważąc słowa, powiedział wreszcie: -Musiałas zatem zauważyć, że hrabia i ja nie pałamy do siebie sympatią. Jego niechęć do mnie staje się z dnia na dzień coraz większa. Sądzę, że gdyby tylko mógł, zabiłby mnie. Nie, Elsbeth, nie rób takiej przestraszonej minki. Wiesz, że pokonałbym go bez trudu. Od jakiegoś czasu zastanawiałem się, dlaczego on dotąd nie kazał mi wyjechać. Dziwne, że nie zrobił tego. Nie rozumiem jego postępowania, podobnie jak nie rozumiem jego nienawiści do mnie. Wszak nie zrobiłem mu nic złego.

Elsbeth nie wytrzymała w tym momencie.

- Zabić cię! Och, nie, nie! Tego już za wiele! Na szczęście ty byś do tego nie dopuścił. Jesteś taki odważny, silny i mądry. On jest niczym w porównaniu z tobą. Ach, jak ja go nienawidzę! I co teraz zrobimy?

Wierzyła święcie w to, co mówiła. Tak się roznamiętniła, że aż go to zdumiało. Przyszło mu do głowy, że do tej chwili nie znał jej tak naprawdę. Żar w jej głosie był tak

wyraźny, tak mocny... Doskonale wiedział, że namiętność można wykorzystać do różnych celów. Uśmiechnął się do niej. Teraz mógł już być jej pewien.

Chwyliła go za rękaw.

- Nienawidzi cię, ponieważ ci zazdrości, jestem tego pewna. Widzi, że masz wszelkie przymioty, których sam nie ma. Gardzi tobą za to, że jesteś o niebo lepszy od niego. O Boże, co my teraz zrobimy?

Zadowolony z dotychczasowego wyniku rozmowy, pan de Trecassis uśmiechnął się czule, choć nie bez pewnej goryczy, i rzekł łagodnie:

Zawsze jesteś taka wrażliwa na to, co czują inni, Elsbeth. Może masz rację co do hrabiego, może rzeczywiście jest w nim coś takiego, co sprawia, że w mojej obecności ma mniejsze poczucie własnej wartości jako mężczyzna. Ale to nieistotne. Evesham Abbey należy do niego. Jestem tu tylko gościem, a w każdej chwili mogę się stać gościem nieproszonym. - Poruszył gwałtownie głową, jakby otrząsając się z bólu wywołanego tak wyraźną niesprawiedliwością, i ujął jej małe rączki. -W każdym razie właśnie powiedział mi wyraźnie, a zabrzmiało to jak kategoryczny rozkaz, że mam wyjechać pod koniec tygodnia. Nasz czas dobiega końca, moja ukochana.

Hrabia rzeczywiście poprosił pana de Trecassis do biblioteki, zamknął starannie drzwi i powiedział, patrząc mu prosto w oczy:

- Pod koniec tygodnia okaże się, że musisz, panie, pilnie wyjechać. - Nic więcej, tylko tyle. Długo patrzył na Gervaise'a, a jego oczy były zimne i martwe. Stał nieruchomo, a Gervaise poczuł taki przyływ strachu, że nie był w stanie wykrztusić słowa. - I cóż, mój panie? Cisza? Nic nie masz mi do powiedzenia?

Gervaise nadal nie mógł wydobyć z siebie głosu, nieznacznie tylko wzruszył ramionami.

- Jest kilka przyczyn skłaniających mnie ku tej decyzji. Pozwoliłem ci tu zostać, panie, przez jakiś czas z wielu powodów, które wkrótce się wyjaśnią.

A zatem koniec tygodnia. Zechciej teraz zostawić mnie samego.

I to wszystko. Gervaise wyszedł z biblioteki, oparł się o ścianę, nienawidząc samego siebie za to, że nie rzucił hrabiemu w twarz, iż jest tchórzem, awanturnikiem i że nie jest wart czyścić jego, Gervaise'a, butów.

- Tak - rzekł teraz do Elsbeth, kiwając smutno głową. -Nasz czas się kończy. Muszę wyjechać pod koniec tygodnia.

Elsbeth podniosła się gwałtownie.

- Och, nie! Nie, to niemożliwe! Gervaise, nie możesz odjechać i zostawić mnie samą.

Dopiero co odnalazłam cię i nie chcę cię stracić. Nie, proszę... - Jej migdałowe oczy napełniły się łzami. Zakrzuszyła się, starając się opanować, ale łzy popłynęły obficie po policzkach. - To niesprawiedliwe. Arabella ma wszystko... naprawdę wszystko, i wcale nie wygląda na zadowoloną z tego, co ma. Nawet lady Anna jest teraz panią siebie. Może robić, co jej się żywnie podoba. Tylko ja przez całe swoje życie muszę każdą rzecz wypraszać, jestem nikomu niepotrzebna, nikt mnie nie chce. Nie mogę już tego dłużej znieść. Proszę cię, nie zostawiaj mnie samej.

Nawet jego poruszył ból przebijający z jej słów. Ale nie było rady. Delikatnie otarł jej łzy i powiedział:

- Musimy być dzielni, Elsbeth. Jesteśmy w domu hrabiego, powtarzam, i jego decyzje, niezależnie od motywów, jakie nim kierują, są obowiązujące dla wszystkich. Krótko mówiąc, nie mam wyboru.

Nie powiedziałaś mi, że nie chcesz wyjeżdżać? Nie wyznałaś mi, że się kochamy i nie chcemy, by nas rozdzielono?

- Owszem - skłamał bez wahania. - Ale nie zwrócił na to w ogóle uwagi. Jak ci powiedziałem, jestem pewien, że on mnie nienawidzi.

Elsbeth osunęła się na kolana. Straciła Josette, a teraz mogła również stracić Gervaise'a.

- Już wiem - rzekła w nagłym przyptywie nadziei. - Porozmawiam z hrabią. Mnie może wysłucha. Był dla mnie bardzo miły, odkąd tu przyjechałam. Był nawet miłszy dla mnie niż dla Arabelli, a ona jest jego żoną. Nie, raczej porozmawiam z lady Anną. Ona naprawdę mnie kocha. Opowiem jej o naszej miłości, że chcemy się pobrać jak najszybciej. I że umrę, jeżeli zmuszą cię, byś mnie opuścił.

Ogarnęła go panika na myśl, że dziewczyna mogłaby wyjawić wszystko hrabiemu czy macosze. Wszystko zniszczyłaby przez swoją głupotę. Coś trzeba wymyślić, żeby nie narobiła głupstw. I cały czas należało jej pilnować.

- Posłuchaj, Elsbeth. Powiedziałem już hrabiemu o naszych uczuciach. Na pewno sam opowie lady Annie. Ale czy nie rozumiesz, że to nie ma znaczenia? On nie chce, abyśmy byli razem, i na pewno wpłynie na lady Annę. Och, moja maleńka, stanowczo zabraniam ci poniżać się w ten sposób.

- Chwył jej szczupłe ramiona i potrząsnął nią lekko. - Nie, to nie jest dobry pomysł. Nie tędy droga. Posłuchaj mnie, Elsbeth, zrobimy inaczej. Kiedy skończy się okres żałoby, pojedziesz do Londynu z lady Anną. Spotkamy się tam i uciekniemy razem. To całkiem proste. Zabiorę cię do Brukseli. Nieszczęście malujące się na jej twarzy znikło w

okamgnieniu na dźwięk tych słów.

- Och, mój najdroższy, to doskonały pomysł. Wiesz, że zrobię dla ciebie wszystko. A jakie to będzie romantyczne! Z moimi dziesięcioma tysiącami funtów nie będziemy musieli o nic się martwić. Jesteś taki mądry, Gervaise, na pewno dobrze zainwestujesz te pieniądze i będziemy bardzo bogaci.

Odetchnął z ulgą. Nareszcie ma z głowy troskę o Elsbeth. Nagle jej oczy pociemniały.

- A co będzie, jeśli lady Anna nie zechce pojechać do Londynu przez najbliższe pół roku? Czy naprawdę musimy się rozstawać aż na tak długo? Nie, ja nie zniósłabym takiej rozłąki. Powiedz, że jest jakiś inny sposób. - Wyczuła narastające w nim zniecierpliwienie, powiedziała więc szybko. Na pewno masz rację, ale musisz wiedzieć, że strasznie będę tęsknić za tobą.

- A ja za tobą- kiwnął głową zadowolony.

Już miał wstać, kiedy niespodziewanie chwyciła go za rękę.

- Proszę cię, zostań ze mną. Przecież ostatni raz widzieliśmy się jeszcze przed śmiercią Josette. Zostań, choć trochę. Chcę cię, naprawdę cię pragnę... Zaskoczyła go tym całkowicie. Sama myśl o miłości na sianie... Nie, to niemożliwe. Aż ścisnęło go w żołądku. Ale nie mógł powiedzieć prawdy, o nie.

Postarał się opanować i przemówił łagodnie, a jednak stanowczo, choć gorycz paliła mu wnętrzności.

- Elsbeth, posłuchaj. Nie powinniśmy się więcej spotykać. Hrabia już o nas wie, ponieważ sam mu powiedziałem. Mógłby nam jeszcze bardziej zaszkodzić. Mógłby, na przykład, kazać mi wyjechać wcześniej niż pod koniec tygodnia. Nie chcę wyjeżdżać, dopóki naprawdę nie będę do tego zmuszony. Musimy teraz bardzo uważać. Żadnych więcej spotkań, Elsbeth. Nie, nie płacz. Wiesz, jaka to dla mnie przyjemność, ale mogłoby się to fatalnie dla nas skończyć, gdyby nas nakryto czy choćby nawet zaczęto podejrzewać. Chyba to rozumiesz. Trzeba teraz myśleć przede wszystkim o przyszłości.

Elsbeth była tak przybita tragiczną wizją rozdzielenia z ukochanym, że złożenie daru własnego ciała wydało się jej ostatecznym cyrografem pieczętującym jej miłość i wierność. Wreszcie ogarnęła ją długo wyczekiwana namiętność:

- Ostatni raz, Gervaise. Weź mnie w ramiona i kochaj ten jeden jedyny, ostatni raz.

Natarczywość dźwięcząca w jej głosie, namiętność płonąca w oczach wywołały w nim gwałtowną niechęć - nie do niej, do samego siebie. A tymczasem nie mógł pozwolić sobie na to, by zwątpiła w jego miłość. Wysiłkiem woli powstrzymał się, by nie odsunąć się od niej. Ujął jej szczupłe ramiona, przyciągnął ją do siebie i przycisnął usta do jej ust.

Pod wpływem rozpaczliwego pragnienia, by przedłużyć ten ostatni moment i na zawsze utwalić go w pamięci, Elsbeth zapomniała o strachu i poczuła obudzone jego dotknięciem nie znane dotąd drzenie pożądania.

Zimno mu się zrobiło, aż zdrętwiał cały, a kiedy jej usta rozchyliły się z oddaniem, nie mógł tego dłużej znieść. Gwałtownie oderwał się od niej i wstał, drżąc na całym ciele.

- Elsbeth, o Boże, nie mogę... Nie, nie bój się, to nie dlatego, że cię nie pragnę... - Starał się mówić jak najspokojniejszym głosem. Musiał ją jakoś przekonać. - Nie mogę, moja mała kuzyneczko. Obiecałem Arabelli, że wybiorę się z nią na przejażdżkę konną. Chyba rozumiesz, że gdybym się spóźnił, zaczęłaby coś podejrzewać. Musimy być dzielni, Elsbeth. Wkrótce będzie koniec tego wszystkiego. Obiecuję ci, a na razie musisz mi zaufać. Czy zrobisz to dla mnie?

- Ależ, Gervaise... tak, ufam ci. - I tak nie zmieni zdania. Pod tym względem zdażyła go poznać. Wolno skinęła głową. Cudowne odczucia, które przed chwilą wstrząsały jej szczupłym dziewczęcym ciałem, znikły bez śladu, tak że nie była pewna, czy były rzeczywiste, czy też wyobraziła je sobie pod wpływem bólu rozstania.

Przed wyjściem pocałował ją lekko, bez odrobiny pożądania, w policzek. Odebrała ten łagodny gest jako wyraz głębokiego smutku. Wstrzymywała łzy, dopóki nie poszedł.

Lady Anna uniosła stopę obutą w but do konnej jazdy, a stajenny pomógł jej wsiąść na konia.

- Dziękuję, Tim - powiedziała i poprawiła fałdy amazonki. - Nie musisz mi towarzyszyć, jadę do domu doktora Branyona. Stokrotka doskonale zna drogę.

Tim z szacunkiem przytknął palce do kasztanowej strzechy włosów na czole i cofnął się, a lady Anna ujęła wodze. Stokrotka ruszyła lekkim galopem wzdłuż podjazdu.

Chmurne czoło, które wygładziła w obecności stajennego, teraz znów przecięła ryma. Piękna pani wciągnęła głęboko w płuca świeże wiejskie powietrze i cugłami nakłoniła Stokrotkę do nieco spokojniejszego kroku. Klacz parsknięciem wyraziła wdzięczność.

- Jakaś ty podobna do mnie, moja leniwa kobyłko! - rzekła lady Anna półgłosem. - Stoisz sobie spokojnie w ukochanej stajni i złym okiem patrzysz na każdego, kto zakłóci tak miły twemu sercu spokój.

Lady Anna nie jeździła od miesięcy i byki prawie pewna, że mięśnie nóg wyrażą stanowczy protest nazajutrz rano. Ale w tej chwili nawet groźba bólu nie wydawała się istotna. Czowała się taka bezradna i przerażona. Wczorajszy gniew na Justina dziś przerodził się w czarną rozpacz. Evesham Abbey stało się wielkim, zimnym, pustym grobem, w którym nie mogła wytrzymać ani chwili dłużej. Justin gdzieś wyszedł. Arabella także udała się na

przejażdżkę i pojechała nie wiadomo dokąd, byle tylko jak najdalej od męża. A co do Elsbeth i pana de Trecassis, to lady Anna nie widziała żadnego z nich od lunchu.

Przyszło jej do głowy - kiedy kierowała Stokrotkę w stronę schludnego, georgiańskiego domku stojącego na skraju małej wioski Strafford - że może nie zastać Paula o tej porze. W końcu, w przeciwieństwie do niej i reszty arystokratycznego towarzystwa, pracował i nie mógł powiedzieć swoim chorym, że nie ma w tej chwili ochoty się nimi zajmować.

Rzadko widywali się od śmierci Josette. Dziś już koniecznie musiała się z nim zobaczyć, choćby po to, by spojrzeć w te piękne brązowozielone oczy i zapomnieć choć na chwilę o swoich smutkach i obawach. Och tak, Paul potrafił sprawić, że zapominała o bożym świecie. Przypomniała sobie rozkoszne spotkanie nad sadzawką, jak ją kochał, jak rozumiał jej strach przed mężczyznami, a na koniec dał jej rozkosz, której zupełnie dotąd nie знаła. Okrutnie się to jej spodobało. Jeszcze trochę, a nie będzie mogła się bez tego obyć...

- Zaraz, Stokrotko, odpoczniesz sobie trochę - powiedziała, kierując konia wąską dróżką wysadzaną cisami. - Wprawdzie nie widać po tobie zmęczenia, ale odpocząć sobie możesz.

- Dzień dobry, milady. - Zatrzymał ją krzepki, jasnowłosy chłopak, wysoki i chudy, mniej więcej w wieku Arabelli. Znała go niemal od urodzenia.

- Miło cię widzieć, Will - powiedziała, kiedy chłopak, utykając, podszedł bliżej i wziął od niej wodze. Złamał nogę jeszcze w dzieciństwie. - Czy doktor Branyon jest u siebie? - W tym momencie uświadomiła sobie, że wstrzymała oddech, zadając to pytanie. Musiał być, po prostu musiał... Potrzebowała go. Była to dość alarmująca myśl, ale szczerza.

- Jest, milady. Właśnie wrócił od Dalworthy'ego. Staruszek złamał sobie rękę.

- Doskonale - rzekła. W tej chwili nie obeszłoby jej nawet, gdyby stary Dalworthy złamał kark. - Will, proszę, daj Stokrotce trochę siana. Ale nie za dużo, ten koń i tak zjadł już więcej, niż jest wart.

Zsunęła się z wdziękiem na ziemię i niemal tanecznym krokiem pobiegła w stronę trzech małych schodków. Ku jej zdziwieniu to nie pani Muldoon, energiczna, bezgranicznie oddana gospodyni doktora, otworzyła jej drzwi.

- Anno, co za niespodzianka! Wielkie nieba, droga moja, co ty tutaj robisz? - Doktor Branyon stał w otwartych drzwiach. Koszulę miał rozpiętą pod szyją, rękawy podwinięte aż do łokci, a na jego twarzy malował się wyraz przyjemnego zaskoczenia.

Lady Anna spoglądała na niego bez słowa. Przesunęła językiem po wargach.

Nie sposób było nie zauważyć, że doktor przygląda się jej ustom.

- Chciałam ci zrobić niespodziankę, Paul - powiedziała wreszcie. Boże, zabrzmiało to jak kpina.

Uśmiechnął się, nie odrywając wzroku od jej ust.

- Ależ jestem nieuprzejmy! Proszę cię, Anno, wejdź. - Najchętniej wniósłby ją do środka na rękach. I położył nie gdzie indziej, tylko na własnym łóżku.

Chciał całować do utraty tchu te piękne usta, nasycić się do szaleństwa ich smakiem. Aż przeszedł go dreszcz. - Przepraszam cię, ale pani Muldoon nie ma. Sam zrobię herbatę, jeśli masz ochotę się napić. Siostra pani Muldoon ma świnkę. Czy nie uważasz, że to przykre?

- Bardzo przykre - odparła, przejęta nie więcej niż Stokrotka, która zapewne w tej chwili rżała z przyjemnością nad swoim siankiem.

Przeszła za doktorem do frontowej bawialni, przytulnego, zalanego światłem pokoju, który bardzo lubiła. Zupełnie nie przypominał wielkiego, pustego grobu zwanego Evesham Abbey. Masz ładny kapelusz - rzekł. - Czy mogę ci go zdjąć? Chciał pocałować ją, ale nie wiedział, czy mu się to uda pośród zwojów czarnego aksamitu.

Skinęła głową, w milczeniu udzielając pozwolenia, i podniosła twarz. Nie pocałował jej, choć stał tak blisko. Ostrożnie rozwiązał wąskie wstążki i zdjął kapelusz. Póki go zdejmował, obchodził się z nim z jak największą uwagą, ale zaraz potem rzucił go niedbale na stół.

- A teraz usiądź i powiedz, jakie to nowe nieszczęście cię tu sprowadza. - Coś musiało się stać, tego by I pewien. Pomyślał, że pocałunki muszą zaczekać. Westchnął. Jestem duchowo przygotowany. Nie wierzę, że przyszłaś tylko po to, żeby mi zrobić niespodziankę.

Posłała mu przepiękny uśmiech.

- Naprawdę, przyszedłam przede wszystkim po to, żeby się z tobą zobaczyć. Ale poza tym miałam dość poważną kłótnię z Justinem na temat Arabelli. Starłam się do tego nie dopuścić, ale się nie udało. Trudno, tak widocznie musiało być. I wtedy nagle Arabella weszła do pokoju. Bała się go, Paul, ona była wręcz przerażona. A co do niego... Bóg jeden raczy wiedzieć, jakie są jego zamiary. No i okazało się, że masz rację. Justin jest święcie przekonany, że Arabella zdradziła go z panem de Trecassis. Nie ujawnił jednak, na jakiej podstawie tak uważa, a to właśnie chciałam od niego usłyszeć. Jednakże znam go na tyle dobrze, żeby zdawać sobie sprawę, iż skoro wierzy w coś tak nieprawdopodobnego, to musi mieć jakiś powód. - Westchnęła. - Szkoda, że mi nie powiedział prawdy.

- Ciekawe, czy już kazał temu młokosowi wynosić się z Evesham Abbey. Wiesz, powinien tak zrobić jak najszybciej. Może wtedy zdołaliby jakoś wyjaśnić między sobą to nieporozumienie.

- Nienawidzę Evesham Abbey. Teraz jest jeszcze zimniejsze i bardziej puste niż przedtem. Nawet kiedy są tam ludzie, dom nadal jest pusty. Boże, chyba na zawsze znenawidziłam to miejsce.

- To zamieszkaj ze mną tutaj.

Spojrzała zaskoczona, a potem roześmiała się. Rozejrzała się po bawialni, obdarzyła rozkochanym spojrzeniem każdy mebel, każdą zasłonę, każdą figurkę, obrazek i rysunek, jakie się tu znajdowały.

- Czy naprawdę pozwoliłbyś mi ze sobą zamieszkać? Nie kazałbyś mi mieszkać w żadnym pałacu, który uznałbyś za godny mnie?

- Nie, zamieszkasz ze mną tu, w tym domku. Pani Muldoon będzie nami komenderować, a ciebie kochać jak matka. Ja natomiast będę cię kochał jak mąż i kochanek. Wiem, że lubisz ten dom, Anno. Wiem też, że gdybyś nie chciała tu mieszkać, powiedziałaabyś mi o tym. W odpowiednim czasie, naturalnie...

Wstała i podeszła do niego. Usiadła mu na kolanach, obejmując go ramionami za szyję.

- Tak - szepnęła mu prosto w ucho. Powiem ci, jeśli coś przestanie mi się podobać. Jednak teraz jakoś nic takiego nie przychodzi mi do głowy.

Pocałowała go. Lady Anna, prawdziwa dama i piękna kobieta, którą kochał od chwili,

gdy poślubiła hrabiego Strafford dziewiętnaście lat temu. Pan Bóg był bardzo dobry dla niego.

- O, właśnie tak - szepnął jej prosto w usta. Kiedy w końcu podniosła głowę, oddech miała przyśpieszony, a pierś falowała nieznacznie. Był taki szczęśliwy, że aż zdawało mu się, iż tego nie wytrzyma. - Czy nadal chcesz herbaty, Anno?

- Och, na śmierć zapomniałam. Jeżeli zaprowadzisz mnie do kuchni pani Muldoon i pokażesz mi, gdzie jest herbata, poświęcę się i zaparzę. To znaczy, naturalnie, jeżeli wolisz jakąś nudną herbatę.

- Od czego?

- Ode mnie - odparła i wtuliła się znów w niego.

Nie chciał kochać jej tu, w bawialni. Nie, chciał to zrobić w swoim łóżku, gdzie - miał taką nadzieję - ona będzie spać przez resztę swego życia. Nieprzytomnie wprost jej pragnął.

- Pójdiesz ze mną, Anno?

- Do tej okropnej kuchni?

- Nie, do mego łóżka.

Pogłaskała go pieszczotliwie po policzku.

- Poszłabym za tobą nawet do Talgarth Hall.

- W takim razie to miłość - odrzekł i wstał, trzymając ją cały czas w objęciach. Roześmiała się. W życiu nie słyszał niczego równie pięknego jak ten śmiech. Przemierzał pokryte wytartym dywanem schody, po dwa stopnie naraz, a przez głowę przemknęło mu wspomnienie nie kończących się lat i nocy, kiedy zmęczony wchodził po nich wieczorem. Już niedługo. Koniec samotnych wędrówek na górę.

Po cudownie spędzonej godzinie lady Anna szepnęła, wtulona w jego szyję:

- Jestem rozwiązłą kobietą. Jeśli nie ożenisz się ze mną, będę musiała rzucić się ze skały w przepaść. Z poczucia winy i wyrzutów sumienia za moje grzechy.

Pocałował ją, ale się nie śmiał. Był tak poważny, jak tylko poważny może być mężczyzna w takiej chwili.

- Czy jesteś przygotowana na złośliwe plotki ze strony sąsiadów? - spytał.

Nie pomyślała o tym wcześniej, ale wiedziała, że trzeba się z tym liczyć. Teraz poświęciła tej myśli tyle czasu, na ile ona zasługiwała, czyli pięć sekund.

- Do diabła z nimi! - orzekła, czym go całkowicie zaskoczyła. W końcu się roześmiał.

- A Arabella? - spytał.

- O nią się nie boję, przynajmniej jeśli chodzi o nas. Na pewno się domyśliła. Skoro Justin zauważył... Ona bardzo cię lubi. Raczej nie powinna mieć nic przeciwko temu, że jej

droga mama nareszcie znajdzie szczęście.

Chciał wyrazić obawę, że - być może - będzie nienawidzić go równie silnie, jak kochała ojca. Ale nie był tego wcale taki pewien. Wszystko teraz było dziwne, nowe, zupełnie nieznanne. Nic nie było takie, jak być powinno, oprócz tego, co działo się między nimi - pomyślał, całując koniuszek jej nosa. Nie, sytuacja była zupełnie nowa.

Pomógł jej się ubrać. Przekonał się, że wielką przyjemność sprawiło mu zapinanie licznych guziczków. Z domu wyszli razem.

Lady Anna przyjechała do Evesham Abbey dość późno, tak że ledwo miała czas przebrać się do kolacji.

- Zaraz do ciebie zejdę, Paul - szepnęła. Odwróciwszy się do kamerdynera, poleciła: - Crupper, proszę powiedzieć kurhan c, że doktor Branyon będzie dziś wieczorem na kolacji.

- Tak jest, milady - skłonił się Crupper. Nie był ślepy. Pani nigdy nie wyglądała równie pięknie, co należało niewątpliwie przypisać doktorowi Branyonowi. Och, Boże! To w końcu nie jego sprawa!

Crupper przyjrzał się doktorowi Branyonowi, podając mu kieliszek sherry.

Doktor nie był wprawdzie lordem, ale to dżentelmen w każdym calu. Schodząc kamiennymi schodami do kuchni i rozważając całą sytuację, kamerdyner pomyślał sobie, że po raz pierwszy, odkąd sięga pamięcią, pani jest tak piękna... nie, raczej promieniejąca pięknem i szczęściem, o, tak by to nazwał. Prawda, że stało się to dosyć szybko po śmierci hrabiego, ale jakież to ma w końcu znaczenie? Lady Arabella poślubiła nowego hrabiego. Życie jest za krótkie, Żeby przejmować się konwenansami. Przyglądał rzadkie, przyprószone siwizną włosy, zastanawiając się, czy ta para po ślubie też zamieszka w Evesham Abbey. Gdyby lady Anna nie czuła się tak nieprawdopodobnie wprost szczęśliwa, wyczułaby napięcie panujące podczas kolacji. Tymczasem widziała współbiesiadników jakby przez przyjemną mgłę, a ich słowa i ton głosu ulegały znacznemu złagodzeniu, nim dotarły do jej świadomości. Chciało się jej skakać do góry i krzyknąć: „alleluja!”, kiedy Paul złożył serwetkę, odchrząknął i wstał.

- Justynie, panie de Trecassis - zaczął dźwięcznym głosem -zanim panie przejdą do Aksamitnego Pokoju, chciałbym coś oznajmić.

Hrabia podniósł głowę, poszukał wzrokiem lady Anny i uśmiechnął się. Nie był to radosny uśmiech, raczej chłodny, ale wyrażał aprobatę. Skinął uprzejmie głową. Arabella też podniosła wzrok, mało jednak była zainteresowana tym, co się dzieje. Najchętniej opuściłaby jadalnię, byle tylko uciec od męża. Doktor Branyon chrząknął ponownie.

- Lady Anna uczyniła mi ten zaszczyt, że zechciała przyjąć moje oświadczenia.

Weźmiemy ślub możliwie jak najszybciej. Oczywiście uroczystość będzie bardzo skromna. Postanowiliśmy unikać rozgłosu, nim upłynie rok przepisowej żałoby.

Hrabia szybko wstał z miejsca i podniósł kieliszek.

- Moje gratulacje, Paul, Anno. Nie jestem aż tak bardzo zaskoczony, ale uważam, że okazja jest nader miła. Proponuję toast... za doktora Brany ona i lady Annę. Za ich wspólne długie i szczęśliwe życie.

Arabella skamieniała. Nie był aż tak bardzo zaskoczony? Matka i doktor Branyon? Nie, to nic może być prawda. Nie i koniec Przecież ojciec dopiero co umarł. Jego ciało spoczywa gdzieś w zapomnianych ruinach portugalskiej wioski, a matka tymczasem spokojnie planuje ślub z innym mężczyzną. To nie do zniesienia.

Gniew narastał jej w gardle twardą kulą. Spojrzała przez stół na matkę i z ledwo skrywaną wściekłością stwierdziła, że policzki ma przepięknie zaróżowione, a w oczach całkiem nowy blask. Okazała się niczym innym jak zwykłą ładacznicą.

- Arabello, pijemy toast, moja droga. - Odwróciła głowę w stronę hrabiego. Swego ślubnego męża. Człowieka, który jej nienawidził, który do końca życia będzie karał ją za grzech, jakiego nie popełniła. W jego głosie zabrzmiał wyraźny rozkaz. Na Boga, czyżby on pochwalał ten związek? Zwróciła oczy na Elsbeth i Gervaise'a. Dzięki niedawno nabytej wnikliwości postrzegła ich teraz jak jedną istotę. Ciemne oczy i włosy Elsbeth zlewały się w jedno z oczami i włosami Gervaise'a, jakby wyszli spod pędzla tego samego artysty. Czuła się tak, jakby patrzyła na nią jedna para oczu o migdałowym wykroju. Jedno spojrzenie, te same myśli... jedno ciało. Nie, z pewnością nie. Elsbeth i Gervaise? A któż by inny? Niestety, Suzanne miała rację. Oni zostali kochankami.

Zauważyła, że okazali jedynie lekkie zdziwienie, nic więcej. Czyżby tylko ona jedna się nie domyślała?

- Arabello, moje dziecko, czy dobrze się czujesz? - To głos matki, łagodny i ciepły, nabrzmiały troską. Czy było w nim też błaganie? Czy oczekiwała aprobaty córki, szukała przebaczenia dla swojej zdrady? Och, jakże była ślepa! Uświadomiła sobie teraz, że tak bardzo zamknęła się w sobie, we własnym nieszczęściu, iż nie dostrzegła tego, co wszyscy inni widzieli wy- raźnie. Jak drewniana lalka, która nic nie widzi, a wszystkie jej uczucia są martwe jak ona sama. Doktor Branyon wydawał się zdziwiony jej milczeniem. Czy rzeczywiście? Przecież wiedział, jak bardzo brakowało jej ojca, jak strasznie, wprost nieprzytomnie go kochała, bardziej niż własne życie. Doktor zdradził ją, Oboje ją zdradzili. I ojca. Ciekawe, czy od dawna trwał ten romans. A może tylko czekali, aż ojciec gdzieś wyjedzie, i wtedy oddawali się grzesznej miłości.

- Arabello?

Znów głos hrabiego, tym razem karcący i surowy. Ale przecież i tak potępił ją już w chwili ślubu. Jak mogła spodziewać się, że mąż zrozumie prawdę, że pojmie, co tamtych dwoje naprawdę zrobiło.

Wstała niepewnie, ściskając pobielełymi palcami krawędź stołu. Przytłoczyła ją własna niewiedza, rozmiary błogiej nieświadomości, w jakiej dotąd żyła. I ciężar ich zdrady. Tyle zrad dookoła - pomyślała. Ona jedna była naprawdę, niewinna. Wszyscy pozostali byli czemuś winni.

Ton jej głosu przypominał odgłos opadającego smutno jesiennego liścia, szeleszczącego pod stopami.

- Tak, mam. Zupełnie dobrze się czuję. Zapraszasz do toastu, milordzie? Przykro mi, ale trudno mi wznieść ten toast. - Usłyszała czyjś przyśpieszony, wzburzony oddech, nie wiedziała nawet, czyj. Niewyraźnie dojrzała, że rozgniewany hrabia wstaje ze swego miejsca. Odwróciła się na pięcie i jak burza wypadła z jadalni.

Justin rzucił serwetkę na talerz.

- Paul, Anno, zostawcie ją proszę. Przejdźcie na kawę do Aksamitnego Pokoju. I zechciejcie mi teraz wybaczyć. Muszę porozmawiać z moją żoną. Twarz lady Anny była idealnie biała, usta ściągnięte w wąską kreskę. Nie płakała. Dostrzegła dziki gniew płonący w oczach hrabiego. O Boże, musi chronić Arabellę przed jego gniewem. Nigdy jeszcze nie widziała go w takim stanie. Niepewnie wstała z krzesła i wyciągnęła rękę w jego stronę.

- Justinie, zaczekaj. Nie ma powodu, żebyś się tak denerwował. To dla niej duże zaskoczenie. Przecież wiesz, jak bardzo kochała ojca. Nie, proszę... - Ale on, nie oglądając się za siebie, wyszedł z jadalni.

Doktor Branyon podszedł do niej i ujął mocno jej rękę. Powiedział bardzo cicho, tak że tylko ona usłyszała:

- Tego się bałem. Wiesz, że Arabella nie jest szczęśliwa. Myślę, że pamięć o ojcu pomagała jej przetrwać ciężkie chwile, jakie przeszła z Justinem. Proszę, Anno, nie pozwól, by zadała ci ból, bo tak naprawdę ona wcale tego nie chce. Tyle jest w niej gniewu, tyle żalu. Chodźmy teraz do Aksamitnego Pokoju i postarajmy się zachowywać w miarę naturalnie, chociażby ze Względu na Elsbeth. A jeśli chodzi o tego przeklętego Francuza, to oczywiście najlepiej by było, gdyby się wyniósł teraz, od razu. Niestety, to się oczywiście nic uda.

Chodź, ukochana.

Lady Anna rzekła smutno:

- Jakież to niemądre z mojej strony, że nie zdawałam sobie sprawy... nie przyszło mi

w ogóle do głowy... jaka może być reakcja Arabelli. Nie chciałam za bardzo wtrącać się w jej życie. Pragnęłam jedynie cieszyć się własnym szczęściem.

Pan de Trecassis zdumiony był wybuchem Arabelli, jednak nie rzekł nic, tylko skinął głową. Wsunął sobie rękę Elsbeth pod ramię. Kiedy szli za lady Anną i doktorem, mijając lokaja z kamienną twarzą, który oczywiście wszystko słyszał, Elsbeth nagle pociągnęła Gervaise'a za ramię i przystanąła na chwilę.

- Och, Gervaise, i co my teraz zrobimy? - Była bliska łez. Nie mógł pozwolić, żeby rozkleiła się przy macosze i doktorze. Ścisnął jej rękę mocno, niemal do bólu.

- Posłuchaj, Elsbeth. Tak jak ci wcześniej powiedziałem, to nic. Obmyślę jakiś plan. Nie martw się. No już, rozchmurz się. Nie płacz. Nie rób niesmacznych scen jak twoja siostra. Jesteś ponad takie sprawy. Jesteś uprzejma, miła i w pełni panujesz nad sobą.

- Tak, Gervaise, masz rację. Spróbuję. - Pociągnęła nosem i otarła ręką oczy zupełnie jak dziecko. Gest ten poruszył w nim coś bardzo głębokiego i bolesnego. - Tak też pomyślałam sobie, że zachowanie Arabelli było oburzające. Dlaczego to zrobiła? Nasz ojciec nie był kochającym ojcem, wiesz o tym dobrze. Odsunął mnie, wysłał daleko stąd. Och, oczywiście, kochał Arabellę, ale mimo to nie rozumiem, jak mogła zachować się tak okropnie w stosunku do własnej matki.

Justin przeszedł przez hall i skierował się prosto w stronę schodów. Brał naraz po dwa, trzy stopnie i był już w połowie drogi do pierwszego podestu, kiedy Crupper zorientował się, dokąd jego pan zmierza. Zamachał ręką do hrabiego, ale bezskutecznie, więc tylko pokiwał głową i wrócił na swój posterunek przy drzwiach frontowych. Po prostu nie chciał krzyczeć za jego lordowską mością. Takich rzeczy się nie robiło, a już z pewnością nie w Evesham Abbey.

Gniew hrabiego był oczywisty nawet dla Grace, pokojówki Arabelli, która natychmiast zeszła mu z drogi, gdy tylko zobaczyła wyraz jego twarzy. Nozdrza mu drgały, a na szyi i karku wystąpiły grube żyły. Ręce mu się trzęsły, nie mógł nad nimi zapanować. Niech ją licho, jak śmiała zadać matce taki cios, taki ból? Czy nie miała oczu, nie widziała, gdzie lady Anna ulokowała swoje uczucia? Udusi ją.

Justin szarpnął klamkę. Oczywiście drzwi były zamknięte na klucz, tak jak się tego spodziewał, i nadaremne dobijanie się do własnej sypialni spotęgowało jedynie jego furie. Wpadł jak burza do przyległego pokoju, przyprawiając swego lokaja Grubbsa nieomal o apopleksję.

- Milordzie, co się stało?

Nie zwrócił na niego uwagi i chwilę później stał pośrodku pustej komnaty. Chciał

wykrzyzczyć na cały głos jej imię, ale przekonał się, że w pokoju nie ma nikogo.

- Do diabła - rzekł całkiem spokojnie, odwrócił się i zbiegł z powrotem na dół.

- Crupper, czy widziałeś jej lordowską mość?

- Owszem, milordzie - rzekł Crupper z kamiennym spokojem.

- Tak? Gdzie, do diabła, ona jest?

- Jej lordowską mość wyszła z domu, milordzie. W wielkim pośpiechu, ośmielę się zauważyć.

- Do pioruna, człowieku, dlaczego nie powiedziałeś mi o tym, zanim poszedłem na górę?

Crupper wyprostował się z godnością.

- Proszę mi wybaczyć, milordzie, ale wasza lordowską mość był już u szczytu schodów, kiedy waszą lordowską mość zobaczyłem.

- To przecież śmieszne. Trzeba było mnie zawołać - niemal krzyknął hrabia. Minął kamerdynera i wyszedł w ciepłą noc.

Nie przyszło mu nawet do głowy, żeby poczekać i pozwolić jej wrócić do domu, kiedy będzie chciała. W myślach szybko przebiegł jej ulubione miejsca: ruiny opactwa, sadzawka, może cmentarz rodzinny. Z jakiegoś powodu, który dla niego samego pozostawał niejasny, wiedział, że nie ma jej w żadnym z nich. Nie - pomyślał - na pewno starała się uciec. Od Evesham Abbey, od matki, a przede wszystkim pragnęła uciec od niego.

Lucyfer. Założyłby się o każdy grosz, jaki posiadał, że pojechała gdzieś szaleńczym galopem na swoim ogierze.

Co tchu pobiegł do stajni. Zdążył jeszcze ujrzeć łopoczącą spódnicę Arabelli, która siedząc na Lucyferze po męsku, pędziła w ciemną noc.

- James! -krzyknął.

Chudy jak patyk główny stajenny pojawił się natychmiast w oświetlonych drzwiach stajni, a oczy rozszerzyły mu się z przerażenia na widok rozwścieczonej twarzy pana. Pewien był, że zaraz straci pracę. Ale hrabiemu nawet do głowy nie przyszło, żeby go łajać. Wiedział, że słowo Arabelli było niepodważalnym prawem dla całej służby.

- Przyrowadź mego konia, James. Szybko.

Sekundy pełzły wolno jedna za drugą hrabia obliczał sobie, jaką przewagę może mieć nad nim Arabella. Jego gniady koń czystej rasy arabskiej był dobrze wyszkolony. Ale Lucyfer... Do diabła, ta bestia miała siłę dziesięciu koni i pędziła jak wiatr. Arabella może już być w sąsiednim hrabstwie, nim jemu uda się dotrzeć do końca podjazdu.

- James, pośpiesz się.

Znów miał ochotę ją udusić. Chciał krzyknąć na nią dopóki nie zetrze jej na proch, dopóki ona nie przyzna się ostatecznie do tego, co mu zrobiła. Rozpaczliwie pragnął, by wyznała, że popełniła błąd, że jej przykro, że żałuje, że przez resztę życia będzie starała się mu to wynagrodzić.

Chciał też zobaczyć ją, tylko zobaczyć, a może nawet powiedzieć, że ją rozumie. Pokiwał głową ze smutkiem. Jakże ostatnio się zmienił! Znacznie się uspokoił i wyciszył. Gotów był jej wybaczyć. Chciał zabić de Trecassisa, to prawda, ale nie ją. Nie Arabelle. Nie rozumiał samego siebie, ale tak właśnie było.

Do licha!

Księżyc wisiał jak wąski rogalik, ledwo oświetlając zarys wiejskiej drogi. Hrabia jechał przed siebie z głową pochyloną nisko, niemal dotykając lśniącej szyi konia, stopiony w jedną całość ze zwierzęciem. Przypomniała mu się inna nocna jazda, dawno temu, w odległej Portugalii, z ważnym meldunkiem, starannie złożonym i schowanym w bucie. Miał wtedy to samo poczucie celowości działania i wagi swojej misji. Był niemal pijany ze szczęścia z powodu odniesionego zwycięstwa, kiedy pod koniec człowiek i koń omal nie padli trupem po ośmiu godzinach nie kończącej się jazdy.

Koślawe kołowroty, niemalowane drewniane płoty, małe wydeptane ścieżki - to wszystko przelatywało obok w półmroku. Hrabia domyślał się, że Arabella będzie trzymać się głównej drogi, nie chcąc, by cokolwiek opóźniło jej ucieczkę.

Po drodze przypomniawszy sobie raz jeszcze jej wybuch po oświadczeniu doktora Branyona. Rozumiał ją owszem, ale to zupełnie nie łagodziło jego gniewu.

Na początku nie uwierzył własnym oczom. Gdyby nie był na nią taki wściekły, to chyba roześmiałby się na głos na widok sceny, jaka ukazała się jego oczom. Środkiem drogi szła Arabella w wieczorowej sukni, prowadząc za sobą utykającego Lucyfera.

Stała, kiedy zatrzymał obok niej konia. Spojrzała na niego apatycznie. Nic nie powiedziała, niech ją licho!

- Widzę, pani, że zakończyłaś swoją eskapadę. - Zeskoczył z siodła i stanął przed nią na szeroko rozstawionych nogach, ujmując się pod boki.

Pozostała obojętna na jego gniew, jakby w ogóle nie docierała do niej zjadliwa ironia jego słów.

- Tak - rzekła, nie patrząc w ogóle na niego. - Lucyfer zgubił podkowę. Będę musiała pomówić z Jamesem. Czy to nie głupie, że właśnie teraz zgubił podkowę?

- O tak, ja też porozmawiam z Jamesem. - Hrabia zamilkł i spochmurniał. Spodziewał się czegoś zupełnie innego. - Oczywiście musisz być mocno rozczarowana takim zakończeniem wyprawy. Spójrz tylko na siebie. Ubrana do kolacji, idziesz na piechotę obok własnego konia. A nie przyszło pani do głowy, że tu gdzieś mogą czaić się złoczyńcy? Że mogą na panią napaść? Założę się, że aż oblizywaliby się na taki widok. Piękna i bogata. To ci kasek wymarzony. O tak, pewnie doszliby do wniosku, że umarli i znaleźli się w raj.

- Nie, nie myślałam w ogóle o rabusiach - powiedziała w końcu, patrząc na drogę. - Powiedziałaś, że tu są złoczyńcy? Myślę, że źli ludzie są wszędzie.

Co za różnica, gdzie? Wracaj z powrotem do Evesham Abbey, milordzie. Nic tu po tobie. Absolutnie nic.

Nie odpowiedział, szedł koło niej z tak groźnym wyrazem twarzy, że z pewnością Arabella powinna zadrzeć na sam widok. Dzielni żołnierze trzęśli się, kiedy tak na nich spojrzął. Tymczasem ona była spokojna. To go wprawiło w lekkie zakłopotanie. Wręcz ją teraz podziwiał.

Wreszcie przystanęła i spojrzała na niego.

- Aha, rozumiem. Chcesz krzyczeć na mnie, może mnie nawet uderzysz. Albo mnie zabijesz. No cóż, co ja mogę zrobić? Nic, milordzie. Proszę bardzo. Pogłaskała lekko pysk Lucyfera, przemówiła łagodnie do niego, a potem puściła wodze. Odwróciła się do męża. Lucyfer zarżał cicho, ale się nie ruszył. Hrabia zacisnął zęby i zrobił krok w jej kierunku. Stała wyprostowana i patrzyła na niego z całkowitą obojętnością.

- Czy planujesz następny gwałt, milordzie, czy też może raczej bicie? Jeżeli miałabym wybierać, to wołałabym bicie.

Spodziewał się raczej wybuchu gniewu z jej strony, złości i inwektyw, tymczasem okazało się, że cała pasja uszła z niej ze szczętem. Głos miała daleki, pusty, cała jej postawa wskazywała na zupełną obojętność.

Wprawiło go to w jeszcze większy gniew. Miał ochotę splunąć. Chciał rozzłościć ją. Rzekł z pogardą:

- Mimo tego, co sobie wyobrażasz, gwałt na tobie nie sprawiłby mi przyjemności. Nie zgwałciłem cię przedtem, a ty udajesz, że to zrobiłem, czyż nie? Twierdzisz, że zgwałciłem cię w noc poślubną, i będziesz mi to rzucać w twarz do końca naszego wspólnego życia. Niech cię licho, pani. Nie zgwałciłem cię. Przestań kręcić głową. Nic byłem może zbyt delikatny, ale też niczym nie zasłużyłaś sobie na delikatność z mojej strony. Zasłużyłaś natomiast na gwałt, jednak jak na dżentelmena przystało, nie zrobiłem tego.

A co do bicia, to straciłbym jedynie energię na znęcanie się nad tobą. Spójrz tylko, jak żałośnie wyglądasz. Niech cię licho, Arabello, powiedz coś, zrób coś!

A ona odwróciła się do niego tyłem i obojętnie rzuciła przez ramię:

- Imponująca przemowa. A teraz, jeśli już skończyłeś, to wybaczone, milordzie, ale przede mną długa droga do Evesham Abbey. Ujęła wodze Lucyfera.

Rozwścieczyła go tym do reszty. Złapał ją za ramię i obrócił w swoją stronę.

- Zaraz, dokąd to? Nie skończyłem jeszcze z tobą. Mam ci coś do powiedzenia i lepiej będzie, jak mnie wysłuchasz z dala od uszu twojej rodziny.

Puściła ponownie wodze, podeszła na skraj drogi i siadła na murawie. Zaczęła

wyrywać z ziemi żdźbła trawy. Wzruszyła ramionami, wprawiając go tym gestem w furję.

- Doskonale - rzekła. - Skończ zatem. Powiedziałam ci to przedtem, ale nie zrobiłeś tego. Myślałam, że będziesz krzyczał i wymyślał. Że przeklniesz mnie do dziesiątego pokolenia. A ty usprawiedliwiałeś swoje zachowanie w naszą noc poślubną. Jeśli to nie był gwałt, milordzie, to ciekawe, jak się to nazywa.

Uniosła twarz i wtedy dojrzał w jej oczach tyle bólu, że po raz pierwszy tego wieczoru zawahał się.

Patrzyła na niego biernie, gdy się zbliżał do niej. Stał nad nią, wysoki, szeroki w barach, zasłaniając potężną sylwetką światło księżyca. Nie mogła znieść jego widoku. Odczuwała niemal fizyczny ból. Odwróciła głowę, utkwiała spojrzenie w porośniętą trawą pobocze i czekała.

- Niech cię wszyscy diabli, Arabello. Spójrz na mnie.

Był bardzo zły, lecz ona nie wykonała żadnego gestu. Upadł na kolana przed nią, chwycił ją za ramiona i potrząsał nią dopóki nie podniosła na niego oczu.

- A więc wysłuchaj mnie, złośnico. Jak mogłaś to zrobić własnej matce? Ty chyba jesteś ślepa. Przecież nawet najgłupsza pomywaczka w tym domu wie od dawna, że twoja matka i doktor Branyon się kochają. Mało tego, dam sobie głowę uciąć, że on jest od dawna w niej zakochany. Owszem, przyznaję, nie spodziewałem się, że ślub nastąpi tak prędko, ale to naprawdę nie ma znaczenia. Życie jest zbyt niepewne i kruche, by kierować się w nim jakimiś idiotycznymi przesadami. Bóg jeden wie, jak bardzo twoja matka zasługuje na szczęście. I tylko Bóg zna prawdę o dziewiętnastu latach spędzonych z twoim ojcem, które na pewno nie należały do szczęśliwych. Dlaczego zatem - pytam - dlaczego byłaś tak bezmyślnie okrutna dla własnej matki?

Zobaczył płomień złości rozpalające się pomału w lodowatych dotąd oczach.

- Dlaczego? Odpowiedz mi, do diabła!

To wystarczyło. Aż zanadto. Skoczyła na równe nogi i zaczęła wygrażać mu zaciśniętymi pięściami.

- Jak śmiesz aprobować ten związek? I to publicznie! Nie masz prawa, milordzie, podobnie jak moja matka nie ma prawa zdradzać ojca! Nie, nie miałam pojęcia, że darzy tego rodzaju uczuciem doktora Branyona. Uważam jej postępowanie, podobnie zresztą jak i jego, za godne pogardy. Nigdy więcej nie odezwę się do niej ani jednym słowem. A co do doktora Branyona, to nie jest już więcej mile widziany w Evesham Abbey. Jeżeli mama chce zhańbić siebie i nasze nazwisko, to niech wychodzi co prędzej za mąż i zostawi mnie w spokoju.

Dyszała ciężko, wyrzucając z siebie gorzkie słowa.

- Może powinnam cieszyć się, że moja droga mateczka przynajmniej zczekała do śmierci ojca? A jak myślisz, milordzie, od jak dawna trwa ten romans? Biedny ojciec został zdradzony podwójnie, przez żonę i przez człowieka, któremu ufał. Boże, gdybym była mężczyzną., zabiłabym go w pojedynku!

Spojrzał na jej piękną, bladą twarz i gorzki ogień płonący w oczach. Tyle bólu i złości. Starał się ją zrozumieć. Nie potępił z góry tego, co mu powiedziała. Widać było, że jest głęboko przekonana o słuszności każdego swojego słowa. Mówiła szczerze i gorzko o tym, że matka zdradziła ojca, a gniew wywołany tą domniemaną zdradą był tak autentyczny, że nie pozostawiał cienia wątpliwości co do jej stosunku do samej zdrady -potępiła ją. A jednak czyż sama nie miała kochanka? Czy nie przyprawiła rogów mężowi? Co nią powodowało, jaka dziwna moralność, że wzięła sobie kochanka? A potem, po ślubie, porzuciła Francuza. Chciał rzucić jej w twarz jej własny postępek, zażądać wyjaśnień, jakiegoś wytłumaczenia. Tymczasem przekonał się, że jego własny gniew topnieje szybko w obliczu nieszczęścia i żalu młodej kobiety, kryjących się w jej gorzkich, oskarżających słowach.

Nie, ona najpierw musi poradzić sobie jakoś z rozpaczą z powodu matki. Nie zadał więc pytań, które cisnęły mu się na usta. Postarał się, by jego głos zabrzmiał spokojnie i autorytatywnie, gdyż wiedział doskonale, że wszelkie łagodne sposoby spotkają się jedynie ze wzgardą z jej strony.

- Dość tego, Arabello. Chcę, żebyś mnie teraz wysłuchała, zgoda? Spojrzała na niego, jakby miał dwie głowy. A on ciągnął dalej:

- Trochę to dziwne, że to właśnie ja, który widywałem lady Annę zaledwie przelotnie w ciągu ostatnich lat, gotów jestem przysiąc na własny honor, że nigdy nie zdradziła twego ojca. Natomiast ty potępiasz ją od razu, ot tak - strzelił palcami. -Widzisz, ona jest po prostu zakochana, a ty już podejrzewasz, że romansowała z zacyjnym doktorem od Bóg wie ilu lat. Nie, Arabello. Nie odwracaj się ode mnie. Czy ty naprawdę wierzysz, że byłaby do czegoś takiego zdolna?

Patrzyła na niego w milczeniu, nieruchoma jak głaz.

- Doskonale. Skoro nie chcesz mi odpowiedzieć, zakładam, że przynajmniej myślisz o tym, co teraz do ciebie mówię. A wracając do twego ojca... - Zamilkł na chwilę. Czy powinien powiedzieć jej prawdę? Nie miał wyboru.

Teraz już nie. Tylko wtedy, kiedy się dowie prawdy o ojcu, zdoła wybaczyć matce. Rzeki cicho: - Czy pamiętasz, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy? Przy sadzawce, w dniu, w którym miał być odczytany testament? Widzę, że doskonale pamiętasz. Nie zaprzeczysz więc, że wzięłaś mnie wtedy za bastarda twego ojca.

- To nie jest to samo i ty doskonale o tym wiesz. Daruj sobie podobne argumenty.

- Tak? Co innego? A zatem inne zasady obowiązują męża, a inne żonę? Powiem ci tylko tyle, Arabello, że małżeństwo twego ojca z lady Anną wcale nie zostało zawarte z miłości. Ożenił się z nią wyłącznie ze względu na olbrzymi posag, jaki mu wniosła. Otwarcie mówił o „świątym interesie” i śmiał się, że miał takie szczęście. A także bez żadnej żenady paradował ze swoimi kochankami prawie pod jej nosem.

- Nie wierzę - rzekła z trudem, dysząc ciężko. - Zastrzeliłabym mego męża, gdyby mi zrobił coś takiego. To nieprawda. Mój ojciec nigdy by tak nie postąpił. Nigdy.

- Owszem, ciągle tak postępował i niewiele sobie z tego robił, a ty jesteś córką twego ojca. Twoja matka jest łagodna, cicha, uczciwa i lojalna. Doskonale wiedziała o wszystkim i milczała. Nigdy nie próbowała nastawiać cię przeciwko ojcu.

Usiłowała zatkać sobie rękami uszy.

- Nie zachowuj się jak tchórz. Masz mnie wysłuchać do końca. - Siłą odciągnął jej rękę.

- Nie będę cię słuchać. Wymyśliłeś to wszystko po to, żeby jej bronić. - Mimo tych słów czuła, jak zaczynają ogarniać ją wątpliwości.

- Nie, Arabello, ja nie muszę niczego wymyślać. Tak naprawdę, kiedy kilkakrotnie spotykałem się z twoim ojcem w Londynie, Lizbonie i nawet raz w Brukseli, bywałem zapraszany do uroczego skądinąd towarzystwa jego kochanek. Pamiętam, jak otwarcie dworował sobie ze swojej żony, z jej oziębłości i drobnomieszczańskiego strachu przed nim. Raz powiedział mi, wyraźnie będąc pod dobrą datą: „Wiesz, mój chłopcze, przynajmniej przyuczyłem tę gąskę, żeby dawała mi rozkosz. Nie robi tego dobrze, krztusi się i płacze, ale jestem człowiekiem tolerancyjnym. Żonie należy się odrobina tolerancji...”

- Nie, nie mógł przecież... Proszę, Justinie, on tego nie powiedział!

- Owszem, Bello, powiedział. Był człowiekiem, którym targały wielkie namiętności domagające się zaspokojenia. Fakt, że lady Anna cierpiała z powodu jego natury, jest naprawdę godny ubolewania. Zrozum jednak, że dzięki tym cechom był genialnym przywódcą. Ludzie ufali mu bez zastrzeżeń, ponieważ nigdy nie okazywał strachu czy choćby wahania. Przeprowadzał zwycięskie ataki tam, gdzie inni martwieli ze strachu. Hrabia jeszcze bardziej złagodził ton głosu. Dzięki tym cechom charakteru miałaś ojca, którego mogłaś podziwiać, szanować i uwielbiać. A on kochał cię nade wszystko, Arabello. Nie chcę, byś potępiła go teraz czy też ślepo wychwalała, bo nic zasługuje ani na jedno, ani na drugie. Pamiętam, jak raz powiedział mi, jakiś rok temu mniej więcej: „Niech mnie licho, Justinie, to chyba lepiej, że Arabella nie ma braci. Po kimś takim jak ona mało kto by mnie zadowolił”.

Nie rzekła ani słowa, ale widać było, że chłonie wszystko, co on mówi.

- Powinnaś teraz zastanowić się nad swoją matką. Zawsze była całkowicie lojalna wobec twego ojca. A poza tym ona naprawdę gorąco cię kocha. Zawsze cię kochała i zawsze będzie kochać. Zasluguje na więcej zrozumienia z twojej strony, Bello, i na twoją aprobatę. Inaczej zniszczysz jej wielkie szczęście. A ona zasługuje na trochę szczęścia. Osiemnaście lat życia oddała tobie i człowiekowi, który miał ją w pogardzie. Proszę, Arabello, postaraj się spojrzeć na to wszystko spokojnie, bez strachu, bez złości, bez bólu. Zrobisz to?

Arabella wolno podniosła się z ziemi i strząsnęła żdźbła trawy z sukni. Justin też wstał i stanął obok niej. Spojrzał badawczo. Starał się wyczytać z jej twarzy, o czym ona teraz może myśleć. Wyczuł, że zaszła w niej jakaś zmiana, jednak nie był do końca pewien, co się zmieniło. Zastanawiało go, czy przypadkiem nie rozważa teraz fikcji własnego małżeństwa, małżeństwa z rozsądku, zawartego pod przymusem, co skłoniło ją do szukania pocieszenia w ramionach innego mężczyzny. Milczał, czekając na to, co powie teraz ona.

- Robi się późno - rzekła nareszcie nieobecny głosem. - Jeśli pozwolisz, pojedę z tobą. Czy wyślesz Jamesa, żeby przyprzewodził Lucyfera?

Jak zawsze, przyglądając się jej, zastanawiał się, co też za myśli kłębią się w tej ślicznej główce. Nie był już w stanie dłużej się powstrzymać. Ujął jej twarz w dłonie, pochylił się i pocałował ją. Zdawało się, że wieki całe upłynęły od dnia ich ślubu. Usta miała miękkie, tak jak je zapamiętał. Boże, jak bardzo jej pragnął! Ale najpierw musiał wiedzieć. Po prostu musiał i już. Podniósł głowę i delikatnie kciukami obrysował kontur jej ust.

- Arabello, powiedz mi prawdę. Przyznaj, że de Trecassis był twoim kochankiem. Nie wierzę, żeby był nim nadal, ale wiem, że przed naszym ślubem spotykaliście się potajemnie. Tylko powiedz mi prawdę, błagam. Powiedz, czemu to zrobiłaś, a ja ci wybaczę. Czy to dlatego, że zmuszono cię do małżeństwa ze mną? Przyznaj się teraz i zaczniemy wszystko od początku. Powiedz mi, Arabello. - Pochylił się i znów zaczął ją całować.

Ostry ból przywrócił go do rzeczywistości szybciej, niż zrobiłoby to wiadro lodowatej wody. Odskoczył w tył, rozcierając goleń. Kopnęła mocno. Cofała się przed nim, oddychając ciężko. Po chwili wrzasnęła na niego:

- Niech cię wszyscy diabli, ten nędznik nigdy nie był moim kochankiem! To ty jesteś ślepy. - Nieomal wypaliła, że to Elsbeth jest kochanką Francuza, ale w porę się powstrzymała. Nie, nie mogła pozwolić sobie na to. Bała się tego, że mógł potem zadać Elsbeth ból. - Posłuchaj mnie, przeklęty! Nie zdradziłam cię!

Odwróciła się na pięcie i podbiegła do Lucyfera. Niezgrabnie wdrapała się na szeroki grzbiet zwierzęcia.

- Arabello, poczekaj! Poczekaj! Dlaczego wciąż kłamiesz? Czemu? Przecież nie ma powodu! Chcę ci wybaczyć. Gotów jestem ci wybaczyć!

- Ty głupcze! Ty tępym, ślepy błaznie! - W tym momencie przypomniała sobie, że Lucyfer utyka. Przez dłuższą chwilę siedziała na nim, patrząc niewidzącym wzrokiem przed siebie, po czym nagle zsunęła się na ziemię. Podeszła prosto do Justina, wzięła potężny zamach i z całej siły wyrzuciła go w szczękę.

Pod wpływem niespodziewanego ciosu stracił równowagę, zachwiał się, poleciał do tyłu i wpadł do płytkiego rowu.

Wskoczyła na jego konia i pomknęła, a on został z Lucyferem. No tak - pomyślał, otrzepując się z piasku. Obaj przez nią ucierpieli - on dostał po twarzy, a koń ma otarte kopyto.

Potań szczękę. Do licha, ależ to był cios! Naprawdę niezły. Dlaczego po prostu nie powiedziała mu prawdy?

Hrabia stał w pokoju śniadaniowym i pijąc drugą filiżankę kawy, patrzył na kolorowy klomb za oknem. W polu widzenia zjawiała się Arabella. Szła z matką. Poczł wzruszenie na jej widok. Pamiętał reakcję własnego ciała z poprzedniego wieczoru, kiedy całował ją, pragnąc jej coraz goręcej, a potem prosił, żeby wyznała prawdę, przyznała się, że go okłamała i że miała kochanka. Nawet obiecał, że jej wybaczy, że znowu będą razem. Kopnęła go wtedy z całej siły. A potem uciekła.

Co jeszcze mógł jej zaproponować? To przecież ona go zdradziła, a nie on ją. Gdyby ją zdradził, czy ona zaproponowałaby mu przebaczenie? Wątpił w to szczerze. Była znacznie bardziej stanowcza i uparta niż jego dowódca w Portugalii, czyli, krótko mówiąc, idealnie nadawała się na partnerkę dla niego. Z pewnością władze angielskie nie wtrąca go do więzienia, jeśli po prostu zabije tego francuskiego bękarta!

Patrzył, jak Arabella skraca swoje długie zwykle kroki, żeby dostosować się do kroku matki. Modlił się, gorąco się modlił, żeby Arabella przeprosiła lady Annę. Choć nie mógł usłyszeć słów, wyobraził sobie, że przeprasza matkę. Ujrzał natomiast, jak Arabella się uśmiecha. Boże, żeby do niego tak się uśmiechnęła! Pokręcił ze smutkiem głową i odwrócił się od okna. Był szalony, całkiem szalony. Zdradziła go. Dziś znowu ją zapyta. Będzie postępował łagodniej i spokojniej. Nie, znów ją zacznie całować, bardzo powoli, aż ona zacznie go pragnąć, i wtedy ją spyta. Tak, tak właśnie uczyni.

Nadal miał wielką ochotę zabić przeklętego Francuza.

Dzień dobry, milordzie - powiedział Crupper, wkroczywszy bezszelestnie do pokoju śniadaniowego.

Hrabia skinął mu głową i rzekł, mijając go w drzwiach:

- Będę w bibliotece. Aha, Crupper, jeżeli ktoś będzie chciał mi przeszkodzić, to proszę bardzo.

Nie zdążył jeszcze przeczytać drugiej kolumny wiosennych cen rynkowych, kiedy do biblioteki wszedł Crupper.

- Lady Talgarth i panna Suzanne przyjechały z wizytą, milordzie. Jest też z nimi pewien dżentelmen... ehm... lord Graybourn.

Nieszczęsny wicehrabia - pomyślał sobie hrabia, uśmiechając się pod nosem i natychmiast zapominając o cenach.

- Czy wprowadziłeś ich do Pokoju Aksamitnego, Crupper? - Wstał i strząsnął

koronkowe mankiety.

- Tak milordzie, panie są tam również. Pociągnął lekko nosem i uniósł nieznacznie lewą brew. - Ośmielę się zauważyć, milordzie, że kuzyn panny Elsbeth nadal tu jest. Czasami wydaje się, że jest wszędzie. To bywa deprymujące. Nie bardzo mi się to podoba. Doprawdy, jeśli wolno mi... Wolałbym, żeby on już sobie pojechał.

- W pełni podzielam tę opinię. Pan de Trecassis wyjeżdża w piątek. Postaraj się do tego czasu powściągnąć swoją niechęć. - Arabella była tam, w Aksamitnym Pokoju. Bardzo chciał ją zobaczyć.

Wchodząc do pokoju, hrabia usłyszał, jak lady Anna mówi bez cienia fałszu czy obłudy w głosie:

- Droga Aurelio, jak to miło, że złożyliście nam wizytę. Właśnie mówiłam Arabelli, że dobrze jest mieć blisko dobrych przyjaciół. - Lady Anna starała się nie patrzeć na opięte jaskrawoliliową satyną bujne łono lady Talgarth. Aż oczy bolały od tego widoku.

- Ach, jest pan, milordzie - rzekła lady Talgarth dziewczęcym głosikiem, odwracając się na powitanie hrabiego. - Pokazywaliśmy naszemu drogiemu lordowi Graybournowi okolicę. Nie mogliśmy, naturalnie, przy tej sposobności pominąć Evesham Abbey.

Hrabia podniósł upierścienioną dłoń lady Talgarth do ust i pocałował pulchne palce.

Na różowych usteczkach Suzanne, obserwującej pilnie gospodarza, pojawił się wesoły uśmiech. Rzekła do Arabelli, która stała tuż obok niej:

- Gdyby tylko biednemu lordowi Graybournowi przyszło do głowy pocałować mamę w rękę! Mama natychmiast zmusiłaby mnie do poślubienia tego tłuscioszka. Chociaż - dodała po chwili, marszcząc gładkie czołko - w Talgarth Hall okazało się, że nie jest aż taki straszny, na jakiego wyglądał w Londynie.

Ach, zupełnie zapominam o dobrych manierach, milordzie, gdy okazuje mi pan tyle uwagi. Tak, zawsze lubiłam dżentelmenów, którzy potrafili okazać damie należyte względy. -Lady Talgarth westchnęła, kiedy hrabia puścił jej dłoń, choć tak naprawdę to ona przytrzymała jego rękę. - Mój drogi Edmundzie, pozwól przedstawić sobie Justina Deverilla hrabiego Strafford.

Hrabia przekonał się na własne oczy, że lord Graybourn nie został zbyt łaskawie potraktowany przez naturę, co niewątpliwie nadrabiał bogactwem i urodzeniem. Był zaledwie średniego wzrostu, a spora otyłość sprawiała, że wydawał się jeszcze o parę cali niższy. Justin nie mógł powstrzymać się od myśli, że za jakieś pięć lat wicehrabia będzie idealnie okrągły. Oczy miał wypukłe, by nie rzec: wyłupiaste, ale ładnego koloru, jasnoniebieskiego. W oczach tych malowała się niepospolita inteligencja, a także dobroć. Pozował na dandysa, niestety

nader niefortunnie, gdyż ciężkie, wysadzone drogimi kamieniami dewizki i pierścienie, sztywno nakrochmalone kołnierzyki oraz brązowe spodnie opięte na wydatnym brzuchu zupełnie do niego nie pasowały.

Niespodziewanie okazało się, że lord Graybourn ma przyjemny, dźwięczny głos.

- To prawdziwa przyjemność dla mnie, milordzie. Ufam, że nie sprawiliśmy państwu kłopotu tą tak wczesną wizytą.

- Ależ skąd! - odparł hrabia i od początku polubił młodego człowieka. - Zawsze z największą przyjemnością gościmy naszych najbliższych sąsiadów. Hrabia przyjął wyciągniętą rękę i uścisnął ją. Przeszli dalej i dokonał prezentacji wicehrabiego Arabelli, lady Annie, Elsbeth i wreszcie Gervaise'owi. Uśmiechnął się, widząc, jak żona miło wita się z wicehrabią i uprzejmie wypytuje o podróż z Londynu.

Specjalnie unikała jego wzroku, a on uparcie wpatrywał się w nią, klnąc w duchu jej przekłątą skrytość. Co ona sobie myśli?

Czy boi się, że nie będzie już chciał jej wybaczyć? Patrzył na jej ręce, białe i gładkie, z krótko obciętymi, wypolerowanymi paznokciami. Ten na kciuku miał odrobinę nierówny brzeg. Nieznaczenie uśmiechnął się na ten widok.

A Gervaise tymczasem zdawał się przechodzić jakąś niezwykłą metamorfozę. Wypowiedział niewyraźnie słowa powitania, zupełnie niezrozumiałe dla wicehrabiego, i wykonał głęboki, zamaszysty ukłon, zupełnie jak na dworze Ludwika XVI. Wicehrabia, nie chcąc okazać się nieuprzejmy, ukłonił się w podobnym stylu. W tym momencie jego gorset zatrzeszczał na znak protestu.

Gervaise natychmiast jął się puszyć jak paw, tylko tak to można było określić. Rozejrzał się dookoła z zadowoleniem. Był niezwykle z siebie dumny, że zrobił z wicehrabiego głupca. Zdziwiło go jednak, że nikt jakoś nie śpieszył z nagrodą. Dostrzegł gniewny błysk w oczach Arabelli, a poza tym ku swemu bolesnemu rozczarowaniu stwierdził, że Elsbeth, która stała cichutko przy boku lady Anny, wystąpiła śmiało naprzód i rzekła dźwięcznym, słodkim głosem:

- Lordzie Graybourn, cieszę się niezmiernie, że mogę cię, panie, poznać. Słyszeliśmy o panu wiele miłych rzeczy. - Wyciągnęła drobną rączkę, a wicehrabia w porywie galanterii uniósł ją do ust. Uroczo zaczerwieniła się i dygnęła skromnie.

- Popatrz tylko, Bello - szepnęła Suzanne, przysłaniając ręką usta. - Francuski kuzynek fatalnie się skompromitował. A pomyśleć, że tak bałam się tej wizyty. Och, co za świetna zabawa!

- To prawda - odparła Arabella. - Jak to nigdy nie wiadomo, co kto powie.

Była zła. Co do tego nie było wątpliwości. Chciała wrzasnąć na pana de Trecassis, wygarnąć mu, że jest niegrzecznym osłem. Hrabia zauważył, że żona z trudem zachowuje milczenie. Najwyraźniej była niezadowolona ze swego kochanka... no, powiedzmy, byłego kochanka... Nawet wyglądało na to, że go wręcz nie lubi. Uśmiechnął się do niej i skinął głową z aprobatą. Na krótką chwilę ich oczy spotkały się. Twarz miała bardzo bladą, za to oczy... ich szarość lśniła blaskiem, a jednocześnie dziwnym ciepłem, jakby spoglądała na niego z uczuciem. To w końcu przecież było możliwe. Do diabła, łydka wciąż go bolała po wczorajszym kopniaku. To chyba jednak niemożliwe. Ale co się tutaj dzieje?

Żałował, że nie może kazać im wynosić się natychmiast z domu. Gorąco pragnął porozmawiać z nią. Jeszcze goręcej pragnął ją całować. A najgorsze było to, że chciał ją kochać.

- Bardzo proszę, niechże państwo usiądą - rzekła Arabella. - Zaraz każę podać herbatę i ciastka.

Kiedy wszyscy zajęli miejsca, Arabella zwróciła się do lorda Graybourn, ze wszystkich sił starając się nie rzucać ukradkowych spojrzeń w stronę męża.

- Jakie przywozisz nam, panie, wiadomości o walkach na półwyspie? Mam nadzieję, że możesz przekazać nam pomyślne wieści.

Lord Graybourn rozpaczliwie próbował zebrać strzępy wiadomości, które docierały od czasu do czasu do jego niezbyt chętnych sprawom publicznym uszu. Choć gotów był z patriotycznym ferworem krytykować Napoleona, uważał szczegóły bitew i losy innych krajów Europy za wyjątkowo nudne. Był prawdziwym Anglikiem, toteż w jego wyobrażeniu Anglia była i miała pozostać do końca świata największym mocarstwem.

Chrząknął i odpowiedział głosem, jakim -jak sądził - odpowiedziałby dobrze poinformowany autorytet:

- Bardzo słusznie, że wasza lordowska mość pyta. - Nagle przypomniał sobie, że poprzedni hrabia Stratford sam był człowiekiem mocno związanym z kręgami wojskowymi, podobnie zresztą jak obecny. Do licha! Znowu chrząknął, spojrzał w stronę hrabiego i uśmiechnął się do niego. Odpowiedź wypadła bardzo uczciwie: - Wiem stosunkowo niewiele w porównaniu z jego lordowska mością. Słyszałem wielokrotnie, że hrabia uważany jest za jednego z największych bohaterów bitew na półwyspie. Czy miał pan ostatnio jakieś ciekawe wieści, milordzie?

- Ależ, panie - rzekł Gervaise, pochylając się lekko do przodu. - Chciałbym usłyszeć, co pan ma do powiedzenia, lordzie Graybourn. Był pan dopiero co w Londynie, to powinien pan dokładnie wiedzieć, co się teraz dzieje.

Nic wystarczyło mu, że wszyscy obecni mieli ochotę dać mu prztyczka w nos - pomyślał nachmurzony hrabia. Jaki miał w tym cel? Czyżby był tak tępy, że nie zdawał sobie sprawy z własnej niegrzeczności? Z tego, że nawet uprzejma, urocza lady Anna będzie zaraz miała ochotę wyrzucić go za drzwi jak niegrzecznego psiaka? Już miał zamiar skarcić Francuza i wytknąć mu złe zachowanie, gdy lord Graybourn odrzekł swobodnie:

- Zrozum, panie, że w Londynie niewiele naprawdę ważnych wiadomości przedostaje się do opinii publicznej. W końcu jesteśmy zaangażowani w wojnę, więc należałoby się spodziewać, że nasi dowódcy będą woleli zachować niektóre sprawy w tajemnicy. - Spojrzał na pannę Elsbeth. Cóż to za miłe i urocze stworzenie! Wpatrywała się w niego z największą uwagą.

Nagle zrozumiał, że za nic na świecie nie chciałby jej zawieść. - Oczywiście cała Anglia cierpi dotkliwie z powodu blokady Napoleona - rzekł, modląc się w duchu, żeby hrabia nie zerwał się, słysząc te słowa, i nie nawymyślał mu od głupców. - Rozumiem też, że Percival jest pod nieustanną presją zarówno w kraju, jak i za granicą. Ma bardzo ciężkie zadanie przed sobą, biedny człowiek, ale radzi sobie nadzwyczaj dobrze.

- Jest dokładnie tak, jak mówisz, panie wtrącił hrabia. - Niewielu ludzi w Londynie rozumie, pod jakim strasznym naciskiem musi działać Percival. Swoją drogą mądry z pana człowiek, lordzie Graybourn, że dostrzega pan takie aspekty sprawy.

Gdyby lord Graybourn był kobietą, ucałowałby hrabiego za dobroć i zyczliwość. Ale ponieważ było tak, jak było, skinął jedynie głową, wyrażając w duchu gorące życzenie, by hrabia nie przestał uważać go za mądrego.

- To straszne - oznajmiła lady Talgarth donośnym głosem, nie bardzo na temat. Myślała jedynie o tym, że ma ogromną ochotę na herbatę i pyszne cytrynowe ciastka, specjalność domu. Gdzie, do licha, podziła się cała służba? No tak, skoro rządzi tu Arabella, to czegoż można się spodziewać? Pewnie wszyscy gdzieś hulają. A te cytrynowe ciasteczka są takie pyszne.

- No dobrze, ale jakie są dokładne wieści z półwyspu? - naciskał pan de Trecassis, świdrując wzrokiem lorda Graybourn. Arabella miała ogromną ochotę rzucić się na niego z pięściami. Wstrzymała oddech na chwilę, szykując broń, ale hrabia mrugnął do niej porozumiewawczo i wyjaśnił spokojnie:

- Czyż nic mówiłem ci, panie? Massena jest teraz w Portugalii i ma sześćdziesiąt tysięcy ludzi pod swoją komendą. Z moich informacji wynika, że Wellington ma zamiar jesienią rozpocząć ofensywę przeciwko niemu. Przy doświadczeniu i odwadze, jakimi mogą się poszczycić żołnierze Wellingtona, sądzę, że będzie to smakowite zwycięstwo. Zechce mi

pan wy- baczyć, lordzie Graybourn, ale nie mógł pan o tym wiedzieć. Takie wiadomości przekazywane są tylko nielicznym osobom.

Lord Graybourn skinął głową i podziękował niebiosom za obecność hrabiego, za to, że hrabia uznał go za mądrego i pomógł mu wybrnąć z kłopotliwej sytuacji.

Pan de Trecassis, wściekły, rozparł się w krzesło, zastanawiając się, o co tu właściwie chodzi. Już prawie miał tego tłuściocha na widelcu, kiedy hrabia pośpieszył mu z pomocą. Zdziwiło go to, bo zawsze słyszał, że wojskowi nienawidzą ignorancji w sprawach militarnych i lubią okazywać pogardę nie znającym się na sztuce wojennej cywilom. Przynajmniej francuscy wojskowi pogardzali każdym, kto ośmielał się kwestionować ich zdanie czy też udawać, że wie lepiej, o co naprawdę chodzi.

Hrabia tymczasem stanął w obronie gościa. Oczywiście Gervaise mógł przewidzieć, że ci przekłeci Anglicy zawsze będą lojalnie chronić siebie nawzajem. Nie mówiąc o tym, że hrabia nienawidził go. Doskonale zdawał sobie z tego sprawę, choć nie miał pojęcia, jaki jest powód tej nienawiści. Cóż, niedługo zajmie się tym, i to z niemałą przyjemnością. Spojrzał w stronę Elsbeth i jego oczy zwięziły się. Uśmiechała się do lorda Graybourn. Jak ona może?

Do licha z nią! Do licha z nimi wszystkimi! Nie mógł doczekać się, kiedy strzepnie pył Anglii z butów. Wstrętny, zimny, pogański kraj.

Do rozmowy włączyła się teraz lady Anna:

Miejmy nadzieję, że Wellington nie będzie musiał szukać nowych sojuszników. Nie zapominajcie, państwo, że w związku ze ślubem Napoleona z Marią Luizą, co miało miejsce zaledwie cztery miesiące temu, Austria zwolniona jest z lojalności wobec Anglii. Cesarz Francuzów nader zręcznie rozpędza przyjaciół Anglii na cztery wiatry. Nic dobrego z tego nie wyniknie, zwłaszcza jeśli Maria Luiza szybko obdarzy go potomkiem.

Wreszcie Crupper przysłał dwóch lokai z herbatą i ciastkami. Hrabia przyglądał się, jak lady Anna nalewa herbatę. Pozostali również przypatrywali się jej z uwagą, odbierali swoje filiżanki i z prawdziwą przyjemnością popijali gorący napar małymi łydkami. On sam przepadał za cytrynowymi ciasteczkami. Podziękował skinieniem głowy, biorąc z rąk lady Anny swoją herbatę, podczas gdy ona dodała:

- Tak mi żal młodej cesarzowej. Biedne dziecko, jestem przekonana, że nie ma nic do powiedzenia na dworze.

- Cesarz Francuzów, też coś! - sapnęła lady Talgarth, jedząc drugie cytrynowe ciastko. Patrzyła przy tym na hrabiego, który również zdążył poczęstować się drugim ciastkiem. Już tylko jedno zostało. Chrząknęła w nadziei, że odwróci jego uwagę, a jej palce znalazły się w bliskim sąsiedztwie ostatniego ciastka.

- Słyszałam, że ten Korsykanin ma ubolewania godne maniery. A kimże jest mężczyzna bez manier? Co pan o tym sądzi, lordzie Graybourn? Lord Graybourn omal nie zakrztusił się herbatą.

- Maniery niosą ze sobą cywilizację rzekł wreszcie, sięgając po ostatnie ciastko.

- Droga pani - odezwała się Arabella z błyskiem w oku -sądząc z długiej procesji kochanek, defilującej w dodatku tuż pod nosem Józefiny, nie wszystkie maniery Napoleona są godne ubolewania.

Pan de Trecassis zaśmiał się zbyt głośno.

Hrabia już miał wziąć Francuza za kołnierz i wyrzucić go przez okno, kiedy nagle Arabella zerwała się na równe nogi i powiedziała:

- Och, Justinie, mój drogi, chyba rozlałam sobie herbatę na suknię. Popatrz, proszę, i powiedz, czy nie widać plamy.

Doskonale posunięcie. Podeszła do niego, przytrzymując w palcach materiał rękawa, z oczami utkwionymi w jego szyję. Poczuł gwałtowne poruszenie w głębi trzewi. Boże, ależ ona była piękna! To wprowadzie też jędra, ale poza tym lojalna i odważna. Miał szczerzy zamiar jej wybaczyć. Powie jej o tym dziś w nocy, a potem będzie ją miłował co sił i tym razem zrobi to tak jak trzeba. Sprawí, że zapomni o panu de Trecassis. A ona wreszcie powie mu prawdę.

Stała przed nim, podniosła głowę i spytała spokojnie:

- Czy myślisz, że będzie plama?

Nieważne było dla niego, czy ktoś na nich patrzy, czy nie. Pochylił się, popatrzył na małą plamkę, a potem pocałował koniuszek jej nosa, następnie brodę, a na końcu usta, bardzo lekko.

- Wielkie nieba - rzekła lady Talgarth. - Pozwolę sobie zauważyć, milordzie, że ta manifestacja uczuć jest całkiem nieodpowiednia dla niewinnych oczu mej córki, nie mówiąc już o naszej drogiej Elsbeth.

Suzanne zaśmiała się.

- Ach, mamó! Wreszcie Bella przyda mi się na coś. Przyglądając się jej i jej mężowi, nauczę się paru ważnych rzeczy. Dotyczących męża i żony. - Suzanne, będę musiała pomówić z ojcem na twój temat. Jestem pewna, że zgodzi się ze mną. Wszystko, co masz robić, moja droga, to obserwować nas, mnie i ojca, i tak uczyć się ważnych rzeczy.

Suzanne omal nie wybuchnęła histerycznym śmiechem. Na szczęście lord Graybourn zwrócił się do Elsbeth z uprzejmym pytaniem:

- Czy była już pani w Londynie?

Gdy w ten oto sposób niebezpieczeństwo zostało zażegnane, Suzanne szepnęła do przyjaciółki:

- Chodź, Bello, nie możesz tak stać w objęciach hrabiego, bo mama zemdleje z wrażenia. A twojej mamie też poróżnowiały policzki.

Tak naprawdę to różowa była w tej chwili Elsbeth, głównie za sprawą lorda Graybourn. Życie - pomyślała nagle nieśmiała panna - jest niezwykle kapryśne. Uświadomiła sobie ze zdumieniem, że znakomicie się bawi.

Hrabia podniósł wzrok, ujrzał, że oczy całego towarzystwa skierowane są w ich stronę, i westchnął. Lekko dotknął palcem ust żony.

- Później - szepnął, a po chwili dodał, widząc wyraz jej twarzy: Zaufaj mi. Rozwiążemy to jakoś. A teraz idź, zanim wprawię cię w jeszcze większe zażenowanie. Nie będzie plamy na sukni.

- Nie jestem zażenowana.

Skinął jedynie głową. Sam nie wiedział, co się z nim dzieje.

Uczucie, jakiego w tej chwili doznawał, nie było nieprzyjemne, lecz dziwne. Niecodzienne połączenie czułości, furii i pożądania. Tak wiele, a jednocześnie nie za wiele.

- Przynajmniej znów jesteście z nami duszą i ciałem - rzekła Suzanne.

- Jakże mi żal biednej austriackiej księżniczki! - rzekła Elsbeth. - Z dała od rodziny, od ojczyzstego kraju. Ofiara politycznych targów z tym okropnym człowiekiem.

- Proszę nie zapominać, panno Deverill, że Napoleon gorąco pragnie mieć następcę - rzekł lord Graybourn, poruszony wrażliwością młodej damy.

- Biedne my, kobiety - rzekła z ubolewaniem Suzanne i zaraz zepsuła cały efekt, chichocząc. Sprzedawane i oddawane po to, by przedłużyć trwałość waszych cennych nazwisk.

Hrabia roześmiał się.

- Ależ, panno Talgarth, robi z nas pani całkiem bezduszne istoty. Z pewnością jednak przydamy się wam na coś. - Mówiąc te słowa, skierował wzrok na żonę. Bardzo chciał, żeby spojrzała na niego. Dowiedzie jej, że może mieć z niego pożytek, że potrafi wywołać uśmiech na jej twarzy, że umie sprawić, by oczy jej błyszczały. Chciał nawet słuchać, jak ona krzyczy i wrzeszczy, łajac go. Pragnął wszystkiego, co było nią. Arabella powiedziała cicho, nie patrząc na niego:

- Ale zgodzisz się chyba, milordzie, że większość mężów woli, kiedy żony trzymają się cicho w cieniu, wychowują dzieci i dyskretnie, nie wadząc nikomu, ślęczą nad haftem?

Hrabia nie był w stanie wyobrazić sobie Arabelli w cieniu czegokolwiek.

Zawsze była na pierwszym planie, rządząc, wydając rozkazy, śmiejąc się czy kłócąc z nim. Rzekł:

- Domyślam się, że mówisz w przenośni. Nie potrafię jakoś wyobrazić sobie ciebie haftującej, chociażby przez pięć minut. Cisnęłabyś igłę po sekundzie. Nie, robótki nie są dla ciebie.

Suzanne uniosła filiżankę jakby w toaście skierowanym do hrabiego.

- Święta prawda. Przyznaj, Bello, że jego lordowska mość trafił w sedno. Na przykład wczoraj podczas naszej wspólnej przejażdżki nie byłam w stanie wciągnąć cię do rozmowy na dłużej niż pięć minut.

Arabella spojrzała najpierw na pana de Trecassis, a potem na Elsbeth pogrążoną w cichej rozmowie z lordem Graybournem. Ach, czemu ten człowiek nie zjawił się tu przed Francuzem? Pal sześć wyłupiaste oczy. Jak on mógł w ogóle uderzać w konkury do Suzanne? Przecież zupełnie do siebie nie pasują. Tymczasem Elsbeth była nim wyraźnie zainteresowana. Ale może jeszcze jest jakaś szansa. Gervaise wkrótce wyjedzie i wtedy, miejmy nadzieję, Elsbeth o nim zapomni. Najgorsze było to, że Arabella nie mogła wyznać prawdy mężowi. Nie uwierzyłby jej, a nawet gdyby tak się stało, nie potraktowałby Elsbeth łagodnie, oj nie. Wolała nawet nie wyobrażać sobie, do czego byłby zdolny. Lady Anna rzekła z uśmiechem:

- Zawsze podziwiałam energię Arabelli, moja droga Aurelio. Nigdy dzięki temu nie zaznałam nudy, bo albo miałam ochotę dać jej klapsa, albo się śmiałam. Bóg mi pobłogosławił, dając taką córkę. Tobie zresztą też. Suzanne to taka miła, wesółka, urocza dziewczyna. Musisz być z niej bardzo dumna. Suzanne omal nie upuściła filiżanki. Spojrzała uważnie na lady Annę. Nieraz w ciągu swego krótkiego osiemnastoletniego życia żałowała, że lady Anna nie jest jej matką. Znacznie lepiej pasowałyby do siebie... chociaż nie wiadomo tak do końca. Arabella zawsze skłaniała się ku ojcu i do niego była podobna. Tylko do niego. Z matki miała niewiele.

- O, tak - rzekła lady Talgarth, patrząc na córkę, jakby ją miała zamiar udusić.

- Naprawdę Bóg ci pobłogosławił, Anno, obdarzając cię taką córką- potwierdził niespodziewanie hrabia. - A teraz mnie pobłogosławił żoną. Arabella osłupiała, słysząc te słowa. *Co mu się stało? Czy muszę odgrywać rolę salonowej trzpiotki, żeby zaczął mnie podziwiać? Akceptować?*

Lord Graybourn ponownie zwrócił się do Elsbeth:

- Czy przyjedzie pani do Londynu, droga panno Deverill? Obawiam się, że nie tak prędko, panie. Myślałam o... -

Elsbeth, zakłopotana, umilkła i wzrokiem poszukała pomocy u lady Anny. Lady Anna odezwała się ze spokojem i opanowaniem:

- Nasze plany nie są jeszcze w tej chwili do końca sprecyzowane, lordzie Graybourn. Ale nie wątpię, że Elsbeth pojedzie z nami do Londynu na dłużej zimą.

- Och, Bello, jedziesz do Londynu? To świetnie. We dwie weźmiemy Londyn szturmem. Chciałabym tam utrzyć paru osobom nosa, między innymi Lucii Applebaum. Pomożesz mi, będziemy się doskonale bawić.

W spokojnym dotąd głosie lady Anny zadźwięczała teraz nutka wyzwania:

- Nie, Suzanne. Nie mówiłam o Arabelli. Elsbeth pojedzie do Londynu ze mną i z moim mężem.

W salonie zapadła martwa cisza. Lady Talgarth westchnęła. Mój Boże, a przyjechali ze zwykłą sąsiedzką wizytą. Nawet nie zjadła ostatniego cytrynowego ciasteczka. Ale teraz nie miało to znaczenia. Tak łakomego kaska się nie spodziewała.

- Moja droga Anno - rzekła ostrożnie, nie wierząc we własne szczęście. - Czy możesz mi wyjaśnić, co znaczą te słowa?

Odezwał się hrabia:

- Pozwól, Anno, że ja podzielę się radosną nowiną z lady Talgarth. Pani, niedługo powitamy w naszej rodzinie doktora Branyona. Doktor i Anna mają zamiar się pobrać.

- Moje gratulacje, lady Anno - rzekł lord Graybourn, nie wiedząc, że wkracza na niebezpieczny grunt.

- Dziękuję, lordzie Graybourn - odrzekła lady Anna i skinęła mu głową. - Doktor Branyon jest od lat wiernym i oddanym przyjacielem naszej rodziny.

A teraz stanie się kimś więcej. Będzie moim mężem i ojczymem Arabelli. Lady Talgarth natychmiast się napuszyła.

- Moja droga, chyba nie mówisz tego poważnie? To naprawdę dziwne jak na ciebie. Ten człowiek jest lekarzem, a więc pracuje zawodowo, nawet jeśli ten zawód polega na leczeniu chorych. Nie spodziewałam się tego po tobie. Sądzę, że jest dżentelmenem, ponieważ jego ojciec miał tytuł szlachecki, ale to zaledwie drugi syn.

Matka i córka stanęły tym razem do walki ramię w ramię. Arabella odwróciła się do zdumionej lady Talgarth i uniosła czarną brew z taką samą arogancją, jak zwykły był to czynić jej ojciec.

- Ośmielę się zauważyć, droga pani, że rzeczywiście niektórzy mogliby to uważać za dziwne. Ja natomiast sądzę, że moja matka jest zbyt piękna, by miała pozostać we wdowim stanie. Proszę tylko spojrzeć, wszyscy biorą ją za moją siostrę. A co do doktora Branyona, to jest on dżentelmenem niezależnie od tego, co zdecyduje się w życiu robić. Poza tym jest przystojny i miły. Z radością powitam go jako ojczyma. Będzie nie tylko mnie kochał, ale też dzięki niemu dożyję w dobrym zdrowiu stu lat... no, może dziewięćdziesięciu. To niewątpliwa korzyść z posiadania ojczyma lekarza. Wybornie. Hrabia był z niej tak zadowolony, że chciał porwać ją z krzesła, ucałować i od razu zanieść na górę do sypialni. Zerwałby z niej to całe przekłete ubranie. Do licha, zapominał się. Przecież miał tego nie robić. W porządku, więc miała powód, by obłąpać się z Francuzem, ale musi mu powiedzieć,

jaki to był powód. Uświadomił sobie, że ciągle myśli o jednym. Samego zaczęło go to nudzić. A ostatnie cytrynowe ciasteczko zniknęło. Kto je porwał?

Podczas gdy lady Talgarth miała ochotę wytargać Arabellę za uszy, Suzanne ujęła dłoń lady Anny i powiedziała:

- Myślę, że to wspaniała wiadomość, lady Anno. Doktor Branyon to dobry człowiek. Wyleczył mnie z jakiejś ciężkiej choroby, kiedy byłam dzieckiem. Ojciec dałby mu za to gwiazdkę z nieba, gdyby tylko mógł. Aha, a teraz doktor z powodzeniem leczy gościec ojca. Poza tym jest pani przyzwyczajona, lady Anno, do bycia panią u siebie. Ja, na przykład, przeniosłabym się choćby do namiotu, gdybym miała mieszkać pod jednym dachem z Bella. Ona jest naprawdę straszną despotką. Zaczynam żałować hrabiego Justina, chyba że okaże się, iż potrafi ją czasem zmusić do milczenia.

- Wystarczy, moja droga - rzekła Arabella z udaną surowością. - Podarłaś mnie w kawałeczki i rozrzuciłaś na cztery wiatry. Dziękuję ci bardzo.

Lady Anna odezwała się spokojnie:

- Z pewnością dosyć już o moich sprawach. Lordzie Graybourn, jak długo zabawi pan w naszych stronach? Słyszałam, że udaje się pan do Brighton?

Lord Graybourn zapewnił ją pośpiesznie:

- Miałem zamiar zostać dzień lub dwa, pani. Ale uprzejmość mych gospodarzy... - spojrzał na lady Talgarth - ...jak również gościnność państwa pozwalają mi żywić nadzieję, że może zostanę zaproszony jeszcze na kilka dni.

Wzrok wicehrabiego natychmiast powędrował w stronę Elsbeth: De Trecassis miał ogromną ochotę zabić tego człowieka. Podobnie lady Talgarth. Suzanne uśmiechała się od ucha do ucha. A hrabia widział jedynie swoją żonę, której lekko drżała w ręku filiżanka. Ciekawe, dlaczego.

Lady Talgarth podniosła się z krzesła, zbierając jardy szeleszczącego jedwabiu w kolorze lawendy i uderzając niecierpliwie wachlarzem o grzbiet dłoni, dopóki panowie też nie wstali. Głośno westchnęła i zmarszczyła brwi, nie na lady Annę czy Arabellę, ale na Elsbeth. Obrzuciła potem znaczącym spojrzeniem Suzanne, obiecującym wyraźnie, że policzy się z córką później.

Suzanne, przyzwyczajona od dawna do humorów matki, tylko pokręciła głową, uśmiechnęła się, po czym wstała i serdecznie objęła lady Annę.

- Widzę, że nasza wizyta dobiega już końca, lady Anno. Proszę przyjąć moje najszersze gratulacje. Naprawdę bardzo się cieszę.

- Dziękuję, moja droga. - Lady Anna posłała uroczy uśmiech lady Talgarth. -

Cieszymy się też niezmiernie z zawarcia znajomości z lordem Graybournem, Aurelio. Nie muszę dodawać, że o każdej porze jesteście, państwo, mile widziani w Evesham Abbey.

- Doprawdy, droga Anno, nie przypominam sobie, kiedy spędziłam równie interesujący poranek. Z pewnością nie ostatnimi czasy. Ale zabrakło ciasteczek. - Obrzuciła kwaśnym spojrzeniem córkę. - Niestety, obawiam się, że będziemy zbyt zajęci, by jeszcze raz przywieźć tu lorda Graybourn. Z pewnością nas zrozumiesz.

Lady Anna skinęła jedynie głową. Jeden gość mniej - pomyślała, w ogóle się tym nie przejmując. Ani odrobinę.

- Chodźmy, drogi Edmundzie - rzekła lady Talgarth z niepotrzebnym naciskiem.

Spokojnie podszedł do niej. Uśmiechnął się do wszystkich bardzo miło, jak pomyślała Elsbeth, i uprzejmie się pożegnał.

Kiedy tylko Crupper wyprowadził gości z Aksamitnego Pokoju, Arabella opadła na sofę i wybuchnęła śmiechem.

- Myślałam, że lady Talgarth pęknie ze złości. To było świetne, cudowne. Nie marzyłam, że będę się tak dobrze bawić.

Lady Anna westchnęła:

- A o ślubie i tak trzeba jej było powiedzieć prędzej czy później. Biedny wicehrabia, naprawdę uroczy miody człowiek. Jaka szkoda, że musiał tu być właśnie wtedy, kiedy się dowiedziała.

- Nie chciałbym być w skórze wicehrabiego zauważy! hrabia, stojąc przy kominku. - Pewnie reszta wizyty nie upłynie mu zbyt przyjemnie. W każdym razie, biedaczek, jest zupełnie nieodpowiedni dla olśniewającej panny Talgarth. Na chwilę jego wzrok spoczął na Elsbeth. Następnie odezwał się do żony, głosem miękkiem jak stopiony воск: - Jeżeli już skończyłaś te śmiechy, to może miałabyś ochotę zarządzić lunch?

Spojrzenie hrabiego wywołało u Elsbeth poczucie winy. Jakże była niestała w swoich uczuciach! Skąd przyszło jej do głowy, że lord Graybourn, światowy w końcu człowiek, to pokrewna dusza? Podczas lunchu unikała, jak mogła, wzroku kuzyna. Uznała jego zachowanie w stosunku do wicehrabiego za nieokrzesane. Dżentelmen nie powinien tak postępować. W dodatku własne niezadowolenie z jego zachowania i wynikające stąd poczucie winy krępowało ją do tego stopnia, że plastry zimnej szynki niemiłym ciężarem leżały jej na żołądku.

A co do Gervaise'a, to utwierdził się w cynicznej opinii, że wszyscy Anglicy są tacy sami. On przecież tylko dołączył się do tego, co wziął za ogólną zabawę mającą na celu skompromitowanie grubego wicehrabiego, pokazanie, że jest głupcem, którym przecież był.

A tu, proszę, co oni zrobili? Zwarli szeregi przeciwko niemu. Pewnie dlatego, że jest obcy, z Francji. Nawet Elsbeth dołączyła do wrogów. Pohamował jednak swoje niezadowolenie i rozczarowanie. Dziś miał przed sobą o wiele ważniejsze zadanie. Pod koniec lunchu przysiadł się do Arabelli.

- Droga Arabello - zwrócił się ze swym zwykłym wdziękiem, juki zawsze miał na podorędziu. - Chyba nie poświęca mi pani tyle uwagi, na ile zasługuję. Czuję się osamotniony.

Oboje, hrabia i Elsbeth, zaczęli bacznie przypatrywać się tej scenie Arabella miała wielką ochotę huknąć Francuza pięścią w twarz. Co Justin myślał? Bała się nawet spojrzeć w jego stronę. Wreszcie udało się jej odpowiedzieć sucho:

- Jestem młodą mężatką, panie, co stanowi dobry powód, by nic okazywać każdemu uwagi, na jaką jego zdaniem zasługuje. Jeśli czuje się pan osamotniony, to oczywiście wyrażam ubolewanie.

- Być może - ciągnął Francuz, nie zrażony odprawą - to ja nie poświęcałem pani należytej uwagi. Arabello, jak pani zapewne wiadomo, muszę wyjechać za dwa dni. Jeżeli mąż pani wyrazi zgodę, chętnie prosiłbym panią o wspólny spacer i pokazanie mi jeszcze paru miejsc w tej pięknej okolicy. Proszę mi nie odmawiać.

- Zgadza się, ale niezbyt chętnie - rzekł hrabia, a Arabella myślała, że spadnie z krzesła ze zdziwienia. Małżonek po chwili dodał z humorem: - Proszę tylko, panie, byś uważał bardzo na moją żonę. Jest dla mnie czymś najcenniejszym na świecie.

Co tu się dzieje? Dlaczego Justin uśmiecha się do niej i utrzymuje, że jest cenna dla niego? Czemu daje jej pozwolenie na spacer z Francuzem, skoro był taki pewny, że go z nim zdradziła? To przecież nie ma sensu, chyba że... Odetchnęła głęboko. Musiał wreszcie uwierzyć, że ona jest niewinna. Chciała, żeby jej wierzył, i możliwe, że tak się stało. Czy domyślił się, że to Elsbeth?

Wcale nie miała ochoty wychodzić z przeklętym Francuzem. Chciała go zastrzelić. Chciała powalić go na ziemię. Nie wolno jej, do stu piorunów! Z wymuszonym uśmiechem rzekła:

- Chętnie przejdę się z tobą panie. Co chciałbyś zobaczyć?

Przez chwilę wahał się, nim udzielił odpowiedzi: Trudna decyzja, Arabello, ale chyba chętnie obejrzałbym jeszcze raz ruiny starego opactwa. Te kilka chwil, które tam spędziliśmy, to stanowczo za mało. To takie romantyczne miejsce, pełne angielskich duchów. Jakże chciałbym choć na chwilę przenieść się w przeszłość i zapomnieć o troskach teraźniejszości!

Arabella pomyślała, że to przesada, ale jedynie skinęła uprzejmie głową.

Ustalili, że spotkają się za pół godziny.

Wkrótce potem zeszła do głównego hallu ubrana w starą suknię z niebieskiego muślinu i solidne buty, idealne do pieszych wędrówek. Na dole spytała Cruppera:

- Widziałeś jego lordowską mość? Kamerdyner uśmiechnął się do niej pogodnie - Pan hrabia miał jakieś sprawy do załatwienia. Kazał mi powtórzyć, że będzie za panią tęsknił i... oczy starego sługi złagodniały - ...ma nadzieję, że poświęci mu pani trochę czasu dziś wieczorem.

- Ach tak - rzekła, niemal tańcząc. - Poświęcę mu tyle czasu, ile tylko sobie będzie życzył. Dziękuję, Crupper!

- Szkoda, że musi pani zajmować się tym Francuzem.

- Zgadzam się z tobą. Naprawdę szkoda.

- Wkrótce wyjedzie.

- Tak, nareszcie!

Uśmiechnęła się do kamerdynera i wyszła na ganek. Gervaise pojawił się parę minut później, ubrany, jak to miał w zwyczaju, niezwykle wytwornie. Skłonił się, z wyczekującym uśmiechem na przystojnej twarzy.

Od razu zaczął jej schlebiać. Nic go to nie kosztowało, a przynajmniej może zaskarbił sobie jej względy.

- Jak pięknie dziś pani wygląda, Arabello! Wspomnienie popołudnia spędzonego z panią będzie mi towarzyszyć przez wiele samotnych dni, jakie mnie czekają.

Kwieciste komplementy przyprawiały ją o mdłości, ale mimo to zmusiła się do uśmiechu. Niedługo Francuz wyjedzie. Nie mogła się tego doczekać. Pomyślała o mężu, zastanawiając się, co on teraz sobie wyobraża. Chyba nie będzie więcej się na niej mścił ani jej karał?

- Piękny dzień, Arabello, idealny na naszą wycieczkę.

- Hm. To prawda. - Przyśpieszyła kroku. Czas płynął nieznośnie wolno.

Ruiny starego opactwa skąpane były w bogatym, złotym świetle popołudniowego słońca. Promienie padały wprost na trzy kamienne łuki, które jeszcze stały, rzucając okrągłe cienie na rozległy teren pokryty gruzem i kamieniami. Arabella starała się, jak mogła, wzbudzić w sobie ducha przygody.

- Jesteśmy na miejscu, Gervaise. Jak widzisz, panie, pierwotne opactwo było ogromną budowlą, zajmującą większą część wzgórza. Spójrz tylko, jakie wysokie są te łuki, które się zachowały. Właściwie na powierzchni zostały tylko one. Reszta murów zawałiła się już dawno. Kiedy byliśmy tu poprzednim razem, nie zdążyłam opowiedzieć panu historii

opactwa. Nic jest zbyt przyjemna. Ojciec opowiadał mi, że przez blisko czterysta lat klasztor stanowił ważny ośrodek wiedzy i nauki. Dopiero na rozkaz króla Henryka opactwo zostało złupione i spalone. - Gervaise wydawał się zafascynowany tą opowieścią, a ona zapaliła się do tematu. - Kiedy byłam dzieckiem, zakradałam się do podziemnych sal. Widzisz, panie - zatoczyła ręką łuk, pokazując rozległy teren ruin - tam, gdzie uprzątnięto kamienie, pod spodem znajdują się cele mnichów. Mówiono mi, że jeżeli człowiek zachowuje się cicho, to może usłyszeć, jak mnisi się modlą.

- Ach, to niezwykle romantyczne. Elsbeth wspominała mi o podziemnym przejściu. Czy zachowały się tam jeszcze jakieś sale?

- Co najmniej cztery lub pięć pozostało niemal w takim stanie, w jakim były siedemset lat temu. Znajdują się przy jedynym korytarzu, który się nie zawalił.

Francuz wyraźnie się tym zainteresował. Oczy mu zaśniły.

- Śpieszmy się, droga Arabello. Chętnie obejrzałbym te cele. Druga taka okazja już mi się nie nadarzy.

Arabella zawahała się.

- To nie jest bezpieczne, Gervaise. W ciągu ostatnich dziesięciu lat nieraz widziałam, jak kamienie kruszyły się i spadały. Jeden omal mnie nie zabił. Wyprostował się, dumnie wypinając pierś.

- Nigdy nie ośmieliłbym się prosić, pani, byś dla mnie narażała się na niebezpieczeństwo. Nalegam więc, by pozostała pani tutaj, w bezpiecznym miejscu. Sam obejrzę te stare sale. -W jego głosie zadźwięczał męski, rozkazujący ton.

Tam do licha! - pomyślała. Przecież nie mogła puścić go samego, mimo że się tak puszył i chełpił.

No dobrze, niech tak będzie. Chodźmy. Mył lak wyraźnie zadowolony, że aż ją to zdziwiło.

- Oczywiście, będzie, jak pani zechce, Arabello. To pani tu rządzi. - Skłonił się przed nią wytwornic i cofnął się o krok.

- Proszę iść za mną, Gervaise, i trzymać się blisko mnie -wydała przez ramię polecenie i ruszyła w dół.

Po drodze omijała potężne kamienie. Większe głązy zostały odsunięte na bok, tak że utworzyło się dość długie przejście. W niektórych miejscach sklepienie było lak cienkie, że przez dziury wpadały do środka nikle promyki światła, rozjaśniające nieco ciemności. Skręciła w miejscu, gdzie pokrzywione kamienne belki ujmowały schody wiodące w dół do niższych sal. Zajrzała do środka.

- Zapomnieliśmy wziąć świece, a jest za ciemno, żeby cokolwiek zobaczyć. Przykro mi, panie. Teraz nareszcie będzie mogła się go pozbyć. Chciała znaleźć Justina. Chciała całować się z nim aż do utraty tchu. Chciała zapytać go, kiedy wreszcie dotarła do niego prawda, kiedy wreszcie pojął, że go nie zdradziła, kiedy...

Francuz wyciągnął dwie świece i krzesiwo z kieszonki kamizelki.

- Voila, droga Arabello. Jak pani widzi, przygotowałem się do naszej wyprawy.

Nie mogła w to uwierzyć. Chyba ktoś rzucił na nią przekleństwo. Wzięła od niego świecę i zapalili obydwie.

- Na dole ciemności są wręcz nieprzeniknione. Uważaj, panie, schodząc, i idź wolno.

Ostrożnie zeszli w dół po wyszczerbionych kamiennych schodach i znaleźli się w podziemnym korytarzu. Poza migoczącymi płomykami ciemność była całkowita. Arabella życzyła w duchu swemu towarzyszowi, żeby spadł i skręcił kark.

- Uważaj, gdzie stawiasz nogi, panie - rzekła jednak. Jej głos zabrzmiał niesamowicie. Zatrzymała się na chwilę i przytrzymała świecę nad głową.

- Spójrz, panie, tutaj. - Wskazała ściany. - Zawsze są lepkie od wilgoci. Czy to nie dziwne, że tak się dzieje, gdy nad nami jasno świeci słońce?

Gervaise posłusznie podszedł do muru i przesunął palcami po nierównej, mokrej powierzchni.

- To fascynujące. A gdzie są cele mnichów, Arabello?

Dziwne, ale sprawiał wrażenie roztargnionego i zniecierpliwionego, jakby już miał dość wyprawy. A przecież to był jego pomysł, żeby wejść w podziemia ruin. Nawet przyniósł ze sobą te przeklęte świece. Gdzie się podział jego dotychczasowy zapal?

Korytarz rozgałęzia się z lewej strony, tuż przed nami. Przejście z prawej strony zostało zasypane już dawno temu. Niestety, cele są puste. Nie ma tam zbyt wiele do oglądania.

- Nie szkodzi - rzekł, idąc za nią. - Najważniejsza jest niesamowita atmosfera tego miejsca, pełen grozy romantyzm. To takie niezwykle przeżycie.

Korytarz skończył się nagle i Arabella podniosła świecę.

- To jedyny korytarz, jaki się zachował. Wejścia do cel znajdują się wzdłuż ściany po lewej stronie.

Wsunęła się przez wąski otwór do pierwszej celi.

- Nie opieraj się, panie, o framugę. Jak widzisz, wiele kamieni jest obluzowanych i dębowe belki mogą nie wytrzymać ich ciężaru.

Stali obok siebie w niewielkim kamiennym pomieszczeniu. Świece rzucały drżące

cienie na zawilgocone ściany. Powietrze było duszne i zatęchłe.

- Siedemset lat temu może było tu przyjemniej. - Arabella pochyliła się i przesunęła dłonią po miałkim piasku pokrywającym posadzkę.

- Chętnie obejrzałbym inne cele - rzekł Gervaise, ruszając w stronę wyjścia. - Proszę tu zostać, Arabello, zaraz wrócę.

Skinęła głową, całkiem zadowolona z tego pomysłu. Przynajmniej będzie miała chwilę spokoju, a zupełnie nie przeszkadzało jej, że zostanie sama. Płomyk świecy Gervaise'a przez chwilę migotał w korytarzu, a potem znikł.

Rozejrzała się po celi, przypominając sobie, jak wielka się jej wydawała, kiedy była małą dziewczynką. Wyobraziła sobie surową drewnianą prycę przy jednej ścianie i mały stoliczek przy drugiej. Z całą pewnością nie zmieściłoby się tu nic więcej.

Nagle usłyszała głośnie, głuche stuknięcie nad głową, tuż powyżej dębowych belek ujmujących otwór drzwi. Ścisnęła mocniej świecę w rękę i ruszyła do przodu, aby po chwili gwałtownie odskoczyć w tył, kiedy kamienie znad drzwi potoczyły się w jej stronę.

Chciała krzyknąć i nie mogła wydać z siebie głosu. O Boże, jakaż głupia była, że przyprowadziła go tutaj! Przecież wiedziała, że to niebezpieczne.

- Gervaise? Gdzie pan jest? Czy nic się panu nie stało? Odpowiedziała jej głucha cisza.

Cisza nie trwała długo. Poleciało więcej kamieni, które tym razem przyturlały się znacznie bliżej. Arabella patrzyła z przerażeniem, jak coraz większe głązy odpadają od ścian, rozbijają się na podłodze, blokują przejście, wznecają kurz i pył.

Krzyknęła, upadając do tyłu. Zakrztusiła się, pył drażnił ją w nosie, oczy piekły od piasku i kurzu wirującego dookoła. Świeca zachwiała się i przygasła. Arabella co prędzej osłoniła dłonią bezcenny płomyk. Kamień uderzył ją w ramię. Krzyknęła, bardziej z zaskoczenia niż z bólu. Pobiegła w kąt i skuliła się przy ścianie, z kolanami podciągniętymi pod brodę.

Mury dookoła zaczęły się trząść. Zamknęła oczy w oczekiwaniu na ból.

Wiedziała, że niedługo nastąpi koniec. Sama była sobie winna. Och, jakże była nierozważna! Ale Justin, nie chciała opuszczać Justina. Dobry Boże, przecież miała zaledwie osiemnaście lat. Nie chciała umierać. Załkała głośno, do oczu napłynęły palące łzy. Wtedy nagle oprzytomniała. Głupia, po tysiackroć głupia, a teraz jeszcze w dodatku płacze jak tchórz. Wzięła się w garść. Uniosła świecę jak najwyżej. W mdłym świetle ujrzała, że przeciwległa ściana wali się z hukiem. Jeszcze więcej kamieni i gruzu poleciało w jej stronę. Mocno zacisnęła powieki, chroniąc oczy przed unoszącym się w powietrzu pyłem, i odwróciła twarz do ściany.

Dębowa belka na górze wydała ostatni jęk i zapadła cisza. Arabella podniosła głowę i stwierdziła ze zdumieniem, że jeszcze żyje. Znów uniosła wysoko świecę. Stłumiła szloch. Żywa, to prawda, ale pogrzebana żywcem pośród gruzów.

Poderwała się na nogi i krzyknęła głośno:

- Gervaise? Czy wszystko w porządku? Gdzie pan jest?!

Czekała nieskończenie długą chwilę, aż wreszcie dobiegł ją zza potężnego stosu kamieni stłumiony głos:

- Arabello? To pani? Bogu dzięki, że pani żyje! Czy jest pani bezpieczna? Bezpieczna? Czy on do reszty stracił rozum? A jednak poczuła się znacznie lepiej, słysząc, że nie jest sama.

- Nic mi się nie stało. Poleciało sporo kamieni i straszny kurz wisi w powietrzu, ale jestem cała i zdrowa.

Jego głos zabrzmiał teraz wyraźniej. Gervaise nabrał większej pewności siebie.

- Proszę się nie martwić, Arabello. Korytarz jest cały. Jak najszybciej sprowadzę

pomoc. Proszę być dobrej myśli. Niedługo wrócę.

Sprowadzi Justina. Bogu dzięki, że korytarz się nie zawalił. Pomyślała o mężu i natychmiast się uspokoiła. Musi uzbroić się w cierpliwość. Otarła ręką czoło i ujrzała w migotliwym świetle świecy ślady krwi. Jakie to dziwne - pomyślała przecież nie czuje żadnego bólu. Tymczasem okazało się, że spadający kamień przeciął jej skórę na głowie i teraz włosy ma zlepione krwią. Ale lepsze to, niż gdyby miała jej lecieć z nosa, jak słabowitej panience. Roześmiała się. Tak lepiej. Przyjdzie Justin. Wszystko będzie dobrze.

Cisza ciążyła niezmiernie. Minuty rozciągały się w nieskończoność. Arabella wolno podpełzła na środek małej celi. Zapiaszczona podłoga usiana była kawałkami kamienia i zaprawy, a każdy z nich zdawał się leżeć tak, by najostrejszą krawędzią ranić dłonie i kolana. Zacisnęła zęby, czując ostry ból. Ostrożnie oczyściła z gruzu niewielką przestrzeń dookoła siebie i usiadła. Uniosła świecę wysoko nad głową i rozejrzała się. Przejście wyglądało tak, jakby jakiś olbrzym nawrzucał kamieni, pozostawiając jedynie niewielką przestrzeń na samej górze. Przypomniała sobie odgłos walącego się muru, który rozległ się obok, i ostrożnie oświetliła to miejsce.

Oddech zamarł jej w piersi, a potem wyrwał się ostrym spazmem. Krzyknęła głośno i przenikliwie, a krzyk ten echem powrócił do niej w ułamku sekundy. Spośród zwałonych kamieni wyciągała się w jej stronę, jak piekielny znak śmierci, koścista ręka. Upiorne palce niemal dotykały fałd jej sukni. Wycofała się spieszenie na czworakach i zamknęła oczy, tłumiąc krzyk. Oczyma wyobraźni zobaczyła obraz mnicha w burym habicie okrywającym szczelnie jego ciało, z kapturem nasuniętym na głowę.

Zmusiła się do otwarcia oczu i spojrzała raz jeszcze na groteskowi! .kulone palce. Wolno podniosła świecę i pokonując dławiący strach, zajrzała do dziury powstałej w wyniku zawalenia się ściany. Wyciągnięte ramię kończyło się z drugiej strony pozostałą częścią szkieletu. Kościotrup leżał na boku, odwrócony do niej tyłem, ale z głową odkręconą w jej stronę. Puste oczodoły patrzyły prosto na nią. Połamane zęby sterczały z rozwartych ust. Na szczycie nagiej czaszki tkwiła przekrzywiona na bok peruka.

Arabella zadrżała, jej ramiona pokryły się gęsią skórą. Szczątki martwego mnicha byłyby daleko mniej przerażające. Poczuła upiorny chłód, bezduszny, zimny podmuch śmierci.

Przez dłuższą chwilę w ciszy walczyła sama ze sobą starając się zdobyć na odwagę. Żeby dowieść sobie, iż nie jest tchórzem, wyciągnęła rękę i dotknęła brudnego, częściowo zjedzonego przez robaki aksamitnego rękawa, okrywającego ramię szkieletu. Jakie dziwne - pomyślała - że nadal jest taki miękki w dotyku! Przyjrzała się bliżej upiornemu znalezisku.

Był to szkielet mężczyzny ubranego w ciemnozielony żakiet i aksamitne, dopasowane spodnie do kolan. Pamiętała takie spodnie z czasów dzieciństwa. Wtedy ojciec ubierał się wedle takiej mody. Zatem człowiek ten nie mógł znaleźć się w kamiennym grobie wcześniej niż jakieś dwadzieścia lat temu. Pochyliła się niżej i ujrzała wielką dziurę w piersi kościotrupa. Przynajmniej wiadomo, jak zginął. I przynajmniej był martwy, zanim go tu pochowano.

Wiele wysiłku kosztowało Arabellę wsunięcie ręki do kieszeni żakietu. Może człowiek ten będzie miał jakieś dokumenty czy papiery, które pomogą ustalić, kim był. Kieszenie były puste. Odetchnęła głęboko i z nie mniejszą odrazą wsunęła rękę do kieszeni spodni. Palce zamknęły się na małym kwadracie złożonego papieru. Wolno wyciągnęła go i usiadła na piętach.

Rozłożyła papier i zobaczyła, że to list. Atrament wyblakł już ze starości, toteż musiała trzymać świecę niebezpiecznie blisko żółkłych brzegów kartki. Udało się jej odczytać datę - 1789 rok. Miesiąc stał się nieczytelny przez te wszystkie lata. Spojrzała na treść listu i omal się nie rozplakała ze złości, gdyż napisany był po francusku. Z denerwującą powolnością przetłumaczyła list słowo po słowie.

Mój Ukochany Charlesie, mimo że on wie o rosnących niepokojach, a nawet powstaniu motłochu przeciwko nam, zmusza mnie do wyjazdu. Chce zatrzymać dziecko przy sobie, żeby mieć pewność, iż powrócę do Anglii. Wiesz, jest wściekły z powodu tego, co nazywa zdradą mojej rodziny. Domaga się reszty obiecanego posągu. Najdroższy mój, nie smuć się. ponieważ mam plan, który na zawsze uwolni nas od niego. Kiedy będę już we Francji, przyjadę do chateau...

Choć Arabella bardzo się starała, nic mogła odcyfrować kilku następnych linijek. Rozmazały się w niewyraźne kształty. Ciekawe, co to za Charles. A kim była autorka listu? Arabella pokręciła głową i opuściła nieczytelne linijki.

Nasz maleńki Gervaise nie może uciec z nami. Nauczyłam się już dzielnie znosić ból rozstania. Przynajmniej będzie bezpieczny u mojego brata. Josette wyśle ten ostatni już list do Ciebie. Wkrótce, Ukochany, będziemy znowu razem. Wierzę głęboko, że uda się nam uciec od niego i że uratujemy Elsbeth. Będziemy bogaci, mój Najdroższy, bogaci dzięki jego chciwości. Czeka nas nowe życie i wolność. W Bogu cała nadzieja i w Tobie

Magdalena

List wysunął się z palców Arabelli. Miała dziwne uczucie, jakby sama Magdalena rozplatała nagle pogmatwane, niejasne i bolesne nitki swego krótkiego życia. Ten mężczyzna, Charles, to był jej kochanek, a Gervaise był ich dzieckiem. Nie żaden hrabia de Trecassis, ale

zwykły bękart. Arabella aż zachwiała się pod wpływem następnej myśli. Magdalena była także matką Elsbeth. Dobry Boże, a zatem Elsbeth musi być jego przyrodnią siostrą! Czy on o tym wie? Z pewnością nie, nawet on nie mógłby być aż tak zły i podły.

Oczywiście podobieństwo między nimi jest uderzające, ale teraz Arabella nie widziała już w nim zwykłej zbieżności rodzinnych cech u dwojga kuzynów, lecz odziedziczone po tych samych rodzicach cechy brata i siostry.

Nieszczęsna Elsbeth! Dobry Boże, za wszelką cenę trzeba ją teraz ochronić!

Elsbeth nic może się dowiedzieć, że ofiarowała swoją pierwszą dziewczęcą, miłość własnemu bratu. To by ją załamało Arabella aż wzdrygnęła się, gdy dotarła do niej cała prawda. Pierwsza żona ojca nie dochowała mu wierności. Urodziła dziecko leszcze przed ich ślubem. Czy w takim razie nie oznacza to, że de Trecassisowie zapłacili ojcu olbrzymią sumę, żeby ożenił się z Magdaleną i uratował ich przed skandalem? Spojrzała ponownie na list. Gdyby tylko mogła odcyfrować te pożółkłe, zamazane linijki! Przeczytała jeszcze raz: Będziemy bogaci, mój Najdroższy, bogaci dzięki jego chciwości.

Siedziała przez dłuższą chwilę bez ruchu, starając się uporządkować sobie w głowie wszystko, czego się dowiedziała, i to, czego jedynie mogła się domyślać. Spojrzała znów na szkielec, na wielką dziurę po kuli ziejącą w piersi. Przypomniała sobie, jak kategorycznie ojciec zakazał jej chodzić w ruiny. Czy tylko dlatego, że bał się o jej bezpieczeństwo? Nie. Nie tylko.

To ojciec musiał zabić tego mężczyznę, Charlesa. Honorowy pojedynek...

Tak, zapewne pojedynkowali się. Ojciec nie był mordercą, to nie wchodziło w rachubę.

Nagle przyszło jej na myśl, że Magdalena umarła nagle, i to zaraz po powrocie z Francji. Aż krew ścięła się jej w żyłach. Spazmatyczny jęk wyrwał się ze ściśniętej strachem krtani.

- Nie, Boże, proszę: nie. Nie zabił i jej. Nie zrobiłby tego. Nie, proszę. Tymczasem wyblakłe, namiętne słowa napisane tak dawno temu mówiły same za siebie aż nadto wyraźnie. Nienawiść, ból, cierpienie przebijały z każdego zdania. Jedyne, o czym teraz Arabella myślała, to żeby za wszelką cenę chronić pamięć i dobre imię ojca. Postanowiła zniszczyć przekłętą list. Pochwyciła go i drżącymi palcami przybliżyła do płomienia świecy. Nie wiedziała dokładnie, co ją w końcu powstrzymało, ale jednak ostatecznie złożyła ostrożnie papier i wsunęła za cholewkę buta. Świeca paliła się coraz słabiej. To już nie potrwa długo. Gervaise obiecał, że sprowadzi pomoc. Oszust i kłamca. Przypomniał się jej dziwny, głuchy dźwięk, jaki usłyszała na moment przedtem, nim zaczęły sypać się kamienie. Czyżby

specjalnie ją tu uwięził? Jeżeli tak, to czemu? Czego, na miłość boską, chciał?

Świeca zamigotała i zgasła. Arabella zaczęła cichutko łkać, pogrążona w ciemnościach, gdzie jedynym towarzyszem był szkielet człowieka, który dawno temu zdradził jej ojca.

Gervaise gwałtownie otworzył drzwi wejściowe, wpadł do wielkiego hallu i krzyknął:

- Crupper, szybko, sprowadźcie jego lordowską mość! Jej lordowska mość została uwięziona w podziemiach ruin opactwa. Ściana runęła. Szybko, człowieku, zanim będzie za późno.

Dyszał ciężko po szaleńczym biegu, z trudem łapiąc oddech. Co ten Francuz powiedział?

- Jej lordowska mość? Uwięziona? - powtórzył lokaj wolno, patrząc na cudzoziemca, którego wyjazdu tak gorąco sobie życzył.

- Do diabła, człowieku, pośpiesz się. Kamienie mogą się posypać w każdej chwili. Może już nie żyje. Prędszej, sprowadź hrabiego. Ruszże się.

W tym momencie u szczytu schodów pojawił się hrabia.

- Co to ma znaczyć, że Arabella jest uwięziona? W ruinach opactwa, mówisz, panie? - W jednej chwili był na dole.

- Oglądaliśmy podziemia ruin i cele mnichów. Jedna z nich zawałiła się i uwięziła pańską żonę. To wszystko moja wina. Och, błagam, milordzie, śpieszmy jej na ratunek.

- Czy upewniłeś się, panie, że ona jeszcze żyje? - Głos hrabiego był zimny i twardy jak granit.

- Tak, wołałem do niej i odpowiedziała mi. Nic się jej nie stało, ale boję się, że kamienie mogą się jeszcze posypać. Tam jest naprawdę niebezpiecznie.

Hrabia odrzucił głowę do tyłu i krzyknął co sił w płucach:

- Giles!

Kiedy nadbiegł drugi lokaj, hrabia rozkazał:

- Szybko, wezwij Jamesa i pozostałych stajennych. Powiedz, żeby zabrali łopaty i kilofy. Jej lordowska mość jest uwięziona w podziemiach ruin starego opactwa. Pędź co tchu. Spotkamy się na miejscu.

Odwrócił się do Cruppera:

- Zawiadam lady Annę i Elsbeth. Będę w minach. - Już miał wyjść w ślad za Gilesem, lecz zatrzymał się niespodziewanie i poszukał wzrokiem Gervaise'a, który tymczasem chyłkiem zmierzał w stronę schodów.

- *Monsieur?* - Głos hrabiego zabrzmiał pozornie spokojnie, jednak ciął powietrze z

ostrością rapiera.

Gervaise obrócił się na pięcie i stanął przed chłodnym, zastygłym nieruchomo obliczem hrabiego.

- A może zechcesz, panie, przyłączyć się do nas i pomóc w ratowaniu mojej żony? Czyż nie rzekłeś sam przed chwilą, że to była twoja wina? Czy uważasz, że ta sprawa więcej cię nie dotyczy?

Głos hrabiego, choć spokojny, nappełnił de Trecassisa najwyższym przerażeniem.

- Ja... oczywiście, milordzie. Chciałem tylko na jedną chwileczkę udać się do mego pokoju. - Do diabła, co robić w takiej sytuacji? - Proszę, milordzie, musisz się śpieszyć. Ja dołączę za chwilę.

Hrabia rzekł bardzo cicho:

- Niestety, *monsieur*. Nie dołączy pan za chwilę. Nie pójdzie pan do swego pokoju. Proszę udać się ze mną. Teraz i ani chwili później.

Co robić? Gervaise zaklął soczyście w myślach. Tyle zachodu i niczego nie osiągnął. Bardzo trudno przyszło mu powściągnąć złość, ale nie miał wyjścia.

- Jak sobie życzysz, milordzie - rzekł, wzruszając ramionami.

Hrabia odwrócił się do zdumionego tą sceną Cruppera i rzekł donośnym głosem:

- Zostaniesz tutaj, Crupper, i będziesz pilnować domu. Nikt, powtarzam: nikt nie ma prawa wejść dalej niż do hallu podczas mojej nieobecności. Czy to jasne?

Starszy człowiek poczuł się lekko urażony. Przecież wyraźnie słyszał słowa hrabiego i naturalnie zrozumiał doskonale, choć nie pojmował, co się za nimi kryje. Ale tego właśnie od niego wymagano. Wystarczyło, by wypełniał rozkazy.

Tak, milordzie. Nie ruszę się stąd ani na krok. Nikt tu nie wejdzie. Hrabia cofnął się i przepuścił Gervaise'a przodem.

Arabella podciągnęła nogi pod brodę i objęła je mocno ramionami, próbując się rozgrzać. Kurz i piasek osiadły wreszcie, więc znacznie łatwiej się jej oddychało. Starła się nie myśleć o szkielecie leżącym zaledwie na wyciągnięcie ręki i o straszliwej prawdzie, jaką przypadkiem odkryła Justin powinien wkrótce się zjawić ~ pomyślała ponuro - jeśli oczywiście Gervaise chce, by ją uratowano. Ale co by osiągnął, zostawiając ją tutaj? A co z Justinem? Na pewno przyjdzie po nią. W to nie mogła wątpić.

Do oczu napłynęły jej kłujące łzy. Zmieszane z brudem paliły jak ogień. Uniosła rąbek spódnicy i wytarła policzki.

Nagle usłyszała głosy dochodzące zza zwałonej ściany. Podniosła głowę i wpatrzyła się w ciemności.

- Arabello, słyszysz mnie?

- Justin! - Zerwała się na równe nogi, zapominając o siniakach i skaleczeniach.

- Wiedziałam, że przyjdiesz! Jestem tu uwięziona. Proszę cię, błagam, wydostań mnie stąd.

Znowu usłyszała głos męża, spokojny i dźwięczny:

- Słuchaj uważnie, Bello. Przejdź w najdalszy kąt celi i osłoń głowę ramionami. Uważaj na belki nad drzwiami. Są obluzowane. Chcę, byś stała jak najdalej od nich, gdyż mogą w każdej chwili runąć.

- Justinie! Zacznę odrzucać kamienie z mojej strony. Nic mi się nie stało, a jak wiesz, jestem silna. Mogę pomóc...

Zdawało jej się, że słyszy stłumiony chichot. Głos, który dotarł do niej chwilę później, był jednak mocno rozsierzony.

- Do licha, rób, co ci każę. Bardzo się cieszę, że nic ci się nie stało, i wolałbym cieszyć się tym faktem jak najdłużej. A teraz przesun się w drugi koniec celi. Masz trzymać się z dala od wejścia.

Po omacku odsunęła się pod ścianę, kucnęła i wtuliła głowę w ramiona.

Wydawało się jej, że przy każdym poruszeniu kamienia mury i sklepienie dygoczą i jęczą. Ona sama drżała przy każdym uderzeniu. Po chwili ujrzała najpiękniejszy widok, jaki mogła sobie wymarzyć. Justin powiększył otwór na tyle, iż mógł przezeń precyzyjnie swe potężne ciało.

Ktoś podał mu świecę. Mała celka w jednej chwili została zalana światłem.

Światło i życie - pomyślała. A więc żyła. Hrabia zawołał przez ramię:

- James, cofnij się! Wyniosę jej lordowską mość. Arabella wolno podniosła się i ruszyła prosto w objęcia męża. Przycisnęła twarz do jego ramienia.

- Cieszę się, że przyszedłeś i uwolniłeś mnie - rzekła. Podniosła głowę. - Jesteś najpiękniejszym mężczyzną na całym świecie. Przedtem uważałam cię tylko za najprzystojniejszego człowieka w Anglii, ale nic. Na świecie, milordzie, na całym świecie.

- Naprawdę? Miałaś rację, że nie wątpiłaś w to, iż przyjdę po ciebie. Kto by się ze mną kłócił? Kto by na mnie wrzeszczał? Kto by całował mnie tak słodko?

Znów ukryła twarz na jego ramieniu.

- Wierzysz mi - szepnęła gorączkowo. - Nareszcie mi wierzysz. Już teraz wiesz, że on nigdy nie był moim kochankiem.

Milczał przez chwilę. Poczowała, że jego ciało zeszytywniało, i nagle zachciało się jej płakać.

- Nieważne - rzekł sucho.

To było ważne. Stało między nimi jak tamte zawałone drzwi do celi.

- Ale przyszedłeś po mnie i dziękuję ci za to.

Potańczał pieszczotliwie podbródkiem o jej zakurzone włosy. Podniósł głowę.

- Chyba musimy porozmawiać, ty i ja. Chodźmy stąd. Nie mam zamiaru narażać dłużej twego cennego życia.

- Chwileczkę, Justinie. Nie byłam tu sama. - Wzięła od niego świecę i ostrożnie ją podniosła, tak że jej blask wydobył z mroku szkielet.

Justin nie wierzył własnym oczom.

- Dobry Boże, ależ to nie do wiary! - Spojrzał na nią, pełen podziwu dla jej spokoju. Przykląkł i szybko obejrzał szkielet. Po chwili wstał, otrzepując spodnie. - Najpierw wyjdźmy stąd, a potem dopilnuję, żeby ten biedak miał przyzwoity pogrzeb. Pewnie nie wiesz, kto to może być? Nie, no bo skąd? Przytrzymał świecę, oświetlając drogę z więzienia na wolność. Pomyślała o liście uwierającym stopę pod cholewką buta. Boleśnie odczuwała ciężar niechcianej, obciążającej tyle osób wiedzy. Nad wieloma sprawami należało się poważnie zastanowić. W grę wchodziło dobre imię ojca, no i oczywiście Elsbeth. Postanowiła, że lepiej będzie milczeć. Nikt nie może się dowiedzieć, co odkryła, nawet Justin, dopóki nie będzie miała wystarczająco wiele czasu, żeby wszystko dokładnie przemyśleć i uporządkować sobie w głowie.

Wreszcie wyszła na jasne światło dnia. Rozejrzała się dookoła, po raz pierwszy w ciągu swych osiemnastu lat zdając sobie sprawę, jak cenną rzeczą jest życie. Z rozkoszą powitała ciepło słońca grzejącego przyjemnie twarz.

Jak małe dziecko obudzone z koszmaru podeszła do matki i zarzuciła jej rękę na szyję.

- Moja kochana dziewczynka - rzekła lady Anna, głaszcząc zapyłone, posklejane włosy córki. - Moje najdroższe dziecko, już wszystko dobrze. Jesteś teraz bezpieczna. Nareszcie, lak się martwiliśmy. O Boże, rozcięłaś sobie głowę, ale nie szkodzi. Zajmiemy się tym.

Wbrew temu, co mówiła matka, nie byki wcale bezpieczna. Zagrożenie mogło przyjść ze strony pana de Trecassis albo za sprawą listu ukrytego w bucie. Arabella miała złowróżbne przeczucie, że bezpieczna nie będzie jeszcze bardzo długo.

- Strasznie jesteś brudna i potargana - rzekł hrabia, obejmując ramiona żony.

Ze zdumieniem odkrył, że boi się wypuścić ją z objęć. - Niewiele brakowało - dodał, przyciągając ją do siebie i trzymając mocno. - Naprawdę niewiele. Nie zrobisz mi tego więcej, obiecaj, Arabello.

Skinęła przytuloną do jego ramienia głową.

- To było okropne. Myślałam, że nigdy już nie zobaczę słońca ani tego, jak pięknie oświetla nasz dom późnym popołudniem. - Umilkła na chwilę, pocierając nos o miękki materiał jego fraka. - A najbardziej bałam się, że nigdy więcej nie zobaczę ciebie.

- Aha - odparł. Podniósł palcami jej brodę, długo patrzył w oczy i wreszcie pocałował je, bardzo delikatnie. - Obojgu nam przyda się kąpiel. Poczekaj, muszę obejrzeć to skaleczenie na twojej głowie.

Bogu dzięki, kiedy odgarnął jej włosy do tyłu, okazało się, że ranka nie jest wcale taka groźna, jak się to z początku wydawało. Troszkę krwawiła, jak to zwykle rany na głowie.

- Dobrze. Najpierw kąpiel. A potem chciałbym z tobą porozmawiać.

W tym momencie podjęła decyzję. Justin nadal jej nie wierzył, ale mimo to troszczył się o nią i wyraźnie mu na niej zależało. W tej sytuacji winna mu była prawdę.

- I ja też chciałabym pomówić z tobą. Do licha z konsekwencjami!

Hrabia uśmiechnął się do niej, ciekaw, co też mu takiego powie, i zastanawiając się, czy będzie go prosić o przebaczenie. Przypomniawszy sobie słowa, jakie usłyszał od niej w celi pod ziemią. Myślała, że jej uwierzył. Czy o to jej chodziło? Nie, chyba nie. Pewnie zdecydowała się wreszcie przyznać do wszystkiego. Czyż sama nie powiedziała przed chwilą, że chce z nim porozmawiać? Ach, mieć to już wreszcie raz na zawsze za sobą! A poza tym było więcej problemów, o w i dc więcej. Przede wszystkim Gervaise i to, co ten przekłety łajdak zrobił.

- Grace przygotowuje ci kąpiel. Chyba o to sarno poproszę Grubbsa. - Odwrócił się niechętnie, gdyż nie miał najmniejszej ochoty spuszczać jej z oka choćby na moment już miał wyjść z sypialni, gdy niespodziewanie odezwała się:

- Justinie?

- Tak?

Głos miała słodki jak miód.

- Dziękuję ci. Uratowałeś mnie. Wiedziałam, że przyjdziesz, i przyszedłeś.

- Zrobiłabyś to samo dla mnie, czyż nie tak?

- Tak, zrobiłabym, ale wiesz, milordzie, coś mi się zdaje, że działałabym znacznie szybciej. - Przybrała dumną pozę. W brudnej, podartej sukni, z pozlepianymi włosami i podrapanymi do krwi dłońmi, miało to szczególny urok. - A może jednak nie? Zastanowiwszy się chwilę, doszłam do wniosku, że chętnie zostawiłabym cię w tym grobie równie długo, jak ty mnie. Nie mógł powstrzymać się, żeby się nie roześmiać.

- Dobrze mówisz - powiedział. - I proszę cię, nigdy się nie zmieniaj.

Po tych słowach wyszedł.

Niestety, zabrakło czasu, żeby porozmawiać przed kolacją.

Jak należało się tego spodziewać, rozmowa przy stole wkrótce zesłała na zagadkę tajemniczego szkieletu znalezionej za zwaloną ścianą celi.

- I nie było żadnej wskazówki co do tożsamości tego biedaka? - spytała lady Anna hrabiego.

- Niestety, niczego przy nim nie znaleźliśmy. Po stroju sądząc, zaryzykowałbym twierdzenie, że zginął jakieś dwadzieścia lat temu. A jak, dlaczego, czy też z czyjej ręki, pozostaje zagadką. - Hrabia wzruszył ramionami i z apetytem nabił na widelec kawałek smażonej polędwiczki wieprzowej.

Arabella zagryzła usta. Uwielbiała wieprzowinę, ale dziś wieczorem nie mogła na nią patrzeć. Dobry Boże, przecież ona ma odpowiedzi na te wszystkie pytania w postaci małej, złożonej we czworo kartki papieru. Doskonale mogła sobie wyobrazić wstrząs i przerażenie na ich twarzach, gdyby powiedziała, że to ojciec zabił tego człowieka... kochanka Magdaleny... mężczyznę o imieniu Charles. A Gervaise... jak on by zareagował, gdyby poznał prawdę? A może Gervaise już wiedział! Spuściła głowę i bezmyślnie przesuwiała widelcem zielone fasolki na talerzu. Nade wszystko pragnęła zostać teraz sama, z dala od wszystkich, i pomyśleć spokojnie. Sama musi podjąć decyzję, co robić dalej.

- Kochana Arabello, jakie to straszne, że zostałam uwięziona w podziemiach z kościotrupem! Jesteś taka dzielna. Mój Boże, ja bym na twoim miejscu umarła ze strachu. - Elsbeth wzdrygnęła się, aż ziarnko fasoli spadło jej z widelca.

- Nie, nie umarłabyś - odparła Arabella z mocą, jakby chciała przelać na siostrę całą swoją wiarę w nią. - Znalazłabyś szkielet, zbladłabyś jak płótno, zupełnie jak ja... A potem byś się chwilę zastanowiła i podeszła do tego bardziej praktycznie.

- Naprawdę? - Elsbeth wpatrywała się z przejęciem w swój talerz. Podniosła głowę. - Naprawdę myślisz, że byłabym równie odważna jak ty?

- Nie mam co do tego cienia wątpliwości i ty też nie powinnaś w to wątpić. Ale

oczywiście nie życzę ci, abyś kiedykolwiek została wystawiona na taką próbę.

Doktor Brany on spoglądał to na jedną, to na drugą siostrę. Gdyby Arabella mogła przekazać Elsbeth swoją siłę, zrobiłaby to w tej sekundzie, teraz, przy kolacji. Co tu się działo? Tyle zaszło zmian. Pokręcił w zamyśleniu głową. Ach, później spyta Annę, o co chodzi. Powiedział do Arabelli:

- Obie z Elsbeth macie końskie zdrowie, ale tobie, moja droga hrabino, przydałoby się dokładniejsze badanie. Chciałbym się upewnić, że nic ci się nie stało.

Arabella zmusiła się do śmiechu. Co takiego? I może mam w dodatku paść ofiarą któregoś z leczniczych napojów szanownego doktora? Nie, wielkie dzięki. Mamo, podaj doktorowi duszoną cebulę. To odwróci jego uwagę od mojej osoby.

Doktor Branyon postanowił szukać pomocy u hrabiego.

- Justinie, czy nie mógłbyś przemówić swojej żonie do rozsądku? Justin uśmiechnął się tylko i potrząsnął głową.

- Pozwól jej dumnie obnosić siniaki i guzy, Paul. Jestem przekonany, że nic się jej nie stało. Ale mogę cię zapewnić, że nie spuszcze jej z oka dziś wieczorem.

- Winienem pani moje najszczerze przeprosiny, droga Arabello - rzekł pan de Trecassis, pochylając się w jej stronę i gestykułując trzymanym w ręku nożem. To przecież ja niechcący naraziłem cię, pani, na niebezpieczeństwo.

To niewybaczalne, człowiek honoru nie powinien nigdy tak postępować.

Powiedz mi, co mam zrobić. Jakie zadośćuczynienie zmaże mój postępek? Arabella podniosła wzrok na Gervaise'a. Chciała powiedzieć mu, że najlepiej będzie, jeśli odjedzie stąd od razu i nigdy więcej nie wróci. Poza tym, jeśli o nią chodzi, to może się zastrzelić. Albo utopić się w sadzawce. Chciała też zapytać, co on wie i, przede wszystkim, dlaczego tu w ogóle przyjechał. Już przedtem odnosiła niejasne wrażenie, że w melodyjnym głosie Francuza dźwięczy fałsz. Teraz stało się to dla niej oczywiste. W jego ciemnych oczach wcale nie było troski, którą tak wyszukanie wyrażał słowami. Raczej ulga. Czy z tego powodu, że ona nie zginęła w podziemiach? Co tu się dzieje? Jak można się tego dowiedzieć?

Zmusiła się do tego, by posłać mu promienny uśmiech.

- Przyjmuję pańskie przeprosiny, Gervaise. Chemie wybaczę panu, gdyż sama zgodziłam się zejść do podziemi, a zatem wina jest obopólna. - Czy jej odpowiedź brzmiała równie fałszywie jak przeprosiny Francuza? Miała nadzieję, że właśnie tak to odebrał. Łajdak! Nie odważyła się spojrzeć w tym momencie na Justina. Zresztą i tak później dowie się od niego, co myślał, słuchając tej rozmowy.

Lady Anna zabrała głos:

- Najważniejsze jest to, że wszyscy są bezpieczni i że wyszliście bez szwanku.

A teraz ja chciałabym wydać rozkaz. Odtąd żadnego zwiedzania ruin! Pamiętam, jak ojciec wymusił na tobie podobną obietnicę wiele lat temu. Proszę, obiecaj mi raz jeszcze, że więcej tam nie pojedziesz.

Tak pomyślała Arabella. Nic dziwnego, że ojciec wołał, bym trzymała się z dala od ruin. Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości. Bał się tego, co mogłam tam odkryć. Zrobiło się,- jej słabo, ale dzielnie się opanowała i powiedziała:

- Obiecuję i chętnie słowa dotrzymam, mammo.

Doktor Branyon skierował teraz uwagę na Gervaise'a. Zaczynał pogardzać młodym człowiekiem, podobnie jak hrabia, ale z całkiem innych powodów. Obawiał się, że Francuz stanowi zagrożenie dla Anny. Jakie to miało być zagrożenie, tego doktor nie wiedział, ale lękał się o nią, i to bardzo. Nie miał pojęcia, czego Justin dowiedział się na temat pana de Trecassis i jakie miał w związku z tym zamiary. Czy pozwoli Francuzowi tak po prostu wyjechać? Rzekł jak gdyby nigdy nic:

- Rozumiem, *monsieur*, że wkrótce opuszcza pan Evesham Abbey.

Gervaise spojrzął spod zmrużonych powiek na hrabiego i zwracając się do doktora, odparł równie swobodnie:

- Owszem, doktorze. Pewne nie cierpiące zwłoki sprawy nagłą mnie do wyjazdu. Doskonale wypocząłem tu u państwa, ale teraz muszę wracać do Brukseli.

- Cóż, jakiś czas spędził pan za granicą - zauważył doktor Branyon. - Może już pora wracać do domu.

Gervaise spojrzął po kolei na wszystkich obecnych. Wiedział, że hrabia odgadł jego zamiary, kiedy wrócił do pałacu zawiadomić o wypadku Arabelli. Ale hrabia nie mógł wiedzieć, o co dokładnie Gervaise'owi chodziło. To dlatego od razu go nie wypędził. Chciał się najpierw dowiedzieć, a potem ewentualnie go zabić. Cóż, ten piekielnik pewnie wkrótce się dowie. A wtedy nie tylko Gervaise narazi się na jego gniew. Ta myśl wywołała lekki uśmiech na jego ustach.

Arabella pilnie przypatrywała się twarzy Francuza. Gdyby tylko mogła dowiedzieć się, dlaczego w ogóle przyjechał do Evesham Abbey. Tak, to było najważniejsze. Oto klucz do zagadki. Chyba nie był aż tak podły, żeby od razu z góry zaplanować uwiedzenie przyrodniej siostry? Nie, na taką niegodziwość nikt by się nie poważył. Przypadkiem spojrzała na przeciwległy koniec stołu. Aż wstrzymała oddech, gdyż z prawdziwym zaskoczeniem zauważyła gniewne błyski w oczach męża. Szybko skupiła się na małym kawałku wieprzowiny na talerzu. Jakie to głupie z mojej strony! - pomyślała. Justin

obserwował mnie, gdy przyglądałam się Gervaise'owi. Nic wierzy, że jestem niewinna. Nigdy nie uwierzy.

Arabella żałowała szczerze, że nie może teraz ot tak po prostu wyjść w towarzystwie męża. Trzeba by In wytrzymać przez cały wieczór, podczas którego niewypowiedziane kłamstwa będą unosić się w powietrzu jak niezdolny kurz. Jakże nienawidziła podstępów i sekretów!

Wreszcie, pod koniec występu muzycznego Elsbeth, Arabella z wdzięcznością uśmiechnęła się do doktora Branyona, który wstał, ujął jej rękę, pocałował i rzekł:

- A teraz do łóżka, Arabello! I żadnych sprzeciwów. Dygnęła przed nim wdzięcznie.

- Niepodobna, bym nie posłuchała przyszłego papy. Z ochotą zastosuję się do tego polecenia. - Wspięła się na palce i pocałowała go w policzek.

Pogłaskał ją serdecznie po ręce i rzekł do lady Anny:

- Muszę teraz iść, Anno. Ale rano przyjdę i zabiorę cię na spacer.

Arabella już miała zamiar powędrować posłusznie na górę, kiedy przypadkiem dojrzała, że Elsbeth patrzy na Gervaise'a z wyraźnym zmieszaniem. Musiała być dotąd naprawdę ślepa, skoro nie dostrzegła wcześniej, że po siostrze widać wszystko jak na dłoni. Postanowiła z miejsca, iż mimo zmęczenia i tego, że oczy zamykały się jej same, nie zostawi Elsbeth sam na sam z Gervaise'em. Tyle przynajmniej mogła zrobić - rozdzielać ich, dopóki Gervaise nie wyjedzie. Przeszła się bez celu po pokoju, łamiąc sobie głowę, co by tu wymyślić. Hrabia z niemalą uwagą obserwował to dziwne zachowanie, zastanawiając się, o co też, u diabła, jej chodzi. Raz spojrzała na Elsbeth, potem znacznie uważniej na Gervaise'a. Coś dziwnego się tu działo.

Chciał ją mieć tylko dla siebie. Wyłącznie dla siebie. Odezwał się więc zimnym, spokojnym głosem:

- Zgadzam się z Paulem. Najwyższy czas, żebyś udała się spać. Wtedy nagle przyszedł jej do głowy zbawienny pomysł.

- Tak, rzeczywiście powinnam jak najprędzej się położyć. Och, Elsbeth, czy nie poszłabyś ze mną? Bardzo bym chciała, żebyś to właśnie ty utuliła mnie do snu.

Elsbeth była wyraźnie zaskoczona. Akurat myślała o tym, żeby porozmawiać z Gervaise'em, skoro miał wkrótce wyjechać, i zapytać go, co zrobią teraz, kiedy jej macocha wychodzi za mąż za doktora Branyona. Ale przecież do głowy by jej nie przyszło, żeby odmówić siostrze. Zgodziła się chętnie i zaraz wsiadała.

A zatem mówimy wam, panowie, dobranoc - rzekła Arabella. Ujęła mocno małą rączkę Elsbeth i bezceremonialnie pociągnęła siostrę w stronę drzwi.

Przebrana w nocną koszulę i szlafrok, Arabella szczotkowała spływające luźno na plecy czarne włosy, a Elsbeth głośno odliczała sto posunięć szczotki. Kiedy już skończyła, uśmiechnęła się do Elsbeth i pocałowała ją w policzek.

- Dziękuję ci, kochana. Tak się cieszę, że przyszedłaś tu ze mną. Za mało czasu spędzamy razem. Ale wkrótce to się zmieni. Zobaczysz, niedługo wszystko będzie inaczej. A teraz idź spać, Elsbeth. Robi się późno. Widzę, że jesteś zmęczona.

Zastanawiała się nawet, czy nie powinna pójść za Elsbeth i sprawdzić, czy nie spotka się z Gervaise'em. Myśl o tych dwojgu razem mroziła krew w żyłach. Elsbeth ziewnęła i przeciągnęła się jak niewinne dziecko, przyjaźnie nastawione do całego świata.

- Tak, chyba już pójde do siebie. Dziękuję, Bello, że pożyczyłaś mi Grace. Trudno mi sobie poradzić bez Josette. - Drobna twarzyczka zmarszczyła się, jakby Elsbeth miała się rozplakać na wspomnienie starej służącej.

Arabella nie wiedziała, co powiedzieć. Na pewno Elsbeth bardzo brakowało Josette. W końcu staruszka opiekowała się nią od kołyski i była dla dziewczyny jak matka. Pogłaskała pieszczotliwie siostrę po ręce i powiedziała łagodnie:

- Wiem, co czujesz, Elsbeth. Dziękuję, że przyszedłaś ze mną na górę.

Po wyjściu Elsbeth Arabella wsunęła się do łóżka i zdmuchnęła świecę stojącą obok na nocnej szafce. Wiedziała, że Justin niedługo do niej przyjdzie. Tyle mieli sobie do powiedzenia. Ale w tej chwili była sama i mogła spokojnie pomyśleć, uporządkować fakty i półprawdy, które odkryła.

Znała niemal na pamięć treść listu Magdaleny. Przeczytała go kilkakrotnie, zanim zesłała na dół na kolację. A sam list wsunęła do jednego z wieczorowych pantofelków, najlepszego schowka, jaki jej przyszedł do głowy. Nawet Grace nigdy nie zaglądała do butów, co najwyżej odkurzała je miotełką z piórek, a i to nie częściej niż raz na miesiąc.

Nagle usiadła. Boże, ależ ona była głupia! Przecież Josette musiała wiedzieć wszystko. Czyż to nie ona wysłała list Magdaleny do kochanka, do tego Charlesa? Oczywiście, Josette wiedziała, że Gervaise jest synem Magdaleny. Josette... Staruszka nie żyła. Ramiona Arabelli pokryły się gęsią skórą. Śmiertelny upadek ze schodów w środku nocy... wyszła ze swego pokoju bez świecy...

Wróciła myślami do wydarzeń minionego popołudnia. Zawalenie się muru w ramach opactwa nie wyglądało wcale na dzieło przypadku. Ale w takim razie, jeśli Gervaise chciał ją zabić lub zranić, to dlaczego wrócił tak szybko i zawiadomił Justina, aby mąż jak najprędzej ruszył jej na ratunek? Jaki mógł być powód takiego działania? To wszystko nie miało sensu.

Pokręciła z powątpiewaniem głową. Gdzie jest jej mąż? Czowała się, jakby wędrowała

po labiryncie w Hampton Court bez klucza objaśniającego sposób wyjścia. Kluczem do labiryntu był powód, który skłonił Gervaise'a do przybycia do Evesham Abbey.

To oczywiste, że ojciec musiał wiedzieć o istnieniu Gervaise'a, naturalnego syna jego pierwszej żony. Dlatego Gervaise nie pokazywał się tu nigdy za życia ojca. Ale czy było jeszcze coś, o czym ojciec wiedział, a co nakazywało synowi Magdaleny trzymać się z daleka?

Nagle drzwi się otworzyły i do komnaty wszedł hrabia. Ubrany był w stary, ciemnoniebieski brokatowy szlafrok z rękawami przetartymi na łokciach, ten sam, który miał na sobie w ich noc poślubną. Zacisnęła pięści. Przez jej ciało przetoczyła się fala ciepła. Nagle wszystko stało się proste.

Kiedy zbliżył się do łoża, powiedziała:

- Gervaise nigdy nie był moim kochankiem. Tam była Elsbeth, nie ja.

Hrabia stanął w miejscu jak wryty. Ujrzał przed oczami całą scenę tak wyraźnie, jakby wydarzyła się przed godziną. Wszystko było takie oczywiste. Powiedział wolno:

- Słyszałem cię nucać, gdy wychodziłaś ze stodoły w przeddzień naszego ślubu. To było w chwilę potem, jak Gervaise wymknął się stamtąd ukradkiem, rozglądając się dookoła jak złodziej - I na tej podstawie uwierzyłeś, że cię zdradziłam? - Puls miału wyraźnie przyspieszony. Taki drobiazg, a on już ją potępił! Wydał wyrok? Chciała zerwać się i rzucić na niego z pięściami. Jednak leżała spokojnie, czekając. Z trudem przełknęła ślinę.

- Nie, było coś jeszcze. Kiedy wyszłaś, twoja suknia była pomięta, a ty zapinałaś guziki i wygładzałaś ją. Nawet schyliłaś się i zawiązałaś pantofel. Włosy miałaś potargane, pełno w nich było słomy. Wyglądałaś na bardzo zadowoloną z siebie.

Wciąż zmuszała się do milczenia, choć kosztowało ją to wiele wysiłku. Justin usiadł na skraju łoża.

- Nie wiedziałem, co o tym myśleć... Kiedy wyszedł... wyglądał jak ktoś, kto przed chwilą posiadał kobietę. Każdy mężczyzna natychmiast się na tym pozna. Nie było mowy o pomyłce. Byłem absolutnie pewien. Chciałem zabić siebie z rozpacz, ciebie za to, że mnie zdradziłaś. No, a najpierw chciałem skrócić mu ten przeklęty kark.

- I naprawdę nie miałaś żadnych wątpliwości?

- Nie, byłem święcie przekonany, że się stało. Nie chciałem wierzyć, ale mimo to wierzyłem. Nie miałem żadnych wątpliwości. Pragnąłem jedynie umrzeć.

- I od razu odszedłeś stamtąd? Skinął głową.

- Mówisz, że gdybym został kilka minut dłużej, ujrzałbym Elsbeth wychodzącą ze stodoły?

- Tak.

Przesunął palcami po czarnych włosach.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś?

Spojrzała na niego wymownie. No tak, dopiero teraz zdał sobie sprawę z tego, co przed chwilą rzekł, i potrząsnął głową.

- No tak, ty mi przecież powiedziałaś. Ale nie o Elsbeth.

- Broniałam się, jak umiałam, kiedy dowiedziałam się o twoich absurdalnych przypuszczeniach, ale ty i tak nie chciałeś słuchać niczego. Uwierzyłeś w moją winę bez zastrzeżeń, nie wysłuchawszy mnie nawet.

- To prawda - rzekł wolno. - Uwierzyłem w to, co ujrzałem na własne oczy. Nie miałem cienia wątpliwości. Ale... - Wzruszył ramionami. Spojrzał na nią uważnie. - Wiesz, w końcu doszedłem do wniosku, że nie należy obciążać cię całą winą za to, co się stało. Przyszło mi do głowy, że poczułaś się jak w pułapce, ponieważ ojciec zmusił cię do małżeństwa ze mną. Chciałem jedynie, żebyś wyznała mi prawdę... ale oczywiście nie zrobiłaś tego. Kiedy dowiedziałas się o Elsbeth?

- Podczas przejażdżki z Suzanne. Widziała wymianę spojrzeń między nimi. Ona sama poruszyła ten temat. Na początku nie wiedziałam, co o tym myśleć, oczywiście nie wierzyłam jej. W głowie mi się nie mieściło, że Elsbeth... nieśmiała, cicha, dziecinna...

- Nie jest dzieckiem, skoro oddała się Gervaise'owi.

- To prawda. Ale nadal jest niewinna.

- Teraz bronisz jej?

Arabella kiwnęła potakująco. Gdyby powiedziała mu wszystko, o co wic, wtedy wyszłoby na jaw, że ojciec był mordercą. Musi zabrać ze sobą tę tajemnicę do grobu. Justin nigdy nie może się dowiedzieć.

- To moja przyrodnia siostra - rzekła, unosząc dumnie głowę do góry. Wstał, podszedł bliżej i wziął ją w ramiona.

- To nieważne. Najważniejsze, żebyś mi wybaczyła. Dobry Boże, modliłem się, pragnąłem gorąco, byś wyznała swoją zdradę przede mną a ja, jak na wspaniałomyślnego i

szlachetnego dżentelmena przystało, wybaczyłbym ci wszystko. Zasługuję na baty.

- Owszem - odrzekła. - Ale może nie w tej chwili. Jutro chętnie się tym zajmę. Albo lepiej zaczekajmy do następnej kłótni. Zgoda?

Pocałował ją bardzo lekko, bardzo delikatnie. Chciało się jej krzyczeć z radości.

- Naprawdę wierzysz mi teraz? - szepnęła, z ustami przy jego wargach.

- Tak, wierzę. I odtąd zawsze będę ci wierzył. Byłem głupcem. Ślepym głupcem. Przecież już wtedy mogłem dokładnie ci opowiedzieć, co widziałem, i sprawa by się wyjaśniła. Proszę cię, uderz mnie. Mocno. Zasłużyłem na to.

- Nie. Przykro mi, ale nie teraz. Mówiłam już. Przytrzymał jej twarz w dłoniach.

- Jesteś moją żoną. Jeśli tylko mi wybaczysz, zaczniemy wszystko na nowo.

- Wiesz, podoba mi się ten pomysł.

- A więc wybaczasz?

- Muszę. Nie mam wyboru.

- Ta nasza pierwsza noc, Arabello... Byłaś dziewczyną, tak niewinną i szczęśliwą, pełną najgorętszych oczekiwań i nadziei, a ja cię zniewoliłem. Bardzo mi wstyd z tego powodu, bardziej, niż umiem to wyrazić w słowach. Czy dasz mi następną szansę? Czy pozwolisz mi się kochać? Przysięgam ci, że tym razem będzie inaczej.

Przypomniała sobie tę noc, upokorzenie, ból i bezradność.

- To niełatwe - rzekła, ogrzewając ciepłym oddechem jego usta. - Nawet bardzo trudne. Ale kochani cię i nic na to nie mogę poradzić. Tak, Justinie, chcę, żebyś mnie kochał. Teraz.

Pocałował ją znów, i jeszcze raz, ale za drugim razem już nie był wcale taki delikatny.

Kiedy już leżała na plecach, kiedy koszula nocna została ciśnięta na podłogę, a mąż delikatnie pieścił jej piersi i zgrabny brzuch, odezwała się łagodnie:

- Nasze małżeństwo nie zaczęło się zbyt dobrze.

- Nie, ale od tej chwili będzie tak wspaniale, jak tylko to będzie w mojej mocy.

- Głaszcząca ręka zsuwała się coraz niżej. Arabella wygięła biodra i spojrzała na niego rozgorączkowanym wzrokiem. Uśmiechał się do niej, a w jej szarych oczach zobaczył chochliki. - Tak - dodał, całując jej krągłe piersi laki właśnie masz wyraz oczu, kiedy jesteś z siebie zadowolona.

Doprowadził ją do rozkoszy, zanim w nią wszedł. Nie chciał, by czuła najmniejszy choćby strach lub wahanie. Spełnienie okazało się wstrząsające, na jej twarzy pojawił się wyraz niezwykłego zdziwienia. Patrzyła cały czas na niego, nawet gdy jej serce waliło pod wpływem cudownych doznań dziko i mocno. W najśmielszych nawet snach nie byłaby w

stanie wyobrazić sobie czegoś podobnego.

- To było... och, niezwykle, Justinie - szepnęła po chwili.

- Czekaj nas jeszcze wiele niezwykłości, ukochana. Mam nadzieję, że też będą ci się podobać. - Zagłębiał się w nią, czując, jak jej mięśnie zaciskają się wokół niego w spazmach rozkoszy. Wchodził coraz dalej i dalej. A ona nie mogła w to uwierzyć, nie mogła uwierzyć, że się tak można czuć.

- Jesteś częścią mnie - szepnęła, wtulona w jego szyję, i ugryzła go. Ręce same błyskawicznie powędrowały w dół po jego plecach aż do bioder. - Nigdy cię nie puszcze.

- Zgoda - rzekł. - Nigdy mnie nie puszcza.

A potem zmienił się w dzikusa, wznoszącego się nad nią i zagłębiającego swój miecz, aż rozkosz ośladła nim bez reszty. Odchylił wtedy głowę do tyłu i krzyknął z całą mocą cudownych doznań.

Przygniatał ją, ale nie dbała o to. Ugryzła go znów w ramię, a potem pocałowała jeszcze raz i jeszcze.

- To było cudowne - mruknęła rozmarzona. - Czy moglibyśmy to zrobić jeszcze raz?

Udało mu się unieść na łokciach. Spojrzał we wpatrzony w siebie oczy.

- Nie - rzekł stanowczo. - Jestem tylko mężczyzną, Arabello, słabym mężczyzną, a ty wykończyłaś mnie do cna.

- Nie jestem pewna, czy podoba mi się to, co słyszę. Pochylił się i pocałował koniuszek jej nosa.

- Pozwól mi tylko odpocząć chwileczkę, a znów dam ci rozkosz. Zamilkł na chwilę, po czym dodał niskim, lekko ochrypłym głosem: - Czy wybaczysz mi, że sprawiłem ci wtedy ból? Czy naprawdę możesz mi to wybaczyć?

Znów był głęboko w niej. Uniosła biodra, a on jęknął.

- Tak - odparła. A on zaczął poruszać się w głębi jej ciała. Uwielbiała to, pragnęła tego całą sobą, wkrótce była z nim razem, a to trwało i trwało. Zagrzebała się w ciepłą pościel, przytuliła do niego i już po chwili mocno spała.

Za sprawą czarodziejskiej magii została przeniesiona do celi w podziemiach ruin starego opactwa. Głazy toczyły się obok niej i spadały z wysokości, trafiając ją w głowę, twarz, ramiona. Usiłowała osłonić twarz przed ostrymi, poszczerbionymi kamieniami, rozpaczliwie machała na oślep ramionami. Jej palce natrafiły na kruche, pająkowate występy. Coś ścisnęło jej rękę z wielką siłą i szarpnęło ją w przód. Choć walczyła w ciemnościach, z przerażającą jasnością widziała, kto trzymał ją w bezlitosnym uścisku. Ręka kościotrupa ścisnęła ją mocno, kościste palce wbijały się w jej ciało. Rozległ się stłumiony krzyk, jęk

nienawiści i bólu, rżenie zwiastujące groźbę śmierci. Szkielet zakołysał się i przekręcił z dotychczasowej pozycji na brzuchu. Połamane zęby wypadły z ziewającej jamy ust. Wolno, przed jej oczami, kości ręki zaczęły kruszyć się w proch i rozsypywać. Głowa zachwiała się w tył i upadła, rozbijając się o ziemię. Usłyszała piekielne wycie tuż obok siebie. Poczowała śmierć chwytającą ją kościstymi palcami za gardło, spowijającą duszę całunem mrocznego przerażenia.

Arabella obudziła się, jej dłonie szarpały kołdrę, krzyk zamarł na wargach.

- Arabello, do diaska, obudź się!

Hrabia zapalił świece i uniósł nad jej głowę. Osunęła się z ulgą na poduszki, gdy światło padło na drwiącą twarz szkieletu z Tańca śmierci. Sen i rzeczywistość wciąż mieszały się ze sobą. Czy ten krzyk pochodził od szkieletu?

A może to było kwilenie dziecka? Kobięcy krzyk beznadziejnej, najgłębszej rozpacz? Czy słyszała duchy Evesham Abbey?

- Arabello, obudź się. Kochanie, wróć do mnie. Miałaś koszmarne sen. Już minął. - Przyciągnął ją do siebie i silnymi dłońmi zaczął mocno rozcierać jej plecy.

Oddychała szybko, niespokojnie.

- Śnił mi się ten koszmarne szkielet z ruin opactwa. Potem wydało mi się, że słyszę nasze duchy, ale teraz zaczynam wątpić. Chyba to ja sama krzyczałam.

O Boże, to było straszne!

- Ja już słyszałem te duchy. Spojrzał na płaskorzeźbę z Tańcem śmierci. - Nie podoba mi się ta rzecz tułaj. Czy nie wolałabyś wynieść tego na strych'?

Wolno skinęła głową.

- To dziwne, Justinie. Ale w jakiś sposób ta płaskorzeźba stała się częścią mego snu. Nie rozumiem tego. Tak, kažmy to wynieść na strych. Chyba nikomu nic zależy na tym, żeby ta rzecz tu została. - Przytuliła się mocniej do niego. - Dziś po południu byłam bliska śmierci. Umarłabym, nie wiedząc nawet wszystkiego o życiu. Umarłabym, nie poznając ciebie jako mojego męża. Dziękuję, że mnie uratowałeś.

- Ty drżysz. - Całował jej skronie, odgarnął włosy z czoła. -Wiesz, trudno mi jest mówić z tobą szczerze o moich uczuciach. To chyba dlatego, że jestem mężczyzną. Mężczyźni nie lubią mówić o rzeczach, które czują naprawdę głęboko. Może to głupie, ale właśnie tak jest. Mówiąc krótko, gdybyś umarła, nie zniósłbym tego. To wszystko.

- Gervaise usiłował mnie dzisiaj zabić. Nie, nie kręć głowę. Wiem, że tak było. Kamienie zwały się tylko dookoła tej celi, w której byłam ja. To on kazał mi w niej zostać. Powiedział, że resztę obejrzy sam. Dlaczego, Justinie? Dlaczego chciał mnie zabić? Myślałam

i myślałam o tym, ale nie mogę dociec, jaki mógł mieć powód. Dlaczego on to zrobił?

Hrabia długo milczał, ale ani na chwilę nie rozluźnił uścisku ramion, w których była zamknięta. Tylko palce w delikatnej pieśczoce przesunęły się po jej ramieniu.

- Mylisz się, on wcale nic chciał cię zabić - rzekł w końcu. - Chodziło mu o to, żeby wywabić mnie z Evesham Abbey. Chciał przyjść tu, do naszej sypialni. Coś tu musi być ukryte, a on chce to zdobyć. Prawdopodobnie biedna stara Josette wiedziała o wszystkim i dlatego ją zabił. Czy nie dziwiło cię, dlaczego zamykam stale sypialnię na klucz? Dlaczego podaję tak idiotyczne wytłumaczenie, że deski się obluźowały i niebezpiecznie jest tu wchodzić? Musiałem trzymać go z dala, dopóki nic przekonam się, o co mu chodzi. Dziś twoje życie znalazło się w niebezpieczeństwie, ponieważ chciałem zwabić w pułapkę tego łotra. Gdyby nie to, już dawno bym mu skrzył ten parszywy kark. Ale gra wkrótce się skończy. Nie wyjedzie stąd, dopóki nie spróbuje po raz ostatni dostać się do tego pokoju, by zdobyć to, czego szuka.

- Podejrzewałam, że to on zabił Josette.

- Widzę, że sporo się domyśliłaś. To brzmi całkiem prawdopodobnie. Sama zwróciłaś mi uwagę na fakt, że Josette nie miała ze sobą świecy w ciemnościach. Kawałki łamigłówek zaczynają do siebie pasować. Może groziła, że go zdemaskuje? Tego nie wiem na pewno, tylko tak przypuszczam. Najchętniej bym go bił tak długo, dopóki nie wyzionie ducha lub nie przyzna się, dlaczego tu przyjechał. Jestem pewien, że przed piątkiem ponowi próbę. Gdy przybiegł tutaj z wieścią że zostałam przysypana w ruinach starego opactwa, natychmiast zacząłem biec w stronę drzwi. Na jego nieszczęście odwróciłem się jednak po drodze i zobaczyłem, że chyłkiem wybiera się na górę. Uwięził cię po to, żeby usunąć mnie z drogi, wejść do tego pokoju i zabrać to, o co mu chodzi.

- Zabijmy go. Teraz. Od razu.

Ta natychmiastowa reakcja zaskoczyła go do tego stopnia, że zamilkł na chwilę. Arabella znacznie różniła się od wszystkich innych kobiet, jakie znał w życiu. Roześmiał się, całując ją w ucho.

- Zachwycasz mnie. Nie jesteś mdlejącą mimozą i to mi się w łobie podoba. W przyszłości pewnie nieraz dasz mi odczuć, co potrafi twój ostry język. I bardzo dobrze. Jesteś cudowna. A teraz powiedz mi poważnie, co twoim zdaniem powinniśmy zrobić z tym łotrem.

- Związałabym go i zostawiła w ruinach, dopóki nie powie nam, po co tu przyjechał.

- Podoba mi się to - pochwalił, skubiąc wargami płatek jej ucha. - Zostawimy mu chociaż wodę?

- Wodę tak, ale żadnego jedzenia. Będzie zupełnie sam. Ty pójdziesz do niego raz dziennie i zadasz mu pytanie. Jak nie odpowie, znów go zostawisz. Czuję, że zalaniu- się po trzech dniach. Dłużej nie wytrzyma.

- Przykro mi, Bello, ale to jest chyba niewykonalne. Jednak podoba mi się twój tok rozumowania. A teraz zastanówmy się nad Elsbeth. Co zrobimy z Elsbeth?

Przełknęła ślinę. Nadszedł moment podjęcia poważnej decyzji. A ona nie mogła tego zrobić. Jeszcze nie. Spojrzała mu prosto w oczy.

- Odłóżmy to na razie. A teraz kochaj mnie znów, Justinie. Kochaj mnie.

Zrobił to, o co go prosiła. Był dziki i namiętny, nie rozwiązało to jednak problemu, bo nadal nic wiedziała, co robić, kiedy słuchała jego spokojnego oddechu przed zaśnięciem.

Życie było proste. Choć stało się dość irytujące, gdyż odkąd odzyskała męża, nie chciała niczego więcej, jak tylko żeby kochał ją aż do utraty przytomności, co zajęłoby przynajmniej kilka lat, jak oceniła. Miała go teraz wreszcie dla siebie, i to było najwspanialsze, co ją dotąd w życiu spotkało. Chciała go mieć całego na zawsze.

Ale przy niefortunnym obrocie spraw „na zawsze” wcale nie musiało trwać długo.

Hrabia poodsuwał ciężkie zasłony wiszące w wąskich oknach galerii portretów. Starł warstwę kurzu z dłoni, odnotowując w pamięci, że ma polecić zaniechaną od dawna komnatę uwadze pani Tucker. Miał ochotę otworzyć okno, ale bał się, że pod wpływem prądów powietrza delikatna szara mgiełka zmieni się w kurzową burzę.

Nie był pewien do końca, dlaczego przyszedł właśnie do galerii, poza tym, że chciał być sam. Spojrzał na długą wąską salę, niewiele szerszą niż korytarze na drugim piętrze. Wzrok jego padł przelotnie na portret stryjecznego dziada, z ciemnymi włosami skrytymi pod białą peruką patrzącego wyniośle na świat spod ciemnych brwi Deverillów. Od razu widać, że musiał być pełnym pychy i rozwiązłym człowiekiem - pomyślał hrabia i bezwiednie się uśmiechnął.

Oboje z Arabellą zasnęli w środku nocy. Obudził się pierwszy o poranku, pocałował ją najpierw, a potem pomyślał, że lepiej dać jej spokój, gdyż pewnie jest jeszcze obolała - musiało tak być, skoro doświadczyli rozkoszy miłości aż trzy razy podczas tej cudownie długiej nocy. Zostawił ją więc samą w łóżu, choć Bóg jeden wie, ile trudu go to kosztowało. Gdyby obudziła się w chwili, gdy wychodził z sypialni, byłoby to jeszcze trudniejsze, a może nawet okazałoby się niemożliwe.

Nie rozmawiali już więcej o tym, co zrobić z Gervaise'em. Szkoda. Justin wprawdzie pałał chęcią zabicia łotra, ale ponieważ całe swoje dorosłe życie spędził w wojsku, nauczył się cenić strategię. Miał ją we krwi. Nie zabijaj wroga, dopóki nie zdobędziesz tego, na czym mu zależy. To takie proste. A Arabellą wiedziała o tym bez żadnych szkoleń i nauk.

Co robić?

Jedyną rzeczą, jaką na pewno zamierzał zrobić dzisiejszego dnia, było dokładne przeszukanie komnaty zajmowanej przez Francuza. Wątpliwe raczej było, żeby de Trecassis zostawił tam cokolwiek ważnego, ale należało to sprawdzić. Jedno było pewne. Nie pozwoli na żadne radykalne posunięcia, dopóki nie dowie się, po co tamten przyjechał.

Podniósł wzrok i pod portretem dawno zmarłej damy z rodu Deverillów, której sztywna kryza u sukni sięgała aż do uszu ozdobionych kolczykami z pereł, ujrzał żonę.

- Ukochana moja - rzekł głosem głębokim i niskim, Zabrzmiało to naturalnie, bo tak właśnie czuł w najgłębszych zakamarkach duszy. Nigdy nie wyrzekł tych słów. do żadnej kobiety. W jednej chwili znalazł się przy niej i chwycił ją w ramiona. - Tęskniłem za tobą.

- Dlaczego mnie nie obudziłeś? - Zgrabne dłonie przesunęły się pieszczotliwie po jego

plecach, schodząc coraz niżej. Wstrzymał oddech. - Obudziłam się, a ciebie nie było. Chciałam cię pocałować w usta i w szyję. Chciałam całować twój brzuch, jak w nocy, pamiętasz? Powiedziałeś, że bardzo ci to odpowiada. - Uśmiechnęła się łobuzersko do niego. - O ile pamiętam, jęczałeś z rozkoszy, dopóki nie uniosłam głowy, a wtedy westchnąłeś... jakby z rozczarowaniem.

Zadrżał. Potrząsnął głową i rzekł jedynie:

- Niełatwo mi było zostawić cię dziś rano, ale bałem się, że jesteś obolała. Zbyt wiele razy w nocy złączyliśmy nasze ciała, a ty, kochana moja, nie jesteś do tego jeszcze przyzwyczajona. Gdybym był nieokrzesanym gburem, powiedziałbym, że ujeżdżałem cię do upadłego.

- Zastanawiam się - rzekła w zamyśleniu, dotykając palcem zagłębienia w jego brodzie - czy może ja mogłabym ujeżdżać ciebie? Czy to sprawiłoby ci przyjemność?

Jego oczy zaśniły, oddech stał się szybszy. Spojrzał w bok. Rozpaczliwie jej pragnął. Nagle roześmiała się. Doskonale wiedziała, co się z nim dzieje i że to jej sprawka, choć nie była całkiem pewna, jak się jej udało tego dokonać. Dzisiejszej nocy mąż musi nauczyć ją wszystkiego, co dotyczy ujeżdżania.

- Dziś w nocy - rzekł, jakby czytając w jej myślach. - Musimy poczekać do nocy. A teraz, zanim ze szczętem stracę rozum, powiem ci, że dziś rano wcale nie chciałem od ciebie odchodzić. Pomyślałem jednak, że jeśli zostanę z tobą, zapragnę cię znów lak bardzo, że nic mnie nie powstrzyma. A nie chcę zamęczyć własnej żony. Odpocznij dziś i pamiętaj... w nocy... i ani chwili później, choć będę musiał chyba gryźć własne palce, tak bardzo będę cię pożądał przez cały dzień. Słowa te zabrzmiały niezwykle poważnie. Przesunął palcami po jej twarzy. Bardzo kochanej twarzy. - Czy nadal wybaczasz mi, Arabello?

Odchyliła się w jego ramionach, podniosła głowę do góry i spojrzała na niego uważnie. Było to z jego strony śmiertelnie poważne pytanie, doskonale o tym wiedziała. Odpowiedziała wolno, wkładając w słowa całe swoje serce:

- Jesteś drugą połową mnie samej. Do tego stopnia jesteś częścią mnie, że gdybym nie wybaczyła tobie, nie wybaczyłabym samej sobie. Tak, wybaczam ci. Uświadomiłam sobie bowiem, że tak bardzo jesteśmy podobni do siebie, iż gdybym to ja ujrzała cię wychodzącego ze stodoły, a w ślad za tobą inną kobietę, wyciągnęłabym taki sam wniosek. I zmieniałabym twoją noc poślubną w piekło, tak jak ty zrobiłeś to z moją. Ale złe już minęło. Zaczęliśmy na nowo.

Wspięła się na palce i mocno go pocałowała.

- Otwórz usta - szepnął.

Zrobiła to. Wsunął język między jej wargi. Aż podskoczyła, doznając zupełnie nowych, przejmujących wrażeń.

- Justinie - szeptała, całując go namiętnie, dotykając jego języka. - Wiesz, milordzie, chyba nie jestem tak bardzo obolała.

Roześmiał się, potem jęknął. Wolno odsunął ją od siebie. Ależ ona silnie na niego działała! Chrząknął, ale głos miał i tak ochrypły, kiedy powiedział:

- Dziś w nocy, nie wcześniej. W tych sprawach ja będę rządził. Lepiej wiem, co dobre dla ciebie. Nadal jesteś nieświadoma pewnych rzeczy, choć mam nadzieję, że to nie potrwa długo. Nieświadomość nie jest wskazana, gdy chodzi o to, co dzieje się między mężczyzną a kobietą. A teraz bądź posłuszna. Trzymaj ręce przy sobie, a przynajmniej powyżej mego pasa. Popatrzmy sobie razem na naszych przodków?

Kiedy później tego ranka przechadzali się po ogrodzie wśród ozdobnych kwiatowych klombów, hrabia rzekł do żony:

- Chcę, abyś dziś po południu zabrała Gervaise'a jak najdalej stąd. Elsbeth też. Możesz zaprosić również Suzanne. Zamierzam przeszukać jego pokój i wolę mieć pewność, że mnie na tym nie nakryje. Gdyby tak się stało, musiałbym go zabić, a wtedy nie dowiedzielibyśmy się, dlaczego przyjechał do Evesham Abbey.

To, co wiedziała na temat Elsbeth Gervaise'a aż paliło ją w gardło. Ale jeszcze mocniej paliła lojalność wobec ojca. Trzymała więc język za zębami, choć było to bardzo trudne. Winna była temu mężczyźnie całą siebie, a mimo to miała przed nim sekrety. Ale czy był jakiś wybór?

- Dobrze, zaproszę Suzanne. Jak ją znam, będzie pewnie bezwstydnie zadowolona, gdy uda się jej uciec od biednego lorda Graybourn. Od razu pošlę kogoś po nią. Nie odmówi mi na pewno. I wiesz, wydaje mi się, że na szczęście lordowi Graybournowi chyba bardziej podoba się Elsbeth niż Suzanne. Taki układ zachwyciłby Suzanne i uczynił z niej moją wdzięczną dłużniczkę. - Uśmiechnęła się promiennie do męża. Oczyma wyobraźni ujrzał ją na sobie galopującą w porywie szaleńczej namiętności, z głową odrzuconą do tyłu. Wziął głęboki oddech.

- Dobrze. - Leciutko dotknął palcem czubka jej nosa. - Jesteś piękna, bezwzględna i lojalna. Jesteś najwspanialszą żoną, jaką mężczyzna może mieć.

- Jeśli kiedykolwiek o tym zapomnisz, potraktuję cię z całym okrucieństwem - rzekła, uderzając leciutko pięścią w jego brzuch. Szybko pocałowała go w usta i odskoczyła w tył, gwizdząc jak chłopak. Ciekawe, jak będzie gwizdać, kiedy już pozna uroki jazdy na nim. Uśmiechnął się do niej pożądliwie.

Nie było potrzeby wysyłania nikogo po Suzanne. Justin i Arabella usłyszeli niebawem turkot kół na podjeździe, a chwilę później zajechał pod drzwi frontowe powóz Talgarthów. Justin zdziwił się nieco, ujrawszy, że w ślad za Suzanne wysiada z powozu jej matka. Przestało już padać, lecz mimo to lady Talgarth spoglądała w niebo niełaskawym okiem. Najwyraźniej nie ufała pogodzie. On też nie.

- Ciekawe - rzekł do żony. - Czy sądzisz, że lady Talgarth postanowiła wybaczyć twojej matce małżeństwo z doktorem? Byłem pewien, prawdę mówiąc, że okaże się stanowcza w tym względzie. Myślałem, że to nieodłączna cecha zagorzałych plotkarek. Chyba będę musiał zmienić zdanie.

Roześmiała się. Razem poszli powitać gości. Hrabia zostawił żonę; i podszedł uścisnąć obciążoną rękawiczką dłoń pięknej Suzanne. Skłonił się przed nią w wyszukany sposób.

- Panno Talgarth! Cóż za podziwu godna odwaga, że przybyła pani do nas w tak niepewną pogodę! Choć na razie przesiąło padać... tuszę, że w związku z wizytą pani... żywię jednak pewne obawy co do najbliższej przyszłości. Ufam, że nie przywozi nam pani żadnych złych wiadomości.

Na twarzyczce Suzanne rozjaśnionej uśmiechem pojawiły się prześliczne dołeczki. Rzuciła rozbawione spojrzenie w stronę Arabelli i rzekła:

- Nie, milordzie. Przyjechałyśmy tu z moją drogą mamą aby przywieźć państwu zaproszenie. Prawda, mamó?

Lady Talgarth wyglądała, jakby przed chwilą połknęła gąsienicę. Udało się jej wreszcie zmusić do uśmiechu, który szybko zgasł, gdy do towarzystwa dołączyła lady Anna. Nastąpiły uprzejme powitania, dalekie jednakże od wylewności.

- O - rzekła lady Talgarth. - Jest herbata. Nie widzę jednak tych pysznych ciasteczek cytrynowych.

- Zaraz pošlę Cruppera, żeby sprawdził, czy jeszcze coś zostało - rzekła uprzejmie lady Anna, uśmiechając się dyskretnie.

- Mamó, powiedziałam już hrabiemu, że nie przywozimy żadnych niepomyślnych wieści - odezwała się Suzanne. - Przyjechałyśmy tutaj z zaproszeniem.

Lady Talgarth zakrzuszyła się herbatą. Lady Anna delikatnie postukała ją w szerokie plecy, opięte jaskrawopurpurowym brokatem.

- Tak - powtórzyła Suzanne. - Mamó dla państwa zaproszenie.

- To brzmi interesująco, panno Talgarth. Zaproszenie, mówi pani. Pewien jestem, że ani Arabella, ani ja nie odmówimy pani. Choć może Arabella tak.

Ostatnio szuka tylko mojego towarzystwa, sama pani rozumie, ale ponieważ pani jest taka miła i ma na nią przemożny wpływ, może tym razem ustąpi i przyjmie zaproszenie.

- Ach tak?

Hrabiemu nic spodobał się błysk w pięknych oczach Suzanne Talgarth. Ta panna wcale nie była tak głupia.

- Tak - rzekł, skubiąc kawałek nitki na rękawie. - Tak to jest. Należy się strzec nawróconych mężów, którzy naprawili swoje błędy. A jeśli chodzi o moją żonę, to któż może wiedzieć? Ośmielę się zauważyć, że chyba pozostanie dla mnie zagadką intrygującą mnie szczerze do końca moich dni. A jakież to za- proszenie?

- Jaka szkoda, że nie poznałam pana wcześniej, milordzie.

- Suzanne - odezwała się Arabella. - Zaraz pogniewam się na ciebie, jeżeli nie skończysz tych żartów. Spójrz tylko na swoją drogą matkę. Chce wreszcie powiedzieć o tym zaproszeniu, a ty nie dajesz jej dojść do słowa.

- Zawsze uważałem, że ma pani ostry języczek, panno Talgarth.

Lady Talgarth odchrząknęła z namaszczeniem. Jej masywne łono zadrżało.

- Przybyliśmy tutaj - zaczęła donośnym głosem - aby zaprosić państwa na karty dziś wieczorem. Przy okazji odbędą się również tańce dla młodzieży. Ty, Arabello, choć jesteś już mężatką, zaliczasz się raczej do młodzieży i jak sądzę, z przyjemnością sobie potańczysz. A jeśli chodzi o ciebie, moja droga Anno, to koniecznie musisz przyjechać. Doktor Branyon również. Jest lekarzem mego męża, jak wiesz. Hector ma o nim jak najlepsze zdanie. Tak, on też musi koniecznie przybyć. Ale chyba nie będziesz tańczyć, moja droga?

Matce zameżnej córki i od niedawna wdowie nie wypada.

- Nie, oczywiście - odparła lady Anna bez wahania. - Co za wspaniały pomysł z tym wieczorem! Ufam też, droga Aurelio, że nie poskąpisz mi swych cennych rad w kwestii mej wyprawy ślubnej.

- Niewiele wiem o takich sprawach.

- Jak to, mamó? Przecież mama wyszła za papę, zanim mnie mama urodziła.

- Suzanne! Uważaj, co mówisz, albo powiem ojcu!

- Niech mu mama powie przy lordzie Graybournie, dobrze, mamó? Proszę.

Kiedy hrabia odprowadzał lady Talgarth do powozu, Arabella pociągnęła Suzanne za rękaw.

- Jak ci się udało nakłonić matkę do zmiany zdania?

- To wcale nie było takie trudne, Bello. Papa i doktor Branymi zbyt długo są przyjacielami, by takie głupstwo mogło zniszczyć ich znajomość. Oczywiście dodałam

umiejętnie, że doktor Branyon jest w końcu również lekarzem mamy. „Posłuchaj, mamó - powiedziałam. - A co się stanie, jeśli mama zachoruje? Przecież w okolicy nie ma innego lekarza. A trudno się spodziewać, żeby doktor Branyon zechciał mamę leczyć, jeśli teraz mama obrazi jego żonę”. To ją trochę oprzytomniło. Czyż nie jestem prawdziwym Sokratesem. Albo Salomonem? Aż trudno się zdecydować, kim. Tym bardziej że obaj to mężczyźni. Co oni tam mogli wiedzieć o życiu?

Arabella spojrzała z uznaniem na przyjaciółkę.

- Podziwiam cię, Suzanne. To było świetne posunięcie.

- Cóż, mama nie chce się dostać na ludzkie języki. Dobrze wiesz, jaka jest. I na pewno całkiem zmieni zdanie, kiedy lady Anna będzie już po ślubie.

Arabelli tymczasem przyszła do głowy całkiem inna myśl. Wieczór karciany połączony z tańcami? Ależ to doskonały pomysł! To ostatni wieczór pana de Trecassis. Czy może być lepszy sposób, by trzymać go z dala od Elsbeth?

Suzanne pocałowała Arabellę serdecznie w policzek, a potem odwróciła się do hrabiego. Uśmiechnęła się do niego śmiało i wyciągnęła rękę.

Hrabia wyglądał na rozbawionego. Ujął podaną mu dłoń i podniósł do ust.

- Proszę nie wychodzić za lorda Graybourn, panno Talgarth. Doprowadzi pani biedaka do rozstroju nerwowego. Potrzebuje pani dżentelmena, który miałby silną rękę, a jednocześnie doceniał pani poczucie humoru. Proszę też pamiętać, że Arabella to prawdziwa tygrysica. Jeśli pani nadal będzie żartować w podobnie ryzykowny sposób, może wyzwąć panią na pojedynek. A biegła jest w sztuce walki. Ostrzegam panią dla jej własnego dobra.

Suzanne odrzuciła w tył jasne loki i roześmiała się szelmowsko, patrząc na Arabellę.

Ach, Bella zbyt dobrze mnie zna, żeby się miała mną przejmować. Poza tym nigdy by mi nie zrobiła krzywdy. Za bardzo się lubimy. Jak ją znam, śmiałyby się tylko i najwyżej dobrodusznie doradziła mi, żebym co prędzej kupiła sobie parę nowych rękawiczek albo nowy kapelusz i żebym tym się zajęła. Suzanne znowu roześmiała się dźwięcznie i podeszła z Arabella do drzwi. Tu wyznała dość donośnym głosem:

- Czy wiesz, że mama nie pozwoliła biednemu lordowi Graybournowi towarzyszyć nam dzisiaj? Nie uszło jej uwagi, że przy poprzedniej naszej wizycie duże wrażenie wywarła na nim Elsbeth. - Na jej twarzy pojawił się wyraz niekłamanej satysfakcji. - Biedna mama. Najpierw ty złapałaś hrabiego, a teraz Elsbeth porywa mi świetną partię sprzed nosa.

- Ale pani chyba nie bardzo na tej partii zależy - wtrącił hrabia, po czym skłonił się przed panną Talgarth i odszedł. Z rozbawieniem pomyślał, że lady Talgarth rozwiązała za niego problem. Dziś wreszcie będzie mógł się przekonać, na co de Trecassis ma tak wielki

apetyt. Była to ostatnia szansa Francuza i hrabia był pewien, że Gervaise z niej skorzysta. Spojrzał na Arabellę, a ona na niego. Najwyraźniej pomyślała o tym samym.

Przy lunchu hrabia poinformował pozostałe osoby o zaproszeniu.

- Jestem bardzo zadowolona i mile zaskoczona - rzekła lady Anna. - Nie wierzyłam, że się da przekonać i wybaczy mi plany małżeńskie. Jak to dobrze mieć życzliwych sąsiadów!

- Anno - rzekł hrabia -jesteś zbyt prostolinijna, zbyt łatwowierna. To mnie niepokoi.

- To nie ma nic do rzeczy - odparła żywo, nabijając cienki plaster szynki na widelec. - Owszem, jestem taka, ale Aurelia swój rozum ma. Musiała schować do kieszeni swoje przestarzałe poglądy i to mnie tak bawi.

- Mamo, zdumiewasz mnie. I to nie po raz pierwszy.

- Tak, kochanie. Wiem. - Zjadła następny kawałek szynki i uśmiechnęła się miło.

Arabella zauważyła, że twarz przyrodniej siostry aż mieni się od najróżniejszych emocji, i zastanawiała się podczas lunchu, o czym Elsbeth myśli. Kiedy Arabella przyglądała się Elsbeth, hrabia nie spuszczał wzroku z gładkiej twarzy Gervaise'a. Pewien był, że ciemne oczy młodego człowieka na moment jeszcze bardziej pociemniały, a wokół ust pojawił się lekki uśmiezek zadowolenia.

Tak, ty łotrze -pomyślał hrabia. Zaplanuj sobie starannie dzisiejszy wieczór.

Wtedy cię złapię. Uśmiezek zniknął w następnej sekundzie i twarz Gervaise'a wyrażała jedynie niewinną radość z powodu niespodziewanej rozrywki.

Kiedy panie omówiły obszernie kwestię włożenia odpowiednie li sukien na dzisiejszy wieczór, hrabia oparł się wygodnie w krzesło i z dobrodusznym wyrazem twarzy rzekł swobodnie: Mamy dziś taki piękny, słoneczny dzień. Ponieważ jest to ostatni dzień pana de Trecassis z nami, może Arabella i Elsbeth zechcą zabrać naszego gościa na konną wycieczkę po okolicy?

Elsbeth była zaskoczona. Arabella dotknęła jej dłoni i rzekła:

- To doskonały pomysł. Proponuję, żebyśmy najpierw zajechali do Talgarth Hall i zaprosili do towarzystwa Suzanne, a może i lorda Graybourna. Co pan o tym myśli, Gervaise?

- Proszę jedynie, byście trzymali się z daleka od ruin opactwa - rzekła lady Anna, patrząc wymownie na córkę.

- Przecież obiecałam, mamo - odparła Arabella. - Żadnych ruin więcej, jeśli o mnie chodzi. - Uśmiechnęła się przy tym do męża.

Lady Anna zamrugnęła z niedowierzaniem, widząc wymianę spojrzeń między małżonkami. Dzięki Bogu - pomyślała - dzięki Bogu. Rozwiązali swoje problemy. Justin już nie uważa, że Arabella była kochanką pana de Trecassis. Ale w takim razie kto to był?

Czyżby hrabia wyssał wszystko z palca? Spojrzenie jej przypadkiem padło na Elsbeth. Omal nie upuściła widelca. Pasierbica spoglądała na Gervaise'a z miłością w oczach. O nie - pomyślała lady Anna. To nie może być prawda! I wtedy dotarło do niej, że to właśnie jest prawda.

W dodatku Arabella i Justin wiedzieli o tym. Co ona ma teraz zrobić? Gorąco zapragnęła, żeby Paul był przy niej, tu, teraz, w tej chwili.

Z lekkim wahaniem Gervaise odpowiedział uprzejmie:

- Będę zachwycony, mogąc towarzyszyć trzem tak pięknym damom. A pan, milordzie? Czy pan również z nami pojedzie?

- Niestety - rzekł hrabia, obracając w dłoni kryształowy kieliszek z czerwonym winem. - Muszę zostać w domu. Przychodzi cieśla naprawić obłuzowane deski w sypialni.

- Zatem tylko ja będę odpoczywać i cieszyć się miłym popołudniem z paniami, milordzie.

- Mam nadzieję, że wycieczka się uda odparł hrabia uprzejmie. - To przecież ostatni pański wieczór z nami.

Cieśla był szczerze zdumiony, że każe mu się przez całe popołudnie wbijać niepotrzebne gwoździe w solidną, nie wymagającą żadnych napraw podłogę sypialni, ale nie rzekł nic. Przed podwieczorkiem hrabia wszedł do sypialni, z namaszczeniem sprawdził postępy prac i pochwalił rezultaty.

- Bogiem a prawdą milordzie - powiedział Turpin, stukając czubkiem buta w świeżo wbity gwóźdź niewiele tu było pracy, No, ale skoro życzyliście tak sobie, wielmożny panie, to należało tak zrobić. Robota jak się patrzy. Wedle rozkazu.

Hrabia uśmiechnął się do niego.

- Widzę, Turpin. Oto gwinea za waszą pracę.

Turpin przyjął niezasłużoną jego zdaniem sztukę złota, zebrał narzędzia i wyszedł za hrabią z apartamentu. Nigdy nie zrozumie możnych tego świata. Nigdy.

Lady Anna wytropiła hrabiego w gabinecie.

- Justinie, czy mogę z tobą porozmawiać, jeśli oczywiście nie przeszkadzam ci w ważnych zajęciach?

Złożył księgi, uśmiechając się do niej przeprasząco.

- Proszę cię, Anno, wejdz i pomówmy, o czym tylko chcesz. Przyznaję, że przeczytałem te strony trzy razy i nadal nie mogę się w tym wszystkim połapać. Zateśniłem do Arabelli. Widzę, że tylko ona może ocalić mnie przed utratą zmysłów nad rachunkami.

- Domyśliłam się podczas lunchu, że pogodziliście się z Arabella. Aż trudno mi

wyrazić, jak bardzo się cieszę z tego powodu. To oczywiste też, że oboje domyśliliście się, iż to pan de Trecassis i Elsbeth byli kochankami. Czyli wierzysz wreszcie w niewinność mojej córki.

Delikatnie odłożył pióro na biurko.

- Sam bym pewnie poprosił cię o rozmowę, Anno. Twoja córka wspaniałomyślnie wybaczyła mi głupotę i zaślepienie. Powiedziała mi, że skoro jestem jej drugą połową, to gdyby mnie nie wybaczyła, oznaczałoby, że nie wybaczyła samej sobie. Jest w tym pewna logika, która może nie do końca pokrywa się z moją własną, ale ponieważ ostatecznie prowadzi do orzeczenia nader dla mnie korzystnego, zgadzam się z całego serca. Kocham twoją córkę, Anno. Oddałbym własną duszę za nią. Resztę mego ziemskiego życia pragnę poświęcić na to, by wynagrodzić jej mój straszliwy błąd. -

Uśmiechnął się jeszcze szerzej. - Nie wątpię, że Arabellą doceni moje starania.

- Opowiedz mi najpierw, jak to się stało, że uwierzyłeś w jej niewierność. Opowiedział więc. Wszystko, nie szczędząc siebie.

- Byłem głupcem, ale miałem tak niezachwianą pewność po tym wszystkim, co ujrzałem...

- Czy Arabellą nie powiedziała ci, że ma w stodole swoje ulubione miejsce? Chowiała się tam zawsze jako dziecko, kiedy była nieszczęśliwa, wściekła na ojca czy na mnie, albo kiedy nie wiedziała, co ma robić. Pewnie poszła tam w przeddzień waszego ślubu, bo chciała przemyśleć wielkie zmiany, jakie miały zajść w jej życiu. Fatalnie się stało, że byłeś tam i widziałeś ją. Jeszcze gorzej, a to już naprawdę wielka tragedia, że Elsbeth została kochanką Gervaise'a. Nie wiem, co robić w tej sprawie, Justinie. Z pewnością oboje z Arabellą rozmawialiście na ten temat.

- Tak, ale nie doszliśmy do żadnych wniosków. Chyba trzeba poczekać z podejmowaniem jakichkolwiek decyzji do wyjazdu pana de Trecassis.

- Justinie, dlaczego pan de Trecassis tu przyjechał?

- Czy ty przypadkiem nie wiesz więcej, niż się do tego przyznajesz, Anno?

- Och, nie. Pytam, bo tyle tu tajemnic, tyle pytań bez odpowiedzi... Doprawdy, chyba jeszcze nie było aż tylu pytań. Nie ufam Gervaise'owi. Chciałabym wiedzieć, dlaczego pozwoliłeś mu zostać tak długo.

Hrabia potrząsnął tylko głową. Nie miał zamiaru zdradzać Annie, że oboje z Arabellą postanowili zmusić Francuza do wykonania następnego posunięcia dziś wieczorem. Nie chciał jej niepokoić. Poza tym nie był pewien, czy przypadkiem nie będzie próbowała ująć sprawy w swoje śliczne, białe dłonie. Matka mogła być w równym stopniu zdolna do

nieprzewidzianych posunięć jak córka. Nie, nie będzie niepotrzebnie ryzykował.

Tę kwestię proponuję omówić jutro, Anno. W obecności Paula. Zgoda?

- Jednak nie chcesz powiedzieć mi prawdy - westchnęła. Wstała i poprawiła fałdy sukni. - Cieszę się bardzo, że między tobą a Arabellą zaczęło się nareszcie układać. A co do reszty, pomówię z Paulem, możesz być tego pewien. Jeżeli będzie cię szukał dziś wieczorem u Talgarthów, to będziesz wiedział, o co mu chodzi, Justinie.

- Tak, będę wiedział - rzekł hrabia.

Po południu, gdy całe towarzystwo wróciło z wycieczki, Arabella natychmiast przeprosiła wszystkich i poszła do małżeńskiej sypialni. Obejrzała uważnie podłogę i uśmiechnęła się z zadowoleniem. Podczas gdy Grace przygotowywała jej kąpiel, Arabella niespokojnie krążyła po komnacie. Gdzie jest mąż?

Wszedł, kiedy siedząc w wannie, próbowała właśnie co sił w płucach wyśpiewać wysokie C.

- Gdybym nie widział cię teraz na własne oczy, pomyślałbym, że w sypialni zagnieździła mi się sroka i skrzeczy wniebogłosey. Wielkie nieba, Arabello, czy nie brałaś nigdy lekcji śpiewu?

- Jak dobrze, że jesteś! Gdzie byłeś? - Zauważyła w tym momencie, że mąż patrzy na jej nagie piersi, i pomachała do niego. - Patrz mi w twarz albo zaczerwienię się jak panna na wydaniu. Tak, teraz lepiej. Nie, nadal mi się przyglądasz. Oj, sam tego chciałeś, milordzie. - Wstała, rozpryskując wodę na wszystkie strony.

- O mój Boże!

Chwyciła szybko ręcznik leżący na stołku i zasłoniła się.

- Szkoda, że to zrobiłaś - powiedział z nieskrywanym rozczarowaniem w głosie. Zabrzmiało to tak, jakby miał się zaraz rozplakać. - Zastanów się jednak, może odłożysz ten ręcznik? Jesteś taka piękna. Czy mamy chwilę czasu, nim trzeba będzie przebierać się do kolacji? Dziesięć minut wystarczy, może nawet mniej.

Spojrzała na niego.

- Chcesz mnie? Teraz? Tak.

- Prawdę mówiąc, ja również cię pragnę, właśnie teraz. Powiedziałeś: mniej niż dziesięć minut?

Upuściła ręcznik, spojrzała na niego i oświadczyła:

- Justynie, sama myśl o spędzeniu z tobą, dziesięciu minut sprawia, że drzę cała. A noc wprawiłaby mnie w jeszcze większe drżenie. Ale nie będę grymasić. Lepsze to niż nic.

- Uwielbiam twój rozsądek. A zatem... Rozległo się pukanie do drzwi.

- Milady? - To była Grace. Arabella porwała ręcznik z podłogi.

- Do licha, to Grace. - Pogroziła żartobliwie mężowi palcem. - Ale przyjdź zaraz i opowiedz mi, co znalazł po południu w pokoju Gervaise'a.

Sklonił się lekko i pokiwał smutno głową.

- Wolałbym raczej, żebyś znów odrzuciła ręcznik - poskarżył się z wyrzutem. Westchnął głęboko i przyłożył dłoń do serca. Odwrócił się na pięcie i zniknął w sąsiednim pokoju.

Arabella siedziała przed toaletką, a Grace stała za nią i przewiązywała jej włosy niebieską wstążką. W tejże chwili hrabia zjawił się ponownie, tym razem z małym pudełkiem w ręku.

- Widzę, że nie wybrałaś jeszcze naszyjnika - zauważył. Suknia była w kolorze jasnosrebrzystoszarym. Niezbyt się Arabelli podobała, ale przynajmniej nie była czarna.

- Nie - odparła, patrząc na jego odbicie w lustrze. - Nic nie wybrałam. - Spojrzała na aksamitne pudełko, które trzymał w ręku. Wolno, bardzo wolno, drocząc się z nią, otworzył je, ale trzymał daleko, poza jej zasięgiem. - Twój ojciec powiedział, żebym ci to wręczył, kiedy już się pobierzemy. Podobno należały do twojej babki, a on nie dał ich żadnej ze swoich żon. Przeznaczył je dla ciebie. - Hrabia podał jej pudełko.

Arabelli aż zaparło dech z wrażenia. Ujrzała potrójny sznur starannie dobranych pod względem wielkości i odcieni różowych pereł. Do tego były jeszcze kolczyki i bransoleta. W całym swoim życiu nie widziała niczego równie pięknego. Wzięła perły do ręki i przycisnęła je do piersi. Były takie ciepłe w dotyku.

- Ach, Justinie, proszę cię, pomóż mi je włożyć.

Pochylił się, pocałował ją w kark, nie zważając na obecność Grace śledzącej z nieskrywaną ciekawością te przejawy życia małżeńskiego, i zapiał żonie perły na szyi. Arabella natychmiast spojrzała w lustro.

- Nie znosiłam tej szarej sukni aż do tej chwili - powiedziała.

- A teraz?

- Dzięki perłom suknia nabrała jakiegoś niezwykłego blasku. One są niemal tak piękne jak ty, milordzie.

Z tyłu dobiegło westchnienie wzruszonej Grace. Arabella dodała:

- Oczywiście kolczyki też są cudne, równie cudne jak ty, mężu. I bransoleta. Jak widzisz, niezależnie od tego, o czym jest mowa, zawsze wracam myślą do ciebie, mój panie.

Roześmiała się, spoglądając w stronę przysłuchującej się tej rozmowie pokojówki.

- Dziękuję ci za pomoc, Grace. Wybacz jego lordowskiej mości i mnie. Jesteśmy tuż po ślubie i dlatego zachowujemy się czasem niemądrze. Jego lordowska mość przekonuje mnie, że tak wypada przez pierwsze dwadzieścia lat małżeństwa.

- Coś mi się zdaje, że mówiłem o czterdziestu.

Grace nie bardzo miała ochotę wychodzić, to oczywiste, ale wystarczyło, że Arabella

spojrzała na nią wymownie, a pokojówka dygnęła i ociągając się, wyszła z sypialni.

Hrabia zaśmiał się i znów pocałował Arabellę w szyję.

- Czy naprawdę uważasz, że są równie piękne jak ja? - spytał szeptem, leciutko gryząc ją w kark.

Oparła się o niego.

- Nie mam na sobie tak wiele rzeczy... To byłoby całkiem proste, ale...

Przesunął dłońmi po jej ciele. Było ciepłe i miękkie. Pomyślał, że chyba nie zdoła się opanować.

- Nie - rzekł jednak z westchnieniem żalu. - Teraz nie ma na to czasu. Wprawdzie dwie minuty może by starczyły, ale wtedy mogłabyś mieć słuszne pretensje, bo zachowałbym się jak zwierzę. - Wolno oderwał od niej ręce. Czuł lekkie drzenie w palcach. Z największą niechęcią odsunął się od niej i stanął w bezpiecznej odległości. Było już późno, a on doskonale o tym wiedział, do licha! - Nałóż kolczyki i bransoletę. Pora zejść na dół niech to wszyscy diabli!

Zachichotała, a w uszach męża ten chichot zabrzmiał jak najrozkoszniejsza muzyka. Zamknął oczy na moment, wdychając cudowny, niepowtarzalny zapach ukochanej kobiety i słuchając jej radosnego śmiechu. Byli tak podobni do siebie... oboje uparci jak kozły... a jednocześnie cudownie od siebie inni.

Dzięki Bogu.

Dopiero gdy znaleźli się w karecie, Arabelli przypomniało się, że nie spytała w końcu, czy Justin znalazł coś w sypialni Gervaise'a. Nie wiedziała też, jakie ma plany w związku z dzisiejszym wieczorem.

Nie miało to jednak większego znaczenia. I tak nie spuści de Trecassisa z oka przez cały czas. Jej oczy zwężyły się w dwie szpareczki, kiedy spojrzała na niego. Siedział obok lady Anny, która po swojej drugiej stronie miała Elsbeth. Oczywiście - pomyślała Arabella - matka wiedziała już, co się święci. I na pewno, jak dalece ją znała, miała mnóstwo pytań.

Talgarth Hall było niskim, chaotycznie rozplanowanym domem w stylu georgiańskim, wzniesionym przez ojca obecnego lorda Talgartha. Koszmarny sen szalonego cukiernika - orzekł raz pogardliwie ojciec, porównując siedzibę lorda Talgartha z pięknym, odznaczającym się doskonałymi proporcjami budynkiem Evesham Abbey. Jednak należało uczciwie przyznać, że dom miał pewien urok i całkiem korzystnie prezentował się w księżycową noc, rozświetlony mnóstwem świec błyskających w oknach. Na przyjęcie przybyło sporo miejscowej szlachty. Liczni lokaje, z których większość została wynajęta specjalnie na ten wieczór, trzymali płonące kandelabry. Wcześniej tego popołudnia Suzanne

szepnęła ukradkiem Arabelli:

- Mama najpierw musiała im wytłumaczyć, co to są kandelabry, bo większość z nich myślała, że to jakaś potrawa... a dopiero potem trzeba ich było uczyć, co się z nimi robi.

Z głębokim ukłonem hrabia otworzył drzwi karety i z pełną atencją pomógł paniom wysiąść. Arabella wysiadła na końcu. Justin ujął jej rękę, a ona ścisnęła go mocno.

- Chodź, ukochana - rzekł cicho. - Będzie dobrze, zobaczysz. Trzymaj się blisko matki i doktora Branyona. Ja zajmę się wszystkim.

Poszukała wzrokiem jego twarzy. Nie mogła z niej nic wyczytać, poza surowymi błyskami w oczach.

- Nie licz na to - odrzekła równie cicho. - Nie możesz trzymać mnie pod kloszem, bo tak jest bezpiecznie. Ja też należę do tej gry, Justinie. Jeżeli mnie z niej wyłączysz, gotowa jestem zrobić coś naprawdę strasznego. - Jej ręka zaczęła niebezpiecznie posuwać się w dół po jego spodniach. Złapał ją i przyciągnął do ust. Ucałował wnętrze dłoni.

- Zgoda - obiecał. - Ale masz mnie słuchać, bo w końcu jestem twoim mężem. Sam rozprawię się z Francuzem, a ty zrobisz dokładnie to, co ci powiem. I żadnego więcej narażania życia! Mówię poważnie. Bądź choć raz posłuszna, Arabello.

Zadarła dumnie głowę do góry, wyrwała dłoń z jego uścisku i ruszyła po schodach do domu Talgarthów. Lady Anna i Elsbeth szły za nią. A de Trecassis, który wybiegł naprzód, czekał już na towarzystwo u szczytu schodów.

Lady Talgarth spadła na nich jak jastrząb, nim lokaj zdążył oficjalnie zaanonsować przybycie gości z Evesham Abbey. Nienaturalnym, pełnym słodczy uśmiechem obdarowała wszystkich, no, może z wyjątkiem lady Anny.

- Ach, moi kocham, jakże to miło! Moja droga Anno, jak pięknie wyglądasz dziś wieczór! Szarość to jednak nie czerń, zgodzisz się ze mną prawda? Oczywiście ja nigdy nie nosiłabym kolorowych rzeczy podczas żałoby, ale każdy z nas jest inny, czyż nie?

- Tak, na szczęście, Bogu dzięki - powiedziała Arabella. - Chodźmy, mamó, do gości. - Ujęła matkę za rękę i pociągnęła ją do wielkiej sali balowej Talgarth Hall. Obecni byli niemal wszyscy sąsiedzi. Jak stada jaskrawych, kolorowych pawi - pomyślała Arabella. Aż w oczach miga.

- Doprawdy, kochanie - rzekła lady Anna, a w jej głosie dźwięczał tłumiony śmiech. - Nie masz dla niej odrobiny litości.

- To straszna kobieta - rzuciła Arabella obojętnie. - Wszyscy sobie z tego zdają sprawę. Mama na pewno też. Suzanne dobrze robi, gdy wreszcie wyjdzie za mąż i uwolni się od niej. Chciałabym, żeby spotkała kogoś równie wspaniałego jak Justin. Ale chyba drugiego

takiego nie ma na całym świecie.

- Mówisz jak dziewczyna ślepo i szaleńczo zakochana - rzekła lady Anna. - To dobrze, kochanie. Rozmawiałam z Justinem, jak się pewnie domyśliłaś. Wiele mi opowiedział. Przynajmniej wreszcie wiem coś niecoś. Ale pomówimy o tym później. - Zaczęła rozglądać się po sali. - Ciekawe, czy Paul już przyjechał. Niestety, nie udało mi się z nim spotkać w ciągu dnia, jak wiesz. Albo może nie wiesz, bo jesteś zajęta głównie swoim mężem.

No tak-pomyślała Arabella-doczekałam się wyrzutów. Postanowiła szybko zmienić temat:

- Niech mama spojrzy. Idzie Suzanne. Czyż nie jest śliczna? Uwielbiam taki różowy kolor.

Suzanne szybko znalazła się przy nich. Ujęła dłoń podaną przez lady Annę.

- Jak pięknie pani wygląda, lady Anno! I ty, Bello. Wielkie nieba, co za perły!

Są niebywałe. Skąd je masz? Och, nie mów nic. Twój przystojny mąż ci je dał, prawda?

Arabella spłonęła rumieńcem. To zadziwiające - pomyślała lady Anna, patrząc na nią.

- Wyglądają na stare, nigdy ich nie widziałam - rzekła wolno.

- Justin powiedział, że ojciec dał mu je dla mnie. Miał mi je wręczyć po ślubie. Zrobił to dziś wieczorem.

- Och, kochanie! - wykrzyknęła lady Anna. - Jesteś moim największym skarbem, Justin też. Czyż życie nie jest wspaniałe?

- Owszem - odparła Arabella z roztargnieniem, gdyż kątem oka dostrzegła Elsbeth tańczącą z Gervaise'em. Nie wolno jej zapomnieć, że nie może go stracić z oczu przez cały wieczór. Z pewnością będzie próbował coś zrobić. Wiedziała o tym równie dobrze jak Justin.

W tym momencie zobaczyła, jak Suzanne dyga przed hrabią, i usłyszała jej wesoły głos:

- Śpieszę zawiadomić, że całe zastępy młodych dam niecierpliwą się już od godziny, czekając na pana, hrabio. Chyba Arabella nie każe panu towarzyszyć sobie przez cały wieczór? Dżentelmen powinien zadbać o wszystkie panie.

- Jestem na pani rozkazy - odparł hrabia dwornie. Arabella spojrzała na niego z uwielbieniem, pozerając go wzrokiem. Potem przez resztę wieczoru, nie patrząc nawet, doskonale wiedziała, kiedy prosił jakąś ładną pannę do tańca.

Odwróciła się i ujrzała tuż obok siebie Gervaise'a.

- Ach, Gervaise - rzekła spokojnym głosem. - Może zechce się pan do nas przyłączyć? Jest tu parę osób, które koniecznie powinien pan poznać.

Przekonamy się, co też knujesz dziś wieczorem.

W jego ciemnych oczach pojawił się błysk wahania. Po chwili Francuz odparł ze swobodą:

- Ależ oczywiście, Arabello, pokorny sługa pani, jak zawsze. - Arabella przedstawiła go pannie Leming i potem obserwowwała, jak oboje wirują w tańcu.

- Mamo - szepnęła - niech mama tylko spojrzy w stronę kominka. Biedny doktor Branyon chyba wpadł w sidła lorda Talgartha i jego gościa. Sprawia wrażenie zupełnie bezradnego. Za to oczy mu błyszczą na mamy widok. Chyba lepiej będzie, jak mama pójdzie tam i wyratuje go z opresji.

- Jesteś najmiłą córką na świecie, kochanie - zaśmiała się lady Anna. Ucałowała Arabellę w policzek i za moment już jej nie było. Odbiegła krokiem lekkim, tanecznym, zupełnie jak młoda dziewczyna.

Następnie Arabella przedstawiła Gervaise'a cichej i spokojnej pannie Dauntry, czwartej córce nadopiekuńczej matki. Kiedy prowadził młodą damę do tańca, Arabella zauważyła, że Elsbeth tańczy z lordem Graybournem. Okazał się zdumiewająco dobrym tancerzem. Elsbeth śmiała się wesoło, a jej oczy błyszczały. Wyglądało to nader obiecująco.

Suzanne wirowała z Olivierem Rollinsem, wyraźnie prowadząc w tańcu. Był to pyzaty, dobroduszny młodzian, któremu Arabella dokuczała bezlitośnie w czasach ich dzieciństwa. Suzanne zawołała do niej wesoło:

- Zaczekaj, Bello! Podeślę ci do tańca jednego z moich konkurentów. Ale musisz nam użyczyć na trochę hrabiego, bo mamy przewagę pań.

Olivier Rollins zdążył wybąkać nieśmiało krótkie słowa powitania, zanim Suzanne porwała go dalej.

W tym momencie Arabella poczuła, że ktoś delikatnie puka ją w ramię. Odwróciła się i ujrzała lady Crewe, wdowę w nieokreślonym wieku, o jasnorudych włosach nie tkniętych siwizną. Dwa wielkie, Fioletowe strusie pióra zwisały po obu stronach jej wyrazistej twarzy.

- Świetnie wyglądasz, Arabello. Widzę, że małżeństwo ci służy. To, niestety, nieczęsto się zdarza. Naprawdę dobrane pary należą do rzadkości. Oczywiście nie mówię o stronie finansowej związków. Ale ty i twój przystojny mąż wyglądacie na tak zakochanych w sobie, jak moje ulubione pawie Larry i Blanche. Zdaje się, że twój papa dokonał naprawdę słusznego wyboru. Powiedziałabym mu to, gdyby dziś był z nami. Ach, jaka to wielka szkoda, że on nie żyje! Przepraszam, że ci o tym przypominam, moja droga. Wiem, jak bardzo go kochałaś. Pogłaskała Arabellę po rękę, a jej błyszczące orzechowe oczy odszukały w tłumie tańczących hrabiego, którego partnerką była teraz Eliza Eldridge, panna o dość

bujnych kształtach. - Tak -pokiwała głową lady Crewe, mówiąc bardziej do siebie niż do Arabelli. - Nowy hrabia to wspaniały mężczyzna. Przypomina mi twego ojca. Ty zresztą też. Jesteście do siebie bardzo podobni. Pewnie będziecie mieli ładne dzieci. Twój ojciec byłby zadowolony.

- Mam nadzieję - odparła Arabella, spoglądając na męża -że będziemy mieć dużo dzieci. I na pewno będą ładne, ma pani rację. Chciałabym, żeby wszystkie miały takie dołeczki w brodzie jak mój ojciec i Justin. Rzeczywiście, ojciec nie mógł wybrać dla mnie nikogo lepszego.

Lady Crewe milczała chwilę. W zamyśleniu okręciła na palcu pierścionek z wielkim rubinem.

- Twoja matka zapewne byłaby zdziwiona, Arabello, ale ja nie potępiam jej za małżeństwo z doktorem Branyonem, tak jak Aurelia Talgarth. Biedna, głupia kobieta! Opowiada nonsensy, że on nie jest lordem, że nie jest nawet z naszej sfery. To przecież wszystko absurd. - Spojrzała uważnie. - Ty jesteś otwarta i wyrozumiała, Arabello. Podoba mi się to. Twój ojciec taki nie był, ale cóż, to i tak nie ma już w tej chwili znaczenia. Widzę, moja droga Arabello, że pochwalasz małżeństwo matki z doktorem Branyonem. To bardzo mądrze z twojej strony. Okazałaś prawdziwą dojrzałość.

- Mama jest nadal piękna i zbyt młoda, by miała spędzić resztę życia sama. Poza tym ja lubię doktora Brayona. Znam go od dziecka. Trudno o miłszego człowieka. Cieszę się, że zostanie moim ojczymem.

Lady Crewe popatrzyła w stronę lady Anny. Znów zamyślona powiedziała wolno:

- Powiem ci, moja droga, że po raz pierwszy od blisko dwudziestu lat znajduję cechę godną podziwu w twojej matce, oprócz oczywiście jej wielkiej urody, wdzięku i słodyczy. Na koniec pokazała, że ma charakter dorównujący jej piękności. Pewnie łatwo jej to przyszło, bo takie rzeczy nosi się w sobie od urodzenia. - Dodała bardzo cicho: Twój ojciec był trudnym człowiekiem, despotycznym, który nie zniósłby żadnego sprzeciwu czy choćby wątpliwości ze strony kobiety. Tak, twoja matka nareszcie może być sobą. Arabella, która cały czas starała się nie spuszczać z oka pana de Trecassis, słuchała lady Crewe z pewnym roztargnieniem.

- O tak, proszę pani - odpowiedziała tylko. Lady Crewe źle zrozumiała tę odpowiedź.

- Teraz, Arabello, jesteś już mężatką. Dziwiłam się nieraz, jak twojej matce udało się przeżyć te dziewiętnaście lat i zachować kwitnącą urodę. Może Bóg w swojej nieskończonej mądrości nagradza niewinność.

Arabella zaczęła słuchać bardziej uważnie. Odwróciła się do wdowy, a w jej oczach pojawiło się zrozumienie, którego na pewno by nie miała, gdyby nie to, co usłyszała od

Justina na temat ojca podczas pamiętnej nocnej rozmowy na drodze. Spojrzała badawczo na lady Crewe. Ślady dawnej urody nadal były widoczne na twarzy dumnej pani. Domyśliła się, że lady Crewe była kochanką ojca. Nie czuła o to żalu. Obojętnie odniosła się do tego faktu. Przyjęła wreszcie do wiadomości, że ojciec był dojrzałym mężczyzną, mającym swoje potrzeby, a ona przez wiele lat była dzieckiem ślepo uznającym w nim ideał. Teraz już przestała być dzieckiem.

Lady Crewe naturalnie zauważyła tę nową dojrzałość w twarzy młodej hrabiny, dostrzegła zrozumienie w oczach - które przecież były oczami jej ojca.

- Odwiedź mnie kiedyś, Arabello - rzekła łagodnie. - Myślę, że miałybyśmy o czym porozmawiać. Mogę opowiedzieć ci wiele ciekawych rzeczy o twoim ojcu, wicie historii, których pewnie nie znasz. To był niezwykle człowiek.

- Z prawdziwą przyjemnością przyjmuję zaproszenie pani -odparła Arabella. Naprawdę chętnie zawarłaby bliższą znajomość z lady Crewe. A na razie przeprosiła damę i poszła tańczyć z sir Darienem Snowem, wieloletnim serdecznym druhem i kompanem ojca. Pachniał lekko piżmem i brandy, co stanowiło całkiem przyjemne połączenie. Ujrzała ze smutkiem, że lata od- cisnęły swe nieubłagane piętno na jego twarzy i Lnie wokół wąskich ust pogłębiły się, a na grzbietach dłoni pojawiły się grube węzły żył. Był uprzejmy i bezpretensjonalny, w przeciwieństwie do ojca, który był głośny i chełpliwy. Nie wymagający jak zwykle, prowadził ją w tańcu z wdziękiem od lal znanym w towarzystwie. Nie mówił wiele, co przyjęła z ulgą. Musiała nieustannie pilnować pana de Trecassis, wołała więc się nie rozpraszać. Zaniepokoiła się w pewnym momencie, widząc, że tańczy z Elsbeth. Tam do licha, żeby tylko udało się jakoś ich rozdzielić! Pociągnęła sir Dariena za ramię, przejęła prowadzenie w tańcu i powiodła go w stronę Elsbeth i Gervaise'a. Chciała przynajmniej usłyszeć, o czym rozmawiają. Kiedy przybliżyli się z sir Darienem do tamtej pary, usłyszała śpiewny, gruchający głos Gervaise'a:

- Jakże uroczo wyglądasz dzisiaj, *ma petite!* Tańce najwyraźniej ci służą.

Oddalili się następnie, niknąc w tłumie innych tańczących par, i Arabella nie miała okazji usłyszeć niczego więcej. Gdyby tylko mogła trzymać się blisko nich przez cały czas!

A tymczasem Elsbeth mówiła do pana de Trecassis:

- Dziękuję, Gervaise. Bardzo lubię tańce i przyjęcia. Moja ciotka była dość zamknięta w sobie i niewiele w jej domu było rozrywek. - Umilkła na chwilę, po czym ciągnęła dalej z wyraźną skrucą w głosie: - Powinnam koniecznie napisać do ciotki Caroline. Tyle dobroci od niej zaznałam. Oczywiście zaprosimy ją do nas w odwiedziny, kiedy się już pobierzemy. - Jak dziwnie te słowa zabrzmiały jej w uszach, jakoś tak nienaturalnie, jakby wymuszenie.

Nic nie rzekł na to, ale w dłoniach poczuł dreszcz.

- Tak - udało mu się w końcu wykrztusić. Spojrzał na swoją przyrodnią siostrę, w lustrzane odbicie błyszczących oczu o migdałowym wykroju. Była taka prostolinijna i niewinna, ufała bez zastrzeżeń wszystkim dookoła. Gdyby tylko stara Josette powiedziała mu wcześniej, że nie był wcale naturalnym synem Thomasa de Trecassis, ale że on i Elsbeth urodzili się z jednej matki! Bogu dzięki, że nic posiadał jej ostatnim razem, kiedy już Josette wykrzyczała mu prosto w twarz, że Elsbeth jest jego siostrą.

Niedługo odjedzie, zabierając to, co mu się prawnie należy. Jednak nie wiedzieć czemu zapragnął złagodzić ból, jakimś -jak się spodziewał - Elsbeth dozna po jego wyjeździe. Pomylił krok w tańcu i nadepnął jej na stopę. Natychmiast wyraził skruchę.

- Och, jakież niezgrabiasz ze mnie, Elsbeth, wybacz mi, *ma petite*. Widzisz, jest tyle rzeczy, których nie robię dobrze.

Uśmiechnęła się do niego, lecz nagle uśmiech zamarł na jej twarzy. Wyczuła, że kuzyn jest smutny, więc rzekła prędko:

- To nic, Gervaise. Nie mów tak, proszę. Zbyt surowo siebie osądzasz.

- Nie, Elsbeth, to prawda. Ja... naprawdę nie jestem ciebie wart. - Umilkł, zauważywszy, że tańczą na samym środku sali. - Chodź - powiedział, biorąc ją za rękę. - Chciałbym z tobą porozmawiać. Wyjdźmy na balkon.

Elsbeth wyszła za panem de Trecassis bez wahania, nieświadoma tego, że wszyscy pozostali członkowie rodziny bacznie ich obserwują.

Wieczorem na dworze było chłodno, ale Elsbeth nawet tego nie zauważyła. Zwróciła ku niemu twarz, oczekując pocałunku, jednak Gervaise odsunął się od niej.

- Nie, Elsbeth. Musisz mnie wysłuchać. Wiele rzeczy ostatnio przemyślałem, droga kuzyneczko. Niemożliwością jest, abyśmy wyjechali razem. Zrozum mnie, Elsbeth. Byłbym skończonym łajdakiem, człowiekiem bez honoru, gdybym zabrał cię od rodziny i naraził na niepewne życie, a to jest niestety wszystko, co mógłbym ci ofiarować.

Patrzyła na niego, nic nie rozumiejąc, z ustami szeroko otwartymi.

- Nie - szepnęła. - Tylko nie to. Proszę cię. Dlaczego tak mówisz, Gervaise? Przecież tak naprawdę wcale tak nie myślisz. Co to znaczy niepewne życie? Jak to? Czyżbyś zapomniał o moich dziesięciu tysiącach funtów? Gdy zostaniesz moim mężem, te pieniądze będą należeć do ciebie. Jesteś taki mądry, Gervaise. Na pewno pod twoją opieką życie będzie dostatnie i pewne.

- Mężem? - powtórzył cicho, zmienionym głosem. - Twoim mężem? Elsbeth, chyba nadeszła pora, żebyś dowiedziała się czegoś więcej o świecie. Czas na to, byś stała się kobietą. Nie możesz dłużej zachowywać się jak dziecko.

- Nie wiem, o czym mówisz. Co to ma znaczyć? O co ci chodzi? Jeżeli są jakieś kłopoty, to przecież chętnie ci pomogę. Jestem kobietą, nie dzieckiem. Dzięki tobie się nią stałam. Czyż sam mnie nie nauczyłeś, co znaczy być dorosłą kobietą?

Zrobił krok w jego stronę.

Podniósł dłoń, jakby chciał ją zatrzymać.

- Niestety, nadał jesteś romantycznym dzieckiem. Zastanów Nie tylko nad tym, co mówisz. Parsknął pogardliwie, przedrzeźniając jej zmartwioną minę. Wszystko, co zrobiłem, droga Elsbeth, to pozbawiłem cię dziewictwa, nauczyłem cię pieszczot i dałem ci romantyczną letnią idyllę, nic więcej. Pobladła, wstrząśnięta tymi okrutnymi słowami.

- Mówiłeś, że mnie kochasz... - szepnęła niepewnie. Zadrzała, nie od chłodu powietrza, ale od budzącego się w niej strachu.

Wzruszył ramionami w typowym galijskim geście obojętnej wzgardy, którego dotąd nie znała.

- Oczywiście, mówiłem ci, że cię kocham. Gdybyś naprawdę była kobietą, a nie

dzieckiem, wiedziałabyś, że dzięki namiętnym wyznaniom miłosnym romans staje się jeszcze bardziej ekscytujący i przyjemny.

Wstrząsnęła nią pustka i obojętność tych słów. Nie, on nie mógł mówić takich rzeczy. Zwilżyła usta czubkiem języka.

- Ale powiedziałeś mi, że mnie kochasz. Mówiłeś prawdę, wiem o tym, bo cię znam.

- Z pewnością cię kocham - rzekł chłodno -jako moją... kuzynkę. Byłoby to nienaturalne, gdybym nie darzył cię braterskim uczuciem.

- To dlaczego obiecywałeś, że uciekniemy razem? Nie pamiętasz już?

Zaśmiał się nieprzyjemnie, a w niej coś się skurczyło i umarło. Nie poruszyła się. Była jak skamieniała w środku, tak że w tej chwili wątpiła, czy w ogóle kiedykolwiek będzie w stanie się poruszyć, bez względu na okoliczności. Wzruszył ramionami raz jeszcze, zbywając ją jak kogoś, kto w ogóle nie zasługuje na miłość.

- Mówiłem ci jedynie to, co chciałaś usłyszeć, Elsbeth. W moich planach nie ma miejsca dla żony. To, że uparłaś się, by wierzyć, iż jest inaczej, świadczy tylko o tym, że jesteś niczym więcej niż romantycznym dzieckiem. Cóż, moja droga, czas się wydostać na prawdziwy świat z przyjemnego kokonu niewinności. Podziękuj mi, że powiedziałem ci prawdę teraz, od razu. Doceń moją szlachetność. W końcu mogłem zostawić cię w niepewności. Nigdy już się więcej nie zobaczymy, chyba to oczywiste.

- Czy naprawdę byłam takim dzieckiem, kiedy oddałam ci się z własnej i nieprzymuszonej woli?

Nienawidził łez nabrzmiewających w jej oczach, nienawidził gorąco, ale trzymał się twardo, głos miał zimny jak wieczorny wiatr, który pokrył gęsią skórą jej szczupłe ramiona.

- Owszem, byłaś dzieckiem, bo pragnęłaś konkretów i rzeczywistości tam, gdzie były jedynie marzenia i ułudę. Musisz się nauczyć walczyć z życiem, a nie kulić się ze Strachu i płakać bezradnie. Pewnego dnia podziękujesz. Serca nie łamią się... to kolejny romantyczny nonsens. Zapomnisz o mnie, Elsbeth, zapomnisz, staniesz się mocniejsza, staniesz się kobietą. Zrozum wreszcie. - Oczy Francuza złagodniały, jednak nie zauważyła tego, bo głowę miała pochyloną. Nie musiał wyciągać zegarka z kieszonki kamizelki, żeby wiedzieć, iż robi się późno. Musi zaraz jechać. Powiedział prędko: - Jesteś w każdym calu Angielką, Elsbeth. Twoja przyszłość jest w Anglii, u boku angielskiego dżentelmena. Zakosztowałaś tego, co nazywamy krótką affaire de coeur. To już skończone. No, nie płacz już. Proszę, Elsbeth... - Delikatnie przyłożył dłoń do jej policzka. -Nie wspominaj mnie z nienawiścią.

- Tak - odparła, patrząc mu prosto w oczy. - Wszystko skończone. - Przełknęła łzy.

Wyprostowała się. - Odprowadź mnie do lady Anny.

Gervaise spełnił życzenie Elsbeth, a potem rozejrzał się po zatłoczonej sali i wreszcie jego wzrok spoczął na hrabi. Zdawać się mogło, że Anglik nie zdaje sobie sprawy z niczyjej obecności w sali balowej, że istnieje dlań jedynie dama, z którą właśnie rozmawia. Jego Gervaise też już nigdy nie zobaczy, nie poczuje więcej na sobie spojrzenia pełnego zimnej nienawiści i chęci mordy. To Gervaise będzie zwycięzcą, a hrabia przegranym. Gra skończy się wkrótce. Hrabia nie będzie w stanie temu przeszkodzić. Zresztą nie będzie nawet wiedział, o co toczyła się gra. Do diabła, dobrze by mu zrobiło, gdyby się jednak dowiedział. Może zostawić mu znak, nawet list, tak żeby zgrzytał zębami w bezsilnej złości, iż został pokonany.

Przyglądał się hrabiemu jeszcze przez chwilę, a potem odwrócił się, ujmując dłoń panny Rutheford. Zobaczył, że lord Graybourn prowadzi do tańca Elsbeth, i oczy mu pociemniały na ułamek sekundy. Nie, i tak trzeba zapomnieć. Zawirował z panną Rutheford w ramionach, a ona wydała lekki okrzyk i roześmiała się zachwycona.

Pod koniec tańca Arabella pozwoliła sir Darienowi odprowadzić się do matki. Lady Anna rzekła z zadowoleniem:

- Wygląda na to, że Elsbeth ma spore powodzenie na balu. Trochę się zaniepokoiłam, kiedy wyszła na balkon z panem de Trecassis, ale przyprowadził ją z powrotem na tyle szybko, że nie musiałam do nich zaglądać. Ufam, że z nią wszystko będzie dobrze. Śmieje się właśnie w towarzystwie lorda Graybourn. To dobry znak.

Arabella nic nie powiedziała, skinęła jedynie głową.

- A jeśli chodzi o ciebie, kochanie, to widziałam, że rozmawiasz z lady Crewe.

Ta kobieta zawsze przerażała mnie w najwyższym stopniu. Pamiętam, jak kiedyś przyjechała do nas w odwiedziny i powiedziała mi, że moja suknia jest zbyt dziewczęca i że muszę koniecznie się przebrać. Ojciec twój przyjrzał mi się wtedy uważnie i poparł ją. Jak możesz się domyślić, natychmiast i w największym pośpiechu spełniłam jej rozkaz. O czym rozmawiałaś z nią tak długo?

O, rozmowa wkracza na niebezpieczny grunt - pomyślała Arabella.

- Lady Crewe jest urocza i wcale nie taka straszna, mamó. Powinna mama sama z nią pomówić. Bardzo ciepło się o mamie wyrażała. - Gdzie się podział Gervaise? O, jest tam, tańczy z panną Rutheford. Odetchnęła z ulgą. -

Sir Darien bardzo się ostatnio posunął, mamó.

- Nic złego się z nim nie dzieje - wtrącił doktor Brany on. -To wiek, moja droga, tylko wiek.

- Z tego, co papa mi opowiadał, sir Darien był pełnym animuszu młodym

człowiekiem... i nawet później, kiedy nie był już taki młody, nadal miał wiele fantazji. Dopiero teraz zwolnił tempo życia.

Doktor Branyon zauważył, że jego przyszła pasierbica tak naprawdę myślami jest daleko. Spoglądała na tańczących. Rzekł z uśmiechem:

- Coś mi się zdaje, Bello, że Justin poszedł po szklaneczkę ponczu dla panny Eldridge. Jeżeli panna Talgarth postawi na swoim, to obawiam się, że będziesz miała nikle szanse na to, żeby zatańczyć dziś z własnym mężem.

- Obiecuję, że jakoś wytrzymam bez niego, doktorze. - Odwróciła się, szukając wzrokiem Francuza. Usłyszała dźwięczny śmiech Suzanne dobiegający z tłumu młodych ludzi, natomiast nigdzie nie było widać de Trecassisa. Serce natychmiast zaczęło bić jej żywiej. Rozglądała się niespokojnie.

Zniknął.

Rozejrzała się, szukając Justina, ale jego również nigdzie nie dostrzegła. Może już szedł tropem Gervaise'a, nie powiedziawszy jej o tym. To całkiem podobne do niego, niech go lichy porwie!

Nie miała czasu do stracenia. Kilka minut zajęło jej dotarcie do jednego z wąskich, wysokich okien, odsunięcie zasuwki i wyjście na zewnętrzny parapet w oświetloną księżycem noc. Stajnie Talgarth Hall znajdowały się po wschodniej stronie domu. Wciągnęła głęboko w płuca rześkie nocne powietrze i od razu skierowała spojrzenie w kierunku wschodnim, gdzie lady Talgarth koniecznie uparła się założyć klomby kwiatowe, i to bardziej wymyślne niż te w Evesham Abbey. Lokalizacja nie była najlepsza, gdyż tuż za klombami znajdowały się stajnie. Arabella wyteżyła wzrok, wpatrując się w ciemność. Nic nie zobaczyła.

Po chwili jednak spostrzegła człowieka w płaszczu idącego szybko obok domu w stronę stajni. To był de Trecassis, nie ulegało wątpliwości. Tylko on chodził takim posuwistym krokiem.

Kiedy Francuz zbliżył się do wschodniej ściany domu, przystanął nagle i obejrzał się za siebie. Światło księżyca padło prosto na jego twarz i serce Arabelli podskoczyło z wrażenia. To był rzeczywiście Gervaise. W tym momencie odwrócił się ponownie i zniknął za węglem.

Należało się śpieszyć. Odwróciła się i weszła z powrotem do środka. Przyjrzała się tańczącym, ale nigdzie nie dostrzegła męża. Cóż, czas naglił. Poza tym Justin mógł już być na zewnątrz i czekać na pojawienie się Francuza.

Szybko doszła do wniosku, że przedzieranie się przez tłumy gości zajęłoby jej zbyt wiele czasu. Wymknęła się na balkon, wychyliła się i oceniła wysokość. Było zbyt wysoko,

by mogła ryzykowne skok. Jej wzrok padł na stary, rozłożysty wiąz, którego długie gałęzie dotykały drugiego końca balkonu. Bez chwili zastanowienia podbiegła tam, zawiązała spódnicę w węzeł nad kolanami i chwyciła gałąź. Ścisnęła ją mocno. Na szczęście na dłoniach miała rękawiczki balowe, które znakomicie chroniły skórę przed otarciem. Jak na linie skoczyła w stronę drzewa. Na moment zawisała w powietrzu, dopóki nie wymacała stopą występu w pniu. Gałąź jęknęła pod jej ciężarem. Nie zwracając na to uwagi, zsunęła się po niej na niższą gałąź. Suknia zaplątała się jej wokół nóg i Arabella omal nie straciła równowagi. Przez chwilę chwiała się niebezpiecznie, potem udało się jej uchwycić mocniej. Do licha, gdyby Pan Bóg był równie sprawiedliwy dla mężczyzn jak dla kobiet, to miałyby teraz na sobie spodnie.

Spojrzała w dół na gładką trawę, wzięła głęboki oddech i zeskoczyła. Udało się jej spaść na nogi i natychmiast pobiegła co tchu w stronę stajni, ściskając w garści tę nieszczęsną spódnicę. Usłyszała dochodzący z dala, z drugiej części domu, głośny śmiech służby, która przybyła tu ze swoim państwem. Nagle do jej uszu dobiegł jednostajny stukot końskich kopyt.

Szybko skuliła się pod osłoną modrzewia. Chwilę później minął ją samotny jeździec. W świetle księżyca wyraźnie widziała twarz Gervaise'a.

Zmusiła się do pozostania w miejscu, odliczając długie sekundy, dopóki Francuz znajdował się w zasięgu jej wzroku. Potem zerwała się na równe nogi i pognęła do stajni. Zatrzymała się zdyszana na progu, wpadając niemal na stajennego, którego tak zaskoczył jej widok, że stał i gapił się z szeroko otwartymi ustami.

- Ach... hm... milady?

Arabella dyszała chwilę, nie mogąc złapać tchu, wreszcie odetchnąwszy głęboko dwa razy, odezwała się z wyniosłą arogancją godną swojego rodziciela:

- Jak się nazywasz?

- Allen, milady.

- Szybko, Allenie. Proszę mi osiodłać klacz panny Talgarth, Piwonie, i to natychmiast.

- Stajenny zawahał się. Arabella dodała jeszcze wyniosłej: - Szybko, inaczej będziesz miał do czynienia z lordem Talgarthem.

Poskutkowało. Allen związał się jak w ukropie po raz pierwszy od bardzo dawna.

Uśmiechnęła się, patrząc, jak się stara. Chciała zapytać chłopaka, czy hrabia już tu był i pojechał, ale obawiała się, że -otrzymawszy odpowiedni rozkaz - mógł nic powiedzieć jej prawdy. Musiała przyznać z zalem, że Justin znacznie skuteczniej wprawiał służbę w popłoch niż ona.

Obejrzała dokładnie łagodną klacz, żałując szczerze, że nie ma tu Lucyfera. No cóż, niemożliwe jest niemożliwe Ucz pomocy stajennego wskoczyła na konia i wbiła pięty w grube boki Piwonii.

Elegancka fryzura Arabelli zmieniała się w pasma splątanych włosów, jeszcze zanim dotarła konno do głównej drogi. Zmusiła zwierzę do galopu, obiecując mu w duchu wielką porcję owsa po przybyciu do Evesham Abbey. Tak - pomyślała - bez wątpienia Gervaise pojechał do Evesham Abbey. Była to jedyna rzecz, jakiej była w tym momencie absolutnie pewna.

Wiedziała, że to, co robi, jest kompletnym szaleństwem. Mogła spodziewać się, że Justin będzie wściekły. Trudno. To była także jej sprawa i zwykła sprawiedliwość nakazywała, by ona też miała swój udział w jej zakończeniu. W tej chwili zupełnie nie miała pojęcia, co pocnie, kiedy już się dowie, co Francuz knuje. Na pewno chętnie by go zabiła. Tak, to właśnie zrobi. Tym sposobem uchroni Elsbeth przed straszliwą prawdą. Pochyliła głowę i pilnie wpatrywała się w drogę przed sobą. Zimny wiatr owiewał jej twarz.

Kiedy wjechała na wysypany żwirem podjazd wiodący do Evesham Abbey, nie zdziwiła się wcale widokiem wierzchowca Gervaise'a. Koń stał uwiązany do krzaka rosnącego przy frontowych schodach. Francuz musiał go wcześniej zaprowadzić do Talgarth Hall i osiodłanego ukryć w stajni. Zatrzymała zdyszana Piwonię i zsunęła się z siodła. Wszędzie panowała złowieszcza cisza. Kilka świec płonęło w oknach na parterze i tylko jedno okno na drugim piętrze było oświetlone. Sypialnia.

Wbiegła po schodach na ganek i otworzyła ciężkie drzwi. Hall był pusty. Zmarszczyła gniewnie brwi. Gdzie podziała się służba?

Pomyślała o małym pistolecie ukrytym bezpiecznie w szufladzie nocnej szafki, stojącej przy łóżku. Cóż, niepodobna dostać się do niego, kiedy Gervaise znajduje się w sypialni albo w jej pobliżu. Na palcach przebiegła przez hall, minęła Pokój Aksamitny i cicho wsunęła się do biblioteki. Para ulubionych pistoletów ojca leżała w aksamitnym pudle na półeczce nad kominkiem. Ostrożnie wyjęła jeden z nich i sprawdziła, czy jest naładowany. Przygotowała broń do strzału.

Wolno weszła na schody, trzymając pistolet ukryty w fałdach spódnicy. To Gervaise wyznaczył czas i miejsce ich spotkania. Zastanawiała się przez chwilę, czy ona nie stara się czegoś udowodnić Justinowi. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa tak właśnie było. Westchnęła w duchu, modląc się, by Justin był gdzieś w pobliżu. Powinien być. Przecież pilnował Gervaise'a tak samo jak ona.

Drzwi do sypialni były lekko uchylone. Zobaczyła migotliwy płomień jednej jedynej

świecy rzucającej na przeciwległą ścianę dziwaczny cień. Wolno przywarła do drzwi.

Hrabia regularnie sprawdzał stan liczebny tańczących w zatłoczonej sali balowej. Szybko też zauważył Lucindę Rutheford stojącą samotnie i patrzącą na świat jak mały, sympatyczny, lecz opuszczony przez państwa mops.

- Do licha! - zaklął pod nosem. Dopiero co... dosłownie przed chwilą... widział, jak Gervaise prowadzi pannę Rutheford do kadryla. Zadowolony opuścił wtedy salę balową wraz ze wspartym na jego ramieniu lordem Talgarthem i odprowadził go do biblioteki.

- Dzięki, mój chłopcze - usłyszał. - Mam już serdecznie dosyć tych głupstw na dzisiejszy wieczór.

Nie było go zaledwie przez chwilę. Spojrzał z roztargnieniem na zwróconą ku niemu twarz panny Talgarth. Skąd ona się tu wzięła?

- Pani mi wybaczy, Suzanne, ale muszę odprowadzić panią do matki.

Chciała koniecznie wiedzieć, co się stało, ale na szczęście w końcu bez protestu i większych dąsów pozwoliła odprowadzić się na miejsce.

Hrabia złożył przed lady Talgarth i Suzanne lekki ukłon i natychmiast wycofał się w stronę wyjścia. Jeszcze raz rozejrzał się dookoła, szukając Gervaise'a. Nie było go, to pewne. A zatem chwycił przynętę. Należało się śpieszyć. Justin wiedział, że jeśli tego nie zrobi, może stracić wszystko, i to przez własną nieuwagę. Ale przecież był z lordem Talgarthem nie dłużej niż pięć minut. Do diabła!

- Justinie! - Odwrócił się na dźwięk swego imienia. To doktor Branyon machał do niego. Do diaska, znowu musiał stracić cenną minutę.

- Arabella cię szukała! - zawołała lady Anna. Myślałam, że zamierza wyjść na balkon, ale teraz nic mogę nigdzie jej znaleźć. Czy widziałeś ją gdzieś?

- Nie, nie widziałem. Wybaczcie mi, proszę... Kiedy się zjawi Arabella, powiedzcie jej, że niedługo wrócę.

- A dokąd idziesz?

Nie odwrócił się więcej i nie odpowiedział na pytanie doktora Branyona, przedzierając się przez tłum rozbawionych gości. Dopiero gdy wyszedł z sali balowej na dziedziniec zalany jasnym światłem księżyca, dotarło do niego znaczenie słów Anny. A więc Arabella ruszyła w ślad za Trecassisem.

Najchętniej by ją zamordował. Udusił. Natarł uszu tak, żeby zaczęła jęczeć. Jego uparta, samowolna, nieznośna żona pojechała za Gervaise'em. O Boże, przecież to straszliwie niebezpieczne. Gervaise był zdesperowany, nie miał nic do stracenia. Zrobi wszystko, żeby zdobyć to, na czym mu tak zależy. A teraz, kiedy Justin już wiedział, co to takiego było, nie

miał wątpliwości, że Arabella znajdzie się w wielkim niebezpieczeństwie, jeżeli go dogoni.

Do stajni dobiegł w okamgnieniu. Stajenny stał w drzwiach z bardzo niepewną miną. Wahał się właśnie, czy nie powinien zawiadomić lorda Talgartha, że hrabina Strafford zabrała konia panny Talgarth.

Hrabia z góry napadł na biedaka.

- Mój koń to gniady ogier. Stoi już osiodłany w najdalszym boksie. Przyrowadź mi go, biegiem!

Kolejny dżentelmen, który wcześniej przyprowadził swego konia. Co się tu działo? Czyżby żona hrabiego Strafforda uciekła z tym młodym człowiekiem, który pierwszy przyszedł do stajni? O Boże, ależ to wszystko było pasjonujące! Nie mógł się doczekać, kiedy opowie innym chłopakom.

A może jego lordowska mość nic nie wie...

- Milordzie, jej lordowska mość, pańska żona... - Słowa zamarły w nocnej ciszy, gdyż gniady ogier był już daleko. Hrabia Stratford nie oglądał się za siebie.

Kiedy chwilę później w stajni zjawiła się jeszcze jedna młoda dama i zaczęła błagać, by jak najszybciej zawiózł ją do Evesham Abbey, Allen nie wahał się ani chwili. To był dramat godzin Londynu i za skarby świata nie chciał nic z niego stracić. Potem opowie o tym chłopakom.

Arabella stała bez ruchu w otwartych drzwiach sypialni. Do boku przyciskała ciężki pistolet, ukryty w fałdach sukni.

Obserwowała Gervaise'a. Francuz stał przed płaskorzeźbą z Tańcem śmierci. Nad głową trzymał zapaloną świecę. Przez ułamek sekundy miała wrażenie, że widzi Josette, którą przyłapała w tym samym miejscu nie tak dawno temu. Stara służąca stała dokładnie tak samo jak teraz Gervaise i uważnie przyglądała się makabrycznemu reliefowi.

Tymczasem Francuz ostrożnie dotknął lewą ręką zagłębienia tuż poniżej wzniesionej tarczy szkieletu. Arabelli się wydawało, że chwycił coś palcami, jakby jakąś małą klamkę. Jak za sprawą czarodziejskiego zaklęcia niższy brzeg ciężkiej drewnianej tarczy trzymanej przez szkielet odsunął się, odsłaniając tajemną skrytkę mniej więcej szerokości dłoni.

Domysły Justina były słuszne. To dlatego wezwał cieślę, rzekomo pod pretekstem zreperowania podłogi, bo nie chciał, aby Gervaise tu wchodził. Uśmiechnęła się z zadowoleniem.

- Bardzo sprytny schowek, *monsieur* - rzekła na głos. -Może Josette by go znalazła, gdybym jej nie przeszkodziła. Ale nie jestem tego taka pewna. O ile pamiętam, nie dotykała płaskorzeźby w pobliżu tarczy. Pewnie rozum się jej na tyle zmącił, że już nie pamiętała,

gdzie jest mechanizm otwierający tajną skrytkę.

Już miała podnieść broń i wycelować w niego, ale doszła do wniosku, że jeszcze jest na to za wcześnie. Rzekła tylko:

- Proszę się odsunąć, Gervaise.

Patrzył na nią. Nie mówił nic, tylko patrzył.

- Owszem, obserwowałam pana przez cały wieczór. Oboje z Justinem spodziewaliśmy się, że właśnie dzisiaj wykona pan swój ruch. Czy nic zdziwiło pana to, że w domu nic ma służby? Justin kazał im zostać w kuchennym skrzydle. Chciał, abys dotarł, panie, bez przeszkód do tego pokoju. I tak się siało. Jest pan godną pogardy kreaturą, Gervaise.

Gervaise powoli odsunął się od reliefu. Najpierw był zaskoczony, potem zaskoczenie przerodziło się we wściekłość, a teraz jego przystojna twarz w ogóle pozbawiona była wyrazu. Spojrzał ponad jej głową. Pomyślał, że to raczej Justin powinien się tu zjawić, a nie ona. No to pewnie wkrótce przybędzie. Ani przez chwilę nie wątpił, że przekłety hrabia za chwilę wkroczy do komnaty.

- Szukasz mego męża, panie? Niebawem się tu zjawi.

Nie miała pojęcia, gdzie jest Justin. Modliła się w duchu, żeby Francuz jej uwierzył. Bardzo chciała go przekonać, że nie jest sama. Ale nie dał się tak łatwo nabrać. Domyślił się, że próbuje go zwieść. Uśmiechnął się z zadowoleniem. Jego ręka odsunęła się od pistoletu wiszącego u pasa i swobodnie opadła w dół.

- Pani mnie zaskoczyła, Arabello. Przyznaję. Czy wolno mi spytać, skąd pani właściwie się tu wzięła?

- Śledziłam pana, Gervaise. Podobnie jak mój mąż. Przez cały wieczór nie spuszczałam pana z oka. Byłam na balkonie i widziałam, że idzie pan do stajni. Poszłam za panem.

- Romantyczna przejażdżka w świetle księżycy - powiedział, uśmiechając się do niej. - W balowej sukni. Jakież to sentymtalne, *chere madame!* Ale żarty się skończyły. Koniec z galanterią i udawaniem. Błagam tylko, by pani nie zemdląła. Obiecuję, że nie zrobię pani krzywdy.

I nagle się roześmiał.

Arabella przyglądała się własnym paznokciom z wyrazem bezbrzeżnej obojętności na twarzy, dopóki Gervaise nie przestał się śmiać.

- Skończyłeś już, panie? To dobrze. A teraz posłuchaj. Owszem, masz rację. Tym razem rzeczywiście nie zrobisz mi krzywdy. Uważam jednak, i muszę ci to powiedzieć, że uwięzienie mnie w podziemiach było trochę zbyt ponure, jak na mój gust. Choć wtedy byłeś, panie, znacznie bardziej pomysłowy niż teraz. Proszę, nie przerywaj sobie poszukiwań.

Zastygł na moment, a potem wzruszył ramionami, tym typowym galijskim gestem wyrażającym wszystko i nic, a jednak niezmiennie obraźliwym.

- Doskonale. Będziesz, pani, świadkiem odzyskania mojego dziedzictwa. -

Wsunął dłoń do skrytki. Okrzyk wściekłości wyrwał mu się z gardła. - Nie ma nic! Nie, to niemożliwe! Nikt nie wiedział, oprócz Magdaleny, nikt. - Gorączkowo przeszukiwał mały schowek, ale nic tam nie było. Pusto. Aż dyszał z gniewu i niedowierzania.

Arabella na wszelki wypadek wołała się trzymać z dala.

- Czego nie ma, *monsieur*? Cóż takiego Magdalena ukryła w schowku?

Zdawało się, że zapomniał o jej obecności. Wpatrywał się tępo w pustą skrytkę.

- Smaragdy Trecassisów. Warte królewską fortunę. Nie ma ich. Nie ma.

Przez ułamek sekundy przed oczami Arabelli pojawiły się zamazane linijki listu Magdaleny do kochanka, których nie mogła wtedy w podziemiach odczytać. Poczula nagły skurcz w żołądku. Ojciec wysłał Magdalенę do Francji, w ogień niebezpiecznej rewolucji, po to, żeby przywiozła mu szmaragdy. To właśnie znaczyły w liście do kochanka słowo, że będą bogaci dzięki chciwości jej męża. Magdalena i jej kochanek chcieli uciec razem. Czy wymykała się z Evesham Abbey, być może z Elsbeth w ramionach, i spotykała się z Charlesem w ruinach starego opactwa? Czy mąż ich przyłapał? Zamordował kochanka Magdaleny? Czy w napadzie gniewu zabił też Magdalенę?

Zrobiło się jej słabo na samą myśl o tym, co pory wozy ojciec mógł zrobić. Gervaise odzyskał panowanie nad sobą. Odezwał się znacznie spokojniejszym głosem:

- Moja droga Arabello, ciekawi mnie niezmiernie, jak to się stało, że jest pani tak doskonale zorientowana w moich sprawach. Może to pani odnalazła te szmaragdy? - Zrobił krok w jej stronę.

- Nie, *monsieur*, nie znalazłam pańskich szmaragdów - odparła cicho, myśląc wciąż o ojcu i o tragicznych wydarzeniach sprzed wielu lat.

- Jakoś nie bardzo mogę w to uwierzyć. - Wyciągnął rękę, chcąc złapać ją za ramię.

Arabella odskoczyła w tył i wyjęła pistolet z fałd sukni. Spojrzała na niego z bezbrzeżną pogardą jaką do niego w tym momencie czuła.

- Nie jestem taka głupia, *monsieur*, żeby stawać twarzą w twarz z mordercą nie zabezpieczywszy się uprzednio.

Spojrzał na pistolet i cofnął się. Wyciągnął przed siebie dłonie w obronnym geście. Był wyraźnie zmieszany.

- Ależ ja obiecałem, że nie zrobię pani krzywdy. Jakie morderstwo? Morderstwo, *madame*? Ja mam być mordercą? Toż to absurd. To wszystko wytwór pani wyobraźni.

- Nie, Gervaise - rzekła twardo. - Wiem, że dopomógł pan nieszczęsnej Josette w upadku ze schodów. To oczywiste. Dlaczegoż starowina miałaby chodzić w nocy po domu bez żadnego światła? To było niedopatrzenie z pańskiej strony, że nie zostawił pan przy niej świecy. Czemu pan ją zabił, Gervaise?

Czy to dlatego, że przyłapałam ją w sypialni przed Tańcem śmierci”? Bał się pan, że opowie mi o szmaragdach, tak?

Milczał. Dodała więc zimno i dobitnie:

- Albo może zagroziła, że pana wyda? Że powie wszystkim, iż jest pan bękartem, synem Magdaleny? Czy powiedziała panu również, że uwiedzenie Elsbeth było pogwałceniem najświętszych praw natury? Modlę się jedynie o to, żeby Elsbeth nie dowiedziała się, iż jest pan jej przyrodnim bratem. To by ją zabiło.

W przyćmionym świetle świec jego twarz zrobiła się kredowobiała. Ciemne oczy zapłonęły goryczą i gniewem. Głos stał się szorstki i chropowaty.

- Nie, niech panią łycho, Arabello! Elsbeth nie wie. Ja sam nie wiedziałem, że jestem synem Magdaleny, dopóki ta stara mi nie powiedziała. Gdyby nie pani wścibstwo, *madame*, a także wścibstwo pani męża, byłbym teraz daleko stąd wraz z tym, co mi się prawnie należy. Nic z tego, co mi pani zarzuca, nie jest moją winą. Nic, droga pani. Przyjechałem tu jedynie odzyskać moją własność. Moją własność, słyszy pani?

- A co jest tą pańską własnością Gervaise? Przecież tak naprawdę nie jest pan żadnym hrabią. Nie jest pan nawet de Trecassisem! Jest pan bękartem, ot co! Jeżeli te szmaragdy istnieją to powinny należeć do Elsbeth, bo ona jest dzieckiem z prawego łóża. Nic tutaj nie jest pańskie.

Stał, patrząc na nią. Poruszał ustami w bezsilnej złości, nie mogąc znaleźć słów.

- Do diabła z Elsbeth! Gdzie są moje szmaragdy?

- Nie mam pojęcia. A czy wie pan, czyj to był szkielet znaleziony przeze mnie w

ruinach? Dowiedziałam się o tym dzięki temu, że tak sprytnie uwięził mnie pan w podziemnej celi. Znalazłam w kieszeni jego spodni list od Magdaleny do niego. Nie ma co do tego wątpliwości, Gervaise. Na imię miał Charles. To był pański ojciec!

Zobaczyła wszystko naraz w jego ciemnych oczach. Błysk zrozumienia łańcucha wydarzeń, które doprowadziły do tego, co zaszło dzisiaj. Rzucił się na nią.

- Niech cię piekło pochłonie, to twój ojciec go zabił!

Był rozpalony do białości i zaskoczył ją zupełnie. Jego palce zacisnęły się boleśnie na jej nadgarstku, pistolet wypadł jej z ręki i z głuchym łoskotem upadł na podłogę.

Odepchnął ją mocno od siebie, dysząc tak ciężko, jakby za chwilę miał wyzionąć ducha. Przytrzymała się oparcia fotela, żeby nie upaść. On tymczasem wyciągnął swój pistolet zza pasa. Przyglądała się milczeniu, jak podnosi z podłogi pistolet jej ojca i kładzie go na stole. Ręce mu wyraźnie drżały. Nie czuła wcale strachu, jedynie złość na samą siebie, że tak głupio pozwoliła się zaskoczyć. Gdyby tylko mogła się do niego zbliżyć, zaatakowałaby go bez wahania.

- A teraz, moja droga Arabello - powiedział miękko, śpiewnym głosem, jakby nic się nie stało - chętnie dowiem się od ciebie prawdy. I pośpiesz się, bo twój mąż już pewnie jest niedaleko.

- Nie mogę panu pomóc, Gervaise. Nic mi nie jest wiadome na temat szmaragdów de Trecassisów.

Jego twarz nagle przeszła całkowite przeobrażenie. Ciemne oczy rozwarły się szerzej. Uśmiechnął się nieprzyjemnie. Po raz pierwszy przestraszyła się go. Powiedział tym samym śpiewnym głosem:

- Wie pani, droga hrabino, jest pani doprawdy urocza. Może to i nie jest zły pomysł, by na razie dotrzymała mi pani towarzystwa w podróży, przynajmniej dopóki pani bogaty mąż nie wypłaci znacznej rekompensaty. Oczywiście wolałbym szmaragdy, ale jeśli nie powie mi pani, gdzie je pani ukryła, to trudno, nie będę się upierać. Spodoba się pani Bruksela, Arabello. Zostaniesz moją kochanką. Będziesz nią tak długo, dopóki twój mąż nie zapłaci za uwolnienie ciebie. Kto wie, a może już wtedy wcale nie będziesz chciała do niego wracać? Co o tym myślisz?

Śmiała się, i tak naprawdę to śmiała się z niego. Nie wiedziała, skąd się brał w niej ten serdeczny śmiech, ale była za niego wdzięczna. Brzmiał niemal szczerze.

- Czy naprawdę myślisz, panie, że uda ci się zmusić mnie do tego, bym ci towarzyszyła? Czy spodziewasz się, że pozwolę ci na to, żebyś mnie zgwałcił? Czy myślisz, że mój mąż nie zabiłby cię gołymi rękami, gdyby mnie się to najpierw nie udało? Czy w

najśmielszych marzeniach przypuszczałeś, że mogłabym woleć ciebie niż mego męża? Nie, widzę, że nie ośmieliłeś się mierzyć tak wysoko. A teraz do rzeczy. Nie wiem nic o pańskich szmaragdach, Gervaise. Tak, widzę dobrze, że pomysł porwania mnie stąd siłą tłumienia moich krzyków i bronienia się przed kopniakami, których, zapewniam, bym panu nie szczydziła, budzi jednak w panu pewne opory. I słusznie, bo nie zaznałby pan ode mnie niczego oprócz nienawiści i nieustannej groźby śmierci. Chyba pan w to nie wątpi, Gervaise?

W tym momencie z tyłu dobiegł głęboki męski głos:

- Zabiłbym cię, zanim zrobiłaby to moja żona, nędzniku. I tak jak powiedziała, zrobiłbym to gołymi rękami.

Arabella odwróciła się szybko i ujrzała w otwartych drzwiach hrabiego. W wyciągniętej przed siebie prawej ręce trzymał garść jasnozielonych kamieni, wśród których błyskały też i brylanty. Wielkie zielone klejnoty lśniły w blasku świec. Szmaragdy de Trecassisów. Ku jej zdumieniu Justin nie miał broni.

- Tak, *monsieur*. To ja mam pańskie przekłete szmaragdy.

Serce Arabelli podskoczyło na widok męża, tak spokojnego i opanowanego jak zawsze.

- Justinie, och, jak dobrze, że jesteś! Wiedziałam, że się zjawisz. Przykro mi, że dałam sobie odebrać pistolet, naprawdę mi przykro. Gdyby nie to, na pewno już bym go zabiła. Wybacz mi.

- Nic z tego. - Uśmiechnął się do niej. W jego uśmiechu nie było łagodności, ale wielka miłość, pasja i wściekły gniew. Dziwne to połączenie, jednak Arabella zrozumiała wszystko w lot i przyjęła ten gniew z pokorą. Zawsze tak będzie między nimi - uświadomiła sobie w tym momencie. Byli tak do siebie podobni, że będą ciągle walczyć ze sobą jak demony z samego piekła. Na szczęście była też między nimi niezwykle silna więź, która nigdy nie ulegnie rozerwaniu, lecz po każdym starciu będzie jeszcze silniejsza. Wierzyła w to równie mocno jak w to, że oboje przeżyją tę noc.

Hrabia odezwał się wreszcie do Gervaise'a:

- Wiedzieliśmy, że wrócisz tu, panie, dziś w nocy. Nie miałeś wyboru, skoro kazałem ci wyjechać jutro z Evesham Abbey. Zastanawiam się, czy wyjechałbyś, gdybyś nie znalazł szmaragdów. A może byś się ukrył gdzieś w okolicy w nadziei na następną próbę?

- Nie - odparł Francuz. - Wziąłbym jedną z kobiet jako zakładniczkę, dopóki byś nie zwrócił mi tego, panie, co moje. A szmaragdy są moje. Oddaj mi je. Hrabia pokręcił przecząco głową lecz rękę, w której miał szmaragdy, nadal trzymał wyciągniętą w stronę de Trecassisa.

- Tak, to by było skuteczniejsze rozwiązanie. Ale na szczęście nic takiego nam nie grozi. Czy uważasz mnie, panie, za głupca? Od kilku tygodni wiem, że nie jesteś legalnym hrabia de Trecassis. Choć mój informator nie był pewien co do twego prawdziwego pochodzenia, kazałem mu nadal prowadzić poszukiwania. Tak, *monsieur*. Zbierałem informacje na pana temat. Nie chciałem wypędzić pana z mego domu, dopóki nie dowiem się, o co panu chodzi. Domyśliłem się, że jesteś, panie, nędznym oszustem. Wiedziałem, że jesteś niebezpieczny, tylko nie domyślałem się, jak bardzo jesteś groźny, dopóki Arabella nie znalazła ciała Josette. Potem odgadłem, że zawałił pan ścianę w podziemiach opactwa, narażając na szwank życie i zdrowie mojej żony. Wtedy zrozumiałem, że chodzi panu o coś, co znajduje się w sypialni. Do każdej innej komnaty mogłeś wejść bez problemu. Wyobrażam sobie, jak musiałeś zgrzytać zębami, kiedy kazałem zamknąć drzwi na klucz. Ale dość tego. Dziś po południu, kiedy Arabella specjalnie trzymała pana z dala od Evesham Abbey, przeszukałem pański pokój. Bez dokładnych wskazówek przekazanych w liście przez Magdalenę Thomasowi de Trecassis, mówiących o tym, jak otwiera się tajną skrytkę, nigdy bym się nie dowiedział, czego pan tu szuka. Dzięki instrukcji Magdaleny było to szalenie proste. Domyślam się, jak bardzo musiałeś, panie, czuć się zawiedziony przez ostatnie tygodnie. Chyba nawet byłoby mi ciebie żal, gdybyś nie był ta- kim podstępny łotrem.

- Do diabła, te szmaragdy są moje!

Hrabia potrząsnął głową. Zwrócił się do Arabelli:

- Naprawdę żałuję, że nie zostałeś na balu.

Gervaise spojrzał na hrabiego. To było takie łatwe. Cała uwaga hrabiego skupiona była na żonie i nie miał przecież, nieszczęsny głupiec, broni. Gervaise wymierzył do niego z pistoletu.

- Dostanę je, milordzie. Proszę mi oddać moje szmaragdy! Hrabia ku nieopisanemu zdumieniu Arabelli popatrzył na Gervaise'a lekko znudzonym wzrokiem. Znudzonym?

- Jak pan sobie życzy, *monsieur* - powiedział. - Widzisz, panie, one wcale nie są takie ważne.

- Nie ufam ci, panie. Dlaczego nie przyniosłeś ze sobą broni? Coś, panie, knujesz. Wiem to. Tylko co?

Hrabia wzruszył ramionami. A następnie rzucił naszyjnik Francuzowi. Nie rzekł nic, patrzył tylko, jak Gervaise chowa klejnoty do kieszeni. Teraz skierował broń prosto w hrabiego.

- Wiesz, milordzie - rzekł swobodnie - to byłoby takie proste zabrać te szmaragdy. Ale nie, musiałeś koniecznie się w to wmieszać. Po co powiedziałeś, że deski się obluźowały i

zamknąłeś komnatę? A Arabella też musiała się wtrącić. Zmusiliście mnie oboje do podjęcia ostatecznych kroków, abym mógł wreszcie odzyskać to, co mi się należy. Stara Josette była niepotrzebnym balastem, z tymi jej wiecznymi tyradami na temat sumienia i obowiązku, ale szkoda, że zginęła. Powiem wam, jak było naprawdę, choć nie ma to dla mnie znaczenia, czy mi uwierzycie, czy nie. Chciałem porozmawiać z nią tamtej nocy. Uciekła przede mną... wystraszona, tak wystraszona, że wbiegła w ciemny korytarz, potknęła się i spadła ze schodów. A co zaś się tyczy oskarżenia mnie o zawalenie muru w ruinach, to naprawdę nie chciałem zrobić pani krzywdy, Arabello. Chodziło mi jedynie o to, żeby choć na chwilę pozbyć się z Evesham Abbey pana hrabiego. Cóż, gra się skomplikowała, milordzie, ale i tak mam zamiar wyjechać stąd z moimi szmaragdami. Wiem, że nie stanąłbyś, panie, przede mną bez broni, a zatem pewnie przed drzwiami sypialni czeka na mnie zbrojny oddział, czyż nie?

- Być może. Dowiesz się, panie, dopiero wtedy, gdy zdecydujesz się stąd wyjść.

- Gervaise zamilkł na chwilę, po czym mówił dalej zadumanym tonem:

- Wiesz, milordzie, że nigdy cię nie lubiłem. Jesteś zbyt dumny i arogancki, zupełnie jak stary hrabia, ten do gruntu podły człowiek. Oczywiście nie mogłem zjawić się tu po należną mi schedę, dopóki żył. Thomas de Trecassis ostrzegał mnie, że powinienem zaczekać, zalecał cierpliwość.

- Nie! Gervaise! Nie! To nie może być prawda! Ty nie jesteś złodziejem! Czy ukradłeś coś Justinowi?

Wszyscy spojrzeli w osłupieniu na Elsbeth, która stała na progu komnaty, oddychając ciężko po biegu po schodach na górę.

- Gervaise, przestań! Przecież mnie kochasz! Przynajmniej kochasz mnie jak kuzyna. Nie rób tego. Nie zniosłabym tego, gdybyś to zrobił.

Gervaise oprzytomniał pierwszy. Spojrzał na Elsbeth tak obojętnie, jakby patrzył na kogoś zupełnie obcego.

- Nie powinnaś była tu przychodzić, Elsbeth. Właśnie wyjeżdżam. Niczego nie ukradłem. Mam tylko to, co należy do mnie.

- Przyjechałeś tutaj, żeby mnie uwieść, prawda? To miała być zemsta?

- Nie, moja droga rzekł dziwnie łagodnym ciosem. -Przyjechałem tutaj, by odnaleźć szmaragdy de Trecassisów. Byłaś jak świeżo dojrzały owoc, który sam wpadł mi w ręce, Zawsze lubiłem dziewice, Elsbeth, i to wyczekiwanie, ten lęk te jęki bólu. Ale nawet jako dziewica nie bardzo mnie interesowałaś. Wybacz mi, Elsbeth, to nie są rzeczy, jakie dżentelmen powinien mówić damie.

Elsbeth wyprostowała się.

- Nie uważam cię za dżentelmena, panie - powiedziała bardzo wolno. - Uwiodłeś mnie, udawałeś, że mnie kochasz, i ani trochę cię nie obchodziłam. Czego zatem chciałeś?

Wyciągnął z kieszeni szmaragdowy naszyjnik.

- Tego - odparł. - Te szmaragdy są moje. Przyjechałem tu tylko po to, żeby je zabrać. Wreszcie je mam. Wyjeżdżam więc. Nie życzę ci źle, Elsbeth. Ale teraz już mi nie przeszkodzisz. Stój spokojnie, moja droga, albo pożałujesz tego, co zrobię z twoją siostrą.

Arabella zaśmiała się.

- Coś mi się zdaje, Gervaise, że dwukrotnie zapewnił mnie pan, iż nie uczyni mi krzywdy. Niech mnie pan nie rozśmiesza, bardzo proszę. Jest pan po prostu żałosny.

- Zamilcz, przekłeta!

- Gervaise - odezwała się Elsbeth, nie ruszając się z miejsca. - To wszystko jest jakimś nieporozumieniem. Czy przysięgniesz mi, że po prostu odjedziesz? Obiecuj, że nikomu nie zrobisz krzywdy.

- Nie, moja droga kuzynko. Nie mogę złożyć takiej przysięgi. Gdybyś nie była tak bardzo łatwowierna i tak prostolinijna, zdawałabyś sobie sprawę, że uzbrojeni ludzie tylko czekają na to, że opuszczą ten dom. Aż trudno mi sobie wyobrazić, że ciebie przepuścili. Nie widziałaś ich? Potrząsaszą głową. Może w takim razie kazano im pozostać w ukryciu, dopóki stąd nie wyjdę? Pewien jestem, iż dostali rozkaz, żeby mnie zabić. Spójrz na hrabiego. Jest taki spokojny i pewny siebie. Nie mam natury mordercy, w przeciwieństwie do pani ojca, *madame* -popatrzył na Arabellę. - Nie sądzę jednak, milordzie, abym miał nie spać po nocach z powodu pańskiego niefortunnego zgonu. Oko za oko, jak mówicie wy, Anglicy. A piękną Arabellę zabiorę ze sobą. Będzie moją zakładniczką. Elsbeth nie wziąłbym, ale pani hrabina to całkiem co innego. Jest jego córką, tego przekłętego łotra, który zabił mego ojca. Żaden z czekających na zewnątrz ludzi nie waży się mnie tknąć, dopóki ona będzie ze mną. Tak, oto wreszcie mamy najlepsze rozwiązanie.

Hrabia szybko ocenił odległość między sobą a Francuzem, biorąc pod uwagę również i to, że pistolet przeciwnika nie został jeszcze odbezpieczony. Wsunął rękę do kieszeni fraka, gdzie spoczywał mały pistolecik Arabelli, który zabrał wcześniej z szuflady nocnej szafki.

- Mam nadzieję, że zgnijesz w piekle razem z jej ojcem! -krzyknął Gervaise, odciągając kurek. Postąpił krok naprzód i wystrzelił.

- Nie! - Arabella rzuciła się do przodu, zasłaniając męża.

Ogłuszający huk wystrzału rozdarł ciszę panującą w komnacie. Arabella otrzymała potężne uderzenie, które odrzuciło ją w tył. Niejasno zdała sobie sprawę, że podtrzymuje ją w pasie ramię Justina. Dojrzała Gervaise'a, z twarzą wykrzywioną przerażeniem i gniewem, rzucającego się w stronę pistoletu, który leżał na stole. Poczowała, że ramię Justina unosi się gwałtownie, w jego rękę ujrzała swój własny mały pistolet i usłyszała huk. Coś dziwnego nagle stało się z Francuzem. Przycisnął dłoń do ramienia i osunął się na kolana. Justin zaklął. Elsbeth krzyknęła. Ten krzyk zdawał się dobiegać z bardzo daleka. Arabellę ogarnęło dziwne znużenie. Jak przez mgłę zobaczyła nad sobą twarz męża i spytała słabym głosem:

- Justinie, czy nic ci się nie stało? Najdroższy mój, nic ci nie jest?

Nagle jej ciało straciło ciężar, wydawało się jej, że Justin niesie ją gdzieś. Coś przy tym mówił do niej, ale nie była tego pewna. Słyszała łkania Elsbeth i chciała podejść do siostry, ale nie była w stanie. Mąż trzymał ją w ramionach. Dziwnie się czuła, jakby pozbawiono ją ciała. Miała wrażenie, że jakaś straszliwa nicość jest tuż-tuż.

- Ze mną wszystko dobrze - usłyszała jego głos. - Przepraszam, Arabello. Pistolet miałem schowany, bo wiedziałem, że z nim jesteś, i bałem się, że na widok broni wpadnie w popłoch i jeszcze wyrządzi ci krzywdę. Do licha, biję się w piersi za to, czego narobiłem przez własną głupotę. Powinienem być wejść i od razu zastrzelić łajdaka... Bez słowa, jak psa.

- Nie - szepnęła drżącym głosem. - To nie twoja wina. Niczemu nie jesteś winien. - Starła się skupić wzrok na twarzy męża, a tymczasem kątem oka dostrzegła jakiś ruch. Zimny, wszechpotężny strach od razu przywrócił ją do rzeczywistości. Gervaise wolno i niepewnie wstał na nogi, a potem szybko ruszył w stronę otwartych drzwi. Ujrzała, że odepchnął stojącą mu na drodze Elsbeth. Siostra upadła na podłogę i krzyknęła, uderzywszy głową o nogę od stołu.

- On ucieka-jęknęła.

- Nie martw się, Arabello. Daleko nie ujdzie. Ten łajdak się nie mylił. Tam już czekają na niego moi ludzie.

Znów udało się jej skupić wzrok na ukochanej twarzy.

- Justinie - szepnęła. - Ja chciałam go zabić. Powinien umrzeć za to, co zrobił Elsbeth. - Tego było już za wiele jak na nią. Ból rozdarł jej ciało, miazdząc ją wciągając w ciemność tak głęboką, że nie było z niej ucieczki. Nie chciała umierać, nie chciała zostawiać męża po tym, jak się w końcu pogodzili, nie chciała...

Leżała na łożu, a nad nią majaczyła twarz męża... niewyraźna i blada.

- Już dobrze, Arabello. Pał lichu Gervaise'a. To nieistotne. Tylko ty jesteś ważna. Tylko ty.

Przyjęła te słowa do wiadomości i leżała w ciszy. Jednak było coś jeszcze, o czym nie wolno było zapomnieć. Coś naprawdę ważnego, coś, o czym natychmiast musiała mu powiedzieć. Walczyła z ogarniającą ją ciemnością porywającą ją gdzieś daleko, daleko od niego...

- Justinie, wysłuchaj mnie...

- Nie, najdroższa, nie mów nic, proszę. - Usłyszała trzask pękającego materiału i dopiero po chwili dotarło do niej, że rozerwał jej suknię.

Spróbowała raz jeszcze, resztkami sił.

- Nie chcę umierać, ale wszystko może się zdarzyć. Na wypadek mojej śmierci musisz poznać prawdę. Justinie, proszę cię, posłuchaj. - Jej głos przeszedł w szept, szorstki i świszczący. Mąż pochylił się nad nią nisko. - Elsbeth jest przyrodną siostrą Gervaise'a. Magdalena była matką ich obojga. Przy szkielecie w ruinach znalazłam list. To był ojciec Gervaise'a, kochanek Magdaleny. Mój ojciec, och, to straszne... sędzę, że on zabił ich oboje. Odpowiedział jej głos męża, spokojny, niewzruszony jak skała:

- Rozumiem, Arabello. Zaufaj mi. Nie musisz się teraz niczym martwić.

A zatem wszystko w porządku. Pozwoliła, by ciemność ogarnęła ją nareszcie i zabrała gdzieś daleko, gdzie nie ma bólu.

Hrabia rozerwał jej suknię i jedwabną koszuli,-, odsłaniając ranę. Kula weszła tuż powyżej lewej piersi. Gdyby Arabella nie rzuciła się i nie zasłoniła go - pomyślał posepnie kula la trafiłaby go prosto w serce. W ciągu lat spędzonych na wojnie nauczył się skutecznie tamować krew. Zwinął mocno chusteczkę i przycisnął ją do rany. Między palcami trysnęła mu krew. Nawet kiedy usłyszał spieszne kroki służących, wbiegających na górę po schodach i spieszących korytarzem, nie podniósł głowy i nie zwolnił ucisku.

Nie poruszył się nawet, gdy człowiek nazwiskiem Potter, którego wcześniej wyznaczył na dowódcę uzbrojonych mężczyzn, stanął przy nim, dysząc ciężko.

- Mamy go, milordzie - wysapał wreszcie. - Przykro mi, ale musieliśmy do niego strzelać.

- Czy on nie żyje?! - To Elsbeth krzyknęła głośno.

- Jeszcze żyje, ale moim zdaniem długo już nie pociągnie.

Choć Justin kazał służbie zniknąć na dzisiejszy wieczór, na szczęście na odgłos wystrzału wszyscy przybiegli do tej części domu. Właśnie w progu, oddychając z trudem,

stanął Giles.

- O Boże, milordzie! Co robić?

- Jedź do Talgarth Hall i sprowadź doktora Branyona - rozkazał hrabia prędko.

- Powiedz, że pani hrabina została ranna i potrzebuje pomocy. Pędź co tchu. Powiedz mu też, że już po wszystkim.

Zza pleców Gilesa dobiegło znajome sapanie Cruppera.

- Giles sprowadzi doktora Branyona. A ty, Crupper, powiedz pani Tucker, żeby naszykowała czyste płótno i przyniosła tu dużo gorącej wody. Szybko. Crupper poruszył się niespokojnie.

- Tak, milordzie - rzekł w końcu. - Ale proszę, milordzie, pozwolic mi zabić tego nędznika.

- Tym zajmiemy się później, Crupper. Najpierw przynieś płótno i gorącą wodę.

- Tak jest, milordzie. Wszystko po kolei. Oczywiście zdrowie jej lordowskiej mości jest ważniejsze niż jakiś tam cudzoziemski chłystek.

Hrabia jedynie skinął głową. Cały czas uciskał ranę. Modlił się gorąco. Podniósł głowę i spojrzał na Elsbeth. Była bardzo blada. Teraz dopiero dostrzegł uderzające podobieństwo między nią i Gervaise'em. Biedna dziewczyna! Nigdy się o niczym nie dowie ani od niego, ani od Arabelli.

- Już dobrze, Elsbeth. Przykro mi, że Gervaise tak niegodnie wobec ciebie postąpił. Ale złe już minęło. Wszystko będzie dobrze. Nie płacz, Elsbeth. Nie warto. Ja wcale nie chcę go zabijać, ale, dziecko drogie, on powinien dostać to, na co zasłużył.

Elsbeth osunęła się na kolana. Zaczęła płakać, ale potem potrząsnęła stanowczo głową.

- Nie - rzekła cicho. - Nie będę płakać. Masz rację. On nie jest tego wart. Toteż nie płaczę z jego powodu. Proszę cię, powiedz mi, że Arabella wyzdrowieje. Nie pozwól jej umrzeć, Justinie. Proszę! To wszystko moja wina. Nie chcę, żeby umarła przeze mnie.

- Ona nie umrze, Elsbeth. I to nie twoja wina. Nie mów głupstw. Daję ci moje słowo, że Arabella nie umrze. Widzisz, ona jest moim życiem. Nie pozwolę jej umrzeć, gdyż sam byłbym wtedy martwy.

Mocniej ucisnął ranę. Spojrzał na bladą twarz żony. Arabella była nieprzytomna, Bogu dzięki. Modlił się w duchu, by na razie tak zostało. Tyle bólu ją jeszcze czekało. Kula nie wyszła z drugiej strony, a więc trzeba ją będzie wyjąć.

Bardzo gorąco pragnął, by Gervaise już nie żył.

Do pokoju wszedł Crupper, niosąc miskę z gorącą wodą i stos płóciennych ręczników.

- Sądzę, że nie powinno się tu nikogo wpuszczać, milordzie. Naturalnie z wyjątkiem doktora Branyona, którego spodziewamy się lada moment. A co się tyczy panny Elsbeth, to powiedziałem Grace, żeby odprowadziła młodą panią do jej komnaty. Och, pani Tucker, co pani tu robi? Cóż, milordzie, nie mogłem zabronić pani Tucker tu przyjść, tak bardzo się przejęła panią hrabiną.

Pani Tucker sprawiała wrażenie, jakby zaraz miała zemdleć i paść obok klęczącej Elsbeth.

- Pani Tucker polecił hrabia - bardzo proszę odprowadzić pannę Elsbeth do jej sypialni. Niech Grace się nią zajmie. Dziękuję. Wiem, że mogę na was liczyć, że dopilnujecie, by nikt więcej tu nie wchodził.

- Ale, milordzie, co z tym Francuzem?

- Czy on żyje, Crupper?

- Nie wiem, milordzie. Zejdę zaraz i upewnię się co do jego stanu. Mam nadzieję, że już po nim.

- Dziękuję, Crupper. - Justin ucisnął mocniej ranę, Chusteczka pod jego palcami przesiąknięta była krwią. Znów zaczął się modlić. Po jakimś czasie, gdy upewnił się, że krwotok stał się mniej intensywny, położył dłoń na jej piersi, Chcąc sprawdzić bicie serca. Było przyspieszone, ale rytmiczne. Spojrzał znów na jej bladą twarz i długie, czarne rzęsy. Tak bardzo przypominała jego własną twarz. Z wyjątkiem dołeczka w brodzie, którego nie miała. Przypomniawszy mu się ten dzień, tak dawno temu, kiedy ją pierwszy raz ujrzał i jak mu powiedziała, że ona nie ma tego dołeczka. Wspomniał jej gorzki, udręki i straszliwy smutek po śmierci ojca.

A teraz była naprawdę jego. Nareszcie wszystko zostało rozwiązane i wyjaśnione. Nie pozwoli jej umrzeć. Na pewno nie.

W końcu delikatnie oderwał chusteczkę od rany. Westchnął z ulgą, widząc, że krwawienie przybrało teraz postać nikłego strumyczka.

Nie podniósł głowy ani razu, dopóki do komnaty nie wszedł doktor Branyon.

- Dobry Boże, Justinie, cóż się tutaj wydarzyło? Giles powiedział, że de Trecassis strzelił do Belli. Co do diabła...

Hrabia odstąpił ranę na ramieniu żony i spojrzał wymownie na doktora.

Lekarz natychmiast odwrócił się, podniósł rękę i zatrzymał tym gestem w progu lady Annę. Rzekł krótko:

- Anno, proszę cię, nie wchodź na razie. Zejdź na dół lub idź do Elsbeth i zostań z nią. Później dowiemy się, co tu właściwie zaszło. Zejdę do ciebie, gdy tylko będę mógł.

- Nie, Paul, nie żądaj tego ode mnie! To moja córka!

- Proszę cię, Anno - wtrącił hrabia spokojnie. - Skoro Paul woli, żebyś wyszła, to zostaw nas. Gervaise zranił ją w ramię. Sam już najprawdopodobniej nie żyje. Błagam cię, zrób to, o co cię Paul prosi.

- Proszę cię, ukochana. Przeszkadzałabyś mi tylko. Zajmę się, -1 woja córką, najlepiej jak tylko można. Kiedy Giles przywiezie moje narzędzia, przyślij go od razu na górę.

Hrabia nie rzekł ani słowa. Przyglądał się w milczeniu, jak lady Anna odchodzi wolno. Każdy jej ruch wyrażał smutek i lęk. Podeszła do otwartych drzwi.

- Ona wyzdrowieje, Anno! - zawołał za nią doktor. - Obiecuję ci.

Lady Anna skinęła głową, a potem nagle przyszło jej na myśl, że to dziwne, iż Elsbeth już tu jest. A może była świadkiem niedawnych wydarzeń? Trzeba z nią jak najszybciej pomówić. I przytrzymując ręką sutą spódnicę, lady Anna co tchu popędziła korytarzem w stronę sypialni pasierbicy.

Kiedy doktor Branyon czyścił ranę i starał się dokładnie ustalić miejsce, gdzie mogła utkwieć kula, hrabia pokrótce opowiedział mu, co się stało. Mówił cicho, obwiniął wyłącznie siebie, a Paul, nie odrywając ani na chwilę wzroku, uspokajał go, że to nonsens.

- Nie, to prawda. Byłem skończonym głupcem, że nie wyciągnąłem od razu broni.

- Bałeś się o Arabellę i bardzo słusznie. Czy to już wszystko? Hrabia zastanowił się przez moment.

- Nie, są też inne sprawy, ale na razie nie mogę ci nic powiedzieć. To Arabella musi zdecydować, czy w ogóle powinno się o tym mówić.

Doktor Branyon skinął głową. Wyprostował się.

- Chyba zdajesz sobie sprawę, że muszę usunąć kulę, jak tylko Giles przywiezie moje narzędzia. Masz doświadczenie z rannymi. Musisz mi teraz pomóc.

- Dobrze. Ona będzie żyła, prawda, Paul? Musi żyć. To przecież druga połowa mnie samego.

- Wiem - rzekł doktor Branyon, patrząc na młodą twarz hrabiego, twarz, którą poznał i polubił w ciągu ostatnich kilku tygodni, tak tajemniczych i obfitujących w niebezpieczeństwa. Bella leżała przed nimi i była bliska śmierci. Za nic nie powiedziałaby jej mężowi, jak bardzo poważny jest jej stan.

Hrabia uświadomił sobie, że cały czas ścisną rękę żony. Napuścił jej ani na chwilę.

Arabella jęknęła.

Obaj mężczyźni zesztynieli, słysząc ten jęk, i spojrzeli na leżącą nieruchomo postać.

- To niesprawiedliwe, Paul - rzekł wzburzony hrabia. - To nieludzkie, że ona musi tak

cierpieć.

Przez moment Arabella czuła jedynie potężny ciężar na piersi. Z największym wysiłkiem zmusiła się do otwarcia oczu. Po chwili majaczące nad nią niewyraźnie twarze nabrały ostrości. Była oszołomiona, na wpół świadoma tego, co się z nią dzieje.

- Justin... doktorze... Obaj tu jesteście" Jakie to dziwne! O Boże, nie zniósę tego. - Jęknęła, jej ciało naprężyło się. Przepraszam, że jestem takim tchórzem.

Ból był nie do zniesienia, głęboki i rozdzierający. Przycisnęła głowę do poduszki, najmocniej jak mogła, a ciało samo wygięło się do góry, jakby próbując uciec przed bólem. Poczwała wilgotny okład na czole, a jednocześnie czyjeś mocne ręce przytrzymały ją za ramiona i zmusiły do pozostania w bezruchu.

Wolno zaczęła odzyskiwać władzę nad potwornym, palącym bólem. Przygryzła dolną wargę i zmusiła umysł do skupienia się na jednej bardzo ważnej sprawie.

- Moja najdroższa, czy słyszysz mnie?

Głos Justina. Czaił się w nim lęk i niepokój. Zła była na siebie, że jest przyczyną jego niepokoju. Zmusiła się do otwarcia oczu.

- Tak, milordzie. Co mogę dla pana zrobić? Proszę mi tylko powiedzieć, a spełnię każde pańskie życzenie.

- Bello, musisz być teraz dzielna. Trzeba usunąć kulę, która utkwiała w ramieniu. Czy rozumiesz? Doktor Branyon jest tutaj. Wiesz, że to doskonały chirurg. A niedługo będzie twoim ojczymem. Bardzo cię kocha. Na pewno ci pomoże. Jesteś w najlepszych rękach.

- Gervaise odwrócił moją uwagę, Justinie. Inaczej bym go zabiła. Przez własną głupotę zepsułam wszystko. Tak mi przykro. - Czy rzeczywiście słyszy śmiech? Nagle mąż gdzieś znikł, a ją znowu pochłonięła niezmierna ciemność bólu.

Hrabia nie odrywał od niej wzroku do chwili, gdy Giles na palcach wniósł torbę z narzędziami chirurgicznymi doktora Branyona. Spojrzał na ostry, wąski skalpel i cały zestaw innych równie niemiłych instrumentów.

- Boże, , ileż bym dał za to, żebyśmy mogli jej tego oszczędzić - powiedział drżącym głosem. Tyle razy słyszał krzyki holu rannych towarzyszy, zamierające dopiero wtedy, gdy głos odmawiał posłuszeństwa.

- Justinie, musisz przytrzymać ją mocno - polecił doktor rzeczowo. - Postaram się usunąć kulę jak najszybciej. Ona nie może się poruszyć w tym czasie, gdyż to zagrażałoby jej życiu. Trzymaj ją bardzo mocno. Musi być całkiem unieruchomiona. -Kiedy hrabia się zawahał, dodał łagodniej: - Twoja litość nic tu nie pomoże. Bardziej przyda się twoja siła.

Hrabia pochylił się nad żoną i oparł dłonie na jej ramionach. Nie chciał przygniatać jej

całym swym ciężarem. Łudził się, że może znów straciła przytomność, ale tylko do chwili, gdy doktor Branyon jednym pewnym ruchem zagłębił skalpel w ciele.

Szarpnęła się gwałtownie, a z gardła wyrwał się jej urywany krzyk.

- Do diabła, trzymaj ją! - krzyknął doktor Branyon.

Nagle Arabella przeniosła się w odległą przeszłość. Ojciec stał nad nią, wykrzywiając ironicznie usta, i kpiącym głosem powiedział:

- Zwykły upadek, a ty płaczesz i krzyczysz z bólu? Rozczarowujesz mnie bardzo, Arabello. - Wytargał ją jeszcze za uszy. - Nie będziesz mi tu udawać płaczelivej dziewczynki. Nie życzę sobie tego.

Stopniowo twarz ojca przemieniła się w twarz Justina. Był przy niej i wiedziała, że jej nie opuści. Zagryzła mocno dolną wargę, na języku czuła smak własnych łez, starała się stłumić krzyk. Dotknęła suchej wargi językiem. Poznała słony smak krwi. Zakrztusiła się gwałtownie i zacisnęła z całej siły zęby. Szepnęła do twarzy nad sobą:

- Nie będę tchórzem.

Hrabia spojrzał na nią bezradnie. Patrzyła na niego z napięciem. Odtąd nie wydała z siebie żadnego dźwięku.

- Bogu dzięki, znalazłem. Przytrzymaj ją teraz mocno, Justinie. Muszę wyciągnąć tę kulę.

Kiedy zakrzywiony nóż zamknął się pod kulą, Arabella poczuła szarpiącą eksplozję w głowie. Był to ból ponad ludzką miarę, jakiego dotąd nawet nie byłaby sobie w stanie wyobrazić. Rozpaczliwie starała się uciec od tego bólu, jakkolwiek, gdziekolwiek, ale nie mogła się ruszyć. Patrzyła bezradnie na rozmazane twarze nad sobą, zdławiła łkanie i wsunęła się z powrotem w litościwą ciemność.

- Arabello!

- Ona nie umarła, Justinie. Jest tylko nieprzytomna. To i tak zdumiewające, że wytrzymała tak długo.

Hrabia zmusił się do oderwania wzroku od poblądłej twarzy żony i spojrzał na zakrwawioną kulę.

- Nie ukruszyła się?

- Nie, Bogu dzięki. Moja mała Helia miała prawdziwe szczęście. - Doktor Branyon położył kulę i nóż na stoliku przy łożu. Wyprostował się i otarł wierzchem dłoni spocone czoło.

Hrabia zwilżył skrawek płótna i delikatnie obmył krew wokół rany, a potem wytarł czerwone strumyczki, które spłynęły między jej piersi.

- Podaj mi tamten proszek, Justinie. Zdezynfekuję ranę, potem obandażujemy ją i zrobimy temblak.

Hrabia zrobił, o co doktor prosił, zdziwiony, że jego ręce są tak spokojne podczas wykonywania tych wszystkich czynności. Wkrótce bandaż został założony, a ramię podwiązane na temblaku białym płótnem. Doktor Branyon wstał i poklepał hrabiego po ramieniu.

- Doskonale, Justinie. Krwawienie niemal całkiem ustało. Przy odrobinie szczęścia jedyne, czego możemy się teraz obawiać, to gorączka.

Hrabia zwrócił uwagę na to, że Arabella jest obnażona do pasa, a suknię ma podartą i poplamioną krwią.

- Jej koszula nocna, Paul. Muszę ją ubrać. Nie chcę, żeby Anna widziała ją w takim stanie.

- Nie, jeszcze nie. Pomóż mi zdjąć z niej resztę ubrania, a potem przykryjemy ją czymś lekkim. Nie chcę ryzykować następnego krwotoku. Na razie nie wkładaj jej żadnych koszul.

Nagą Arabelle, leżącą nieruchomo jak posąg, mąż okrył po szyję białym prześcieradłem. Następnie wyprostował się i rzekł:

- Zostanę z nią. Może zejdziesz na dół i pomówisz z Anną i Elsbeth?

- Dobrze. A potem przyprowadzę tu Annę. Niech zobaczy sama, że wszystko w porządku. To dzielna kobieta. Na pewno nie wpadnie w histerię. Hrabia skinął głową i od tej chwili całą uwagę poświęcił żonie.

Justin wypił potężny łyk kawy z filiżanki podanej przez lady Annę. Postawił filiżankę na spodku, nie odwracając ani na moment oczu od twarzy Arabelli. Wreszcie, zmuszając się do tego, by spojrzeć w inną stronę, rzekł:

- Wyglądasz na bardzo zmęczoną, Anno. Idź i odpocznij trochę. Będę tu cały czas. Zawołam cię, jeśli się coś zmieni.

- Nie, Justinie, nie mogę jej tak zostawić. Jeszcze nie. Spójrz tylko na nią. Leży tak nieruchomo. Chyba nigdy nie widziałam, żeby choć przez moment pozostawała bez ruchu. Nawet kiedy śpi, jest tak pełna życia, że wydaje się, iż cały czas się porusza. Jej ojciec powiedział kiedyś, że gdyby była żołnierzem... to z pewnością byłaby generałem... i nawet w śnie przeprowadzałyby plany kampanii. A teraz... o Boże... Chyba tego nie wytrzymam. - Zamilkła i zrozpaczona ukryła twarz w dłoniach.

- Paul powiedział, że z tego wyjdzie, Anno, a jemu można wierzyć. Idź odpocząć.

Opanowała się bardzo szybko. Nie należała do kobiet, które się załamują. Otarła łzy z policzków.

- Już dobrze. To dlatego, że kocham ją tak bardzo. - Wstała i podeszła do okien. Rozsunęła ciemnoniebieskie aksamitne zasłony i przewięzała je grubymi złotymi sznurami. Promienie słonecznego światła zalały sypialnię.

Przez chwilę ciepłe złote błyski muskały jej piękną twarz.

- Wiesz, Justinie, Elsbeth zgotowała mi prawdziwą niespodziankę. Obawiałam się, że przy jej wrażliwości i delikatności będzie szaleć z rozpaczy, a tymczasem jest niezwykle spokojna. Dopóki nie zszedł Paul, siedziała przed kominkiem i bez słowa wpatrywała się w płomienie. Grace była znacznie bardziej poruczona. Myślałam, że biedna dziewczyna rozplacze się, kiedy weszłam do pokoju, taką to jej przyniosło ulgę. Elsbeth opowiedziała mi, co zaszło. Dowiedziałam się, że Gervaise przyjechał do Evesham Abbey tylko po to, żeby ukraść szmaragdy. Wygnała mi też, że uwiódł ją podstępnie, a potem jej powiedział, że była dla niego zabawką, przelotną rozrywką, że powinna uznać ich znajomość za letnią affaire de coeur, nic więcej. I jeszcze śmiał ją pouczyć, że powinna wreszcie dorosnąć. Tu niespodziewanie Elsbeth sama oświadczyła, że miał rację. Myślę, że jest teraz na jak najlepszej drodze. Nie mogłam się przyznać, że wiem już o wszystkim, co było bardzo trudne. Tak ciężko mi było patrzeć na jej ból, Justinie. Ale to nie był ból związany z własnymi przeżyciami ani z powodu błędu, jaki popełniła. To było coś głębszego i miało związek z

Arabellą. Chyba jest święcie przekonana, że to z jej winy Gervaise strzelił do jej siostry. Musiałam ją długo przekonywać, że wcale tak nie było. - Lady Anna opowiedziała mu resztę, wracając myślami do rozmowy z Elsbeth poprzedniego wieczoru.

„Jestem dumna z ciebie, Elsbeth. Jesteś silna, o wiele silniejsza, niż się spodziewałam. Będiesz teraz żyła mądrzej i rozsądniej. Pojedziesz z nami, z doktorem Branyonem i ze mną, do Londynu. Całe życie przed tobą. Możesz robić, co chcesz. Zacznesz inaczej patrzeć na ludzi. Twoje przeżycia pomogą ci trafniej osądzać ludzkie charaktery i sytuacje. Broń Boże, nie wolno ci się bać czy też czuć się winną. Nie ulegaj żadnym niszczącym emocjom. Przygotuj się na to, żeby radzić sobie w życiu. Teraz zmieni się twój stosunek do wielu spraw”.

- I co myślisz, Anno? Czy otrząśnie się z tego i wróci do normalnego życia?

- Sądzę, że tak. Jak powiedziałam, Elsbeth okazała się niespodziewanie silna.

Na szczęście nie jest w ciąży, Bogu dzięki. To stworzyłoby poważny problem nawet dla mnie.

Uśmiechnął się odruchowo, a po chwili, gdy sobie to uświadomił, uśmiech zniknął z jego twarzy.

Lady Anna pokiwała głową i przeszła się po pokoju, żeby rozprostować zesztywniałe kości. Nalała sobie filiżankę herbaty, jako że nie lubiła czarnej kawy, podeszła do łóżka i spoglądała na córkę. Przyłożyła dłoń do czoła Arabelli.

- Bogu dzięki, nadal nie ma gorączki. Wolałabym, żeby Paul nie musiał puszczać jej krwi. Tyle jej straciła. - Roześmiała się. - Czy wiesz, że Paul musiał mi przypominać zeszłej nocy co najmniej trzy razy, że Arabellą ma końskie zdrowie... i to jak koń w rodzaju Lucyfera?

Hrabia powiedział bardziej do siebie niż do lady Anny:

- Zachowała się dzielniej niż niejeden mężczyzna ranny podczas bitwy. To był naprawdę nieludzki ból, a ona pokazała, że potrafi panować nad sobą. To niezwykła kobieta, Anno. Jestem bardzo szczęśliwym człowiekiem. A ty jesteś Szczęśliwą matką.

Lady Anna odparła wolno, z pełnym zadumy uśmiechem w pięknych oczach:

- Zawsze była odważna. Nigdy nie zapomnę tego dnia, kiedy porządnie się pokiereszowała. Jej ojciec rozgniewał się za to strasznie. Krzyczał na nią, że spadła z belki w stodole jak ostatnia nedorajda, że to niebezpieczne i żeby nigdy więcej nie ośmieliła się tam wchodzić.

Lady Annie zdawało się, że hrabia jej nie słucha, a on tymczasem nagle ocknął się.

- Stodoła, Anno? Mówisz ojej kryjówce?

- Aha, czy cię tam zaprowadziła? Potrząsnął przecząco głową.

- Jeszcze nie, ale to zrobi. Trochę mi tylko opowiadała.

- To jedno z jej najulubieńszych miejsc. Ale zdaje się, że sam się o tym zdażyłeś przekonać. Nigdy poważnie nie potraktowała zakazu ojca i miała rację. To jego własny strach zmuszał go do chronienia jej. Kryjówka mieści się pod samym dachem stodoły. Przy wrotach stoi specjalna drabina, po której można wejść na stryszek na samej górze. Mawiała zawsze, że to najlepsze miejsce, kiedy chce się trochę pobyc w samotności... nawet lepsze niż ruiny starego opactwa... gdyż nikt nie może jej tam dojrzeć ani usłyszeć. Nawet dziewczyny podczas dojenia krów mogą trajkotać ile wlezie na dole, ona i tak ich nie słyszy. Tak, jako dziecko często wspinała się tam, kiedy chciała być sama. Nigdy nie zapomnę tego dnia... miała wtedy nie więcej niż jakieś dziesięć lat... kiedy jedna z desek złamała się i biedactwo upadła z dwudziestu stóp na ziemię, łamiąc przy tym nogę, nie mówiąc o dwóch pękniętych żebrach. Miała szczęście, przecież złamanie nogi, nawet na pozór niezbyt groźne, może skończyć się trwałym kalectwem.

- Czy wtedy zakochałaś się w Paulu Branyonie? Kiedy udało mu się uratować jej nogę?

- No, niezupełnie. Zakochałam się w nim, kiedy wydawałam na świat Arabellę. Poród był bardzo długi, a Paul nie opuścił mnie ani na chwilę. Gdyby nie on, zapewne bym nie przeżyła. Przekonał mnie do walki o własne życie. Tak wiele zrobił dla nas przez te wszystkie lata.

- Tak - rzekł hrabia. Odstawił pustą filiżankę i ponownie usiadł blisko Arabelli. - Coś mi się zdaje, że doktor teraz robi wszystko, by uratować życie pana de Trecassis. Nie... to nie żaden pan de Trecassis, a jedynie przeklęty bękart...

- Jak to, Justinie? Co masz na myśli, mówiąc, że Gervaise nie jest panem de Trecassis?

Przeklął w myślach własną nieostrożność. Ze zmęczenia przestał się kontrolować. Na śmierć zapomniał, że kilka faktów nadal pozostawało ogólnie nieznanymi. Trudno nad tym wszystkim zapanować. Cóż, teraz już za późno.

- Justinie? Podał się.

- No dobrze. W takim razie powiem do końca. Kiedy Arabella została podstępnie uwięziona w ruinach opactwa, znalazła list w kieszeni spodni tego tajemniczego szkieletu. Adresowany był do mężczyzny imieniem Charles. Z listu wynikało, że to był ojciec Gervaise'a. A Magdalena była jego matką i kochanką tego mężczyzny.

Lady Anna wpatrywała się w niego zaskoczona, dopiero po chwili dotarło do niej

znaczenie tych słów.

- Och, nie! - wykrzyknęła. - Elsbeth nigdy nie może się dowiedzieć. Nigdy!

- Zgadzasz się z tobą. Prawdę mówiąc, nie miałem zamiaru mówić ci o tym. Arabella wyznała mi prawdę, ponieważ bała się, że umrze, a wiedziała, że może mi zaufać. Sądzę, że teraz nie ma to większego znaczenia. Powiedz Paulowi, jeśli chcesz. Nie wiem, co Arabella zrobiła z tym listem. Jest jeszcze jedna rzecz. Ten Charles i Magdalena... Oni oboje umarli mniej więcej w tym samym czasie. Arabella nie powiedziała mi o tym wcześniej ze względu na lojalność wobec ojca. Gdyby Gervaise nie strzelił do niej, pewnie nikomu by nie powiedziała, nawet mnie. Uważa ojca za mordercę.

Lady Anna przemierzała pokój w tę i z powrotem, zatrzymując się co chwila, by popatrzeć na córkę, wciąż śpiącą głęboko po dużej dawce laudanum.

- Czy wiadomo ci coś na ten temat, Anno?

- Nie. Zastanawiam się, czy gdyby uznał, że został zdradzony, nie zawahałby się... Morderstwo? Nie, to nic pasowało do niego. Sądzę, że raczej wyzwał tego człowieka na pojedynek. Miał absolutne zaufanie do własnych umiejętności we władaniu bronią. Całkowite. Żaden człowiek nic mógłby dotrzymać mu pola. Mam nadzieję, że Arabella opowie nam coś więcej, kiedy się obudzi.

Jeśli się obudzi. W tej chwili nie mógł nawet o tym myśleć. Jej siła witalna, żywiość i energia były mu potrzebne do życia jak powietrze i światło.

- Muszę wyjść, Anno. Wrócę za kilka minut. Patrzyła za nim, gdy wychodził.

Dziedziniec gospodarczy przed stodołą tętnił porannym życiem, kiedy hrabia Strafford, ubrany jedynie w spodnie i rozpiętą pod szyją, pomiętą płócienną koszulę, szedł w stronę stodoły. Parobcy zajęci byli ładowaniem widłami stert świeżego siana do dużych drewnianych skrzyń, pastusi wypędzali tłuste bydło na pastwisko. Pojawienie się pana we wrotach stodoły przerwało wszystkie rozmowy, żarty i pogawędki. Zapanowała niezręczna cisza. Nawet główny koniuszy Corey zamilkł.

Hrabia nie zauważył, że stał się przyczyną ogólnej nerwowości. Wszedł do środka i natychmiast po lewej stronie dostrzegł niewielką, wąską drabinę. Postawił stopę na pierwszym szczeblu. Obojętnie potraktował fakt, że drabina jęknęła pod jego ciężarem. Zręcznie i szybko wspiął się na górę, po czym ostrożnie przeszedł na wąską półkę otaczającą stryszek. Znalazł się w wydzielonej przestrzeni, przypominającej niewielki pokoik wychodzący na wzgórze, które wznosiły się łagodnie za północnym pastwiskiem. Było to miejsce ustronne, idealne do osobistych przemyśleń i refleksji, miejsce do marzeń. Arabella przychodziła tutaj, kiedy chciała być sama. Odetchnął głęboko.

Tak, czuł jej zapach, tu, w powietrzu, ale było to zaledwie ulotne tchnienie jej samej, nic z jej żywotności i energii, nic z tego, co czyniło ją tak niezwykłą. To tu była wtedy, kiedy myślał, że zdradziła go z tym przeklętym Francuzem. Przeklął ironię losu. Gdybyż jej wtedy nie zobaczył... gdyby...

Przez dłuższą chwilę stał w milczeniu. Z daleka dobiegało porykiwanie krów i stłumione odgłosy codziennej krzątania w gospodarstwie.

Wolno zszedł z powrotem na dół i wyszedł ze stodoły. Spojrzał tępo na potężny, powykręcany wichrem dąb. To tu, kiedy stał pod nim, tak dawno temu, był świadkiem rzekomej zdrady Arabelli. Znowu poczuł tamten gniew, gorzyc i obezwładniającą pustkę. Ujrzał Arabellę w noc poślubną, jej twarz rozjaśnioną oczekiwaniem, dopóki nie przekonała się o jego gniewie, dopóki nie posiadał jej siłą, nie upokorzył.

Odwrócił się wolno i poszedł w stronę Evesham Abbey. Po drodze usłyszał rozmowę dobiegającą z Pokoju Aksamitnego, więc zatrzymał się na chwilę. Rozmawiali lord Graybourn i Elsbeth. On siedział obok niej na kanapce i trzymał ją za rękę. Mówił cicho, a ona kiwała potakująco głową.

Lord Graybourn spostrzegł niekompletny strój hrabiego i wyraz cierpienia w jego oczach. Wstał spiesznie z kanapki.

- Zechce mi pan wybaczyć to najście, milordzie. Pomyślałem, że dotrzymam towarzystwa pannie Elsbeth... Chciałem ulżyć trochę jej niepokojom i pocieszyć ją.

Uśmiech na twarzy hrabiego wcale nie był wymuszony. Justin był szczerze zadowolony, że lord Graybourn się zjawił. Był to dobry człowiek, solidny, odpowiedzialny i troskliwy.

- Jesteś, panie, zawsze mile widzianym gościem. To niezwykle uprzejme z pańskiej strony, że stara się pan odwrócić myśli Elsbeth od przykrych wydarzeń. - Mówiąc to, spojrzął na Elsbeth i przypomniały mu się dzisiejsze słowa lady Anny. Teściowa miała rację. W Elsbeth nie było już nic z dziecka.

Na kanapce siedziała młoda kobieta, która patrzyła na niego spokojnie, choć ze smutkiem. Trochę żal mu się zrobiło tej utraconej niewinności, dziecinnej wesołości, którą okazywała przy każdej okazji. Naprawdę szkoda, ale cóż, takie jest życie. Szale muszą się wyrównać. I tak trzeba czasu, żeby się przekonać, co z tego wszystkiego ostatecznie wyniknie. No i może potrzeba lorda Graybourn.

Podszedł do niej i ujął jej rękę.

- Arabella śpi głęboko. To twarda sztuka, wiesz o tym, Elsbeth. Szybko dojdzie do siebie.

Skinęła głową, a na jej twarzy pojawił się przez moment wyraz bólu. Powiedziała spokojnie:

- Czy wiesz, milordzie, że doktor Branyon poszedł do niej?

- Nie, nie wiedziałem.

- Wstąpił tu na chwilę, żeby mnie zawiadomić, iż Gervaise umarł. I tak podobno była niewielka nadzieja, gdyż Straci! zbył wiele krwi.

- W takim razie już po wszystkim. Hrabia poczuł lekkie ukłucie smutku i żalu. Taki miody i lak głupio stracił życie. Cóż, chciwość go do tego przywiodła.

- Tak, już po wszystkim. Oczywiście żal mi, że on nie żyje, ale też myślę, że zasłużył sobie na śmierć tym, że strzelił do Arabelli.

- Strzał był wymierzony we mnie, Elsbeth. Arabella uratowała mi życie.

- Panno Elsbeth - odezwał się lord Graybourn, przysuwając się do niej. - Nie chcę, żeby pani się tak smuciła. Może jeszcze herbaty?

Hrabia tymczasem myślał o tym, co powiedziała Elsbeth. Gervaise nie żyje. Uczucie żalu z powodu jego śmierci, jakiego doznał w pierwszej chwili, już nie wróciło. W końcu człowiek ten omal nie zniszczył ich życia. Szybko wyszedł z Aksamitnego Pokoju i udał się na górę.

- Ach, jesteś, Justinie. - Doktor, pochylony nad Arabella, wyprostował się. -

Na razie nie ma gorączki. Oddycha wolno i spokojnie. Jeżeli nie pojawi się gorączka, to nasza mała Bella wyzdrowieje bardzo prędko.

Hrabia odetchnął z ogromną ulgą.

- Śmiertelnie się bałem. Jednak chyba po raz pierwszy wierzę ci, doktorze.

- To dobrze. Aha, Gervaise nie żyje.

- Tak, Elsbeth mi powiedziała.

- Jest jeszcze coś. - Doktor Branyon sięgnął do kieszeni fraka i wyciągnął szmaragdowy naszyjnik. - Wyjąłem to z jego kieszeni.

Rzucił szmaragdy w stronę Justina, który złapał je zręcznie i przez chwilę przyglądał się im z zadumą.

- Przeklęte kamienie - rzekł. - Gdybym od razu powiedział mu prawdę, może wszystko potoczyłoby się inaczej, ale tego nie zrobiłem. Oszukałem go, drażniłem się z nim i spójrzcie tylko, do czego to doprowadziło.

- Jaką prawdę, Justinie? - spytała lady Anna. - O czym ty mówisz?

Nim hrabia zdążył odpowiedzieć, Arabella jęknęła cichutko, zupełnie jak małe dziecko.

- W ogóle nie miała gorączki - rzeki doktor Branyon z wyraźnym zadowoleniem. Nic miał zamiaru rozgłaszać, że sam z tej radości, iż wyzdrowiała, obiecał spełniać dobre uczynki do końca życia. - Tak, jak ci powiedziałem, Anno. Arabella ma zdrowie jak koń.

Zmienił właśnie opatrunek, pokiwał głową wyrażając pełną aprobatę dla postępów leczenia, wyprostował się i umył ręce w misce, którą trzymał przed nim hrabia.

- Mówisz, doktorze: jak koń? Nawet nie klacz? Piękna młoda klaczka?

- Dokładnie tak, Bello. Masz odporność Lucyfera i bądź wdzięczna za to. A teraz, żeby wszystko było jasne. To ja uratowałem ci życie, ale nie sam, gdyż od czasu do czasu zjawiał się tu Justin, załamując ręce, a i twoja matka wsuwała głowę przez drzwi, pytając, jak się czujesz.

Arabella roześmiała się serdecznie.

- Jesteś niegodziwy, doktorze. Nie wiem, czy chcę, żebyś został moim ojczymem - rzekła, niby nadaśana. Ujęła rękę Justina i zmusiła go, by usiadł przy niej na łożu. - Naprawdę przychodziłeś tu od czasu do czasu? I załamywałeś ręce? Choć trochę?

- Co najmniej raz dziennie na całe pięć minut - odparł, pochylając się nad nią i składając pocałunek na jej ustach. - To samo odnosi się do załamywania rąk. Podniosła rękę, chcąc dotknąć twarzy męża, ale przypomniała sobie o obecności matki i doktora. Ręka opadła na posłanie.

- Jak dobrze jest żyć! Dziękuję wam wszystkim. A jak się miewa Elsbeth?

- Zupełnie nieźle, odkąd dowiedziała się, że wracasz do zdrowia odparła lady Anna. - Nie martw się o nią, Arabello. Wszystko, co należało jej powiedzieć, zostało powiedziane, i nic, czego nie powinna wiedzieć, nie zostało ujawnione.

Hrabia zagwizdał.

- Bardzo misternie to ujęłaś, Anno. Dobrze też świadczy o mojej inteligencji, że pojąłem, co chciałaś przez to powiedzieć.

- Ulżyło mi - rzekła Arabella. Chwilę później spała głęboko.

- Rzeczywiście jej ulżyło - przyznał hrabia. - Od razu usnęła.

- Justinie, doprawdy. To śmieszne. Przecież jestem w stanie o własnych siłach przejść przez pokój. - Protesty Arabelli nie przyniosły jednak żadnych rezultatów. Mąż uśmiechnął się do niej czule, niosąc ją w stronę wygodnej kanapki, którą przesunął bliżej okna. Było piękne, słoneczne popołudnie.

- Zechciej spocząć, pani - rzekł dwornie, sadzając ją na kanapce. Poprawił poduszkę. Okrył jej nogi lekkim pledem. Miała na sobie jedwabny peniuar brzoskwiniowego koloru, który bardzo delikatnie pomógł jej nałożyć i w którym wyglądała nadzwyczaj ponętnie, o czym w dodatku nie miała pojęcia. Musiał wziąć głębszy oddech, aby nieco się opanować.

- Czy już ci mówiłem dzisiaj, że wyglądasz wyjątkowo pięknie?

- Tak, dziś rano. Była to pierwsza rzecz, jaką usłyszałam, gdy otworzyłam oczy. Ale pomyślałam, że trochę przesadzasz. O ile pamiętam, włosy zasłaniały mi wtedy twarz.

- Czy mówiłem ci już, że jesteś dla mnie ważniejsza niż moja kolekcja broni?

- Nie, tego jeszcze nie słyszałam. Jednak nie chcę, byś się czuł zmuszany do czegokolwiek. Jeśli nie jesteś jeszcze gotów, żeby mi to powiedzieć, zrozumieć. Powinieneś powoli przygotowywać się do takiej wypowiedzi, milordzie, gdyż jest to bardzo poważny krok.

- Dobrze - rzekł, ustawiając krzesło naprzeciwko i siadając na nim. - Wezmę sobie do serca twoją radę i nie będę nic przyśpieszał. - Pochylił się, pocałował ją, lekko przesunął palcami po jej nosie, policzkach i wzdłuż linii podbródka. - A jeśli okażesz się tego warta, umyję ci nawet włosy.

Jej szare oczy zapłonęły podnieceniem. Poruszyła lekko grubym warkoczem opadającym na ramię.

- Bardzo proszę. Tylko powiedz mi, co mam zrobić, żeby być tego warta? Reakcją na to pytanie było szarpnięcie w lędźwiach.

- Ach, na to jest jeszcze trochę za wcześnie. To musi poczekać, podobnie jak moja kolekcja broni.

Nie zrozumiała, ale on nie oczekiwał po niej, że zrozumie. Uśmiechnął się do niej i pogłaskał ją po policzku.

- W porządku, może później. Nie, nie kłóć się ze mną. Chcę, żebyś naprawdę dobrze wypoczęła. Zjemy razem kolację. Jeśli wieczorem będziesz wyglądać równie ponętnie jak teraz, to pewnie postawisz na swoim.

Uśmiechnęła się do niego, a był to najpiękniejszy uśmiech, jakim go kiedykolwiek obdarzono. Znów westchnął głęboko, pocałował ją i jeszcze raz, i jeszcze, a potem wyprostował się, słysząc dyskretne chrząknięcie w drzwiach.

- Ach, Paul. Przyszedłeś nam przeszkadzać w miesiącu miodowym?

Arabella próbowała podciągnąć wyżej pled. Ból wywołany tym ruchem wykrzywił jej twarz.

Hrabia delikatnie podniósł jej rękę i położył na pledzie.

- Powiedziałem ci, że masz odpocząć. Nie wolno nadwierać ramienia w żaden sposób. Bądź posłuszna, Arabello, inaczej powiem Paulowi, żeby się ostro za ciebie wziął.

- Przynajmniej wreszcie pozwoliłeś mi włożyć nocną koszulę.

- Prawdę mówiąc, dość niechętnie - odparł mąż, całując ją znowu. - Niestety, Paul nalegał. Powiedział mi, że mam unikać pewnych wzruszeń co najmniej przez najbliższe dwa tygodnie.

- Co? Ja tak powiedziałem? - Doktor Branyon podszedł do nich. - Moja droga - zaczął i natychmiast przyłożył dłoń do czoła Arabelli. Potem pochylił się, słuchając serca. Wreszcie ujął przegub jej dłoni. - Ach - westchnął w końcu z zadowoleniem. - Cóż za doskonały lekarz ze mnie! Ledwo tydzień minął, a tu proszę bardzo. Bello, wyglądasz pięknie jak zwykle. Po prostu kwitniesz. A oto twoja jeszcze piękniejsza matka. Anno, chodź do nas i daj nacieszyć się twojej córce swoją obecnością.

Arabella roześmiała się. Cudowny śmiech - pomyślał hrabia i aż mu się chciało krzyczeć z radości.

Doktor Branyon zbadał ramię, a potem wyprostował się, dodając:

- Znakomicie, po prostu znakomicie. Lady Anna pogłaskała czule dłoń córki.

- Przeprowadziłabym ze sobą Elsbeth, ale właśnie jeździ konno z lordem Graybournem. Nie muszę dodawać chyba, że lord Graybourn opuścił Talgarth Hall. Tego byłoby zbyt wiele dla zacnej Aurelii. Zatrzymał się w zajezdzie Pod Koroną, w najlepszym pokoju, jaki pani Current ma dla swoich gości. A teraz powiedz mi, kochanie, czy ci dwaj panowie bardzo ci dokuczali?

- Ależ nie, mamu. Doktor Branyon był dziś dla mnie wyjątkowo łaskaw. A jeśli chodzi o mego pana męża, to obiecał nawet, że wieczorem umyje mi włosy.

- To prawda - poświadczył pan mąż. - Ale tylko wtedy, jeśli będzie mi posłuszna. We wszystkim.

Lady Anna zamrugnęła z niedowierzaniem, a potem uśmiechnęła się radośnie.

- Ta sielanka między wami zaczyna mnie nieco niepokoić. Jest w niej coś nienaturalnego. Arabello, proszę cię, córeczko, odzyskaj jak najszybciej siły. Nie mogę się doczekać następnego starcia. Chcę, żebyście znowu zaczęli na siebie krzyczeć.

- Nigdy - obiecał hrabia.

- Och, mamu - dodała Arabella. - Przecież to anioł, ten mój mąż. Prawdziwy ideał.

Lady Anna zaczęła odliczać na palcach.

- Co mama robi?

- Zastanawiam się, ile to potrwa. Gotowa jestem nawet się założyć. Myślę, że za jakies

osiem dni znów zaczniecie na siebie warczeć. Nie mogę się tego doczekać. Znowu poczuję się w Evesham Abbey jak w domu.

- To się nazywa kochająca matka - zauważył żartobliwie hrabia.

- Osiem dni, mamó? Tylko tyle nam mama daje?

- I chyba wystarczy - odparł hrabia, ściskając wymownie palce żony.

- Właśnie przypomniała mi się jedna rzecz. Doktor Branyon zwrócił się do hrabiego: - Justinie, zacząłeś mówić nam coś i wtedy Arabella się obudziła.

Co chciałeś powiedzieć? To było pięć dni temu, doskonale pamiętani. Czy to coś ważnego? Wspomniałeś wówczas, o ile dobrze sobie przypominam, że gdybyś nie oszukał Gervaise'a, wszystko potoczyłoby się inaczej.

Hrabia wypuścił dłoń Arabelli.

- Na śmierć zapomniałem. Zaczekajcie moment, proszę, Wstał i podszedł do małego biurka stojącego w rogu wielkiej sypialni. Za chwilę wrócił do nich ze szmaragdowo-brylantowym naszyjnikiem w ręku. Zielone kamienie zaśniły w jasnych promieniach słońca.

- Naszyjnik? - powiedziała Arabella. - Co on ma z tym wszystkim wspólnego?

- Tamtej nocy, kiedy przyłapaliśmy Gervaise'a na gorącym uczynku, trzymałem w ręku ten naszyjnik. Potem rzuciłem mu klejnoty, jakby dla mnie w ogóle nie miały znaczenia. Cóż, prawda jest taka, że te kamienie nie mają żadnej wartości. Są sztuczne, podobnie zresztą jak brylanty. Powinienem był mu to powiedzieć. Gdyby o tym wiedział, być może sprawy potoczyłyby się inaczej.

- W zasadzie chyba nie sprawiłoby mu to różnicy - rzekła po chwili namysłu Arabella.

- Najwyżej jeszcze bardziej by się rozżłościł. To znaczy, gdyby ci w ogóle uwierzył.

- Chyba masz rację - pokiwał głową jej mąż, z błyskiem w szarych oczach. - Nie uwierzyłyby mi ani na jotę. Gdybym ja był na jego miejscu, też bym nie uwierzył.

- Sztuczne - rzekła w zamyśleniu lady Anna. Wzięła szmaragdy od zięcia i przyjrzała się im w świetle słońca. - Całe to nieszczęście z powodu sztucznych klejnotów bez żadnej wartości. Pewnie rodzice Magdaleny wiedzieli o tym, dając je córce, żeby zawiozła twemu ojcu, Arabello. Prawdziwe miały być częścią jej wiana, a tymczasem oni przekazali bezwartościowy naszyjnik. Chyba nie wierzyli, że hrabia się nie pozna? Ach, ale tak straszne rzeczy działy się w tym czasie we Francji. Sztuczne. To nie do wiary.

- I ten diabelny naszyjnik leżał ukryty w płaskorzeźbie cały ten czas rzekł doktor Branyon. - Cekał tylko, aby go ktoś znalazł. Szkoda, że w ogóle istniał. Tyle nieszczęść przez niego się stało.

Po policzku Arabelli spłynęła łza.

- Nie płacz, ukochana - szepnął łagodnie hrabia i z należytą ostrożnością, delikatnie wziął ją w ramiona. - Nie płacz. Czy ufasz mi?

Skinęła głową, przetykając łzy, które mimo to nadal płynęły, jedna za drugą.

- Dobrze. Chcę, abyście wszyscy to usłyszeli. W dniu, w którym odbywał się bal u Talgarthów, przeszukałem pokój Gervaise'a. Znalazłem list napisany do niego przez jego wuja Thomasa de Trecassis. Najwyraźniej brat Magdaleny nie miał pojęcia, że szmaragdy są bezwartościowe. To z listu dowiedziałem się, gdzie dokładnie ukryty został naszyjnik. Ale nie to jest najważniejsze. Najważniejszy był inny list, o którym dowiedziałem się od Arabelli, kiedy została ranna i bała się, że nie przeżyje...

- Nie, Justinie, proszę cię, nie!

- A ja cię proszę, zaufaj mi. Nie masz się czego bać. Uwierz mi.

Mimo to bała się ogromnie, ale trzymał ją za rękę i spojrzał jej głęboko w oczy. Wreszcie wyraziła zgodę skinieniem głowy.

- Paul - odezwał się hrabia, uzyskawszy przyzwolenie. - Proszę, przeczytaj ten list. To od Magdaleny do jej kochanka Charlesa, którego szkielet Arabella znalazła w podziemiach.

Doktor Branyon wziął pomięty i poźółkły kawałek papieru. Wyglądał go starannie. Podeszedł do okna, tak że promienie słońca padały wprost na list. Przez bardzo długą chwilę milczał, od czasu do czasu marszczył brwi, chwilami widać było, że ma trudności z odczytaniem jakiegoś słowa. Wreszcie podniósł głowę.

- To nie do wiary! Wprost niewiarygodne! Anno, spójrz tylko. Bello, moja droga, wyobrażam sobie, że pewnie bałaś się powiedzieć komukolwiek o swoim znalezisku.

- Chodziło o mego ojca. Kochałam go. Wyznałam wszystko Justinowi, ponieważ myślałam, że umrę. Z tego listu wynika, że mój ojciec jest mordercą. Proszę was wszystkich, obiecajcie mi solennie, że prawda nigdy nie wyjdzie poza ściany tej komnaty.

- Wiesz przecież, że zawsze możesz liczyć na naszą dyskrecję- oświadczył poważnie jej mąż. - Ale nadszedł czas, Arabello, abyśmy wszyscy wreszcie poznali prawdę. Paul, opowiedz nam, jak to było.

- Dobrze. Ja też uważam, że nadszedł czas, by ostatecznie wszystko wyjaśnić. Magdalena wróciła z Francji tylko po to, żeby zabrać Elsbeth. Najprawdopodobniej potem zamierzała uciec z kochankiem do kolonii. Naszyjnik szmaragdowy przywiozła ze sobą. I wtedy twój ojciec musiał ich przyłapać. Żona zdradziła go, chciała wykraść dziecko i uciec z kochankiem. Miał prawo wpaść w gniew. Tak, wygląda na to, że zastrzelił tego Charlesa. Ale w tym nie ma nic niehonorowego. Uważaj teraz, Bello. Twój ojciec nie zamordował Magdaleny. Ona popełniła samobójstwo. Byłem tu wtedy. Byłem przy niej podczas ostatnich

chwil jej życia. Nie będę cię okłamywał, twierdząc, iż kochał ją i rozpaczał z tego powodu, że zamierzała go opuścić, bo tak nie było. Zdradziła go. Nie zabił jej jednak, choć jestem sobie w stanie wyobrazić, że przeczytawszy ten list, mogłaś wysnuć takie przypuszczenie. Nie, ona sama odebrała sobie życie. Przysięgam ci. Musiała ukryć szmaragdy i napisać do brata, zanim mąż przejrzał jej zamiary. Zapewne uznała, że należą się jej synowi Gervaise'owi. - Zamilkł, po czym wziął głęboki oddech.

- Twój ojciec na pewno nie darzył jej miłością, ale jej nie zabił.

Łzy przestały płynąć, lecz nadal nie podnosiła głowy. Justin dojrzał błysk bólu w jej oczach i domyślił się, że ramię dało o sobie znać. Nie powiedział nic. Pozwolił jej samej odzyskać panowanie nad sobą.

- Spadł mi właśnie z serca niewyobrażalny ciężar wątpliwości i rozterek - rzekła wreszcie. - O wszystkim wiedziałeś, doktorze, a mnie nigdy nie przyszło do głowy zapytać cię.

- Nie jestem pewien, czybym ci powiedział prawdę, Bello, nawet gdybyś mnie zapytała. To dawne dzieje, a poza tym była moją pacjentką. Ale teraz uważam, że lepiej wyjaśnić wszystkie tajemnice. I ona chyba też nie miałaby nic przeciwko temu.

- A ty skąd wiedziałeś, Justinie? - zapytała lady Anna. -Nie, tylko nie zaprzeczaj. Nie ryzykowałbyś teraz, nie znając wcześniej odpowiedzi. Powiedz nam, skąd się wzięła u ciebie ta pewność, że on jej nie zabił?

Wzruszył lekko ramionami i rzekł:

- Kilka lat temu wuj sam opowiedział mi tę historię. Naturalnie bez szczegółów, tyle tylko, że jego pierwsza żona odebrała sobie życie. Nie byłem pewien, czy was przekonam, i dlatego poprosiłem doktora Branyona.

- Myślę, że powinieneś zniszczyć ten list, Justinie - rzekł doktor Branyon. - Niech nikt więcej się nie dowie o tej ponurej historii. A jeśli chodzi o sąsiadów, to zacząłem już rozpowiadać, że Gervaise był młodym człowiekiem, który znajdował się w rozpaczliwej sytuacji finansowej, i że dowiedział się w jakiś sposób o istnieniu szmaragdów. Żeby zapobiec niepotrzebnym plotkom na temat zranienia Arabelli, oboje z Anną twierdziliśmy zgodnie, że broń wypaliła przypadkiem. A co się tyczy Gervaise'a, to oficjalna wersja brzmi, że został postrzelony, kiedy uciekał z naszyjnikiem.

- Nawet nie pomyślałem o tym, żeby podjąć takie kroki -rzekł hrabia z wdzięcznością.
- Dziękuję wam obojgu.

Doktor Branyon uśmiechnął się do Arabelli.

- A teraz, młoda damo, powinnaś trochę odpocząć. Nie, nie sprzeciwiaj mi się, gdyż

mam potężnego sprzymierzeńca w osobie twego męża. Twierdzi on ponadto, że umyje ci włosy dziś wieczorem, jeśli będziesz grzeczna i posłuszna. - Przesunął dłonią po jej chłodnym czole. - Tak, tak, w całym hrabstwie nie ma lepszego lekarza.

I doktor Branyon z lady Anną wyszli z komnaty.

- Czy teraz przyrzekniesz, że zawsze będziesz mi ufać? Obrzuciła go długim, uważnym spojrzeniem. Wolno przyciągnęła go do siebie i szepnęła mu prosto do ucha:

- A czy powiedziałam ci o tym drugim liście, Justinie? Patrzył na nią przez chwilę, nic nie rozumiejąc.

- Ach ty figlarko! Ależ mnie nabrałaś. Aż mi serce podskoczyło do gardła. Arabello, powiedz prawdę. Nie ma żadnego drugiego listu, prawda?

- Nie - roześmiała się zadowolona. Ramię nadal bolało jak wszyscy diabli, ale śmiech robił jej dobrze.

Pocałował koniuszek jej nosa.

- Czy myślisz, że kiedy nie będziemy krzyczeć i złościć się na siebie, możemy się razem śmiać?

- Bardzo bym tego chciała - rzekła. Wiesz, boli mnie ramię, kiedy cię tak ciągnę do siebie. Czy nie mógłbyś tu usiąść z własnej woli?

Zrobił to, o co prosiła, i po chwili całował różowe usta tak, że jej oddech znacznie się przyśpieszył, a oczy zasnuły się mgłą. Lekko przyłożył dłoń do jej piersi. Serce pod jego ręką biło bardzo szybko. Uśmiechnął się do niej radośnie. Wśród pocałunków spytał:

- Życie naprawdę jest piękne, czyż nie?